


Ex Libris
BIBLJOTEKI
PUBLICZNEJ
IMIENIA
STEFANA HEMPLA
SEJMIKU
RADOMSKIEGO
W RADOMIU.
J.
B.

ELEGIE

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie III. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacya inteligencyi zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie V. 1923.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
ORGANIZACYA INTELIGENCYI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie III. 1923.
PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
PUSZCZA JODŁOWA. Warszawa 1926.
ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie IV. 1923.
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie II. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie VI. 1924.
TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedya. Warszawa 1925.
URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktór Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie III. Warszawa. 1922.
WIERNA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie II. Warszawa 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

STEFAN ŻEROMSKI

ELEGIE

I INNE PISMA

LITERACKIE I SPOŁECZNE

PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU

WACŁAW BOROWY



WARSZAWA MCMXXVIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

ELEGIE

I INNE PISMA
LITERACKIE I SPOŁECZNE

PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU
WACŁAW BOROWY



WARSZAWA MCMXXVIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

OD WYDAWCY

Umieszczenie nazwy Elegje *w nagłówku niniejszego pośmiertnego zbioru drobnych pism Stefana Żeromskiego nie wynikło z dowolności wydawniczej, ale z chęci upamiętnienia pewnego zamiaru zmarłego Autora. «Projektowałem sobie nowy zbiór p. t.* Elegje» — *pisał Żeromski 26 kwietnia 1925 r. do p. Stefana Dembego. Podtytuł: «Ze zbioru* Elegje» *otrzymała ogłoszona w tym czasie* Wilga, *a z przytoczonego listu wiemy, że do* Elegij *miało wejść, między innemi, także wspomnienie o Marjanie Abramowiczu. Fakty te pozwalają domyślać się, jaka była planowana zawartość owego zbioru. Prócz rzeczy, które miały dopiero powstać, weszłyby były do niego zapewne opowiadania takie jak* Wybieg instynktu *i dawniej napisane wspomnienia o współczesnych, mające te same «cechy bardzo osobiste»*, *co życiorys Abramowicza. Odpowiadałby on tedy mniej więcej zakresowi dwóch pierwszych działów książki niniejszej. Nad wykonanym więc fragmentem zamysłu położono godło przeznaczone przez Autora dla całości.*

W dalszym ciągu książki zgromadzone zostały inne utwory Żeromskiego, wydaniami książkowemi dotychczas nie objęte: częściowo wcale nie drukowane, przeważnie zaś rozproszone po czasopismach i innych publikacjach zbiorowych. Ze względu na ich obfitość i rozmaitość podzielono

je na pewne grupy, choć, oczywiście, podział ten musiał być w niejakiej mierze sztuczny i nie wszędzie pomiędzy poszczególnemi grupami mogą być przeciągnięte wyraźne linje graniczne. Aby nie mnożyć działów, do Artykułów literackich *włączono artykuł o sprawach teatralnych i artykuł o sprawach językowych. Z tegoż powodu utworzony został dział* Varia, *skupiający cztery różnorodne pisma, które nie mieściły się gdzieindziej.*

W obrębie każdego działu zastosowano odwrócony porządek chronologiczny. Wiąże się to poniekąd z użyciem tytułu, który Żeromski obmyślił sobie w ostatnim okresie życia. Przy takim bowiem układzie na pierwszych miejscach w każdym prawie dziale znalazły się utwory z tego właśnie okresu pochodzące, — więc utwory, co do których możemy być przekonani, że sam Autor byłby je przedrukował, gdyby wydawał zbiór o zakresie niniejszego. Im bardziej zaś posuwamy się w głąb działów, tem mniej mamy pewności, coby Autor o zamieszczonych tam pismach orzekł w swoich latach ostatnich, i coraz więcej nam trzeba spojrzenia historycznego. Na miejscach wreszcie końcowych znajdują się rzeczy najdawniejsze, — o których dobrze wiemy, że Żeromski świadomie je pomijał w zbiorach książkowych, traktując je widocznie jako nie dosięgające należytego poziomu juvenilia, *— które jednak, choćbyśmy co do nich podzielali ten późniejszy surowy osąd Autora, mają dla nas wartość pamiątki i dokumentu. — Utwory przytem z okresu ostatniego, z lat od 1915 do 1925, stanowią tu znaczną większość: jest ich z górą trzydzieści. Z poprzedniego dziesięciolecia, od 1905 do 1915, zebrano utworów siedem; z dziesięciolecia od 1895 do 1905 — trzy utwory; i wreszcie z przed 1895 r. — siedem.*

Książka ta jednak nie obejmuje wszystkich pism Żeromskiego niewydanych i nie zebranych przez niego. W rękopisie pozostaje jeszcze obszerny dramat Grzech *(z 1897 r.), którego część tylko, jako* Akt pierwszy, *była drukowana w «książce zbiorowej dla uczczenia dwudziestopięcioletniej działalności Aleksandra Świętochowskiego» p. t.* Prawda *(Lwów 1899). W rękopisie również pozostaje dotąd* Murzynek, *powiastka dla dzieci, napisana w 1924 czy 1925 r. i nabyta przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich dla jego wypisów. Może być, że istnieje gdzieś jeszcze zaprzepaszczona przedmowa do niewydanych* Przeczuć żywota *zmarłego Kajetana Sawczuka. Z pism drukowanych pominięto urzędowe sprawozdania muzealne z Rapperswilu (1894—1896), drobne artykuły i odezwy lokalnego tylko znaczenia (więc korespondencje z Nałęczowa w* Głosie *1890—1892, wstęp do* Sprawozdania z działalności i stanu Bibljoteki Publicznej w Zakopanem *za r. 1912, odezwy z r. 1919 w sprawie prac podhalańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego), oraz listy otwarte w sprawach osobistych (jak np. dwa listy do redakcji* Nowej Gazety, *z 12. IX. i 1. X. 1908 r., protestujące przeciwko przeróbce scenicznej* Dziejów grzechu, *albo list do redakcji* Rzeczypospolitej, *z 9. VII. 1920 r., w sprawie pewnej wzmianki o Żeromskim w dzienniku* Naród, *i t. p.).*

Są jednak zapewne jeszcze inne drobne utwory Żeromskiego, w rękopisach i w druku, które tu nie zostały uwzględnione dlatego, że wydawca nie zdobył o nich wiadomości, albo dlatego, że — mając wiadomość zbyt mglistą — nie zdołał ich odszukać. Być może, że wyjdą one najaw po zbadaniu zbiorów wycinkowych i rękopiśmiennych, które

Żeromski zapisał Polskiemu Klubowi Literackiemu, a z których nie można jeszcze korzystać. Być może, że tom niniejszy (którego druku nie wydawało się rzeczą słuszną odwlekać) skłoni wiedzących do ogłoszenia uzupełnień.

Taki, jaki jest, tom ten nie byłby powstał, gdyby nie pomoc, jaką wydawcy okazało liczne grono osób, bądź przez użyczenie rękopisów i wycinków, bądź przez udzielenie ważnych informacyj bibljograficznych, bądź przez rozjaśnienie pewnych wątpliwości tekstowych, bądź wreszcie przez wykonanie szeregu mozolnych poszukiwań w kompletach czasopism — poszukiwań potrzebnych nieraz tylko na to, aby się przekonać o mylności jakiejś pogłoski. Wyrażając wdzięczność dla wszystkich, wydawca nie czuje się już w możności dziękować im imiennie: — zbyt długa byłaby to lista i trudno byłoby ją spisać z przekonaniem, że jest zupełna.

Najważniejsze indywidualne właściwości pisowni Żeromskiego z późniejszego okresu jego twórczości starano się zachować.

Cokolwiek w tekście książki nie pochodzi od Autora, lecz od wydawcy, zostało ujęte w nawiasy prostokątne.

Przypiski na końcu książki zawierają wiadomości bibljograficzne o każdym z ogłoszonych utworów.

W. B.

Listopad 1927.

[OPOWIADANIA]

WILGA

(Ze zbioru «Elegie»)

Wstałem, po rannem posilnem dospaniu wcześniej, niż wszyscy domowi. Jeszcze drzewa sosnowe i brzozowe, akacye i dęby przesycone były obfitą nocną rosą, a słońce dopiero powstawało kędyś daleko w lasach niemych i polnych pustkowiach. Odziewałem się cicho, żeby nikogo nie przebudzić. Chodziłem na palcach, aby snać pode mną nie skrzypnęła źle dopasowana deska podłogi. Miałem w sobie radość cielesną po sennym spoczynku, która nie często człowieka nawiedza. Patrzyłem z upojeniem przez okno rozwarte w zgmatwaną pustkę ogrodu i widziałem na jawie nieistniejący jego uśmiech, którym się dla mnie miłosiernie na tę jedną chwilę przyodział.

Przez szczelinę uchylonych drzwi do sąsiedniego pokoju przypatrywałem się twardemu snowi jedenastoletniej osoby, której uśpienia nie chciałem za żadną cenę przerywać. Cieszyłem się, że było jeszcze tak cicho, tak niemo, że nikt nie zakłóca i nic nie przerywa porannego milczenia.

Wiedziałem przecie aż nadto dobrze, że za płotem ogrodu i za furtką zamkniętą stoją w ciszy i cze-

kają cierpliwie towarzysze i przyjaciele jedenastoletniej osoby, — psy tutejsze, domowe i sąsiedzkie, osiadli strażnicy dobra ludzkiego i bezdomne włóczęgi uliczne, wielkie Asy i do cieląt podobne Medory, — wysmukłe, podpalane i zblazowane stare kawalery, na wzór Puka, — i wiecznie zgłodniałe suczki bez imienia, kopane raz wraz ciężkiemi butami dwunogich stróżów, naszczekujące płaczliwie, żałośliwie i bez powodu po nocach, poprostu na wspomnienie stałej swej poniewierki, — pudle o jedwabistych grzywkach i lokach, a wyczesanych kudełkach, w zbytku i sutej łasce wielkopańskiej zatracające zdolność biegania i umiejętność szczekania, — oraz tchórzliwe, przebiegłe ,obrosłe gnojem i błotem zeschniętem polne brodiagi, czatujące na brudne kości śmietnika. Mknęły tam kędyś po śliskich od rosy gałęziach siostrzyczki-wiewiórki, sunęły po trawach króliki. Czaiły się czarne i łaciate koty, — Myzie i Kizie, — prześlizgiwały się niepostrzeżenie jaszczurki i podskakiwały w wilgotnej koniczynie żaby zielone. Wiedziałem, że ów niejasny, oddalony szmer, rozkosz sprawiający zmysłowi słyszenia, to odgłos pracujących dzięciołów i dłutew, to rozmowy poranne przelotnych dzikich gołębi, to gędźba chóralna trznadlów, sikorek, makolągw, wróbli i jaskółek.

Ożył bowiem już dawno i pracował solidnie na utrzymanie swoje i bezsilnych potomków cały umiłowany świat jedenastoletniej wygodnisi. Każdy pies, dojrzany za dnia na drodze, czy na cudzem podwórzu, był to już z samej natury rzeczy jej wierny przyjaciel i stokroć pożądany towarzysz. Nic to nie znaczyło, iż taki syn wył przy budzie, albo bez powodu i sensu

szczekał zrozpaczonym głosem, zatruwając temu lub owemu z «dużych» noc całą i w mękę ją przemieniając. Każdy najdzikszy i najbardziej złowrogi brytan, kundys, czy wyżeł merdał ogonem na widok beztrwożnej panny, która obces biegła na jego spotkanie, — wnet, według rozkazu, warował i chodził posłusznie, dokąd mu rozkazano, niczem za panią swą przyrodzoną, słuchał zleceń i skinień, z pokorą otrzymywał ostre łajania, — ba! — drżał całem włochatem, bestyalskiem cielskiem wobec machnięcia nad jego nosem cienkim brzozowym patyczkiem. Niemało z tej psiej zbieraniny i nocami chadzającej bandy wałęsało się zawsze dokoła domu, a nie śmiejąc wejść na podwórze w obawie stróżowskiej pały, czekało cierpliwie za ogrodzeniem, czy nie zabrzmi głos przyjazny i czy nie ukaże, się radosna postać protektorki i szafarki łask wszelakich. Lecz spała oto twardym snem przyjaciółka i specyalna protektorka powsinogów, włóczykijów, ptaków, gadziny i płazów.

Któż zgadnie, co w snach swoich widziała? Czyli świat ten tutejszy, znany jej, własny i właściwy w swem pięknie i w swej brzydocie, w cnotach chwalebnych i w grzechach obmierzłych, które dorośli karzą srogiem kopaniem, biciem i przeklinaniem na odległość, — czy jaki świat inny, który już nie ukazuje się dorosłym, zepsutym przez nadmierną moc zakazów, zgryzionym przez ostre siekacze i twarde kielce żywota? Dorośli wszystko potrafią wyśledzić przebiegłym wzrokiem rozumu, podnieconym od kropelek okrutnych wypitej cykuty, — wszędzie dotrzeć zdołają myślami, posuwając się krok za krokiem za ogieniaszkiem logicz-

nego wywodu, — mogą nawet wymędrkować, widną, jak na dłoni, duszę swą własną, istniejącą poza ciałem, bytującą nazewnątrz mózgu cielesnego, — lecz nie znają już i nie miewają nielogicznych snów jedenastoletniego panieństwa, wobec którego ptaki o niedolach i radościach swych zrozumiale śpiewają, bezdomne i wygłodniałe psy zanoszą skomleniem skargi istotne, jako przed jedynym swym sprawiedliwym urzędem, — róże otwierają łona pełne woni i dają uczuć najpierwszy ranny zapach nozdrzom przyjacielskim, ażeby im jednym wyjawić w pełni, na miarę nieskażoną, szczęście bytu, zamknięte w zapachu i w barwie; — a bratki ku ich łzom pochylają za wiatrem głowy żałobą pisane, wiecznie wspominając przedwcześnie umarłych.

Patrzyłem w półciemny, półróżany mokry ogród. Ileż to tam nowości tej nocy nastało! W półmroku klombu lśni olbrzymia łodyga naparstnicy, która, — niewinna tak i nadobna, — umie nadto uśmierzyć straszliwe serca męczarnie.

Piękny kwiecie, władco i rozkazodawco w najtajniejszych mrokach istnienia, we wnętrznościach komór serca rozhukanych, z nocy ciemnej przychodzący — witaj, zawitaj, zawitaj w ciszy tego poranka! O tej chwili nieporównanej jesteś tylko pięknością. Ktoś cię tu powołany ujrzy za małą chwilę, zachwyci się i uweseli barwą twoich kielichów w sposób godny i należny twojej rzetelnej piękności. Moje oczy już nie są godne twej krasy. Ja się ciebie głucho lękam, o piękna, wielobarwna łodygo! Ja się uniżam z najgłębszą pokorą przed tobą, gdyż widzę, jako się w proch obrócisz i szarym staniesz popiołem, niezmierną rozporządzającym potęgą.

Ktoś tu wkrótce cichemi stopami do klombu przybiegnie i na trawach zmoczonych, na ziemi czarnej od rosy spostrzeże ślad stopy zbrodniczej, co się pod osłoną mroku nocy skradała do nierozwiniętego pąka róży, który się jeszcze lęka świtu, tuli bezsilnie sam w sobie i ochrony szuka wśród kolców. Ktoś tu wnet groźne poweźmie podejrzenie, strasznego nabierze przeświadczenia i złowrogie rzuci oskarżenie: — to Marta! Oto tam dalej dwa włoskie orzechy, jeden wspaniale rozrosły, bujnemi liśćmi okryty, — drugi schorzały, niewesoły, więdnący, auzoński cudzoziemiec wśród mazowieckich dębczaków i sosen. Ktoś go tu wnet będzie na tem wygnaniu pocieszał, piosenkę mu śpiewał, piosenkę mu śpiewał mniej skądinąd znaną: —

Piękna Helena z liściem szerokiem
Nad modrym gajem rosła potokiem,

pień jego obejmował ramionami i tulił różowe policzki do jego kory oziębłej. Ktoś tu wnet cały obszar przebiegnie chyżemi stopami, aby wszechobejmującem spojrzeniem zrachować, ile się w nocy narodziło nowych koniczyn, aby zbadać, czy wszystkie zawiązki owoców wiszą na miejscach swoich, czy nie złamana gdzie kwietna łodyga i czy kto zbrodniczemi stopami nowych traw nie podeptał.

Cisza powszechna czeka na nadejście dozorczyni.

Lecz oto przerywa to pospólne milczenie bezczelny śpiew wiwilgi. Posypały się ciężkie krople rosy na okrągłe głowy koniczyn, na smółki wysmukłe i przyziemny barwinek, gdy z łopotem skrzydeł w koronę sosny zapadła. Tuż przy oknie, rozwartem w ciągu

nocy na oścież, przewija się żółtym połyskiem złotnia złotolita, melodyjna boguwola, sepleniąca i figlująca swem poświstnem gędzioleniem zofia, przelewająca we fletnię niewidzialną trele faliste filuterna kraska, wołająca raz wraz kogoś z tamtego świata snu twardego do tego świata porannych cudów życia. W śliskich, polotnych, tam i nawspak przeplatających się śpiewu przegubach, zakończonych śmiesznym półzgrzytem, zawarte było swoiste wołanie, przebudzanie, przyzywanie. Zamknięte są wciąż jeszcze oczy śpiochy, lecz uszy jej chłoną śpiew zofijny, wiwilgną kantylenę i dziwaczne pieśni zamknięcie.

Coś tam mają do siebie, coś do siebie wiedzą te dwie z dwu życia okolic i z dwu otchłani istnienia. Tamta śpiewa, a ta nawet we śnie mocnym do miłego śmieje się śpiewu. Lecz, widać, świat snu głębokiego piękniejszy jest, niźli ten, który wiwilga zachwala. Któryż, śpiocho, wybierzesz? Któryż cię bardziej czaruje?

Ja, co już znam nienajgorzej ten zewnętrzny, — co w kielichach kwiatów poszukuję prochu szarego, a świata snów wyzbyłem się prawie, — wolę, żebyś jaknajdłużej w świecie snów przebywała. Cóż zaś mogę uczynić dla przedłużenia, rozszerzenia sennego królestwa twego, — o najdroższa! — ja, natrętny świadek, widz strudzony, przychodzień z dalekich antypodów, gdzie panuje ponury i głuchy smutek, do czarującego dwuświecia czarów? Mogę oto tylko chwycić kamień i cisnąć go w koronę sosny, rosą nasiąkniętą, ażeby spłoszyć śpiewną wiwilgę i przetrącić nić cienką między zachwycającym śpiewem życia i twardem, głębokiem, pięknem snu mocarstwem...

[1925]

WYBIEG INSTYNKTU

Pomimo tak niezrachowanej ilości zdarzeń i tak niesłychanej ich wielorakości w ciągu życia, — podświadome myślenie, ów samoswój, wewnętrzny i tajnym nurtem płynący strumień wspominania poprzez wszelkie dalekie czasy i rzeczy, — ileż to razy zadawało umysłowi pytanie: — czemuś ty wówczas tak postąpić doradził? Ogień radości bucha w piersiach, jak wtedy. Serce znowu bije, nie dzisiejsze: zmiażdżone, chore, nieszczęsne, ni to badyl w polu między wichrami jesieni, lecz tamto młodzieńcze, dzielne, niezwyciężone i zwycięskie, którego w istocie zaprawdę już niema.

Pospolita i śmieszna, nic nie znacząca uczniowska przygoda stawała już tylekroć, jako iskra świetlna wśród ciemnych mgieł licznych dni, że wypada ją wreszcie uprzytomnić.

Działo się, — oczywiście, — w starem mieście Kielcach, za czasów moskiewskiego w niem rozbijania się i panoszenia. Byliśmy, — ósma klasa gimnazyalna, — pilnowani i strzeżeni, jak gromadka dziatek, którą należy trzymać nie byle jak w ryzach, żeby sobie snać jakiego *kuku* nie zadała. Po godzinie ósmej wieczorem nie wolno nam było pod żadnym pozorem wy-

chodzić z domu i «znajdować się na ulicy». Wyjątek stanowiły eskapady nocne ze starym nauczycielem matematyki i fizyki, Gracyanem Czarneckim, «na gwiazdy», gdy, wyniósłszy na wzgórek obok cerkwi moskiewskiej jego własne lunety i przyrządy, zapalaliśmy się do astronomii. Zdarzało się, iż na owe «gwiazdy» przed mieszkaniem zgryźliwego «Gracyana Francowicza», czyli «Zubla», które to miano jedno pokolenie naszcj szkoły przekazywało następnemu, — delegowany w tym celu zapaleniec w pojedynkę «zbierał się» i reprezentował ogół, a wesoła reszta kierowała swe chyże kroki ku gwiazdom najzupełniej ziemskim i daleko bardziej dostępnym. Spotkani na ulicy o tak późnej i zakazanej godzinie przez czynniki miarodajne i szpiegujące zwalali swą karygodną obecność wśród zawiłości ciemnych ulic na barki astronoma Gracyana, tłomacząc się, że właśnie zdążają pod cerkiew na obserwacye pierścieni Saturna. Wykręty takie przyjmowane były za dobrą monetę, o ile się wpadało w ręce któregoś z fafułów gimnazyalnych, normalnych belfrów, filologów czy przyrodników, którym tropienie czeladki gimnazyalnej narzucano zgóry, jako wstrętny dla nich obowiązek. Lecz był ktoś, komu najbardziej szybkonogi Achilles nigdy ujść nie zdołał, a po pojmaniu nie wyśliznął się ze szponów zapomocą opowieści o «gwiazdach».

«Pomocnik gospodarzy klas», — pan, — dajmy na to, — Smirnow, a raczej «Ryży», wiedział doskonale, jakie każdemu z nas gwiazdy świecą, w jakim punkcie miasta, w którym domu i w którem oknie. Był to elegancki jegomość w pełni lat męskich, z rudą bródką, starannie utrzymaną, i czerwonemi włosami,

których uczesaniu poświęcał wiele czasu. Nosił buciki najmodniejszego fasonu, lakierowane, na wysokich obcasach, — paltocik zaprasowany i oczyszczony idealnie, — jedwabną chustkę na szyi, nieposzlakowany melonik i rękawiczki koloru *sang-de-boeuf.* Wszystko w nim i na nim było wytworne, lekkie, powiewne, — z wyjątkiem laski. Laskę nosił wyjatkowo grubą, krzywulę o gałce potężnej na końcu zgięcia rękojeści, z ołowiu, czy metalu. Tą to laską subtelny «Ryży» umiał manewrować w sposób niezrównany. Gdy przestępca gimnazyalny, dostrzeżony zdala wieczorem, zaczynał przed tropicielem «wiać», jako wiatr wieje, a raczej jak wieją młode i zdrowe nogi siedmnastoletnie, «Ryży» puszczał się za uciekającym w pogoń, również jak wiatr, na swych giętkich i cienkich kończynach, — lecz do pewnej tylko granicy. W momencie, uznanym za nieomylnie odpowiedni, znakomitym rzutem po ziemi puszczał swą krzywulę w taki sposób, że upadała między nogi drapichrósta i obalała go na ziemię. Wówczas «Ryży», niby zwinny kot, dopadał ofiary i łagodnie ciągnął ją do protokółu, który dla kończących gimnazyum mógł mieć następstwa fatalne, aż do uniemożliwienia matury. «Ryży» był nad wyraz uprzejmy: kłaniał nam się do ziemi swym okrągłym melonikiem i wytwornemi ruchy światowca. Gdy czegokolwiek od niego żądano, spełniał wszystko ochotnie, w podskokach. Był szpiclem, przystawionym do nas specyalnie, to też znał się na nas, jak rzeczoznawca na towarze. My również przypatrzyliśmy się jemu dokładnie, przejrzeliśmy go od góry do dołu i naprzestrzał. Wiedzieliśmy, jakie są jego obyczaje, maniery, narowy i amory. Spostrzegliśmy,

gdzie i kiedy bywa, co robi i mówi, i mieliśmy zanotowany każdy z jego beznadziejnych uśmiechów na widok młodocianych piękności naszego starego grodu. Dziś można już nawet nie robić tajemnicy, tak przecie długo «konspirowanej», z tego faktu, iż w pewnym ciemnym kącie Pocztowej ulicy spraliśmy rudą fizys tak należycie i tak dokładnie, że nasz pedagog nawet nie «zrobił użytku» z tego zamachu i nikomu się nie poskarżył. Zato miał nas wszystkich na oku, na sercu, na wątrobie i na śledzionie. Pamiętał o nas wrażliwością swych różanych policzków.

W tym czasie najbliższy mój przyjaciel Jan Wacław Machajski, mieszkał u pewnej zamożnej rodziny, gdzie za lekcye, czyli tak zwane «korepy», udzielane dwu chłopcom, miał pokój i utrzymanie, — ja zaś w podobny sposób przeżywiałem się u innej familii, wzamian za ciężkie «korepy», udzielane dwojgu nad-matołków. Mieszkania nasze mieściły się w tej samej okolicy miasta, przedzielone podmiejskiemi placami, ogrodami i łąkami. Zawikłana kombinacya uliczek, przesmyków, kładek i przełazów między wielkiemi parkanami, brudna i błotnista ponad wszelkie europejskie wyobrażenie, łączyła nasze owoczesne legowiska. Dom, gdzie mieszkał Jan Wacław, stał, a właściwie głęboko siedział w dużym i cienistym ogrodzie, otoczonym wysokiemi murami. Front domu wychylał się z ogrodu na olbrzymi dziedziniec, istny plac publiczny, zastawiony wokół murowanemi składami i magazynami o ślepych oknach i kutych drzwiach. Był to jakiś niefunkcyonujący już browar, przerobiony już to na mieszkania, już na składy sklepowe. Cała ta posesya, jak wielki prostokąt, przylegała do dwu szerokich ulic, a z każdej z tych ulic prowadziła do jej wnętrza duża brama. Długa i rozłożysta ulica «Warszawska», biegnąca wzdłuż owej posesyi miała conajmniej połowę swej rozległości zajętą przez ślepe ściany składów i wysoki mur ogrodu. W jednem tylko miejscu te nieskończenie nudne, jakby florenckie, mury przerywała pierwsza z bram prowadząca na wielki dziedziniec.

Lekcye moje popołudniowe na mieście i korepetycye wieczorne w domu kończyły się dopiero około godziny dziesiątej. O tej porze mogłem brać się do swoich własnych zadań. Dla ułatwienia sobie roboty szedłem niemal codziennie po godzinie dziesiątej wieczorem do Jana Wacława dla odrabiania z nim razem jutrzejszych «kawałków», albo, co się zdarzało najczęściej, dla wspólnego czytania i zapamiętałego dyskutowania aż do późnej godziny.

Czytaliśmy co tylko gdzie było na placu, w jakiejkolwiek szafie: Wiktora Hugo i Karola Libelta, Słowackiego i Turgieniewa, Henryka Tomasza Buckle'a i Brandesa, Mickiewicza i Drapera, Quineta i Sienkiewicza. Czasami, w księżycowe noce, wykradaliśmy się przez okno i jedną z owych starych bram, chyłkiem za miasto, za przedmieście, zwane «Pocieszką», aż na odludną szosę warszawską. Tam w pustce zupełnej, podczas cichej nocy, Jan Wacław wygłaszał monolog Nika z *Maryi Stuart*, wiersz do matki, lub *Grób Agamemnona* Słowackiego. Nik — była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Wacława. Nie była jednak jedyną. Pasowała najbardziej do jego temperamentu, upodobań, brzmienia głosu, — «grała się sama».

Jan Wacław, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu, wyobrażał sobie podówczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragikiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazanie i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał prześladowań od dyrektora gimnazyum, Siewieryana Januaryewicza Woronkowa, srogiego (z wierzchu) tyrana, a niedołężnego w gruncie rzeczy safanduły. Żadne wszakże kary, groźby i wrzaski, tupanie nogami i neronowskie nastawianie okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Wacława do ostrzyżenia absalonowych puklów.

Długie włosy, bardziej niż temu prymusowi, byłyby «śpilowały» mnie samemu, gimnazyalnemu, kielecko-miejskiemu, jedynemu na powiat, a kto wie czy nie na gubernię, poecie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów *Cola di Rienzo, Savonarola, Zbrodnia na Radostowie* i bardzo wielu innych, — brulionów, grubych jak słownik Knapskiego, pełnych poematów «w dwunastu pieśniach», liryk, «przenikliwych» studyów, krytyk, inwektyw, polemik, filipik. Jan Wacław mógł sobie pozwolić na długie włosy. Nic sobie nie robił z wykrzykników Siewieryana Januaryewicza:

— *Juvenis!* Zapowiadam, że nie zobaczysz matury, jak swoich własnych uszu...

Ja strzygłem swe kędziory, byleby choć w ten sposób zażegnywać licho, Jan Wacław marzył o zagraniu wielkiej roli.

— Raz zagrać wielką rolę i skonać! — wyło się wówczas, wyciągając ręce do wiernego współtowarzysza, księżyca, na szosie warszawskiej i powierzając temu cierpliwemu słuchaczowi skargi, inwektywy i szyderstwa ukochanych poetów z niemałym krzykiem.

Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim, Jan Wacław nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać «wielką rolę» na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosyi, Francyi, — że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezyarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucyi proletaryackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodiagów, baciarów, bez domu i mienia, iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką «machajewszczyznę». Ośmnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie, gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże *vincula, vulnera, exilium,* jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej, niż sama krótka śmierć.

Pewnego wieczora, idąc, według zwyczaju, po godzinie dziesiątej do przyjaciela, wybrnąłem z brudnych przejść bocznych i wydostałem się na szeroką, «Warszawską» ulicę, zaopatrzoną już w wąski chodnik z betonu. Świecił księżyc, przesłaniany raz wraz przez chmury, które wiatr szybko pędził przed wspaniałą lśniącą tarczą. Minąłem całą długość ogrodowego muru i przyszedłem do pierwszej bramy, prowadzącej na wielki dziedziniec. Było to stare bramisko, wieczyście na ślepo i na głucho zawarte, dolną krawędzią swą wrośnięte w błoto i osaczone badylami trawy. Jedynie furtka była ruchomą w tej ogromnej machinie. Ale i furtka, przez nikogo nigdy nie zamykana, wisiała na swych zardzewiałych

wrzeciądzach w pozycyi raz obranej za właściwą i dogodną, w stanie zasłużonego spoczynku. Mijało się tę uchyloną furtkę, nie wiedząc o tem' że ona tam jest i że się poruszać może. Tego wieczora stanąłem obok niej w zdumieniu: była zamknięta. Gdy usiłowałem pchnąć ją i otworzyć, zauważyłem, że rygle klamki puściłyby może pod naporem, lecz że ktoś z drugiej strony bramy siłą podpiera drzwiczki i nie puszcza. Zapytałem tamtego, czy można przejść, ale nic mi nie odpowiedział, — chociaż czułem, że z tamtej strony jest człowiek. Spróbowawszy jeszcze raz, drugi i trzeci otworzyć zamek z tym samym skutkiem, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy, postanowiłem wejść na dziedziniec przez drugą bramę, z ulicy przylegającej pod prostym kątem do «Warszawskiej». Ruszyłem szybko przed siebie. Ulica podnosiła się łagodnie ku górze, a że księżyc wypłynął był właśnie z poza chmur, widać było betonowy chodnik na całej jego przestrzeni. Spiesząc tym chodnikiem pod górę, spostrzegłem nagle «Ryżego» Smirnowa. Szedł z pośpiechem na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to on nie puszczał mię przez pierwszą bramę. Chciał mię pochwycić koniecznie «na ulicy» o późnej porze, — czy też pragnął nas obudwu z Janem Wacławem przychwycić na czytaniu «zakazanych« książek... W każdym razie zrozumiałem, że na nas obudwu w tej stronie poluje. Brama była zamknięta, mury ogrodowe niezmiernie długie i wysokie. Obliczywszy wszystko, widziałem jak na dłoni, że nie ucieknę: dopędzi mię, goniąc z góry na dół ulicą i schwyci przy pomocy swej lagi, którą będzie mógł puścić po równym chodniku. Miałem tylko jedno wyjście. Ponieważ «Ryży» był jeszcze o tyle zdala, że nie mógł mię dokładnie widzieć, gdyż księżyc szczęśliwie zakryła chmura, momentalnie przebiegłem na drugą stronę ulicy i, nie myśląc już o tem, co robię, rzuciłem się w pierwszą napotkaną bramę. Był to wybór najfatalniejszy, jaki zrobić mogłem. Tam właśnie mieścił się «zajazd», zwany «Warszawskim», używający zasłużenie jak najgorszej w mieście opinii. Zawsze z okien tego parterowego hoteliku wyglądały gęby dziewuch, uczerwienione burakiem, wyświechtane i bezczelne. Zawsze z tych okien słychać było śpiewy pijaków, ryki oficerów rosyjskich i piski dam w jaskrawych spódnicach. Hotel ów był budynkiem długim i niskim. Na tyłach swych miał wąskie podwórze, które wychodziło na ulicę dwiema bramami. Te bramy, jak na zajazd przystało, zawsze były gościnnie otwarte. W wąskie podwórze to jedną, to drugą bramą wtaczały się frachtowe żydowskie wozy, szlacheckie bryczki i chłopskie furmanki, nieświadome zapewne, co się mieści w samym hotelu. Wbiegłszy pędem w jedną bramę zajezdną, przemknąłem cwałem, jakby mię kto batem popędzał, przez całą długość podwórza i, dopadłszy drugiej bramy, nie wybiegłem na ulicę, lecz sekretnie wślizgnąłem się za jej ogromną wrótnię. Dlaczego tak zrobiłem, nie wiem dotąd. Zaledwie się tam przyczaiłem, «Ryży» na paluszkach wsunął się w tę bramę właśnie, za której wierzeją byłem zaczajony. Jak doświadczony kot, na palcach pomknął w głąb podwórza i znikł za załamaniem budynku hotelowego. Mignęła jego sylweta w blasku czerwonej latarni przy wejściu i znikła w ciemności długiego dziedzińca.

«Ryży» był pewny, że mię tam właśnie uciekającego spotka i chwyci w rozkrzyżowane ramiona, że mu wpadnę w objęcia, jak ryba do saka. Tymczasem ja, ujrzawszy przez szparę między murem a wrótnią, że poszedł w głąb podwórza, wysunąłem się z tej bramy na ulicę i pognałem do domu «co koń skoczy».

Jeżeli ja zdołałem wymknąć się «Ryżemu» wskutek mocy działania instynktownego impulsu, podświadomego natchnienia, «zapalenia duszy», które w istocie rzeczy jest samem twórczem życiem, chwilowem jasnowidzeniem celu i środków, objęciem i zmierzeniem niebezpieczeństwa, a zarazem znalezieniem sposobu, ratunku i samem wykonaniem nieomylnej obrony, — to on działał przeciwnie: wykonywał swój akt najzupełniej świadomy, podyktowany przez przebiegły i wyrachowany umysł. Nie pobiegł za mną w bramę, do której się schroniłem, lecz rzucił się do przeciwległej, wiedząc z matematyczną dokładnością, na mocy znajomości tego domu i dziedzińca, że będę cwałem zmykał do tamtej bramy, i wobec tego muszę się z nim spotkać. Jakiż miał świetny pomysł! Byłby mię o późnej godzinie pojmał w hoteliku «Warszawskim», na dziedzińcu instytucyi, którą za Herodotem nazywaliśmy w naszej gwarze *to ojkema.* — Byłby mię miał w ręku w takim domu, a mszcząc się za wszystko i za wszystkich na mnie, zgubiłby mię był bezlitośnie i bezpowrotnie. Nie tylko przepadłaby matura, ale zwichnęłoby się całe życie. Jakże bowiem byłbym wytłomaczył swoją obecność w nocy na tamtem podwórzu? Co tam robiłem? Dokąd szedłem? Po co tam wlazłem? Ktoby uwierzył w jakiekolwiek wyjaśnienie?

«Ryży» znał się doskonale na rozkładzie tej posesyi, bo to nie my, lecz on właśnie w dobranem towarzystwie współrodaków tam bywał. Działał tedy na pewniaka.

Nie schwytawszy mię na podwórzu, nie znalazłszy nigdzie w zakamarkach tej budy, otoczonej ze wszech stron wysokiemi parkanami, musiał, zapewne, przeszukać i samo rozkoszne wnętrze hoteliku.

Tymczasem ja, przycwałowawszy do siebie, co tchu zapaliłem lampę i zasiadłem do lekcyi. Z nosem utopionym w podręcznikach i kajetach, nasłuchiwałem. Okno mej izby, — a właściwie odcinka śpiżarni, przedzielonego cienkiemi deskami od tego zbiorowiska wędlin, serów i szczurów, — wychodziło na obszerne, puste place, zastawione tam i sam lichemi domami przedmieścia. Dolne jego ramy tkwiły tuż nad samą ziemią. Gdy upłynęło jakie pół godziny od mego powrotu do domu, usłyszałem w ciszy nocnej kroki. Przyuczone do ciszy i odgłosów tamecznych stąpań ludzkich, moje ucho odróżniło każde z obcych po zmarzniętej ziemi. «Ryży» podpatrywał mię. Zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zaglądał z jednego i drugiego boku. Siedziałem przy stoliku, pozornie zapracowany, zaczytany w mych książkach, czując szpiega za ścianą całem jestestwem. Wreszcie zobaczyłem go z pod oka, gdy mijał plac na palcach w oddali.

Nazajutrz rano szedłem do klasy, zapięty na wszystkie guziki i obarczony książkami w sposób prawidłowy.

«Ryży», defilujący po naszym szkolnym korytarzu, co należało do jego codziennych obowiązków,

przywitał mię miłym uśmiechem. Na mój ukłon odpowiedział najwdzięczniejszem pochyleniem giętkiego korpusu. A gdym go już wymijał, szepnął zcicha, przymykając oczy z mniemanym zachwytem:

— *Mołodiec!*

Zdziwiony nadzwyczajnie, zapytałem, co znaczy ta jego pochwała. «Ryży» pokiwał uczesaną główką i wykonał palcami nieokreślony zagadkowy ruch w powietrzu. Uśmiech jego nie był w owej chwili przyjemny.

Mołodiec — a więc zuch, chwat... Któż wie, komu się w istocie należy ten pochwalny epitet z racyi wybiegu. Ja go spłatałem w praktyce naszemu układnemu pedagogowi, ale do wykonania podała go jakaś siła nie moja, niemal zewnętrzna, niczem ręka niewidzialna, popychająca i władcza.

[1920]

[EWAKUACYA KRAKOWA]

Ciemna jesienna jutrznia nie rozwidniała jeszcze ulic Krakowa, — pustych o tej porze zazwyczaj, — gdy tłum, zdążający ze wszech stron na dworzec kolejowy, zaludnił je tego dnia, dnia ewakuacyi. Wszystkich zbudziła i popędzała jedna konieczność, konieczność zdążenia na pociąg, który miał być ostatnim z ostatnich. To też rojowisko ludzkie było dziwnie jednomyślne i jednozgodne. Każdy niemal szept, rozgwar, odgłos dyalogów, jęk przyciszony, wijący się w zgiełku, był echem tego samego u wszystkich czucia. Ludzie najrozmaitsi, podzieleni zawsze na tysiąc różnic i antagonizmów, stali się tego dnia jedną rodziną, którą spotkała wspólna niedola, — nieodzowność opuszczenia rodzinnego domu. Przepadła w owej chwili uraza do wad starego grodziska, do jego wiekuistych błot, do dziur w jego bruku i zaduchów w zaułkach. Dostęp do dworca wzdłuż nieśmiertelnego parkanu, obwieszonego afiszami, — po nieśmiertelnie lepkim chodniku, — zatarasowany był przez szeregi wolno sunących fiakrów, bryczek, wozów z rzeczami i ręcznych dwukołowych wózków tragarzy. Krzyki, nawoływania, przekleństwa, hałas nieopisany zatrzymanego pośpie-

chu — były jakgdyby drugą zaporą dla każdego, kto dążył piechotą.

W środkowej sali dworca wytworzyło się istne przedpiekle. Stosy kufrów, koszów, tłomoków, pudeł, węzłów — zawaliły całą przestrzeń wolną i spiętrzyły się wysoko. Na wątłe tekturowe pudełka raz wraz ciskano walizy i paki, tworząc coraz wyższe barykady dobytku, pochwyconego z domostw. Między tem rumowiem, zwalonem, jak w czasie pożaru, — przemocą utrzymywano ulice do przejścia. W tych to przesmykach ludzie biegli tu i tam, w tył i naprzód, dźwigając dzieci, wciąż napływające toboły, przedmioty, sprzęty... Wszyscy tu zagradzali sobie wąskie przejścia, spotykali się i potrącali, złorzecząc sobie nawzajem. Wszelka służba stała się conajmniej wyniosłą, bez powodu grubijańską, a w miarę uznania i potrzeby chętnie tyranizującą. Wszelka godność ustała. Nawet sam pieniądz stracił na sile. Łaskę robił człowiek, jeżeli za bylejaki trud raczył wziąć wysoką nagrodę. Przy okienkach kas biletowych tłoczyli się ludzie z wytrzeszczonemi oczyma, a przy kasie bagażowej dokonywało się skłębione igrzysko, — istne zapasy na siłę ramienia, głosu i zaklęć.

Gdy tłum po załatwieniu formalności wydostał się na peron stacyjny, dzień ledwo się rozniecał. Zdala nadciągał pociąg, — ów ostatni. Obciążony wielką ilością wagonów, sunął powoli pod zadymiony dach podjazdu. Nim można było sadowić się w nim, zniechęcone spojrzenia dostrzegały nawzajem towarzyszów doli. Kogóż to nie było w tym zespole? Ludzie z góry i z dołu, bogaci i niezamożni, mądrzy i nieuczeni zgoła,

znakomitości i pospolitacy, subtelnisie i prostactwo. Teraz była to jedynie gmina bez prowiantów, złożona z poszczególnych ciał, których przeznaczeniem było «opróżnić» miasto, ażeby nie zjadały w niem mąki, kapusty i słoniny. Nad temi wszystkiemi kadłubami trawiącemi, — jamami ustnemi i żołądkami, — nad tem zbiorowiskiem apetytów, które mogło być również zbiorowiskiem chorób, — zawisła elementarna groza nadciągającego z północy moskiewskiego huraganu. Coś jakgdyby dreszcz podziemny, zwiastujący trzęsienie ziemi, gnał w dal ów gmin człowieczy.

Wpadały w oko niektóre w nim figury.

Przy prowizorycznym bufecie znakomity aktor, którego tylekroć widziało się w przeróżnych ubraniach dla symbolicznego wyrażenia najrozmaitszych spraw ludzkich, — człowiek starszy, gładki i wykwintny, — teraz w płaszcz legionowego żołnierza na stałe przebrany, rwał zębami duże kęsy kiełbasy i zagryzał je tęgiemi ułamkami chleba ze szczerze wilczym apetytem. Nogi w ciężkich butach miał uwalane w glinie, wojacką odzież zachlastaną do kolan. Pasy rzemienne odparzyły na jego szarym płaszczu białawe szlaki, rzemień powgniatał się w sukno. Z drewnianego pomostu sceny, — ze świata wymysłów i bajek sztuki, — zstąpił był na ziemię i obszedł scenę szeroką, dobrze rozwidnioną łunami, — na Szczucin, Opatów, Dęblin, Częstochowę... Na zapytanie, skąd wraca, odpowiada poprzez kiełbasę:

— A z pod tych Krzywopłotów.

Mówi nie jak ten, co umiał pokazywać markizów, hrabiów, panów, a nawet królów, lecz z prostacka, jak wyrobnik czy wieśniak:

— Bitwa — to bajki! To bajki! Pochód, to dopiero prawdziwa nędza. Nogi na nic, w butach błoto. Zimno trzęsie, bieda!...

W złą trafił chwilę. Nie mógł być stary Kraków miejscem postoju, popasu i wypoczynku. Znowu tedy dalej — w ów pochód srogi!

Wzdłuż wagonów przechadza się inny. To pierwszorzędny pisarz w ubraniu legionowego ułana. Postać jego szczupła, wysoka, wyniosła i świetna, jak zawsze, — lecz ruchy dziś powolne, — od ran i chorób przebytych ociężałe, — piękna twarz aż do kości wyschnięta, do cna w polach schudzona i jak ich śniegi biała. Z pod daszka czapki spoglądają nie dawne siwe oczy jednego z najdowcipniejszych w Polsce ludzi, lecz jamy srogie i ponure. Jakież to tam dziś myśli kłębią się pod tą wysoką czapą ułańską? Jakie widoki przesunęły się w tych oczach jastrzębich, — gdy na swym koniu przemierzał wzdłuż i wpoprzek pola rodzinne? «Ludzie schyleni w nędzach i niedolach cierniowemi mu się kłaniali korony...» Już nie prosili się o «miecz jako o jałmużnę», bo go przyniósł z towarzyszami, — lecz sercu jego, które ich tak kochało, pokazywali doły w ziemi mieszkalne — i wnętrza ich, gdzie wymierały dzieci do ostatniego, — całemi gminami. Przed jego to oczyma stały w przestworze ojczystym kominy zczerniałe i piecowiska wyziębłe wioszczyn spalonych, — gruzy miast, — martwe rumowia prastarych kościołów, które pamiętały kolebkę dziejów ojczyzny, — wywrócenie samego gruntu na nice, ze zniweczeniem gleby, którą pot pokoleń chłopskich użyźniał. Przed jego duszą wszystko czującą otwierały swe wnętrza mogiły ledwie zasypane, ukazując rozpacz konających. Czyliż to nie jego, następcę, widział był zaprawdę twórca wieczny Juliusz Słowacki, gdy wołał w dal czasów:

Postój, o, postój, hułanie czerwony!
Przez co to koń twój zapieniony skacze?!
— To nic. To mojej matki grób zhańbiony.
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.
Koń dobył iskier na grobie z marmuru
I krzywa szabla wylazła z jaszczuru.

Krzywa szabla wylazła z jaszczuru. Oto wszystko twoje, polski rycerzu.

Gdy przedziały wagonów napełnione, nabite zostały ludzkim materyałem i dobytkiem podręcznym, pociąg ruszył leniwie. Okrążał miasto zwolna, pozwalając ludziom pożegnać je oczyma. Owiane było jesienną mgłą, ciemne i pełne smutku. Ukazywały się jego wieże, kopuły, rude lub zielonawe od patyny, — kształty gotyckie, barokowe i najnowsze.

Zajaśniał we mgle nowy dach Wawelu... Nowy dach Wawelu, symbol tej cichej i bezsławnej pracy narodu dla przyszłego potomka, pracy, która się w milczeniu, z zaciśniętemi zębami dzień dnia dokonywała, — wygrzebywania się z gruzów, wznoszenia z popielisk, dźwigania z bezsławy. Ten nowy dach nad prastarą siedzibą potęgi żegnał się z oczyma ludzkiemi, mówiąc widokiem swoim, że oto znowu od moskiewskich razów zawalić mu się może trzeba w ruinę zamczyska. Biały orzeł wieży i królewski dzwon, Zygmunt, runąć ma może na piersi monarchów, niezłomnych i nieska-

zitelnych wodzów i tego króla pieśni, który pokolenia nauczył modlić się «o wojnę powszechną za wolność ludów», — którego proch radował się w swej wawelskiej pieczarze, iż dana była nareszcie jego plemieniu łaska — chwila modlitw «obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych». Wyniosła maryacka wieża, — ratuszowa, pod której cieniem król polski hołd odbierał, — sylweta świętej Katarzyny kościoła, kościoła Bożego Ciała, gmachy naukowe, pałace... Oto wynurzył się na tle porannego nieba daleki widok kopca. Wzrok ludzkiej nędzy spoczął na nim, jako na ostatnim wizerunku mocy narodu. Zasnuty mgłami wznosił się sam jeden ten najpiękniejszy pomnik na ziemi, ten pomnik istotny i jedyny, ten wiecznie nowy i zawsze jednako wzniosły hymn narodu ku czci swego wodza. Jakież-bo na kuli ziemskiej piękno może się porównać z prostotą i potęgą tej zachwycającej legendy o bohaterze, która, zda się, podźwignęła, jak wulkan, sam grunt martwy i poderwała ku niebu? W bezlicej i niemej formie pamiątki zaległy dzieje żywotów, prac, skonów pokoleń i, — zdawało się, — nadziei wiekuiście jednakiej. A oto oczy wszystkich pytać się poczęły i tego strażnika prastarej ziemi, czy i on był tylko złudzeniem, tylko minionem uczuciem? Czy i on, ołtarz, na którym ogień wiecznej młodości płonie, zdarty zostanie z łańcucha pagórków przez kule armat moskiewskich? Czy ujrzą go jeszcze oczy tych, co tu powrócą? Bezsilna rozpacz szamoce się w sercach ludzi patrzących, bezsilne łzy spływają z oczu, nędzna wściekłość zaciska pięście — i głuchy

krzyk «nie pozwalam!» szarpie się w gardłach, jak pies na łańcuchu.

Gdy tak cały ten tłum pogrążony jest w najposępniejsze myśli i od smutku zmartwiały, pociąg zatrzymuje się na podgórskiej stacyi. Kto może ciśnie się do okien i jeszcze raz zwraca spojrzenie na miasto. Niemal wszyscy zostawiają tu, co mają najlepszego. Jeden tylko w tem gronie zdaje się nic nie wiedzieć o uczuciu żalu, a przeciwnie wszystko ze sobą zabierać. Jest to ośmio, czy dziewięcioletni obywatel. Podczas gdy jego rodzina biega w pośpiechu z tłomokami, ładuje do przedziału napotkanego pakunki, — on trzyma i pielęgnuje dużą klatkę, ani na sekundę nie spuszczając z niej oka. Aczkolwiek okryta jest z wierzchu czarną jakowąś zasłoną, można przecie dojrzeć, że więzi wewnątrz dużego czarnego ptaka. Mały nadzorca ewakuuje, widać, wraz ze sobą i tego więźnia. W przedziale zasiadł nieruchomo, trzymając klatkę na kolanach tak pieczołowicie, ażeby ptak nie doznał najlżejszego bodaj wstrząśnienia.

Ale oto wkracza do przedziału, potrącając wszystkich i wszystko, jego matka. Nie znajduje tu już miejsca, gdyż poczestne zajęła klatka z nieruchomym ptakiem. Rodzicielka małego ptasznika poszukuje godnego siebie pomieszczenia — i nie tam, gdzie ją los i tłum popchnął, w przedziale klasy trzeciej, lecz żąda klasy drugiej. Jest to osoba, jak widać, ustosunkowana w sferach kolejowych, gdyż wzywa panów konduktorów i nadkonduktorów, — wyrażając w sposób natarczywy swe żądanie. Ale o przedziale klasy drugiej nikt ani marzyć nie może.

— Jakto?! — woła ta dama na cały peron, — dla mnie niema miejsca? Kpiny, czy co? Panie Dąbrowski! Ruszno się pan z łaski swojej! Tylko zaraz, mój panie!

— A dajże mi też pani święty pokój! — odburknął, w sposób najściślej ewakuacyjny, konduktor pan Dąbrowski.

— Należy mi się druga klasa! — unosi się pani coraz wynioślej i groźniej.

— Pewnie że się pani należy... — zgadza się flegmatycznie urzędnik.

— Cóż to jest, żebym ja miała jechać w takim tłoku z dzieckiem i rzeczami. Widział to kto? Panie Dąbrowski, bierz-no pan rzeczy, klatkę...

— Bierz sobie pani sama. Niema miejsca.

— Może sobie nie być miejsca dla nikogo, a dla mnie musi być! Pan masz klucz...

— A mam. Mogę pani dać ten klucz, nawet na całą drogę...

— Zobaczymy, czy panu ujdzie na sucho ta sztuka! Zobaczymy!

— No, jak nie ujdzie, to będę wtedy cierpiał. A dzisiaj pani miejsca nie stworzę.

— Powinieneś pan!

— Nie powinienem.

— A właśnie, żeś pan powinien! — tonem najwyższej już pasyi wykrzykuje krewka dama.

Do tego dyalogu miesza się mały opiekun klatki chłodną i kategoryczną uwagą:

— Nie drzyj-że się mama tak znowu na cały głos, bo mi mama kosa obudzisz!

Dały się słyszeć właśnie sygnały odjazdu. Pociąg drgnął. Mimo smutku przytłaczającego, oczy wszystkich spoglądają na klatkę z pytaniem, czy kos ewakuowany obudził się w istocie, czy też jedyny z nas wszystkich przespał szczęśliwie tę chwilę.

[1915?]

Z DZIENNIKA

Pod pierzyną

Imieniny pani Heleny... Jedziemy! Serce uderzać przestaje ze szczęścia: zobaczę ją, napatrzę się bogactwa jasno-rudych włosów, ust z lekko pochyloną dolną wargą, oczu tajemniczych, bez blasku, milczących, zamglonych, blado-niebieskich, oczu istot przeżytych, z wystygłemi sercami, jak mawiać zwykli utalentowani a tendencyjni beletryści, a oczu, według mnie, istot wyższego gatunku, mówiących to tylko, co mówić można, co mówić każe konwenans.

Zresztą... co mnie obchodzą beletryści?... Myślę o tej chwili, gdy zwróci zwolna w moją stronę prześliczną głowę i spojrzy śmiało, a zimno. Tęsknię za tobą, spojrzenie bogini!... Tak, nie jest to feblik; to głębia, — to, że się tak wysłowię, ocean.

Znam dobrze historyę pani Heleny; wiem, że przed mężem jej, nie mniej szanownym jak dystyngowanym panem Leonem, był ktoś, kto uczył ją muzyki i śpiewu, oraz wyśpiewał jej więcej, niż powinien był wyśpiewać, wiem, że następnie rok cały przepędziła w Palermo; wiem i coś jeszcze więcej, — i dlatego właśnie, otwarcie mówiąc, to w niej przedewszystkiem uwielbiam, czem gardzę... Wyzyskać sytuacyę — jest to filozofia jedyna, jaką rządzimy się zawsze; *n'est ce pas?*

Zaprzężono Bohuna i Figlarkę do ogromnego wasąga; główny furman Ludwik (ów sławny na cały nasz powiat Ludwik, z przysłowiem «tego» i głową w kształcie wazy) w garść plunął, lejce ujął i jest «fertyk» pod gankiem.

Fraki, krawaty rautowe, brody «wymierzwinione», na lewej stronie każdego czoła po loczku — dżentlmeni; mało powiedzieć: dżentlmeni, — kwiaty!

Wsuwamy się w futra, wskakujemy, jedziemy. Jest nas czterech tylko, lecz śmiało orzec mogę, że w wasągu naszym jedzie inteligencya, jedzie dowcip, jedzie szyk i, że tak powiem, filozofia naszego powiatu.

Mróz jest duży. W zimnem powietrzu lecą drobniutkie pyłki śniegu, mieszają się z iskrami mrozu, jakie zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotonnie, z cichem, ledwo dosłyszalnem, namiętnem drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie, jak piasek, — mkną aż do umęczenia wzroku i przepadają w dali, roztapiając się w ogromie niebieskim.

Drogi po odwilży oślizgły, jak szklanki. Konie idą pod lada górkę — według orzeczenia Ludwika — «pyskami się podpierający», z góry zjeżdżają na tylnych nogach, przedniemi, niby w menuecie, drepcąc. Łamią się pod ocelami kopyt lody w kałużach, koła wrzynają się w skorupę śniegową, nosy się nikczemnie czerwienią... Aby prędzej!

Istnieją od nas do Kabzic dwie drogi: gościniec i tak zwana «na rzekę».

— Na rzekę pojedziemy, jaśnie... tego? — pyta Ludwik.

— Można chyba będzie — odpowiadamy zbiorowo, — dużo bowiem jest bliżej.

Jedziemy «na rzekę». Po upływie pół godziny, minąwszy długą wieś Biebrzczyn, dojeżdżamy nad brzeg rzeki, słusznie zupełnie dla usprawiedliwienia nazwy drogi istniejącej. Przejechać ją trzeba w bród w tem właśnie miejscu, gdzie tworzy ona szeroką szyję kilkudziesięcio-morgowego stawu. Powierzchnię wody kryje dość cienka, śniegiem przyprószona błona lodu.

— Pod tym lodem jest woda, pod tą wodą jest... tego... twardy — tłómaczy nam «do wyrozumiałości» oraz dla odegnania strachu nasz furman.

— A jeśli niema... tego?

— Ale, hale! — powiada dumnie i, powiem nawet, pogardliwie.

Powiedziawszy to dumnie i pogardliwie, puszcza konie ostrożnie z początku, następnie tnie je batem z całej swej furmańskiej siły. Jesteśmy na środku rzeki, zbliżamy się ku przeciwległemu brzegowi, gdy nagle lód, ów drugi, z łoskotem pęka — i naprzód Bohun, a następnie Figlarka wpadają w wodę tak, że widać tylko kleszczyny chomąt i łby; wózek chwieje się na prawo, na lewo, i zwolna, melancholijnie tonie wraz z olbrzymią krą, jaką oberwał. Fontanny wody zaczynają bulgotać przez półkoszki, zalewają miejsca na nogi, przód wózka zanurza się tak, że woda przechodzi przez wierzch...

Dżentlmeni, piśnięcie spazmatyczne wydawszy, wyskakiwać poczynają z zadziwiającą szybkością: mr Jean skacze na przepływającą krę, z niej usiłuje dostać się na ląd; za jego przykładem idzie pan Zygmunt i Henryk. Widzę nagle rozpierzchającą się wodę, połę czyjegoś hewloka w czyjejś pięści, dwie zadarte do góry nogi w wysokich kaloszach i czarnych «niezapominajkach», czarne wąsiki, ogoloną brodę i rozwarte szeroko usta o cal nad powierzchnią wody...

Oho!

Szczęściem nie topi się żaden dżentlmen, — owszem, wyłażą na brzeg w straszliwych, co prawda, postaciach. Dziwne tam podskakiwania robią na jednej nodze, na dwu, szczególne przykucnienia, biegają po brzegu, już to jak zające, już jak dzikie rumaki, wrzeszczą nadludzko, czasami nawet po prostu wyją. Na bryce pozostaję ja i Ludwik. Stajemy na siedzeniu, które woda podmywa; konie rzucają się, piersiami biją w krawędź lodu, na którym leżą ich pyski.. Siedzimy w studni; dokoła jest cembrowina lodu, oddalona od nas o kilka łokci. Woda z dyabelskim szmerem płynie przez wózek; konie narowią się, wskakują jeden drugiemu na grzbiet, łamią dyszel, rwą postronki.

— *Heu! me miserum!* — myślę sobie... Nie mogę już wyskoczyć, ponieważ kry odpłynęły; jeśli zaś nie wyskoczę, to lada chwila wózek się wywróci lub woda wasąg zniesie, nasiąknę w moich ogromnych niedźwiedziach wodą, jak cukier... Na dobitkę Ludwik zgłupiał najzupełniej: stoi obok mnie na siedzeniu, powtarzając melancholijnie:

— Masz teraz... tego... i tego... — jakby chciał

przepowiednię mi określić; — teraz się tu już, jucho jedna, utopisz...

Wieś Biebrzczyn odległą jest od rzeki o jakie pół wiorsty... Na rozpaczliwe beknięcie dżentlmenów i nasze z Ludwikiem ryczenie o pomoc, wysuwają się z chałup chłopi, stoją, «mendykują», wreszcie rusza ku nam jeden z drągiem, drugi z żerdzią, trzeci z siekierą, z powrozem. Przybiegła ich nad brzeg gromadka; stanęli i znowu «mendykują»...

Czuję, że słabo mi się robi na myśl straszliwą, tę mianowicie, iż pomendykują, podziwują się i pójdą.

Aż oto jeden z gromady zdejmuje kożuch, pasikiem opasuje krótki «spencerek», bierze w garść drąg i idzie ku nam...

— I mieszkało między nami — powiada Ludwik, a patrzy na mnie tak, jakby miał chęć mię ucałować.

Idzie chłop, a drągiem w lód bije. Złamał zwierzchnią skorupę, wpadł w wodę po pas, stoi na owym drugim lodzie, podnosi żerdź w górę i bije z całej mocy; co palnie w lód, to chrapnie przeciągle: chcha! — a bije. Rozpierzcha się woda, zalewa go całego; ten nic... bije.

— Chce niby krawędź lodu, tamtę «warstwę», jaśnie... tego... oberwać — oświeca mię Ludwik, — żeby konie mogły niby tego...

Na nic. Spodnia warstwa drągiem urwać się nie da. Stanął chłop, wodę z twarzy otarł i poczyna rozbijać zwierzchni lód. Potłukł go na drobne kawałki kry i doradził Ludwikowi podciąć konie. Podciął Ludwik, wyskoczyły z głębi wody na twardy lód i stoją nad nami, siedzącymi w dole.

— Ruszcie-no! Ludwik — powiada chłop, — może się wzniesie.

— Co ci się nie ma wznieść, kiedy śnice pod lód... i pokój...

— A no, rżnijcie batem, bo to na nic.

«Rżnie» batem mój Ludwik, aż woda od wierzgania koni na nas strumieniami leci, lecz wózek podsuwa się tylko bardziej pod lód.

— To nic nie będzie z tego interesu — mówi chłop do mnie; — panie, ja pana wyniesę.

— Alboż mię udźwigniecie? — pytam słodko.

— Hii... — zaśmiał się pogardliwie. — Nie bój się, chudziaku, nic.

Przebaczam chamowi owo «chudziaku», ponieważ trzęsie mię jakaś dyabla febra z przerażenia. On tymczasem wbija drąg w dno rzeki, sam staje na skraju lodownika, plecami do mnie odwrócony, na drągu opiera ręce i powiada:

— Skikoj, panie, ino leciuśko.

Stoję, jak kolos rodyjski, na literkach wózka... mam wykonać skok nad głębią wody... A jeśli nie trafię na te plecy szerokie, niedźwiedzie? O, rozpaczy!

— Noze, ma-li! — woła chłop.

— ...Ale nas ode złego... — i hop! Trafiłem! Jestem już na plecach chłopa, obejmuję go za szyję tak serdecznie, tak mocno, jak... chama! Zachwiał się, pochylił się tak, że twarzą dostawał wody, wysapał się, wyprostował i wolno posuwać począł. Rękami oparłszy mu się na ramionach, nogami go w pasie objąwszy, wisiałem, jak marna żaba, wcale nawet nieestetycznie. Woda była mu po pas.

Szedł, nogi po kilka cali posuwając; odgarniał rękami zbitą masę kry, zsiadającą się koło jego nóg. Spodnia warstwa lodu podziurawioną była, — kilka razy noga wpadała mu w przepaść; wtedy stawał i cały dwustofuntowy mój ciężar utrzymywał na jednej nodze, drugą ostrożnie z dziury wydostawał i przyduszonym głosem mówił ze złością:

— Trzymać się ta równo! nie gibotać!

Dziwię się dziś, jakim cudem nie dałem mu wówczas tak zwane «w łeb» za wyrażone w tej formie przestrogi, — ale wówczas... byliśmy nad przepaścią, na załamujących się lodach, na usuwającem się oparciu stóp, — byliśmy równi. I była wówczas sekunda taka, że, wśród przejmującego mię do szpiku kości strachu, uwierzyłem, jako mrzonki o równości ucieleśniają się... na załamanych lodach.

Po kwadransie piekielnej pielgrzymki wyniósł mię wreszcie na brzeg suchy, postawił na ziemi, jak worek żyta, i jak dzik sapnął:

— Uhaa!

Rozczuliło mi się serce: wyjąłem rubla (jak Boga kocham!) i dałem mu rubla. Gdy mię pod nogi podjął, a potem stał bez czapki — przypatrywałem mu się z serdeczną jakąś, szczególną, niewypowiedzianą radością: silny, jak słoń, od konia wytrwalszy, a taki dobry nadzwyczajnie, niewypowiedzianie dobry!

Na szerokiej jego brzydkiej twarzy rozlewała się radość (na widok zapewne otrzymanego rubla), — lecz oprócz niej było coś innego jeszcze — duma chamska, ani chrześcijańska, ani wysoka żadna, lècz chłopska «dobroć» — taka: «kiejem dobry, to dobry, i basta!»

Pamiętam, że na sekundę poczułem ku chłopu temu coś takiego, coś... o tyle szczególnego, o ile nieprzyzwoitego.

— Nie zimno wam? — spytałem go czule.

— W cholewy mi się, ścierwa, nalało, — mruknął i poszedł po pozostałych na przeciwnym brzegu dżentlmenów. Przeniósł ich po kolei, tak jak mnie, «na barana». Wkrótce poczęli wszyscy trzej dziwnie energicznie «rwać» ku wsi, na obraz i podobieństwo koników polnych. Ja toczyłem się za nimi w wielkich niedźwiedziach z całą już stanowi memu należną, rzec mogę, powagą.

Gdym doszedł do pierwszej chalupy, należącej właśnie do Pyzika Jacka, wybawcy naszego, zastałem wszystkich trzech dżentlmenów... pod pierzyną.

Leżeli, jak jeden mąż, obok siebie, pozbawieni fraków, niezapominajek, krawatów, koszul i t. d., milczenie ponure, nieszczęściu przynależne, zachowując. Co za ruina fryzur! Jaka dewastacja wąsów! Nosy koloru ziemi, szczególniejsze dzwonienie zębami, tragedya w wejrzeniach... Fraki od Chabou suszą się na grzędzie obok sukman, kożuchów i «szmat» babskich; koszule wygrzewa przed ogniem Pyzikowa; kamaszki szoruje wiechciem chłopak. Usiadłem na skrzyni, malowanej w zielone, niebywałego wyglądu kwiaty, u wezgłowia werka, zdolnego całe pokolenia podtrzymać, i zaprawdę zasmuciłem się: jakżeż to? wyższe społeczeństwa naszego warstwy w tej postawie, pod pierzyną?...

— Szlachta wchodzi w lud i staje się ludem... — dzwoniąc zębami, wykrztusił zawsze dowcipny pan Henryk.

Z najtragiczniejszego położenia umie on wyczerpnąć coś wesołego.

— Czemuż szwarcówki nie pije, jeśli się staje ludem? — nie otwierając oczu, wydzwonił nasz filozof powiatowy, pełniący jednocześnie obowiązki tegoż powiatu pieczeniarza.

— Macie galicyankę, matka? — pyta pan Jan.

— Któż ja? jaśnie panie.

Chłop, czy baba, ilekroć zaprzeczyć nie może, a twierdząco na pytanie odpowiedzieć nie chce, zada napewno takie «któż ja?» a namyśla się tymczasem nad odpowiedzią.

— No, wy.

— E, mój ta za tem nie chodzi...

— Chodzi, czy nie chodzi, dawajcie!

Otwarła babina do komory i wyniosła zieloną butelczynę... Dżentlmeni palnęli po kieliszku.

— *Encore une fois!* — powiada filozof.

— *Encore une fois!* — odpowiada chór.

Otucha niejaka wstąpiła w nas wszystkich.

Wchodzi tymczasem Pyzik, zdejmuje czapkę i uśmiecha się. Skromnie usiadł sobie na ławie; woda zeń płynie strumieniem.

— Jagna! — powiada do żony, — dej-no onucki.

— Aj-no, pójdź-ze! stoplołeś się, to se cierp...

— Nygus baba, — mruknął do nas poufale, a potem ściągnął buty, wodę z nich wylał, obwinął nogi zmoczonemi gałganami i zabrał się do wyjścia.

— Gdzież wy idziecie, gospodarzu? — zapytaliśmy.

— Wywlecemy a to z furmanem wózek.

— A gdzież reszta tamtych... cha... te!... gospodarzy?

— Poszły, psiakość, do domów. Zmarzły psubraty.

Zaśmiał się i poszedł. Nastała cisza. Pyzikowa suszyła trzecią już z rzędu koszulę, wyżymała spodnie i t. d., przybierając skromną minę. Dżentlmeni, odtajawszy, ducha nawet figlarności nabierać poczęli; mnie tylko ogarniała rozpacz: wieczór nadchodził, nie zobaczę jej...

W chałupie śmierdziały kartofle, kożuchy, buty, pomyje, jakieś tłuszcze, wreszcie specyalnie chłopski zapach, siarko-wodór, czy jak się tam nazywa...

Patrzałem leniwie na suchotniczych świętych częstochowskiego pędzla, na ławę z poręczą przy łóżku, na straszliwy piec z kominem, na płową czuprynę chłopaka, ucierającego nos palcem i z niezmiernem przerażeniem wpatrującego się we fraki, wiszące na grzędzie. Sen mię ogarniał — i ogarnął. Drzemałem dość długo. Nagle zbudził mię okrzyk dżentlmenów:

— Jedziemy! — wołali, wdziewając wysuszone ubranie.

— Jakto... jedziemy?

— Jedziemy na imieniny.

[1889]

ELEGIA

Upodobania nasze (mówię o upodobaniach ludzi wielkich) trudne bywają częstokroć do wytłomaczenia. Ja naprzykład, namiętnie lubię przepędzać poranki na chórze naszego kościołka...

Zaledwie rozpocznie się «prymarya», wstępuję na kręte schody z czerwonych cegieł, z których każdą wyżłobiły do połowy liczne pokolenia organistów, chodzących tędy codziennie; otwieram małe drzwi, i zawsze życzliwym uśmiechem odpowiadam na takiż uśmiech władcy chóru, pana Anzelma Wiewiórskiego, postaci znanej i popularnej w okolicy naszej, jak posąg Kopernika z Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie.

Podczas gdy postać znana, jak warszawski posąg Kopernika, stwarza tony, dziwne, niesforne, jakby obłąkane, z przyjemnością zapuszczam oko w ciemną głębię gotycką, pełną szczególnego półmroku, poważną i, nie wiedzieć czemu, naprowadzającą myśli smutne.

Biały, figlarny promień porannego słońca odchyla niekiedy przemocą kraj kótary z liści lip i kasztanów, osłaniającej wąskie okna, i wkracza w tę ustroń poświęconą Bogu: rozcina smugi i kłęby niebieskiego dymu kadzidła, skacze po zrujnowanej posadzce z piaskowca, wstępuje ostrożnie na brudne, chropowate, odwiecznym pyłem okryte, pełne płytkich zagłębień ściany, zagląda w szczeliny, ocienione pajęczynami, i wygania mroki wieczyste, co jak stada czarnych płazów wychodzą ze szczelin i uciekają przed nim w wiecznie ciemne kąty ostrołuków; jakby ze czcią dotyka marmurowych, kroplami wilgoci zalanych tablic pamiątkowych i zdaje się, pogrążony w zadumie głębokiej, odczytywać imiona mężów zgasłych oddawna...

Ile razy podmuch wiatru wzmoże się, gałęzie sosen, grabów z ledwie rozwiniętemi listeczkami, i różowawe pęki kasztanów, kiwają się, niby zatopione w modlitwie, i kładą na ramach okien. Wówczas spada, pośliznąwszy się na gzemsie okna, szatan-wiatr. Rozbije się śmiertelnie na kamieniach, zawyje z bólu, zepnie na pazury, pragnąc dosięgnąć okien, a widząc, że nigdzie wyjścia niema, chodzi jak złodziej dokoła filarów, cicho mrucząc, próbuje obrywać chorągwie i zrzucać obrazy, — aż wreszcie poczyna bić głową o ściany, wić się w spazmach, łkając dzikim, przejmującym płaczem...

Zagłusza go dopiero jęk organów. Do jęku tego przyzwyczajonym być trzeba. Co do mnie, lubię te posępne, dysonansowe tony, podobne do głębokich westchnień nieszczęściem udręczonego chłopa, te ni stąd ni zowąd w pochód tonów poważnych wpadające wesołe *allegra*, podobne do śpiewki dziewczyny, która upada pod ciężarem pracy w skwarne letnie południe.

Oprócz mnie i pana Anzelma obecny jest zawsze na chórze Tomek czy Szymek — «kalikancista». Jest to wyrostek mniej więcej dwudziestoletni, mocno ospo-

waty, z głową w kształcie garnka, porosłą płowym włosem, który czesze tylko w niedziele i święta «z wystawieniem».

Oczy ma kalikancista blado-niebieskie, patrzące zawsze obojętnie, w próżnię, po chłopsku. Wiosenną porą ubranie jego składa się z dziwnie długiej zgrzebnej koszuli, pod szyją na czerwoną wstążeczkę związanej i przepasanej pasikiem. Z pod koszuli wymykają się spodnie sięgające do kostek. Wielkie z żółtej skóry chodaki bez cholew dopełniają reszty jego odzieży.

Tomek czy Szymek jest własnością zarządu parafii. Wychowano go, nauczono śpiewać godzinki, kalikować, jeździć z dobrodziejem «po kolędzie» i spełniać wszelkie gospodarsko-kościelne obowiązki. Po nabożeństwie pasa bydło. Pan Wiewiórski zapewniał mię niejednokrotnie, że «bestyja» głos ma dobry — «dokumentny»...

Kilka dni temu trafiłem na nabożeństwo żałobne, odprawiane nad trumną młodej dziewczyny, jednej z najładniejszych i najbogatszych gospodarskich córek, zmarłej niespodziewanie...

Nad przyczyną tej dziwnej śmierci namedytowały się już ciotki i kumoszki, naszeptały przyjaciółki. Pierwsze i drugie siedziały obecnie w ławkach i, ocierając mokre od łez twarze, kiwały żałośnie głowami.

Biała, sosnowa, w niebieskie kwiaty pomalowana trumna stała pośrodku kościoła na niskim katafalku, między dwoma szeregami gromnic.

Organista wyśpiewał już *Dies illa*... wypadało śpiewać «Witaj Królowo nieba»... a że, jak mi się otwarcie przyznał, nie był «w sztosie», — kazał śpiewać kalikanciście. Mrugając figlarnie powiekami, nachylił mi się do ucha pan Wiewiórski i szeptał:

— Proszę ja pana dobrodzieja, ten, którego tu pan dobrodziej widzi nicpoń, zalecał się także do nieboszczki Sroczanki... Ha ha! A jakże... Bywało poślemy go paść bydło — już ci bydło w życie, a tego niema... Gdzie? Z Marynką na zapłociu wyszczerzają do siebie zęby. W zimie — ani utrzymaj! Tu bydłu trza zadawać, a ten drze pod okna Sroki — mrygać na nieboszczkę, panie świeć jej...

— Miał śpiewać? — wtrąciłem.

— No, dalej — jazda! — zakomenderował mistrz, zastępując ucznia w kalikowaniu i akompaniując mu jedną ręką.

Chłopak zbliżył się ku organom. Oczy miał przysłonięte rzęsami, zbielałe wargi drżały mu — «zawstydany» był bardzo. Minęła długa chwila, nim śpiewać zaczął. Pierwszy dźwięk jego głosu słaby był, nieśmiały i drżący. Za pierwszym nastąpił drugi, bardziej już twardy, lecz jakby rozbity, podobny do dźwięku poderwanej nagle palcami struny wiolonczeli. Nagle Szymek podniósł głowę, wyprostował się, zbladł, jak płótno, rękoma uczepił się balustrady chóru i zaśpiewał...

Głos jego wznosił się i jakby zaokrąglał, aż wreszcie rozlał się pieśnią szeroką.

Pierwszy raz słyszałem śpiew taki. Było w tym śpiewie coś porywająco swojskiego, jakby przed zmęczonym obczyzną wzrokiem odkrył się nagle krajobraz rodzinny...

Z oczu Szymka spadały krople łez. Nie śpiewał już, ale oddawał się szalonemu szczęściu, bezmiernej

radości jakiej doświadcza artysta w natchnieniu. Chwilami wiała z jego pieśni jakaś nieokiełznana, dzika siła młodości, — chwilami kołysała się ta pieśń w miłosnem wzruszeniu, jak się kołysze łan żytni pod wiatru podmuchem, — by spaść za chwilę do drgających [łkań].

Melodya znana stała się czemś nowem, oryginalnie stworzonem przez śpiewaka, i każdy jej dźwięk był okrzykiem niezdławionej, brutalnej, chłopskiej namiętności, zanurzonej w otchłani oszalałego żalu bez wyjścia po bezcennej stracie.

Gdy wyśpiewał ostatnie tęskne tony, do nawoływań podobne, zasłonił oczy rękawem koszuli i, jak szalony, rzucił się ku drzwiom.

[1889]

ACH! GDYBYM KIEDY DOŻYŁ TEJ POCIECHY...

Prawie idylla

Wąziuchna sandomierska drożyna prowadziła mię — Bóg ją raczy wiedzieć, dokąd prowadziła... Zapadała niekiedy na dno wąwozu i pełzła na jego dnie, blada z przerażenia wobec wielkich brył gliny, zwieszających się nad nią z groźbą i szyderstwem, — to znowu dźwigała się hardo aż na szczyt wzgórza, skąd widać było całą równinę nieprzejrzaną, leżącą jak ogromny kołacz pszeniczny...

Było popołudnie niedzielne jednego z pierwszych dni września. Powietrze dziwnie czyste pozwalało widzieć najdalsze przedmioty z całą wyrazistością ich zarysów. Pola okrywały się już ciemno-szmaragdowym puchem ozimin, dobywających się cieniutkiemi źdźbłami, co jak mgła przesłaniały zagony, zlekka wygięte, podobne do rąk długich, oplatających w miłosnym uścisku pierś ziemi. Niekiedy po szczytach okrągłych pagórków, po ziemi popielatej, szedł cień chmury i zasępiał twarz ziemi, podobną do spracowanej twarzy chłopa, ale za chwilę uciekał, ścigany jasną smugą słońca. Wtedy wydawało się, że ziemia przeciąga się strudzona, że uśmiecha się i oddaje tej bezmiernej, nieświadomej radości,

jaką czuje człowiek, gdy na progu jego serca staje miłość.

Daleko, daleko, w przejrzystych mgłach, niby w ślubnych welonach, wśród zieleni wierzb i wiklin, na piersiach łąk leżał pas długi, srebrnolity. Jasna to była pani: dumna i piękna — Wisła.

Drożyna zawróciła na prawo. Tuż pod stopami memi, w głębi wąwozu, tuliła się wieś. Białe chatynki stały obok siebie wzdłuż drogi błotnistej, wysadzonej wierzbami o wielkich rosochatych głowach. Od jednej do drugiej szedł, zataczając się, szary, postarzały płotek z wierzbowych palików powiązanych wikliną. W maleńkich ogródkach pod oknami chat kwitły georginie.

Okna były pootwierane, wieś pusta.

Za trzecią dopiero czy czwartą stodołą, usłyszałem głosy. Przeszedłem przez płot i wyjrzałem z poza węgła chaty — co oni to tam robią?...

Na trawniku pod lipą rozłożyła się niemal cała gromada: chłopi leżeli na brzuchach, podpierając brody pięściami i nacisnąwszy na oczy «kapaluse», baby i dziewczyny skupiły się opodal i z pobożnym wyrazem twarzy słuchały, wpatrując się w Wicka Dziabasa, co siedział pośrodku na przewróconem wiaderku i... czytał.

— Istna idylla... pomyślałem —, chłopi przy książce!...

Nadzwyczaj poważnie, powoli, monotonnie drżącym głosem czytał Wicek:

«... Tu prze-rwał, lecz róg trzy-mał — wszystkim się zda-wało że woj-ski wciąż gra jesce...»

[1889]

[WSPOMNIENIA O WSPÓŁCZESNYCH]

IN MEMORIAM TADEUSZA MICIŃSKIEGO

Przemówienie wygłoszone na uroczystej akademii w Teatrze im. Bogusławskiego w dniu 6 marca 1925 r.

Gorzka nad wyraz i surowa była dola poetów polskich w okresie niewoli. Żyli i umierali w samotności. Mickiewicz w Konstantynopolu, Niemcewicz, Słowacki, Zaleski, Norwid w Paryżu, Lenartowicz we Florencyi, Berwiński kędyś w Turcyi. Zdawało się, iż los czy przypadek łączył dalekich współbraci. Umierający Kraszewski przybył do Genewy, ażeby skończyć życie na ręku Teodora Tomasza Jeża. Zupełnie, «jak gdyby śmiertelnie raniony orzeł spadł z wyżyny w ramiona drugiego orła, a ten go skrzydłami otoczył i do snu wiecznego utulił». Samotni zawsze, poeci polscy stali wpółokrąg na ziemiach, gdzie stopy mogli postawić, pod milczącem zawsze niebem i wobec milczącego świata, niczem harfiarze tragedyi Juliusza Słowackiego. Było tak, jak on wyrzekł:

A kiedy milczy niebo — śpiewa chór,
A kiedy śpiewa chór, drży serce wroga.

Ostatni z tego chóru poetów jest ten, którego pamięć dziś święcimy. Stoi — na skrajnem miejscu w tem

półkolu. Zamyka jeden okres czasu i rozpoczyna drugi. W nim okrucieństwo życia harfiarzy niewoli dochodzi do zenitu, gdyż żaden przecież z nich nie był przez ciemnych ludzi tłum zabity kijami, ukamienowany w pustem polu. Nie mogę wdawać się tutaj w rozważanie tego szczególnego symbolu, iż poeta, wieczny wędrowiec, jak go w *Wyzwoleniu* nazywał Wyspiański, człowiek ubogi ginie w walce z ciemnymi chłopami Dzikiego Pola. Na nic się nie zda uwidocznianie tego faktu, iż ofiarą i okupem zmagania się dwu światów, dwu kultur, dwu olbrzymich plemiennych młyńskich kamieni jest to celne, czyste, plenne ziarno nasze — wzniosły poeta. Nie czas po temu. W ciągu tej krótkiej chwili wolę rzucić okiem na sumę pracy, na twórczość i dzieło Tadeusza Micińskiego, jak mi się ono w całości przedstawia. Zdumiewały mnie w nim zawsze dwie cechy zasadnicze. Po pierwsze — nadzwyczajny, wyjątkowy, fenomenalny zmysł poetyckiego ujmowania nowości zjawisk, biegu spraw, chyżości zmian. Po drugie — upodobanie do przetrącania, negowania, deformowania fenomenów życia, ażeby z rzeczywistości zdruzgotanej jak gdyby młotem tytana tworzyć rzeczywistość nową,— własną, nieznaną, ułudną jednię, twór nowy, po swojemu z kloców, brył i kół ustawiony, "niczem obraz kubistyczny, stworzony naopak wszystkiemu, co mamy i co wiemy. W tym obrazie, który tu za chwilę ujrzymy, znajdziemy potwierdzenie tego faktu. W *Nietocie* każde dane zjawisko przyniesione przez życie i poznanie — prahistorya Tatr, najbardziej nowoczesne wynalazki, życie bieżące i wierzenia ciemnych górali, — wszystko, słowem, tworzy jednię rzeczy i pojęć napotkanych. W *Xiędzu Faustie* znajdujemy te same cechy Z tego to zmysłu deformowania rzeczywistości wyrasta raz efekt bezwzględnej karykatury, a drugi raz efekt niewysłowionej wzniosłości. Cóż może się porównać ze wzniosłością sceny poematu, gdy oto rycerz z herbu Litwy, Pogoni, zsiadł z konia, stowarzyszył się z poetą i schodzi z nim na cichą bratnią rozmowę w ciemny, jesienny park Łazienkowski!

W środku najbujniejszych lat i najwznioślejszych natchnień ukamienowana została ta twórcza głowa. Ani jako społeczeństwo, ani jako mocarstwo nic na to nie umiemy poradzić, iż z ziemią szarą złączona została szlachetna krew rycerza i poety. Ale z nad dalekiej jego mogiły śwista wciąż północny wiatr, niosąc do Polski ostatnie jego westchnienie. Możemy przecież, jako zespół czujący, uczynić jedno: przyjąć do naszych serc to ostatnie westchnienie i uczynić je naszem westchnieniem. Kto może modlić się, niech je zamknie w modlitwie, kto nie może, niech zamknie w akt płomiennego gniewu, lub w pokorny i zbożny żal.

Proszę was, rodacy, ażebyście w tej chwili, — powstawszy, — uczcili pamięć brata naszego, mężnego rycerza, wzniosłego poety, czystego człowieka, niewinnie zamordowanego Tadeusza Micińskiego!

HENRYK BUKOWSKI

[I]

Henryk Bukowski, zmarły w Sztokholmie d. 11 b. m., urodził się we wsi rodzinnej Kaukle (na Żmujdzi), w r. 1838. Początkowe nauki odebrał w Szawlach, a wydział prawny ukończył w Moskwie. Jednocześnie z nim kształcił się tam wówczas zastęp ludzi, którzy później na różnych polach pracy społecznej zajęli wydatne stanowiska, jak ś. p. dr. Konrad Chmielewski, dr. B. Dłuski, dr. Jan Karłowicz, profesor Tadeusz Korzon i inni.

W roku 1864 Henryk Bukowski znalazł się w Sztokholmie i jako zwyczajny pracownik dostał się do wielkiego gabinetu starożytności Hammera. Tam w ciągu lat kilkunastu w ciężkich warunkach odbył mozolne studya w zakresie wiedzy antykwarskiej. Twarda, «żmujdzka», jak mawiał, praca i nieskazitelność charakteru wyniosły go na pomocnika, a z czasem na kierownika i opiekuna firmy. Z ciężko zapracowanych oszczędności zaczął H. Bukowski tworzyć kolekcyę na własną rękę, i już w roku 1873 na wystawie wiedeńskiej jego celowo ułożone grupy zwróciły nań uwagę znawców.

Około roku 1882 założył sklep własny. Zaczął się ten handel, jak świadczy maleńki katalożek, wydany w roku 1882 *(Foerteckning... af Gustav II Adolf Minnen...)*, od zbioru druków, portretów i pamiątek, tyczących się Gustawa Adolfa i szedł, widać, dobrze, gdyż odtąd zaczynają ukazywać się katalogi numerowane, często idące jeden za drugim i coraz zasobniejsze.

W roku 1886 wyszedł już Nr. 29 p. t. *Samling af Svenskt och Ultändskt Sedelmynt... bildad af H. B — i.* Był to wykaz ogromnego zbioru banknotów wszelkich emisyi i rodzajów od pierwszych, zaginionych, z wieku XVII, aż do bieżących. Zbiór ten kolekcyonista darował bankowi szwedzkiemu, który nie posiadał większości wzorów swoich własnych papierów. Ten dar obcokrajowca, a zarazem umiejętność i skrzętność, z jaką był zgromadzony, skierowały nań uwagę powszechną.

W roku 1887 wyszedł katalog zbioru druków p. t. *Foerteckning oefver en Boksamling i olika ämnen af H. B—i,* (z którego osobna odbitka w liczbie 22 egzemplarzy wydana została pod tytułem *Katalog rzadkich druków polskich ze zbioru H. B. w Sztokholmie).* Z powodu ówczesnych prac naszego zbieracza pisał *Illustrerad Tagbladet* (Nr. 1 z r. 1887): «Kto przechodzi późno wieczorem ulicą Arsenalską około domu Nr. 2 i widzi światło na pierwszem piętrze w lokalu p. Bukowskiego, jarzące się często aż do rana, omyliłby się, gdyby przypuścił, że właściciel mieszkania spędza czas na zabawie, lub przemyśliwa nad powiększeniem swych bogactw. Tak nie jest. Siedzi on przy

świetle lampy, zagłębiony w badaniach nad przedmiotami wielkiej często wartości dla naszej nauki i historyografii, i tak czas spędza przy pracy, gdy naprzeciwko, w lokalu wielkiego towarzystwa, nasi panowie wstają od stołów gry. Pan Bukowski jest nie tylko najpierwszym antykwaryuszem na Północy, miłym w obejściu i prawdziwie wykształconym człowiekiem, ale jest nadto uczonym i wielce pożytecznym dla Szwecyi badaczem. Aczkolwiek jest w naszym kraju cudzoziemcem, kocha przecież naszą starą kulturę i ma sobie za chlubę przyczyniać się do rozjaśnienia jej dziejów».

W tymże czasie w jednem z czasopism krakowskich pisał dr. Karol Estreicher: «P. H. Bukowski, archeolog w Sztokholmie, uczynił Bibliotece Jagiellońskiej, Muzeum w Krakowie i Gabinetowi archeologicznemu wspaniałe podarunki z dzieł i rycin. Zakupił za wysoką sumę wszystkie *polonica* szwedzkie, aby je krajowym instytucyom przekazać. Sama Biblioteka Jagiellońska otrzymała dzieł 44, broszur 336, map 4. Między temi są nieoszacowanej wartości, w całej prawie pełni, szwedzkie *Kriegsrelationen*, u nas zupełnie nieznane, a do historyi zatargów szwedzko-polskich niezmiernej wagi. Pan Bukowski jest świadectwem, czego dokonać może silna wola. Przed 23 laty puścił się w świat sam jeden, bez grosza, bez znajomości języka. Oddał się archeologii i bibliografii nieznanego sobie narodu, i oto dzisiaj jest zawołanym na całą Szwecyę numizmatykiem, bibliografem, znawcą dzieł sztuki, dobił się wielkiej powagi i znaczenia naukowego w obcym kraju».

Oddawna zawiązał się między zbieraczem a instytucyami naukowemi Szwecyi, jak biblioteki królewskie w Sztokholmie i Upsali, Muzeum Narodowe Szwedzkie, i t. d., bliski stosunek. Zarazem nastąpiło zbliżenie się z kierownikami tych instytucyi, jak hr. Snoilsky, G. E. Klemming, Bror, Emil Hildebrand, E. Haverman, i t. d. Zapoznanie się gruntowne z urządzeniem tych wysoce kulturalnych ognisk życia naukowego przyczyniło się w znacznej mierze do przeistoczenia sklepu kupca na gabinet muzealny i warsztat naukowy.

Interesował się nim odtąd świat uczony, inteligentny, arystokracya i dwór królewski. Przedmioty, przygotowane do każdej licytacyi, obejmował wytworny katalog, częstokroć istne pieścidełko typograficzne, jak np. ilustrowane Nr. 37 i 40 *(Boman's... Samlinger)*, 100 *(Catalogue d'une précieuse collection d'anciens tableaux de diverses écoles... 46 reproductions...*, Stockh. 1896). Takich katalogów ogłosił zmarły 127. Ostatni naznaczał sprzedaż na dzień 5 marca r. b.

Wszystko, co w jakiejkolwiek, choćby najdrobniejszej mierze, nas dotykało, nie szło na sprzedaż. Zrabowane niegdyś w Polsce czasu najazdów szwedzkich książki, rękopisy, malowidła, sztychy, broń, sprzęty i pamiątki, płynąc teraz pospołu z innemi przez sklep antykwaryusza, zatrzymywały się w nim, jakby w okach sieci. Tak wyłowiony został Rubensa portret Władysława IV i wiele innych malowideł, całkowita kolekcya sztychów Jeremiasza Falka, tysiąc kilkaset dzieł z zakresu samych tylko druków starych *polonica* (przed rokiem 1700 wydanych), wiele pamiątek, medalów, monet, rysunków, a przedewszystkiem ogromny zbiór rycin.

W liczbie druków odnalazły się inkunabuły polskie, niektóre dzieła z biblioteki Zygmunta Augusta, kilka bardzo rzadkich pism polemicznych z czasów Zygmunta III, jeden w Krakowie odbity druk szwedzki, którego tylko cztery egzemplarze znał bibliotekarz Klemming, pisma holenderskie, tyczące się Polski, i t. d.

W ciągu trzydziestu kilku lat zgromadziła się tym sposobem jednostronna wprawdzie, ale ogromna i całkowita w swoim zakresie kolekcya. Te zabiegi antykwarskie nie wyczerpywały jednak życia Henryka Bukowskiego.

Gdy wydał setny katalog, społeczeństwo szwedzkie uczciło jego działalność obchodem jubileuszowym.

W czasie bankietu, na który gwałtem prawie wprowadzono skromnego pracownika, archiwaryusz państwa B. E. Hildebrand skreślił jego zasługi, mówiąc: «Działał zawsze *pro bono publico*, nigdy *pro domo sua*. Wszystkim bez wyjątku instytucyom szwedzkim społecznym służył od lat wielu radą i czynem. Był jednym z twórców *Nordiska Museum*. Jemu ono zawdzięcza zapis 100 tysięcy koron, uczyniony przez d-ra Fritiofa Antella, półmilionową dotacyę Ernesta Hjerdberga na cele muzeum historycznego i na tę samą instytucyę ofiarowane również przez Antella 100 tysięcy koron.

Dzięki jemu, biblioteki królewskie Sztokholmu i Upsali zbogacone zostały cennemi rękopisami i drukami. To też imię jego należy do najpopularniejszych w całej Szwecyi...»

Jako ofiarodawca i pośrednik w szukaniu ofiar uczynił dla swoich daleko więcej. Pozyskał na fundusz

dla młodzieży kształcącej się w zawodach technicznych wielkie zapisy, które jednak wejdą w życie dopiero po śmierci zapisodawców. Dziś więc braki zapełniał z własnej kieszeni.

Chory, z niewyleczoną influencą, co rok zjeżdżał do Kolonii i na jarmarkach antykwarskich zasiadał w roli eksperta, pobierając po kilkaset franków dziennej pensyi.

Zarobki te szły niezwłocznie w różne strony świata. Nie chcemy zresztą dotykać tych czynów cichych, które traktował jak gdyby swoją powinność, jakoby zawód swojego życia...

Główną i nieocenioną zasługą zmarłego była uczciwa, dla honoru swego plemienia służba wśród obcych. W ciągu kilkudziesięciu lat zapoznawał z sobą dwie kultury i usiłował zawiązać wymianę naukowych usług. Można bez przesady powiedzieć, że zastępował w Sztokholmie stacyę naukową. Dla siebie i dla nas zdobył szacunek tamtejszego świata. Dzięki jemu Alfred Jensen mógł wydać przekłady poezyi Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych naszych poetów, p. Ellen Wester poznała nasz język, kraj i przekłada utwory doby obecnej na język szwedzki, a wielu literatów i publicystów interesowało się naszem życiem. Miejsca jego w Sztokholmie nikt już nie zastąpi.

Ubył nam człowiek nadzwyczajny, niestrudzony pracownik i mąż wielkiego serca.

Wśród trudów swych i trosk szlachetnych zasnął spracowany i, jak kryształ, czysty.

[1900]

[II]

Decyzya przewiezienia do Warszawy zbiorów i biblioteki Muzeum Narodowego w Rapperswilu przypadła w chwili dwudziestej piątej rocznicy zgonu Henryka Bukowskiego, jednego z głównych fundatorów, opiekunów i dobrodziejów tego muzeum. Zwłoki Henryka Bukowskiego, który zmarł w Sztokholmie dnia 11 marca 1900 roku, spoczywają pod murem rapperswilskiego zamku, obok zwłok Władysława Platera, założyciela tego zbioru pamiątek. Gdy same przedmioty przeniesione zostaną do kraju, znowu osierocieją na obczyźnie prochy tych niepodległych synów Polski, co się czasu niewoli przytuliły do zbocza skały, gdzie gniazdo swe w szwajcarskich górach wolność Polski sobie uklecila. Zbiory rapperswylskie mają dobrych opiekunów w osobach dyrektora Żmigrodzkiego i bibliotekarza d-ra Lewaka, ale popioły tych mężów, którzy ze wszystkich sił swoich gromadzili je za życia, pójdą w zapomnienie. Ponieważ za czasów swego urzędowania w Rapperswilu patrzyłem co dnia na prace Henryka Bukowskiego, który pełnił podówczas rolę dyrektora, chciałbym przypomnieć jego piękną postać oczom współczesnych.

Syn Adama i Izabeli z Bortkiewiczów, Henryk Bukowski urodził się dnia 6 stycznia 1839 roku w majątku rodzinnym Kaukle w ziemi Kowieńskiej, powiatu Poniewieskiego. Uniwersytet ukończył w Moskwie i tam już, za czasów studenckich, zdradzał to wielkie zamiłowanie do historyi sztuki i muzeologii, które później stało się pasyą i zawodem jego życia. W roku 1863

brał udział w powstaniu na Litwie, jako żołnierz, a ciężko poraniony w bitwie pod Popielanami, kurował się długo w rodzinnych stronach. Po upadku powstania przedostał się do Szwecyi prawie bez odzienia, bo tylko w jakimś przygodnie uzyskanym płaszczu rosyjskiego żołnierza. Długo błąkał się po obcem mieście, Sztokholmie, o głodzie i chłodzie, szukając zarobku. Niema tu miejsca na opis tych zabiegów i trosk, które przecież stanowią piękną kartę w historyi naszego zbiorowego ducha. Znalazł wreszcie podrzędne zajęcie w handlu starożytniczym. Z czasem począł sam gromadzić rozmaite zabytki, a jego znawstwo rzeczy polskich i rosyjskich i umiejętność kilku języków dały mu możność zajęcia wkrótce stanowiska siły cennej. Po latach otworzył własny w Sztokholmie sklep antykwarski, na Arsenalsgatan 2 d., który był później znaną na północy oficyną sztuki i kultury. Ludzie zamożni, — zwłaszcza arystokracya szwedzka, — chętnie szukali jego rady przy podziałach majątkowych, gdy chodziło o oznaczenie wartości zbiorów. Ten bowiem starożytnik był człowiekiem nieposzlakowanej zacności i wyjątkowego znawstwa. Cokolwiek zaś w ciągu długiego w Szwecyi pobytu napotkał polskiego w owych zbiorach magnackich, pochodzących przeważnie ze zdobyczy wojennej czasu walk szwedzko-polskich, wykupywał, wymieniał i ofiarowywał muzeom i bibliotekom polskim w Krakowie i Rapperswilu. Wydobył bardzo wiele druków, nieznanych bibliografom, zgromadził i darował całe kolekcye sztychów-rarytasów, a przedmioty, uzyskane przezeń, utworzyły całe sale tej «Bukowsciany». Lecz ponad temi oczy-

wistemi, materyalnemi przedmiotami góruje i świeci się — jego praca. Jak życie i praca pszczoły jest nigdy nie dającym się wysłowić cudem bytu, tak samo życie tego człowieka było cudem specyficznie polskiej pracowitości, zapobiegliwości, dostojeństwa, czystości. Był to zaiste człowiek-pszczoła, znoszący bez ustanku, bez wytchnienia do swego biednego ula najczystsze i najcenniejsze pyły, bez myśli o nagrodzie, bez nadziei sławy, pocichu, w sekrecie, z samej najczystszej miłości ojczyzny, czy z samego instynktu swej natury.

Dziś, gdy jeden z tych ulów, dokąd znosił a znosił swe zasoby, ma wrócić do pasieki, prosi się i ten przezacny popiół człowieka-pszczoły, ażeby go nie pozostawiać na ziemi obcej i pod cieniem cudzego muru, lecz ażeby zabrać jego szczątki do kraju, którego niepodległości mężnie bronił, a który zbogacał przez całe swe życie. Może się komu wydawać, iż zbyt wiele czyni się dziś rumoru około przenoszenia zmarłych do wolnego kraju. Lecz te wielkie bezinteresowne duchy przewodnie — Słowacki, Norwid, Szopen, Lelewel — są tęgiem winem, krzepiącem naszą jedność narodową. Pomniejsi, co do blasku imion — Plater, Bukowski — wielcy, jako praca i ofiarność, jako bezinteresowna cnota, — są dziś konieczni, jako wzory do naśladowania.

[1925]

MARYAN ABRAMOWICZ

Nie mam zamiaru pisać dokładnego życiorysu zgasłego Maryana Abramowicza, lecz jedynie czysto osobiste o nim wspomnienie. To mnie uwalnia od obowiązku nekrologowego patosu i zezwala na weselszy tok swobodnej opowieści. Postać olbrzyma, o którym mam pisać, widzę w barwach kwiecistych i zawsze wesołych. Wysuwają się ze mgły sennej dawne, w niepamięci zanurzone lata. Bujne, zawsze dowcipkujące bractwo polskich studentów w Zurichu zbiegło oto wieczorem z góry Oberstrassu do *Franciskanerkeller*, albo do «Kropfa», ażeby zakończyć swój w laboratoryach dzień roboczy kuflem monachijskiego piwa, nasłuchać się nowych dykteryjek od Włodka, «Lilka», Ratynia i innych. Do tego «obozu» przyłącza się od sąsiedniego stolika w zadymionej sali inny «obóz», gdzie Jodek proletaryatu głosi swe teorye partyjne i koronowo-piwne, gdzie «Felek» wygraża burżuazyi chudą pięścią i potrząsa barykadami włosów, nawisłemi demonicznie nad krzywizną binokli. Gwar, wrzawa, śmiech, kłótnie, paradne dowcipy. Wśród natłoku młodych *(o, tempora!)* twarzy uśmiecha się wyrozumiale cichy «Pawcio», poważny już asystent przy katedrze wielkiego profesora

chemii, milczy zawzięcie mały, chudy, nikły Edward Abramowski, o oczach mgłą mistyczną zawleczonych, peroruje długowłosy fanatyk Machaj i przechadza się majestatycznie olbrzym o klasycznych kształtach i regularnych, ślicznych rysach twarzy, ozdobionej łagodnym, nieustępliwym uśmiechem — Maryan Abramowicz. Kiedy hulaszcza kompania, której wszystkich uczestników nigdybym nie wyliczył, po wyłonieniu ostatnich «rapów» ze śpiewem wraca na strome zbocza Oberstrassu, po spadzistych chodnikach i pochyłych schodkach, temu i owemu z fizyków nogi nie służą. Wówczas «niedźwiedź» Abramowicz dopomaga ramieniem, a najbardziej piwnie omdlałych poprostu wnosi na górę. Sam nic nie pił i nie jadł na dole. Mięsa wogóle do ust nie brał, równie jak wszelkich alkoholów, a przez cały czas pobytu w Zurichu żywił się, pijąc na dobę jedną szklankę mleka i spożywając jedną bułkę. Nie ze skąpstwa bynajmniej, ani dla zaoszczędzenia kapitałów, lecz dla poskromienia nadmiaru niedźwiedzich sił ciała. Siły bowiem miał olbrzymie. Jeżeli zbyt długo zalegał w łożu, gdy rankiem wesołe franty wyruszały na wykłady z mieszkania «*bei Frau Angst*» na Stapferwegu, rzucano się gromadnie na niedźwiedzia z kijami od firanek, z kształtu do ułańskich lanc podobnemi, i próbowano wykłuć go z legowiska. Ale źle się to zazwyczaj kończyło. Niedźwiedź był łagodny, jak gołąb, i cierpliwy, jak baranek. Cichym porykiem odpowiadał na napaść pigmejów, lecz skoro sprawa dosięgała swego kresu, jednym chwytem winkelridowskim wydzierał lance z małych dłoni i przepędzał hałastrę na cztery wiatry.

Zachodziło pytanie, co ten Ursus porabia w Zurichu, Genewie, Paryżu? Uczył się tego i owego, chodził na rozmaite wykłady, lecz przedewszystkiem nabierał szczególnej wiedzy i tchu do tańca z prawdziwym niedźwiedziem świata.

Późniejsze moje zetknięcie się z tymże Maryanem Abramowiczem nastąpiło w Krakowie. Mieszkaliśmy «kątem», wspólnie przy ulicy Zielonej, w lokalu nieumeblowanym, sypiając po bratersku w sześciu, pokotem na ziemi. Lokal ów był mieszkaniem, jeżeli się nie mylę, Bronisława Szwarcego, jednego z twórców i ojców roku sześćdziesiątego trzeciego, bohatera, który odsiedział był siedem lat w Szlisselburgu i dwadzieścia pięć lat na Sybirze, a podówczas zawitał na stałe do Krakowa. Stary, siwobrody kryminalista był surowy i twardy, trzymał nas w ryzach i na żadne zbytki nie pozwalał. Pierwsze miejsce w hierarchii lokatorów zajmował Antoni Hempel, *possessionatus*, który po wysiedzeniu się w cytadeli warszawskiej pomknął był na wypoczynek do Paryża i wiele nam opowiadał o rozmaitych «karboklach». Drugim był Ignacy Domagalski, świeżo właśnie puszczony z tejże cytadeli, który zwiał do Krakowa. Trzecim doktór Hyżycki, kończący podówczas swą medycynę. Czwartym byłem ja, po powrocie ze Szwajcaryi. Piątym Abramowicz, lokator przygodny, niestały i przelotny. Piękne to było życie pod patronatem starego Szwarcego! Przez lokal przewijało się wiele gości, wszelaka radykalia warszawska, krakowska, lwowska i inna, która jeszcze podówczas nie rozpadła się na socyałów i endeków, lecz żyła razem, zagryzając się dysputami w ciasnych lo-

kalach. Było to bytowanie jak gdyby w wysokich górach, u tego samego lodowca, skąd z czasem z tychże kropel, we dwie przeciwne sobie strony świata, miały popłynąć samoistne, odmienne rzeki. Częstym gościem w apartamentach przy ulicy Zielonej bywał dr. Zygmunt Kostkiewicz, podówczas administrator *Nowej Reformy*. Grasowaliśmy po rozmaitych zebraniach w mieście i przemierzaliśmy okolicę starego grodu. Pewnego wiosennego dnia Maryan Abramowicz zaniósł mię na ramieniu spory kawał drogi i na szczyt kopca Kościuszki, ponieważ nie mogłem mu dotrzymać kroku w szybkim pochodzie. Kiedyindziej, pamiętam, pojechaliśmy w drugie święto Wielkiejnocy do pewnego ziemianina. Dwór stał niemal na samej granicy dawnego «Królestwa». Szlachcic podejmował nasz zespół doskonałym węgrzynem, to też, rozsiadłszy się na ganku, wyśpiewywaliśmy «obieszczykom», przechadzającym się w odległości kilkudziesięciu kroków od dworu, wszystkie pieśni «buntownicze», jakieśmy tylko umieli. Wracaliśmy do Krakowa nocą, drabiniastym czterokonnym wozem, dobrze podochoceni i głośno wyśpiewujący. Świecił księżyc i szeroka bita droga bieliła się na dalekiej przestrzeni. Aliści Maryan Abramowicz w wielkiej podwawelskiej alei począł śpiewać rosyjską pieśń rewolucyjną: *Tam w Sibiri druzja umirajut za nas.* Zygmunt Kostkiewicz, niezrównany inspirator i organizator tylu spraw narodowych, nie wytrzymał. Podwawelskie serce krakowianina, zwanego «Kobzarzem», wzdrygnęło się na sam dźwięk mowy rosyjskiej. Począł najprzód dobrotliwie, mrukliwemi, kobzarskiemi sposoby, wymyślać niedźwiedziowi, a później walić go pięściami po ple-

cach. Cóż to mogło pomóc? Cóż pomogło, że mizerny krakowianin miotał w przybysza z Moskwy wszelkie wymysły i rady: — Moskalu! Kacapie! Odszczepieńcze! Wstydź się! Opamiętaj się! Popraw się! Nawróć się! — Niedźwiedź przygniótł «Kobzarza» wielkiemi łapami, postawił na nim stopę, gdy go już wtłamsił na samo dno wozu, i śpiewał dalej. Potężny jego głos daleko leciał po przedwiosennych polach, po falistej ziemi krakowskiej.

Majątek wędrownego «kacapa» składał się z jednego ozdobnego koszyczka, który stał na wierzchu pewnej starej szafy w mieszkaniu Zygmunta Kostkiewicza przy Szewskiej ulicy. Nikt, oczywiście, do wnętrza koszyczka nie zaglądał i nikt się nim nie interesował, gdyż w tem mieszkaniu wiele mieściło się depozytów, pozostawionych przez wędrownych królewiaków. Z czasem mały koszyczek Maryana Abramowicza odegrał wielką rolę w dziejach wolnego niegdyś miasta Krakowa. Potężny młodzian, właściciel koszyczka, przechadzający się po linii A—B, budził niemałe zainteresowanie wśród szykownej młodzieży, zgrabnych austryackich oficerów i całej dobrze odzianej i doskonale myślącej publiczności. Miał on na sobie — (nie mówmy o butach!) — spodnie u dołu za krótkie, nie sięgające do kostek, a u góry również za kuse, nie zdolne zakryć peryferyi doskonale okrągłego brzucha. Na wszelkie interpelacye, skąd pochodzą spodnie tak dalece opięte, posiadacz ich odpowiadał niechętnie i lakonicznie, iż są «z Zurichu». Kamizelka pochodziła najwidoczniej z innego kantonu, była najwidoczniej «z Genewy», gdyż unikała styczności z dolnem odzie-

niem na obszarze wyżej powołanego żołądka. Jeżeli wymienione już szczegóły przyodziewku Maryana Abramowicza, łącznie z marynarką, były przeniesione na jego herkulesową postać z jakichś pokrak emigracyjnych, w wolnych górach Helwecyi czatujących na zgon caratu, to kapelusz miał takie skrzydła, że mógłby niemi nakrywać jakąś całą owoczesną «partyę», a musiał być chyba spadkiem po Bakuninie. Kolorowa koszula o nadmiarze gorsów w miejscach najmniej spodziewanych i ogromna w ręku buława — nie mogły nie zwracać na postać młodocianego «nihilisty» uwagi krakowian i krakowianek. Figurą tą zainteresował się żywo przedewszystkiem jeden z wiele obiecujących doktorów praw, podpór tronu i ołtarza, pracujących z zapałem w owoczesnej krakowskiej policyi. Doktór praw począł chodzić krok w krok za wielkim młodzianem w kolorowej koszuli i snadnie wypatrzył, iż tenże najczęściej wstępuje w gościnne progi domu i mieszkania Zygmunta Kostkiewicza na Szewskiej. Szacunek, jakim się w całem mieście cieszył administrator *Nowej Reformy*, — szacunkiem, lecz obowiązek policyanta obowiązkiem najpierwszym w rzędzie cnót austryackich, zaprzysiężonych w obecności Delegata Namiestnictwa z palcami wzniesionemi do góry. Doktór praw w towarzystwie Bogu ducha winnych szpiclów, tudzież łapaczów i drabów naszedł pewnego pięknego poranka zanadto gościnne mieszkanie Zygmunta Kostkiewicza i gruntownie w niem wszystko obejrzał. Nie oszczędzono pokoju czcigodnej matki, ani kuchni, gdzie bogobojna służąca, codziennie od niepamiętnych lat przystępująca do Sakramentu Ołtarza, popadła w stan niebezpiecznego osłupienia, gdy przetrząsano zawartość jej skrzyneczki. Jak na złość nic godzącego ani w tron, ani w ołtarz — nie znaleziono. Dopiero w ostatnim pokoju, gdzie właśnie kopciła papierosy rozmaita królewiacka zbieranina, stanęła na drodze do zupełnego oczyszczenia ze strasznych podejrzeń — stara szafa, a na niej misterny obcokrajowy koszyczek. — Czyja to szafa? — zapytał doktór praw. — Moja, — zeznał doktorand Zygmunt Kostkiewicz. — Co pan w niej ukrywasz zakazanego? — łaskawie dowiadywał się stróż prawa, nie chcąc zbyt naciskać przyszłego — daj Boże! — kolegi doktora. — Oprócz spodni, kamizelek i bielizny nic w niej nie ukrywam. Same objekty lojalne. — Czy ten na górnym gzymsie koszyczek jest także pański? Nieszczęście chciało, iż przesadnie zawsze prawdomówny «Kobzarz» wycharczał: — Nie.

Pan komisarz zbadał zawartość koszyczka — i zdrętwiał. Ręce mu się zatrzęsły, zęby poczęły szczękać, włosy stanęły dębem. Przepisy do fabrykowania bomb, rewolwer, naboje, broszury jakichś straszliwych zuryskich i genewskich internacyonałów, odezwy, proklamacye socyalistów, nihilistów, niemal samego dyabła. Prawdomówny Zygmunt Kostkiewicz został, wśród powszechnego płaczu rodziny i służby, w biały dzień aresztowany i przez Bogu ducha winnych szpiclów, łapaczów i zbirów powleczon wskróś miasta i osadzon pod Telegrafem. Zatrzęsło się od plotek biskupie miasto. Ze zgrozy zadrżała w posadach *Nowa Reforma*. Zazgrzytał radośnie staremi zębcami «bratni organ» *Czas* i inne «bratnie» organy. Internacyonał! Rewolucya! Spiski! Bunty!

Tymczasem bystronogi Maryan Abramowicz, nic a nic nie wiedząc, co się przydarza na Szewskiej ulicy, spełniał swe ulubione przedsięwzięcia. Z mieszkania przy ulicy Zielonej pomknął na parę dni przedtem do Królestwa. Przedostawał się do Przywiślańskiego kraju, oczywiście, bez paszportu, skacząc w biegu do odchodzącego pociągu w Granicy, w Aleksandrowie lub na innej jakiejś stacyi wraz z ładunkiem «bibuły», którą transportował. Sławne były jego lwie susy z jednego pociągu do drugiego w biegu. Woził zaś i nosił «bibułę» wszelkiego rodzaju: «patryotyczną» i socyalistyczną, byleby uderzała w carat. Niezawsze jednak te karkołomne skoki były możliwe. Czasami na stacyach granicznych «konjunktura» była tego rodzaju, iż należało co prędzej wynosić się z tych okolic. Wtedy przedostawał się do zakazanego wnętrza Królestwa mokrą granicą, jużto przebywając graniczne jeziora kędyś od strony owoczesnych Prus, jużto przepływając Wisłę. Pewnego razu przesiedział pół dnia w szuwarach jeziora, zanurzony w wodę po głowę, trzymając nad tą głową swą bibułę i sławetne ubranie. Najczęściej jednak gruntował Wisłę w jej płytkich miejscach, w okolicy komory Rataje. Rozbierał się do naga w wiklach galicyjskiego brzegu — odzienie, kapelusik i pakiet z bibułą podtrzymywał nad głową lewą ręką — i szedł wodą, po głowę zanurzony, wprost na osypiska tamtego brzegu. «Obieszczyk» moskiewski siedział zazwyczaj na tym wysokim brzegu, drzemiąc lub wyłapując na sobie kąśliwe insekty. Przemytnik druków wolnościowych i wyzwoleńczych podsuwał się niepostrzeżenie pod brzeg wysoki, wychodził z wody, skradał się w ukos i wreszcie wprost

szedł na «obieszczyka». Zanim tamten oprzytomniał albo go dojrzał i spostrzegł, napastnik chwytał leżący karabin albo gigantyczną swoją siłą wydzierał go z rąk oniemiałego sołdata. Pod grozą zakłucia na miejscu żołnierz milczał. Abramowicz zabierał karabin i lwiemi skokami dopadał pacanowskich zarośli na łęgach albo rytwiańskich wielkich lasów. Karabin ciskał w krzaki, ubierał się i szedł w głąb ojczyzny, którą poznawało się wówczas, jak to świetnie określił Liciński, — «po napisie w cudzoziemskim języku». Właśnie wtedy, gdy w Krakowie dokonała się i obiegała miasto wielka «sensacya», — «Moskal i Kacap» w jednej osobie przemierzał małopolskie pola i lasy, zdążając ku Warszawie, ażeby «powąchać, jak to tam współrodacy śmierdzą z wielkiego strachu przed Hurką i Apuchtinem».

Ludwik Krzywicki w swem wspomnieniu o Maryanie Abramowiczu nazwał go «wolnym strzelcem» wszystkich ówczesnych partyi politycznych, wszelkiego ruchu wolnościowego, jaki wówczas kiełkować zaczynał. Nic słuszniejszego nad to świetne określenie. Był to w samej rzeczy najpierwszy strzelec, wolny strzelec, idący na przedzie wszelkich późniejszych poczynań. Prosił wszystkich, kto żył, czuł, działał, — o robotę. Właściwie marzył o tem, żeby być nie żadnym tam «inteligentem», lecz tragarzem na kolei. Ogromne jego siły fizyczne domagały się pracy, dźwigania wielkich ciężarów, pokonywania niezwalczonych przeszkód, staczania walki. To też gdy przybył do Warszawy i oddał komu należy przyniesione bagaże, prosił zaraz o nową robotę. Nadarzyła się wtedy robota «patryotyczna»: trzeba było rozlepić na murach Warszawy

odezwy, wzywające, jeżeli się nie mylę, do święcenia pamięci Kilińskiego. W to mu graj! Pod pachę wziął stos odezw, do kieszeni paczkę odpowiednich gwoździków, w rękę dogodny młotek i podefilował lekkiemi kroki w Aleje Ujazdowskie. Tam, posuwając się od drzewa do drzewa, przybijał starannie młotkiem proklamacye i systematycznie rozprostowywał papiery na chropawej korze drzew, pamiętających pewnie dzieło Kilińskiego. Zaciekawiło to pana stójkowego, co też to za ogłoszenia wysmukły młody człowiek przybija młoteczkiem o tak niezwykłej porze rannego wykwintnej publiki spaceru. Podszedł, zaczął czytać i, podobnie jak jego koledze w Krakowie, włosy mu dębem stanęły i oczy na wierzch z orbit wylazły. Zaczepił tedy zapracowanego młodzieńca naiwnem pytaniem: co on tu robi? Nie leżało to jednak w zwyczajach Maryana Abramowicza, żeby na pytania policyantów dawać ścisłe odpowiedzi. Odsunął tedy natręta dość kategorycznym gestem. Po przybiciu paki odezw, «Moskal i Kacap» ruszył coprędzej w swoją stronę. Lecz poturbowany policyant pospieszył za nim, gwizdkiem zwołując współkolegów na ratunek. Nie pomogło salwowanie się ucieczką w dorożce. Wezwani na pomoc policyanci wskakiwali również do pierwszej napotkanej dorożki i pędzili za zbiegiem. Widząc, że im nie umknie, Abramowicz wskoczył na Nowym Świecie w bramę domu naprost Smolnej ulicy. W podwórzu tej posesyi nastąpiła sławna batalia. Były tam wąskie schody, prowadzące na galeryę pierwszego piętra. Tam właśnie osaczono siłacza. Ale każdy ze śmiałych policyantów, który na owe schody wbiegał, zlatywał natychmiast

głową nadół. Długo trwało oblężenie i niezrównana to była obrona, lecz, oczywiście, musiała się skończyć pojmaniem jeńca do niewoli. Niekoniecznie jednak pojmanie do niewoli miało być kapitulacyą jeńca. Ten jeniec nie poddawał się nikomu i niczemu. W cytadeli bił każdego, kto wchodził do jego celi. Niestety, — czyny swoje wojenne zabrał ze sobą do grobu. Ze srogości tylko wyroku można wnioskować o srogości jego obrony wobec wrogów. Gdy go było o czyny, dokonane w cytadeli, pytać, śmiał się tylko wesoło krótkim swoim śmiechem. Wiele wysiedział w «ciemnej», wiele, zapewne, ran odniósł. Dwa lata przebył w cytadeli, a skazano go na trzy lata najcięższego więzienia w «Krestach» i sześć lat osiedlenia w Wierchojańsku na Sybirze, gdzie oddech ust w igły szronu się zmienia, gdzie jest najzimniejsze miejsce globu ziemskiego i gdzie już wieść z Polski nie dolata. Ciekawy szczegół tego procesu stanowiła okoliczność, iż zawartość koszyczka, pochwyconego w Krakowie przez rodaka, doktora praw *Almae Matris Jagellonicae*, znana była w całości żandarmom moskiewskim w cytadeli warszawskiej. Widocznie te dwa bratnie zawody dwu mocarstw sąsiadujących wyświadczały sobie nawzajem drobne w potrzebie usługi, dostarczając ten tamtemu, a tamten temu zawartości różnych koszyczków. Drobna stosunkowo wina przybijania odezwy w gruncie rzeczy niewinnej, nawołującej do święcenia pamięci pewnej postaci historycznej, oraz zgubne przyzwyczajenie do bicia żandarmów nie mogły były same przez się wywołać wyroku tak srogiego.

Przyzwyczajenie do bicia żandarmów nie opusz-

czało Maryana Abramowicza ani w cytadeli, ani w drodze do srogich w Petersburgu «Krestów».

Kiedy wagon więzienny, wiozący go na trzyletnie rozmyślanie, zatrzymał się w Wilnie, a krewni i przyjaciele zgromadzili się na dworcu, aby więźnia zobaczyć, powitać i pożegnać, ujrzeli go w samej rzeczy u zakratowanego okienka więziennego wozu, ale nie można było po ludzku z nim się rozmówić, gdyż raz wraz znikał. Ukazywał się w oknie, spokojnie rozmawiał, zadawał pytania i udzielał odpowiedzi, ale co chwila w pół zdania przerywał rozmowę albo nie czekał na odpowiedź, której mu przecie chętnie i skwapliwie udzielano. Nikt nie rozumiał, co to znaczy. Okazało się później, że, prowadząc ową uprzejmą u okienka rozmowę, był od krat siłą odrywany przez trzech żandarmów i że wewnątrz wozu wymierzał im ciosy odpowiednie nogami, kopał w zęby i brzuchy, ażeby przecie znali mores i nie ważyli się przeszkadzać w udzielaniu ustnych odpowiedzi nazewnątrz w czasie krótkotrwałego w Wilnie postoju. Znikł wtedy z oczu ludzkich na długie — długie lata. Doszła nas tylko wieść, że, gdy Mikołaj Drugi po śmierci swego ojca na tron wstępował, Maryan Abramowicz, siedząc w więzieniu, kategorycznie odmówił złożenia przysięgi na wierność nowemu Rosyi monarsze. Prokurator długą miał, pono, z tym więźniem rozmowę, poruszył wszelkie racye i wyłuszczył wszelkie stopnie kary, a wreszcie, przekonany racyami rewolucyonisty, iż przecie głupstwemby było składanie i odbieranie przysięgi, gdy się jej nie ma zamiaru dotrzymać i gdy się w to złożenie przysięgi nie wierzy, — uznał wreszcie racye więźnia,

podał mu rękę i poszedł sobie, — żeby mu, oczywiście, dodać kary. Ale czyż ten więzień nie podważył wtedy swem potężnem ramieniem niezłomnych murów strasznego Rosyi kryminału? Dziś wiemy, iż takie bohaterskie duchy, heroldowie wolności, nie na placach bitew, lecz w głębokich mrokach najsroższego z ucisków, w samotności i zgnębieniu nieprzejednani, ruszyli z posad caryzm. Dziś, gdy w naszym powojennym świecie modne jest potępianie idei niewolniczego buntu, — biada nam, jeżeli popchniemy idee i chwałę takiego buntu, jak tamten Maryana Abramowicza w więzieniu. Należy on do tego nieśmiertelnego legionu buntowników, prekursorów wiecznego postępu ludzkości, z których jeden niegdyś na szczycie piramidy wyrył te sprawiedliwe słowa: «Przekażcie wiekom noc 29-go listopada!»

Gdy napisałem był powiastkę o ludziach tego typu, a raczej o tym antropologicznym gatunku, pod tytułem *Ludzie bezdomni*, otrzymałem, daleką, okólną drogą, fotografię Maryana Abramowicza i jego rodziny z Wierchojańska na Sybirze, w futrach reniferowych, czy niedźwiedzich. Twarze tylko aryjskie wskazywały, że to nie są Eskimosi lub Jakuci. Na odwrocie wizerunku znalazłem napis: «Za *Bezdomnych* od bezdomnych podziękowanie i pozdrowienie». Była to w mojem życiu pisarskiem najzaszczytniejsza «recenzya» i najwyższa nagroda.

Wiele lat upłynęło. Mieszkając w Nałęczowie pod Lublinem, popadłem w chorobę, która mię długo w łóżku trzymała. Pewnego dnia wprowadzono do mnie gościa, nie mówiąc jego nazwiska. Wszedł Maryan Abramowicz z bratem swym starszym. Ten sam to był ra-

dosny człowiek, ten sam niemal — młodzieniec, tak samo nosił na ręku po kilkoro napotkanych dzieci, lecz jakby czarna, bezsłoneczna, lodowata zima sybirska wypiła z niego zbyt dużo krwi. Niechętnie teraz mówił o «polityce». Nawracał wciąż w rozmowie do książek, do rewolucyi i reakcyi literackich, do poezyi powieści, dramatów. O Sybirze wspominał niechętnie, jako o epizodzie niemiłym, o minionej przygodzie. Rwał się do życia nowego. Nazajutrz poszedł w to życie. Ponieważ wypadło mi opuścić kraj i mieszkać zagranicą, mętnie wiedziałem, iż ten Sybirak mieszka w Warszawie. Po powrocie do kraju pewnego dnia urządzałem w Filharmonii warszawskiej, przy czynnej pomocy panny Wandy Malinowskiej (obecnie pani Wandy Osterwiny), wieczór artystyczny na rzecz pewnego celu oświatowego. Oczarowany niezrównanem mistrzostwem recytacyi wiersza *Rybaczka* z *Samuela Zborowskiego* Juliusza Słowackiego, który niezrównana artystka na wieczorze wygłosiła, — mając pełne uszy muzyki mistrza Barcewicza, wróciłem późno w nocy do domu i, zrzuciwszy obok łóżka ubranie wieczorowe, zasnąłem. Moje miłe sny przerwał ostry dźwięk dzwonka, a potem licznych ostróg pobrzęki. Komunik żandarmów i policyantów napełnił mieszkanie. Uspokajali mię troskliwie:

— Niechże się pan nie niepokoi. To tylko rewizya.

Uspokoiło mię to nadzwyczajnie. Kazano mi się ubrać w porzucone niedawno suknie i, po przetrząśnięciu mieszkania, zaproszono do udania się na przechadzkę. Naprzód powędrowałem do cyrkułu przy ulicy Kruczej. Tam wśród złodziei, pijaków, prostytutek i szpiclów spędziłem resztę nocy, ulokowany

obok zlewu. Pamiętam do tej chwili twarze dwu szpiegów, rodowitych Polaków, którzy się obok tegoż zlewu rozpostarli i gawędzili do rana o swych zawodowych sprawach, interesach i zamierzeniach, nie dając mi ani przez chwilę oka zmrużyć. Pamiętam policyanta, który, układając się do snu na sienniku wpoprzek drzwi cyrkułu, mówił katolicki i polski pacierz do swego policyjnego Boga, żarliwie i głośno bijąc się w piersi: — Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! — Rankiem tenże nabożny współrodak odstawił mię w zamkniętej dorożce do więzienia w Ratuszu. Tam zastałem już spory i godny raucik, złożony ze znajomych. Przywieziono wnet przezacnego oświatowca, mecenasa Leszczyńskiego, po chwili dyrektora gimnazyum Kujawskiego, inżyniera Pereswiet-Sołtana i innych. Wszyscy byliśmy niewyspani po nocy w cyrkułach i ordynarnie głodni. Mecenas Leszczyński był takim bywalcem kryminału, iż przezornie zabrał ze sobą pewien zapasik wędliny i pieczywa. Udając, iż pierwszy raz widzimy się na tym ratuszowym padole, przedstawiliśmy się sobie nawzajem i, zaproszeni przez mecenasa, zasiedliśmy do śniadania. Przysiadł się z boku jeszcze ktoś z «polityków» i chętnie połykał co tłuściejsze płaty smacznej wędliny. Lecz oto ktoś, również tej nocy przywieziony z pola, a doświadczeńszy od nas wszystkich bywalec, mruknął ze zgorszeniem:

— Żeby też szpicla paść taką szynką! Skandal!

Ha, trudno! Któż tam u licha mógł rozpoznać w tym smakoszu zawodowca! Co zjadł, to zjadł. A zdążył sporo. Cały następny dzień i całą prawie noc spędziliśmy, stojąc w tejże izbie, w tłoku niezmiernym,

w zaduchu, gdy nie było na czem przysiąść na chwilę. Dopiero nad ranem, gdyśmy po wielu protestach podpisali, do dyabła! żandarmski papier z formułą: «*Priczastun k' rewolucionnomu dwiżenju*» — pozwolono nam udać się «na spoczynek» w górnych apartamentach okratowanego ratusza. Uprzejmy komisarz zapytał mię jak najsłodszym tonem:

— Czy pan może życzy sobie pod «czternastkę», pod pana inżyniera?

Nie wiedząc, o jakiego pana inżyniera chodzi, odparłem jak najsłodziej, że zgadzam się jaknajchętniej. Zaprowadzono mię tedy do czternastki pod pana inżyniera (Stanisława Kruszewskiego), który, siedząc tam od dłuższego czasu, sprawował nad współwięźniami, a i nad policyantami, nieopisaną, moralną władzę. Wszedłem do izby pełnej kopciu i chrapania. Mała, naftowa lampka, produkując niezmierne ilości kopciu, słabo rozwidniała niską izbę. Policyant podprowadził mię do pryczy i wypatrzył między leżącemi ciałami wolne miejce. Wsunąłem się na deski i ległem, z niewymowną rozkoszą rozprostowując kości. Z prawej i lewej strony leżały cielska chrapiące. Po pewnym czasie jedno z cielsk obróciło się w moją stroną. Jakkolwiek nędzny był płomyczek dalekiej lampki, poznałem przy jego blasku znajomy profil, czoło, nos, brodę...

— Cóż u licha! Maryan Abramowicz... Znowu tu sypia?

Ależ chrapał! Nie było mowy o spaniu. Rozkoszowałem się jednak możnością leżenia w pozycyi poziomej po tak długiem pionowem bytowaniu. O pewnej porze tej nocy, niezbyt przyjemnej, niedźwiedź zu-

ryski i syberyjski ocknął się, wyziewał, nawydrapywał ze siebie insektów i począł mi się przyglądać. Zarechotał dawnym śmiechem: — Jeszcze też tu tylko takich literatów brakowało! Skądże to Pan Bóg prowadzi?

Rano nastąpiło zapoznanie się z towarzystwem. Oprócz wymienionych już osób siedział tam od pewnego czasu Aureli Drogoszewski. Pewien młody krytyk literacki wykładał skupionym na jego pryczy współkolegom o mozajkach kościoła Świętego Marka w Wenecyi i opisywał wnętrze pałacu dożów. Było wesoło, padały niezrównane koncepty. Niedługo mogłem się tem wszystkiem zabawiać, gdyż dostałem ostrego zapalenia ślepej kiszki i w gorączce mało co wiedziałem o świecie bożym. Wtedy to dobrotliwy olbrzym, Maryan Abramowicz, roztoczył nade mną opiekę. Nosił mię na ręku, jak to niegdyś bywało, do pewnych nieodzownych miejscowości przy końcu długich korytarzy, gdzie współwięźniowie-złodzieje prali swe koszule w stawku sztucznie zatrzymanej uryny, czyli «w pralni», a później, po wypraniu, mokre wdziewali na siebie, «wydawali na stryszek» do wysuszenia. Abramowicz zaprowadził mię również do lekarza więziennego, doktora Szałabudy. O tym doktorze krążyły niepochlebne wersye. Inżynier Pereswiet-Sołtan miał być (za działalność oświatową) zesłany do Wołogdy. Tuż przed uwięzieniem świeżo był wyszedł z lecznicy, gdzie parę miesięcy przeleżał po ciężkiej operacyi. Była obawa, że nie przetrzyma drogi tak dalekiej. Zwrócono się tedy do owego więziennego lekarza z prośbą, żeby zbadał napoły wyleczonego i wydał opinię, przedstawia-

jącą istotny stan rzeczy. Obiecał solennie i mówił więźniom w cztery oczy, że tak daleka podróż zabićby mogła świeżo operowanego inżyniera Sołtana. W papierze urzędowym napisał, iż tenże Pereswiet-Sołtan zdrowy jest jak rybka i może jechać choćby na Sachalin. Gdyśmy z Abramowiczem dobili się do gabinetu tego eskulapa i trzeba było zmierzyć gorączkę, ów dr. Szałabuda włożył palec swój za kołnierz mej koszuli, wyciągnął go i oświadczył, że nie mam gorączki. Wtedy zobaczyłem, jak Abramowicz «robi» swe dziełka więzienne. Zajrzał tedy nasamprzód w oczy doktorowi Szałabudzie, potem zlekka ujął go za podbródek, później za krawacik i cicho pytał, czy on zawsze palcem mierzy chorym gorączkę. Przeprowadził potem ożywioną rozmowę z tymże lekarzem w cztery białka oczu a we framudze okna. Zabiegi jego miały ten skutek, że przeniesiono mię do oddzielnej izdebki od podwórza, pomalowanej od dołu smołą, gdzie według ratuszowych klechd sławetny Grün «badał» swe objekty więzienne. Tam zamieszkaliśmy we dwu z Maryanem Abramowiczem, ja chory, on pielęgniarz. Ach, jakież pióro zdołałoby opisać jego szorstką dobroć, jego łaskawość, jego braterską usłużność! Czegóż to nie robił, bywalec kryminałów i znawca rzeszy więziennej! Nie bił już teraz, ale wydawał rozkazy, a żadne na świecie pióro nie zdoła opisać tonu jego rozporządzeń, niezrównanego kpiarstwa, świetnych sarkazmów w rozmowie z panem kapitanem, naszym władcą, który mię chciał koniecznie z dobroci serca przenieść na kuracyę do cytadeli! Gdyby nie opieka Maryana Abramowicza, nie hasałbym już dzisiaj po kwietnych niwach pięknej

polskiej literatury. — Bóg zapłać, najwierniejszy, najistotniejszy przyjacielu!

Nie udało mi się jednak zostać bohaterem, nie mogę tedy opiewać mych cierpień na wzór Silvia Pellico, ani zdołałem powiększyć wprost z ratusza grona aniołków. Po paru ciężkich nocach kazano mi się zabierać do domu. Mój drogi opiekun odprowadził mię do końca korytarza, czyniąc ostatnie honory kryminału.

Później znowu wydaliłem się zagranicę. Przyszła wojna. Na wiele lat straciłem z oczu siłacza. Ostatniemi czasy spotykaliśmy się często, już jako bibliotekarze i bibliofile. Prowadził korekty niektórych moich książek, kłócąc się zajadle o pewne wyrazy, postokroć zadając mi pytania, jakiem prawem nazwę miasteczka Małogoszcz odmieniam: Małogoszcza i w Małogoszczu, — zamiast prawidłowego: Małogoszczy i w Małogoszczy, — a gdym wysuwał swe racye, oparte na prawie gwarowem, podrwiwał, jak niegdyś, gdy była mowa o zasadniczej polityce. Teraz już o polityce mało mówił. Czytał. Zebrał, jak na inteligenckie środki, dużą bibliotekę, bo osiem tysięcy tytułów. Studyował teraz wszystko. Po bogatem swem życiu prowadził teraz obszerne studya, jak gdyby sprawdzając i potwierdzając wartość swego życia. Niezrównaną miał pamięć. Był pod tym względem spadkobiercą warszawskich polihistorów — Łaguny, Korzona, Krzemińskiego, Bema, Łopacińskiego, Wolskiego. Rozkosz to była szukać z nim druków i artykułów, gdyż wiele miał w głowie, w pamięci, jakby w bibliograficznej wyobraźni. Pamiętam jedno z takich poszukiwań zapomnianych, zatraconych w starych kalendarzach pisemek krajoznawczych

księdza Władysława Siarkowskiego. Kiedy już traciło się ostatnią nadzieję, Maryan Abramowicz wszystko wynalazł. Tak to — właściwie od samych początków swej działalności obywatelskiej był roznosicielem, rozdawcą i tragarzem mało znanych druków. Nosił niegdyś druczki wolnościowe poprzez rzekę-macierz i przez głębinę jezior mazurskich do kraju, gdzie oszołomieni ludzie «śmierdzieli ze strachu» w niewoli. Przy końcu życia — szerzej, od samego spodu i wyżej rozniecił ognisko. Paliwo brał zewsząd, boć przecie widział niemało, przeżył niejedno, więc go wiele spraw pociągało. Był fenomenalnym miłośnikiem druku, książki, twórczości, poezyi. Ostatni raz miałem szczęście widzieć go w jesieni ubiegłego roku. W czasie krótkiego wspólnie przejazdu tramwajem, znowu kłótnia o pewne wyrazy w korektach, opowieść o lecie ostatniem. Spędził je na Pomorzu, a całe wzdłuż i wszerz przemierzył krokami. Te forsowne, dawniejszym trybem podjęte, marsze, czynił teraz w poszukiwaniu «Smętka», bohatera mego utworu pod tytułem *Wiatr od morza.* Śmiał się po swojemu, iż tego Smętka już tak w istocie tam niema, że nic już o nim ludzie prości nie wiedzą. Tłómaczyłem z pośpiechem, iż ów Smętek nie jest, ani co do nazwy, ani co do samej figury, moim wymysłem, lecz że go w całości zapożyczyłem od Derdowskiego, poety Kaszubów, z jego poematu komicznego o «Panu Czorlińścim, co do Pucka po sece jahoł». Tłómaczyłem, iż nazwisko tego pomorskiego dyabła należy wymawiać inaczej, niż my to czynimy z pomocą naszej nosówki *ę*, iż należy w tym wypadku używać trzeciego dźwięku nosowego, niegdyś bytującego w języku

polskim (naprzykład w nazwie miejscowości Sandomierz, Sempolno i innych, które to nazwy wygłaszało się ongi inaczej, oddając dźwięk nosowy w sposób pośredni między *ą* i *ę* jak we francuskim wyrazie *enfin*). Niedobry to był pomysł poszukiwać, odnajdywać i tropić Smętka na Pomorskiej ziemi! Jest on tam, widać, znowu, wrócił się ze świata i po staremu broi. Jego nie można ogłuszyć pięścią między oczy, jak to zawsze czynił nieulękły Maryan Abramowicz z tyranami świata.

Tak oto ten najmężniejszy z mężnych, *brave des braves*, — w zimnej mogile leży. Można o nim powiedzieć, jak o tym lesie w cudnym wierszu moskiewskim, którego musieliśmy się uczyć obadwaj w moskiewskiej szkole:

Nie osilili tiebia silnyje,
Tak doriezała osień czornaja...

Gdy trumna z jego zwłokami na skromnym karawanie wyłoniła się ze Smolnej ulicy, przy której mieszkał ostatniemi laty, zdarzyło się, iż przepłynęła obok tego domu, w którego podwórzu kładł niegdyś na kupę kadłuby żandarmów i policyantów, bijąc się z ich zgrają w pojedynkę. Przepływał umarły ponad temi miejscami, gdzie nieustraszona jego dusza górnie zamłodu bujała, gdy wszyscy nędznie truchleli. Jeżeli o kim można powiedzieć, iż ma w sobie cechy nadczłowieka, to o nim. Jak idealny Grek starożytności był *kalos k'agatos.* Gdy, odziany w kurtkę swoją sybirską, przebywał po raz ostatni, w trumnie, ulice wolnej Warszawy, — on, co był niepodległym i wolnym, jeden jedyny w Warszawie niewolniczej, — nie strzelały na jego cześć armaty z wolnej cytadeli, w której ciem-

nicach bił się sam jeden z wrogami tej ziemi — albo milczał wyniośle, okryty ranami. Nie szła przed jego trumną kohorta wolnych, hełmowych rycerzy i nie oddano przy mogile strzałów na znak czci dla jego męstwa szalonego. Odchodził rycerz nieznany, milczący, dawny, który do walki nie posiadał broni, który bił Moskali gołą pięścią skrwawioną. Ale on był najpierwczym z tych, co Moskali w Polsce niewolniczej bić zaszęli. On to był najpierwszym żołnierzem polskiej armii. On był najpierwszym duchem, wszczynającym wolność tej ziemi, i głosicielem konieczności nadania praw nowych dla ludzi tej ziemi.

Nie wystarczy na jego mogiłę rzucać starego i bezsilnego życzenia: oby ci ziemia lekką była! Nawet głucha ziemia nie zdoła martwym swoim ciężarem przywalić tego ducha niepodległego, który otrząsnął ze siebie wszystko, co pętało jego wolność.

[1925]

WSPOMNIENIE

Przed laty, powracając z wiosennej do Włoch ekskursyi, spotkałem na rynku w Krakowie Wilhelma Feldmana, który podczas przygodnej rozmowy zaproponował mi wspólne odwiedzenie na wsi Stanisława Wyspiańskiego. Chętnie przystałem. *Stante pede* najęliśmy krakowskiego «fiakra» i wyruszyliśmy niezwłocznie. Droga, biegnąca w kierunku owoczesnej granicy rosyjskiej w cieniu alei starych drzew, przecinała łany i działki zbóż w najpiękniejszym wiosennym rozkwicie. Wkrótce przybyliśmy do wioski, której nazwa wypadła mi z pamięci, leżącej w samym już pasie granicznym. «Obieszczyk» z karabinem na ramieniu przechadzał się tuż poza tem «galicyjskiem» osiedlem, w opłotkach, prowadzących do zupełnie innego państwa, do imperyum moskiewskich carów. «Fiakier» nasz zajechał według wskazówki do jednego z domów włościańskich. Na podwórku, pod cieniem drzewa leżał Stanisław Wyspiański. Był wtedy bardzo już ciężko, beznadziejnie chory. Mógł połykać tylko szynkę drobno siekaną, zawiniętą w opłatek, niełatwo mu było mówić, nie był w stanie rysować, gdyż trzy środkowe palce prawej ręki miał bezwładne. Zostały tylko tesame oczy o przezroczystych,

błękitnych tęczówkach, taksamo przenikliwie patrzące. Mówił tedy z trudem, a częściej pisał, trzymając ołówek między wielkim i małym palcem.

Ten to ołówek podsuwał mu Wilhelm Feldman.

Wracałem z Włoch i jeszcze czułem w kościach rzymski i florencki upał. Miałem w uchu odgłos szumu mórz, a w nozdrzach wspomnienie włoskiego zapachu. Jakże strasznym wobec dopiero co opuszczonych słonecznych krain południa był dla mnie widok wielkiego północy pisarza, dziwnego plastyka, konstruktora, artysty w tylu dziedzinach, pozbawionego książek, płócien, kartonów, farb, muzyki, teatru i złożonego na tamtem chłopskiem podwórku!

Chory pisał tylko rozmaite zapytania i zadawał je, rzucał Wilhelmowi Feldmanowi. Dopytywał się o mnóstwo rzeczy, nieznanych mi, żądał ostro rozmaitych wyjaśnień spraw literackich i artystycznych, wiadomości i nowin, o coś wypytywał pospiesznie i wydawał zlecenia. Wszystko to Feldman notował w pamięci i na piśmie.

Wielki artysta otoczony był niewątpliwie troskliwą opieką rodziny. Zapewne, iż niejeden z kolegów, przyjaciół, znajomych, niejeden z pisarzów i artystów odwiedzał go i wyświadczał mu braterskie usługi. Ale najgorliwszą opieką i usługą otaczał go Wilhelm Feldman. Darzył go miłością bez granic, gotów był służyć i spełniać jego każde życzenie, nieść mu pomoc i podtrzymywać biedną rękę, opadającą w bezwładzie, użyczać, zdawało się, wzroku przygasającej źrenicy, oddać swe siły dla podparcia tamtej siły, oddać swą duszę wielkiej duszy, która już odchodziła z padołu, upadając pod straszliwemi ciosami losu, «co ją zabijał».

Gdym wówczas patrzał z żałością na tego mocarza ducha, co powalony przez chorobę nie przestawał obcować z bogami, bohaterami, herosami, który trzymał w swej piersi, źrenicy i w palcach bezsilnych fizycznie przeszłość, dolę i sławę zdeptanego narodu, który potrząsał łańcuchem kajdan i sam jeden nim targał, gdy inni silni i zdrowi lękali się, lub mędrkowali w kajdanach, — który umierał, nie poddając się niewoli i nie poddając się samej śmierci, — zdawało mi się, że oto leży przede mną widomy symbol i wieczny obraz naszej polskiej literatury.

«Obieszczyk» z karabinem na ramieniu przechadzał się obojętnie obok tego łoża Prokrusta.

Dziś niema już Stanisława Wyspiańskiego i niema Wilhelma Feldmana. Kędyś w zaświatach ze sobą obcują, naradzają się i radują... Niema carów, cesarzów, cesarstw i obcych granic na starej a wiecznie młodej ziemi. Lud niepodległy sieje i żnie swe własne żyto i stanowi o swojej woli w wielkich obszarach. Trawa mogiły zarasta. Zapomnienie, a bardziej jeszcze — niepamięć — zagrzebuje zmarłych. Innej pieśni, innej wieści o sobie żąda nowoczesne życie. Lecz my, którzyśmy widzieli, jak wielkie było cierpienie tamtych, wspominajmy dobrze i zawsze trudy ich, zabiegi, i bezgraniczną, bezinteresowną, samą w sobie — ich miłość.

[1922]

NA BROŃ...

Szczęśliwy jest los poetów dzisiejszego dnia!

W ich oczach Polska, — sen kości, rozsianych po okręgu ziemi, — niezwyciężonem mocarstwem się staje. W granicy dalekiej, piersi żołnierskich opasanej potęgą, szczęście każdego w ojczyźnie człowieka i wolność wiekuistą ma wskrzesić Sejm polski, stolica sprawiedliwości, jak go nazywał hetman Żółkiewski. Koń jeźdźca narodowego, zgrzany od zwycięstw nad Moskwą, w Niemnie i w Wilii wodę pije. Jak piorun niespodziewany, z kłuszyńską furyą wypada z bram niezłomnego Lwowa obrona i wymierza cios po ciosie uderzenie, jakiego Polska jeszcze nigdy, od tysiąca lat nie zadała. Miedziane hełmy legii z za morza i z dalekiej ziemi francuskiej przybysza, mają zajaśnieć, jako błysk wyzwolin w oczach ludu wielkich, staropolskich ziem, mają się przejrzeć w nurcie Odry rzeki, ujarzmionej od wieków tylu, w której głębinę spływała krew z ran drużyny Krzywoustego i w której złotym piasku leżą zaryte szłomy jego rycerzy. Orzeł biały w czerwonem polu i ręka po ramię trzymająca miecz, mają się na podźwigniętych chorągwiach zatrzepać w słonym wichrze ponad przepaściami Bałtyku.

Poeci minionych lat nosili te wielkie armie w sercu samotnem i pod kościami czaszki, które dziś schną w kryptach kościołów. Widzieli je oczyma, spalonemi od pragnienia, przemierzające ojczyste krainy. Jeden — w najcięższym okresie czasu, po złamaniu polskiego oręża i po wdeptaniu go w ziemię straszliwemi stopami caratu, w tułactwie, stojąc na katedrze francuskiego kolegium, przemienionej przezeń na «stanowisko wojenne», na «basztę, którą geniusz Francyi powierzył sprzymierzeńcowi swego narodu, duchowi słowiańskiemu», — samotny, tak samotny, iż powoływał każdego, «kto poczuje w sobie więcej siły, albo więcej prawdy», — ażeby go zastąpił, gdyż to miejsce opuszczone być nie może, w grudniu 1843 roku sam jeden wzywał:

«Chociażby mi przyszło obrazić nawyknienia moich słuchaczów, chociażbym miał wreszcie na gwałt krzyczeć, będę krzyczał. Krzyki te nie będą mojemi własnemi. Poświęciłem osobistość moją: wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu pomiędzy wami, jak strzały, dymiące się jeszcze krwią i znojem.

Ile zdołam nasączyć w moją duszę zapału, miłości, sił, powołany jestem tu wylać. Wznoszę tę czarę, by ją wychylić na cześć geniuszu wielkiego narodu, geniuszu Francyi: dopiero po spełnieniu takiej ofiary wolno ten geniusz wywoływać».

W pół roku później, dnia 21 maja 1844 roku, wywoływał go w istocie:

«Polska odpowiedziała na wszystkie wasze wezwania. Wstrząśnienie, które w dniach lipcowych poru-

szyło bruk paryski, podniosło całą staropolską ziemię; kule karabinowe, które wyganiały u was rząd dawny, przeleciawszy cicho przez Niemcy, pozamieniały się na naszym gruncie w granaty i bomby. Wtedy głos cały wojsk wołał do was. Wojska te poginęły! Polska teraz stawia wam ostatnie wezwanie, a tem wezwaniem jesteśmy my, tułacze polscy. — W imię Polski żądamy od was, żebyście powiedzieli, gdzie jest ów geniusz lipcowy, geniusz Francyi? Powiedzcie nam, gdzie jest wasz geniusz, gdzie wasz człowiek? Pokażcie go nam, bośmy gotowi iść za nim. Albo jeżeli nie, to będziemy żądali, żebyście poszli za nami, za naszym geniuszem, za naszym człowiekiem. Kiedy ogień działowy obracał w perzynę wały Warszawy, poeta żołnierz, Garczyński, oparty na jaszczyku, pisał te wzniosłe i prorocze wiersze:

Jak krwią twarz Zbawcy na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła,
W pamięci nasze męczeńskie życie,
Obraz mąk naszych wytłoczy,
Każda myśl wasza mieć będzie oczy
I każdą na nas spojrzycie!"

Któż ze współczesnych Adamowi Mickiewiczowi Polaków czy Francuzów zrozumiał jego zaklęcia? Nieliczni, prostaczkowie, dusze ufające i serca czyste, wierzyły i potwierdzały, jak echo w pustyni. — Wielkie tłumy i wielkie narody milczały, tem właśnie milczeniem potwierdzając nieodpartą prawdziwość charakterystyk, któremi je szacował i oznaczał w swem impulsywnem jasnowidzeniu. Później przyszły czasy straszliwsze czyn-

nego zaprzeczenia wszystkiego, a wreszcie przybyła ciemna noc rosyjsko-francuskiego sojuszu. Ciemna noc, gdy młodzież polska uczyła się gramatyki ojczystego polskiego języka w obcej mowie, z książki po moskiewsku pisanej, — o, hańbo! — przez Polaka, — ciemna noc, gdy małe poznańskie dzieci musiały na ostatecznym już wyłomie nadstawiać piersi za wielki lud.

Ale strzały boleści tego ludu, które, przebiwszy się przez duch zaklinacza wieczności i zaklinacza narodów, leżały wciąż w pyle ziemi francuskiej, dymiąc się krwią i znojem. Przyszedł czas, iż zaklęcie proroka wyczarowało cud: ockniony geniusz Francyi porwał strzały z pyłu ziemi, wydźwignął w niebiosa i poznał je, jako pociski-piorunu. Alboż nie cudem jest walka Francyi z Prusami? Alboż nie cudem jest wyrwanie się Francyi z objęć Rosyi i ruina caratu? Dopiero dziś zrozumiałym się stał «krzyk» polskiego tułacza na francuskiej katedrze i jasna się stała jego mowa do wieków. Olbrzymie czyny wielkich narodów stały się echem jego samotnego głosu.

Jak za tamtych dni w pierwszej połowie ubiegłego wieku nieliczna kompania ludzi nosiła w duszy całą wolną ojczyznę, jej dalekie granice, jej armię, jej ustrój i sprawiedliwe prawo, tak samo za naszych niewolniczych dni jeszcze mniejsza garstka jednostek niosła tę lampę przyszłego polskiego życia. Naród w całości swej ugiął się przed zwycięzcami i przypadł na kolana. Zaorał się w pracy powszedniej, wadził się o podział kromki chleba i uznał, iż stara jego sława przeminęła. Głęboka myśl przewodników narodu szukała ulgi dla ludu udręczonego — w ugodzie ze zwycięzcami, zatonęła

w mądrości krakowskiego targu z nabywcą o całość duszy, proponując mu pół na pół, — położyła nadzieję w głęboko krającym warszawskim skalpelu, co miał wyszukać winę tego trupa, na którego grobie «nie czas już było płakać». Lecz pod staremi murami Wawelu, w którego olbrzymiem wnętrzu rozlegał się łoskot stąpania obcego żołdaka nad trumną króla Jagiełły i króla Stefana, pod staremi murami Wawelu, co jak czaszka kościotrupa, nad którym «nie czas już płakać», patrzał oczodołami w wieczyście żywy nurt Wisły nieśmiertelnie młodej, — skromny artysta miał «pracownię, wielką izbę białą, wysklepioną, żyjącą figur zmarłych wielkim tłumem»...

Z pracowni tej patrzały w stare mury oczy błękitne marzyciela i czuwało jego serce dziecięce i młodzieńcze. Co tam, w tej izbie ojcowskiej uczuł, to «później w kształty swej sztuki zakuł» na zawsze. Ciało jego było zniszczone i na poły zgniłe, lecz mieszkała w niem dusza olbrzyma, zakochana w greckiej urodzie i w nieśmiertelnej polskiej sławie. Na nowo powoływał do życia synów Homera, uprzytomniał zmaganie się i klęskę wielkiego króla Bolesława, pokazywał szkielet króla Kazimierza, obcował wciąż z duchami wielkich poetów niepodległości — Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, — śpiewał bunt listopadowy i śmiał się krwawo z niewolników, tańczących w koło swój krakowski taniec przy muzyce chochoła... Na łonie jego geniuszu spałaś ty, wielka i niezwyciężona armio polska, która z piersi swych murujesz fortalicyę granic ojczyzny, przed której uderzeniem drży nareszcie serce niemieckie, wroga od lat tysiąca, niszczyciela i zabójcy plemion sło-

wiańskich! Że tak było w istocie potwierdzi następujące przypomnienie:

W marcu 1905 roku w grupie spiskowców, której przewodnikiem był Józef Piłsudski, powzięty został zamiar tworzenia wojska polskiego. Nawet w obozie najbliższym projekt ten poczytywany był za echo minionych lat, za istne *somnium vigilantium*, za jakiś werset przebrzmiały ponurej romantyków poezyi, który się śni epigonom.

W małej izdebce, na piętrze willi «Jordanówka» w Zakopanem, Józef Piłsudski zażądał ode mnie, bym wraz z kilkoma osobami podpisał odezwę, wzywającą cały naród do składania ofiar pieniężnych na broń dla armii, której zawiązki będą tworzone, — bym wystosował list do Stanisława Witkiewicza, skłaniający go do podpisania tejże odezwy, i bym udał się osobiście do Stanisława Wyspiańskiego i przekonał go o konieczności podpisania się również. Oprócz trzech wymienionych mieli położyć swe podpisy dwaj uczestnicy powstania sześćdziesiątego trzeciego roku — Bolesław Limanowski i Karol Lewakowski, — wreszcie Józef Piłsudski, organizator przyszłej armii polskiej i propagator idei walki zbrojnej.

Przystałem na to żądanie. Napisałem niezwłocznie list do Stanisława Witkiewicza, który podówczas mieszkał w Lovranie, a w parę dni później udałem się do Krakowa dla widzenia się ze Stanisławem Wyspiańskim. Raz tylko w życiu zetknąłem się był poprzednio z podwawelskim poetą, gdy w przejeździe przez Kraków złożyłem mu wyrazy swego hołdu. To też, gdym zmierzał ulicą Krowoderską do jego mieszkania, skąd poza próg

nie wychodził wskutek ciężkiej choroby, gdym myślał, że mam wzywać do czynu tego człowieka tak słabego, obarczonego liczną rodziną, artystę, który chwyta umykające ostatnie dni życia, ażeby ucieleśnić ostatnie duszy widziadła, czułem niezmierny ciężar swego posłannictwa. Cóż mogło być przykrzejszego nad taką misyę?

Wstępując na schody owego domu, przystawałem, poprostu nie mając siły iść wyżej, — a znalazłszy się przed drzwiami i słuchając gwaru małych dzieci, śmiechu ich i płaczu, dochodzących z wnętrza, nie mogłem długo udźwignąć ręki, żeby ją położyć na klamce. Miałem za chwilę powoływać do walki tego wizyonera, niemal kończącego życie, kazać mu wyjść z domu, stawać w szeregu, gdy nie może ścian swej ogrzanej izby opuścić, — może go pozbawić dachu nad głową, może go skazać na więzienie, może na wygnanie. Wiedziałem przecie, w jakim żyję czasie, co mię otacza, co czuje cała «miarodajna», nadewszystko krakowska, społeczność, co powie o zamierzonej odezwie, jakie żywi uczucia względem ludzi, którzy armię polską tworzyć zamierzyli, — jaka zionie do tej myśli ze wszech stron nienawiść. Byłbym wówczas, słaniając się po owych schodach, stojąc u tamtych drzwi, dał każdą ofiarę za zwolnienie mię od tej służby. Ale nie mogłem udzielić sobie tego zwolnienia. Zakołatałem do drzwi i byłem wpuszczony do pokoju artysty. Była to duża, narożna izba, malowana niebieskim kolorem, z oknami, przez które widać było w dali kopiec Kościuszki, — gdzie pracował, «patrząc na kurhan w sinej mgle — za szybą». Na środku stał długi stół, zarzucony papierami. Przed stołem «siedzisko» poety i kilka krzeseł. Zająwszy miejsce po drugiej stronie stołu, słuchałem pytań o rozmaite drobne i potoczne osobiste sprawy, rzeczy i pisaniny. W trakcie tego gospodarz wciąż nabijał tytoń w blaszaną maszynkę i napełniał nim tutki papierosowe. Gdy mię częstował papierosem, razem z odmową palenia, musiałem odrzucić potoczną, towarzyską rozmowę i zacząć spełniać swą twardą misyę. Zacząłem tedy mówić, z czem i po co przychodzę. Poeta robił spokojnie swe papierosy, słuchając pilnie, cierpliwie, a bez żadnego wzruszenia mej przemowy. Widząc tę jego obojętność, zacząłem mówić ostrzej, twardziej, bezwzględniej i namiętniej. W pewnym momencie przestał wreszcie zajmować się papierosami, odsunął maszynkę i tytoń, oparł się plecami o swe krzesło i podniósł na mnie oczy. Były to źrenice przeźroczyste, zimne, zawzięte, niemal nienawistne. Długo mi się tak przypatrywał i wglądał w oczy, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie przysunął sobie arkusz żółtego papieru ze stosu, który leżał na stole, i zaczął pisać coś jakby podanie, czy prośbę. Myślałem, że zlekceważył to, co mówiłem, i zajął się swemi sprawami.

Wreszcie widząc, że to pisanie trwa zbyt długo, zapytałem, co myśli o mojej propozycyi.

— Wnoszę właśnie prośbę o dymisyę.

— Jaką dymisyę?

— Z Akademii Sztuk Pięknych, gdzie jestem profesorem.

— Dlaczego?

— Nie mogę przecie podpisywać odezwy, wzywającej do składek na broń, więc do powstania, i zostać nadal urzędnikiem uczelni, która jest pod zarządem austryackiego ministeryum oświaty.

Tak, to było logiczne. Zdałem sobie sprawę z następstw mej propozycyi. Oto było pierwsze. Za tem miały pójść inne: przykrości, sprzeciwy, nagany, szykany, prześladowania, uderzenia, klęski.

Skończywszy pisać swą prośbę, poeta wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju dookoła stołu, szybko, coraz szybciej, w zamyśleniu, jakby o mojej obecności nie wiedział, czy zapomniał. Chodził tak i chodził, patrząc w ziemię. Nagle przystanął i mówił:

— A więc daję: te jedenaście obrazów, które mam na wystawie w Warszawie. Są to widoki kopca Kościuszki z tego okna. Jest ich jedenaście. Nie wiem, ile to może przynieść. Niech ci panowie postarają się, żeby drogo sprzedać. Niech sprawdzą.

Zauważyłem, że jeszcze przecież sprawa odezwy nie jest przeprowadzona, a więc ja nic nie mogę przyjmować.

— Tak, pewnie. Ale daję także... przeznaczam... Może pan to tym ludziom przedłoży. Zrobiłem rysunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Wykonam teraz z tego rysunku litografię. Zaraz to zrobię. Odbiję na swój koszt tę litografię w stu tysiącach egzemplarzy. To darowuję tym ludziom. Jeżeli sprzedać sto tysięcy tej litografii po guldenie, czy po rublu, będą już mieli sto tysięcy. A Matka Boska w każdej chałupie, w każdym rzemieślniczym warsztacie...

Potem dodał ciszej:

— Niech Matka Boska ten uniwersał...

Uśmiechnął się cichemi, prawie wstydliwemi oczami, jakby się zachłysnął od usprawiedliwienia z wiadomego mi grzechu literatury w tem dziele surowem i bezlitośnie twardem, które mu narzuciłem. Gdy się puścił znowu w swą szybką wędrówkę po pokoju, w zamyśleniu, co jeszcze ma i co powinien dać, uczułem nieznośny żal, żem tu przyszedł. Chciałem cofnąć wszystko i wyjść. Było mi tak żal tego człowieka, który, zdawało się, rozmyśla, co jeszcze posiada, co może mieć, a gotów jest złożyć w ofierze, jak to Kraszewski pisał o ludziach sześćdziesiątego trzeciego roku, wszystko «do ostatniej koszuli i do ostatniego dziecięcia». Wtedy on zatrzymał się i mówił:

— Właściwie, to ja już napisałem taką odezwę, taki uniwersał... Jest to ten Hymn...

Podsunął mi pierwsze odbicie, na wielkim, twardym arkuszu — *Hymn Veni Creator, Narodu śpiew...*

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch,
Byś myśli godne wzbudził w nas,
Ku Tobie wznosim wzrok i słuch...

Gdy zacząłem czytać ten nieznany mi utwór, dorzucił:

— Może pan weźmie to na pamiątkę. Jest to jedyny egzemplarz, jaki posiadam, bo niema nawet rękopisu. Może ci ludzie zechcą podpisać się także pod tem.

Podziękowałem za podarunek i chciałem już wyjść. Zatrzymał moją rękę i wskazał mi z radosnym uśmiechem zakończenie:

Zestąp światłości w zmysłów mrok,
Dobądź serc naszych zapał z łon,
By człowiek przemógł cielska trok
I mocen wzniósł się w męski ton,
Odwołaj wroga z naszych dróg...
. . . .
Zwól z wiarą wieków podjąć Czyn.

Gdy, wyszedłszy stamtąd, podążyłem na ulicę Szlak, do mieszkania Józefa Piłsudskiego, i gdy opowiedziałem, com słyszał, i zdałem dokładną sprawę z tego zetknięcia się z iskrą wielkiego słońca, usłyszałem mocny, iście żołnierski, śmiech spiskowców. To oni, «frakcya rewolucyjna» — mieli w wielkich masach przemycać do Królestwa Matkę Boską Częstochowską!

— Wyobraźcie sobie, — mówił przywódca, taki przysmak — dla naszych esdeków i lewicy: frakcyoniści taszczą tajemnie i z wielkiemi sekretami Matkę Boską...

Jednakże nazajutrz Józef Piłsudski z dwoma towarzyszami zakołatał do drzwi cichej pracowni Stanisława Wyspiańskiego.

Zakopane, 14 czerwca 1919.

MIECZYSŁAW JAKIMOWICZ

Dnia 26 lipca umarł w Zakopanem Mieczysław Jakimowicz. Nieliczne grono obecnych w letnisku artystów i przyjaciół z głębokim żalem odprowadziło jego zwłoki do kamienistego wzgórka, który w oczach wyrósł, przywalając tę przedwcześnie odłamaną gałąź kwitnącą. W zenicie rozkwitu sił duszy, w pełni świadomości o swym artystycznym kierunku, w dobie przesycenia wątłego cielesnego naczynia najbardziej wybujałemi mocami wyobraźni musiał odejść młody artysta. Skazany przez nieubłaganą chorobę na długotrwałe zamknięcie w pracowni, przepalał się we własnym ogniu i oddawna zstępował w głębiny, których zazwyczaj unika organizm zdrowy. Wiedząc, jak nieliczne są dni jego pobytu na ziemi, pragnął w ciągu trwania ich małego zasobu zmieścić wszystko, wydać, czego pełną miał duszę, wyrazić wzruszenia, przeczucia, trwogi i widziadła, o których nie chcą wiedzieć śmiertelni. W małej jego pracowni pełno było kwiatów, a przez szyby okna widziało się jedynie rozkołysane korony liściastych drzew. W ciągu poziomych i nękających trosk tych dni istnem duchowem wytchnieniem była każda godzina, spędzona w jego kwiecistej izbie, zda-

wało się bowiem, że się jest kędyś daleko od tych czasów, zdarzeń i stron, że się obcuje z jednym z uczniów Fra Angelica. Głęboki spokój, niezmącona pogoda, łagodny i wesoły uśmiech, stała i mocna wiara artysty w to, iż stoi u naszych drzwi «szczęście polskie», jak hetman Żółkiewski nazywał wolność i potęgę całej ojczyzny, — dziwnie odpowiadały obrazom wiszącym na ścianach.

Tkwiły tam postaci ludzkie, jak gdyby utworzone ze mgły, wynurzające się z nocy wieczystej i uchodzące w noc wieczną. Oto mara człowiecza, którą może wczoraj, może dziś właśnie widziało się na swej drodze i ominęło w zaułku. Starzec schorzały, schudzony, pan wstydzący się żebraniny, «samotnik», przechodzień po drogach ziemi. Widać tylko jego głowę i część odzienia, odzienia wyniszczonego do cna, przepoconego do ostatniej nici, zgniecionego i wypchanego, które nie jest ubraniem, szatą, ni strojem, lecz wieloletnią, napoły zgniłą — zaiste — częścią ciała. Jakiś mętny półblask, który świeci w kruchtach, w kaplicach cmentarnych, w przedsionkach szpitalów, rozwidnia zżółkłe czoło i wychudzone policzki, oraz uwłosienie zaniedbane, rosnące, jak chce, — proces natury, porost, mech. Lecz to światło wśród miękkiej i bezwładnej miazgi oblicza, oblicza, które jest jakgdyby zsyntetyzowaniem wszystkich ludzi schorzałych, symbolem człowieczej nędzy, opuszczonej starości, niedoli samotnego istnienia, zupełnym wizerunkiem wszystkiego, co jest społecznem pogwałceniem człowieka przez ludzkie stado, — natrafia na coś, co blask odtrąca, zamyka i przełamuje w sobie ze złowieszczą potęgą. Są to ciemne, niemal czarne okulary. Nie widać za niemi oczu, a przecież za martwemi plamami szkła ukrywa się i wlepia w nas straszliwy wzrok. Spojrzenie wszystkich nieszczęśliwych tego padołu, wzrok tysięcy oczu ze wspólnych sal, ze schronisk, przytułków, z kaźni więziennych, z łóżek samotniczych po poddaszach i piwnicach spogląda na widza, pragnącego ujść coprędzej, wołając martwym swym głosem: — niedaleko, niedaleko odejdziesz...

W drugiej ramie, wśród tej samej półmgły, na ciemnych smugach krzyża ukazuje się jakby strwożona i skamieniała ze zgrozy twarz Chrystusa, którego skrwawione, przebite ręce tkwią nad marami strąconemi w otchłań przez straszliwą siłę śmierci. W taki sam sposób malowane są postaci cyklu «Anhelli», — portret młodego chłopca z opuszczoną na piersi głową, którego złożone dłonie jedynie wyłaniają się z półmroku, — obraz starca, nad którym pochyla się kobieta-widmo, — wreszcie komponowane podobizny grup i jednostek. Posługując się w malarstwie swem tylko kredą, ciemnym tuszem i gwaszem, wprawiając te zasadnicze barwy w tło kartonu, Mieczysław Jakimowicz osiągał w sztuce rysunkowej czarno-białemi efektami rezultaty wiadome, wielekroć przez innych stosowane. Lecz rozpraszanie, rozcieńczanie i pogłębianie tych dwu elementów barwy do nieskończoności dawało mu możność sięgania w głąb, aż do nieskończoności zamglenia kształtu — a przez użycie szczególnych oświetleń chwytania półkształtów, półbytów, wyrażania spraw półświadomych, podświadomych, kreślenia obrazów z krainy widzenia, urojeń i snu. Postaci jego nie są to ludzie, podawani

nam do widzenia przez sztukę wielobarwną, usiłującą pochwycić zewnętrzną powierzchnię, utrwalić istotną barwę i rzeczywisty kształt, powtórzyć i odtworzyć rzeczywistość. Malarstwo jego z tego okresu nie usiłuje również, czyniąc zadość potrzebom barwy i kształtu, z układu kolorów tworzyć rozkoszy dla wzroku ludzkiego. Są to raczej ci ludzie codzienni i pospolite przedmioty, których i które na wieczne symbole przeistaczał Edgar Poe, lub Dostojewski. W przygodach *Gordona Pyma*, lub w przypadkach *Idyoty* ludzkie są opowiedziane sprawy, lecz nadana im jest jakaś cecha, rzucone jest na nich jakoweś światło szczególne, o którego istnieniu i promieniowaniu prawdopodobnie sam twórca nie wiele wie. W dziejach Gordona Pyma streszczona jest jak gdyby cała natura i istota czynów ludzkich, — a historya *Idyoty* to obraz świętości ducha, osaczonej przez zwierzęcość ludzkiej ciżby. Nie chciałbym czynić tutaj zestawienia pracy cichego artysty z genialnemi dokonaniami w innej dziedzinie, chcę tylko zaznaczyć, iż przez kartony Mieczysława Jakimowicza przewija się owo światło szczególne, które uwydatnia najistotniejsze przeżycia człowieka: miłość, tęsknotę, samotność, przedśmiertną wędrówkę ku mogile, trwogę i śmierć. Mówiono i pisano w swoim czasie o powinowactwie jego twórczości z rodzajem Klimta, czy Knopfa. Być może, iż na wybór barwy pewne wpływy nacisk wywarły. Lecz niczego to nie dowodzi. Stanisław Wyspiański utrzymywał (w rozmowie z piszącym te słowa), że twórczość każdego artysty-plastyka powinna przejść przez szereg poprostu naśladownictw arcydzieł, dopóki nie natrafi na swe własne odkrycie

formy. Czy taką ma być w istocie droga twórczości, nie pora tutaj roztrząsać. Mieczysław Jakimowicz, jakiekolwiek oddziaływały nań wpływy, był rysownikiem oryginalnym i artystą samoistnym tak dalece, że groziła mu druga ostateczność w tworzeniu, to jest powtarzanie wielekroć tych samych środków artystycznych. Uniknął tego niebezpieczeństwa w sposób jaknajbardziej stanowczy i świadomy, przerzuciwszy się do innego zgoła rodzaju malarstwa, czyli do miniatury barwnej. Ta zapomniana dziś sztuka Gainsborougha, Reynoldsa, Jana Petitota i Chodowieckiego ulegała zmajoryzowaniu przez malarstwo sztalugowe, ścienne i witrażowe. Zdaje się, że to Mieczysław Jakimowicz nadał temu rodzajowi u nas nowe, swoiste piętno. Rozległa gama łagodnych przejść i subtelnych odcieni weszła tu między dwa zasadnicze kolory, któremi posługiwał się przedtem. Artysta wzniósł się ponad dawniejsze swe upodobanie. Chwyta teraz w całości zewnętrzny kształt, lecz po dawnemu odtwarza w tych małych obrazach charakter, istotę, duszę.

Krótko trwała doba pracy zgasłego malarza. W roku 1904 dostał drugą nagrodę za rysunek «Ręce» na konkursie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W roku 1910 rząd francuski zakupił z wystawy salonu *Societe Nationale des Beaux Arts* do muzeum luxemburskiego obraz «Dziwne oczy». Wystawy, urządzane w Kolonii, Düsseldorfie, Wiedniu, Berlinie, Paryżu, we Lwowie, Warszawie i Zakopanem, jednały Mieczysławowi Jakimowiczowi pochlebne oceny krytyki i głębokie, częstokroć do uwielbienia dochodzące, uznanie miłośników sztuki. Wśród odgłosów walk, które codzień zwia-

stują śmierć młodzieńców i mężów dojrzałych, wieść o zgonie chorego i skromnego artysty przeszła bez echa. Tylko bliscy wiedzieli, że usunął się człowiek mocnego ducha i przestało bić najpłomienniejsze serce. Im bezwładniejszą stawała się jego ręka, tem większem utęsknieniem ku ujrzeniu radosnej wieści płonęły oczy. Jakże okrutną była świadomość odejścia bez tej wieści ostatniej dla takiej tęsknoty!

Dusze przyjazne starały się nosić choremu conajwcześniejsze codzienne pisma, ażeby niecierpliwą, gorączkową jego żądzę nasycić. Gdy przyjdzie wreszcie wieść najradośniejsza, tak bezmiernie przezeń pożądana, należy zamiast kwiatów więdnących położyć tę wieść szczęśliwą na mogile kamienistej, która przepojona została Nim, czyli tęsknotą i miłością.

[1917]

W SPRAWIE MACHAJSKIEGO

[List otwarty]

W sprawie aresztowanego w Zakopanem Jana Wacława Machajskiego nie zabierałem głosu publicznie, aczkolwiek powoływano się na mnie w różnych o tym wypadku enuncyacyach i aczkolwiek cały szereg dawnych kolegów aresztowanego, biegunowo różne stanowiska życiowe i ideowe zajmujących, zwracał się do mnie listownie z żądaniem wystąpienia w jego obronie. Uważałem, że sprawa sama wyjaśni się natychmiast za pośrednictwem dochodzenia sądowego, że niewinność Machajskiego co do zarzucanych mu przestępstw ukaże się dobitnie i niewątpliwie bez tej postronnej pomocy, uwłaczającej mu tak, czy inaczej, gdy się w długich dziennikarskich artykułach i zaświadczeniach publicznych udowadnia, że on nie jest «bandytą».

Wobec tego jednak, że sprawa ta nie uległa w sądzie wyświetleniu, gdyż, jak to z pism wiadomo, Machajski po przeprowadzeniu rozprawy w Nowym Targu (oskarżony o fałszywy meldunek i legitymowanie cudzym paszportem) ma być jednak na żądanie prokuratoryi w Nowym Sączu zatrzymany w więzieniach dla przeprowadzenia rokowań o wydanie go rządowi

rosyjskiemu, — zmuszony jestem zabrać głos w celu rzucenia, jak sądzę, zupełnie pewnego światła na postać oskarżonego. Wyznaję, że czynię to z głęboką przykrością, gdyż muszę wynosić z ukrycia i rozwijać przed publicznością wewnętrzne życie i sprawy osobistego stosunku, które na zawsze powinny były pozostać nikomu nieznanemi.

Jana Wacława Machajskiego znam niemal od dzieciństwa. Przez całe lata szkolne siedziałem z nim na jednej ławce, później w ciągu wielu lat mieszkałem z nim w jednej izbie studenckiej. Łączyła nas zawsze najściślejsza przyjaźń. Był to w szkołach złoty uczeń, prymus, medalista, niezwykła i wszechstronna zdolność, umysł lotny i badawczy, a nadto dusza czysta, ofiarna, prawa, charakter niezłomny i żelazna wola. Już w dzieciństwie i młodości cechował go nieokiełznany fanatyzm. Początkowo było to uwielbienie dla poezyi Słowackiego, dla sztuki, później fanatyzm materyalistyczny, patryotyczny, społeczny... Gdy jako student podjął się wykładu historyi porozbiorowej dla robotników, to czynił to w sposób niebywały: przynosił na wykłady plany bitew pod Grochowem lub Iganiami złożone z pojedyńczych tablic rysowanych nocami, z których układał wyborne obrazy tych zdarzeń wojennych, wielkości ściany tej izby, gdzie się wykład odbywał. Jeżeli wykładał geografię w stowarzyszeniu szwaczek, to również wykonywał własnemi sposoby mapy i wszelkie pomoce naukowe, znakomicie zastosowane do poziomu uczenic.

Machajski studyował w uniwersytecie warszawskim w ciągu dwu lat przyrodę, później przeszedł na

medycynę i był już, zdaje się, na trzecim czy czwartym kursie, gdy zaszły w jego życiu zasadnicze zmiany. Od dzieciństwa niemal utrzymywał się sam z lekcyi. Był niezrównanym korepetytorem, najlepszym i najsumienniejszym nauczycielem. To też w Warszawie zarabiał lekcyami kilkadziesiąt rubli miesięcznie, z których conajmniej połowę posyłał niezamożnej matce. Wszyscy koledzy pamiętamy z tych czasów tego entuzyastę w wytartym szynelu i zdeptanych butach, jak z błyskawiczną szybkością oraz «rozwianym włosem» przebiega z końca w koniec miasto Warszawę, dążąc na swe wiekuiste lekcye. Z tego to właśnie czasu pochodzi jakiś pierwszy szkic, ołówkiem pisany jego ręką: *Statut stronnictwa narodowo-demokratycznego*, który niedawno w starych swych papierach znalazłem. W roku 1891, opuściwszy na czas pewien Warszawę i wspólne z Machajskim mieszkanie, powziąłem na wsi wiadomość, że został on aresztowany w Krakowie i że ma tam wytoczony proces o przenoszenie przez granicę zabronionej literatury. Ową zabronioną literaturą była proklamacya patryotyczna, wzywająca do święcenia w Warszawie rocznicy Trzeciego Maja. Machajski przenosił na sobie wszystkie egzemplarze owej proklamacyi. W okolicach komory Baran był aresztowany przez żandarma austryackiego (!), w kajdanach odstawiony do Krakowa i tamże osadzony «pod telegrafem». W następstwie swej zbrodni miał wytoczony proces, którego wyrokiem został wydalony z granic Austryi. Jest to ta sama wina z przed lat dwudziestu i ten sam wyrok, wskutek którego musiał się obecnie w Galicyi ukrywać pod nazwiskiem Kiżły. Jest to ta

sama wina i ten sam wyrok, który jest obecną przyczyną «legitymowania się cudzym paszportem» i oskarżenia o »fałszywy meldunek», a zarazem i źródło kary, którą Machajski odsiaduje obecnie w Nowym Targu.

Wydalony istotnie z granic Austryi, udał się do Szwajcaryi i zamieszkał w Zurychu. Nie mając żadnych środków utrzymania i znikąd pomocy, został malarzem pokojowym. Odwiedziwszy go tam w roku następnym, zastałem w tej duszy, tak dobrze mi znanej, głębokie zmiany. Jakieś tam «pod telegrafem» dosięgły go zbyt silne doświadczenia i wrażenia zbyt niezatarte. W jakiś czas po powrocie do kraju, dowiedzialem się, że Machajski siedzi w cytadeli warszawskiej. Aresztowany został na granicy Królestwa przez rosyjskiego żandarma w chwili, gdy z odezwą partyi «Proletaryat» zmierzał do kraju. Do winy przenoszenia zabronionej «literatury» dołączyła się tu inna — wina walki z owym żandarmem. Mam podejrzenie, że legenda o' «zabiciu żandarma« ma swe źródło w owej walce z żandarmem w roku 1892. Kara za ową przegraną batalię na granicy kędyś w Augustowskiem była nie byle jaka: dwa lata więzienia śledczego w cytadeli, trzy lata więzienia karnego w kaźni «Kresty» w Petersburgu i siedm lat zesłania w Wilujsku, we wschodniej Syberyi.

W tym okresie więzienia i zesłania miał czas namyśleć się nad sobą i światem. Życie zostało o tysiące wiorst. Samotność, zbiry i zesłańcy — to był jedyny świat. W owym to czasie J. W. Machajski wymyślił swój system społeczny. Około roku 1900 wydał w Wilujsku na hektografie odbitą broszurę p. t. *Ewolucye socyal-demokracyi*. Później, zdaje mi się, w Genewie,

wyszły broszury rosyjskie, zamykające główne jego poglądy. System, o którym mowa, jest bezwzględną krytyką zarówno socyalizmu, jak anarchizmu. Ze szczególną zaciekłością autor napada na klasę inteligencyi, którą wyobraża sobie jako oddzielną warstwę społeczną, wrogą ludowi pracującemu — zarówno w postaci czynnika stojącego u szczytu władzy, jak w postaci czynnika ideowego, wciągającego lud czarny w odmęt interesów inteligenckich, wrogich zawsze interesowi proletaryatu. Machajski jest w tych swoich pismach przeciwnikiem wszelkiego politycznego czy ekonomicznego teroru, przeciwnikiem wszelkiego rodzaju powstań politycznych i strajków, polityczne cele mających na oku, przeciwnikiem wreszcie parlamentaryzmu i walk parlamentarnych. Jedynem zadaniem, jakie sobie stawia, jest wywołanie ruchu mas, nieustający strajk masowy z żądaniami ekonomicznemi, z żądaniami jak najszerzej podejmowanych robót publicznych dla ludzi pozbawionych pracy.

Cały jego system, o ile go poznać mogłem z broszur drukowanych, jest abstrakcyjną koncepcyą rzeczywistego życia, produktem więzienia i wygnania. Wychodzi z bezwzględnego założenia, jakiem jest cierpienie ludzkie, buduje wieżę doskonałą z materyału dobrego i sprawdzonego, nie licząc się wcale z terenem, gdzie ją stawia. Neguje wartość geniuszu, albo go nie docenia, a co gorsza, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z potęgi ciemnoty. Wierzy ślepo, że nakarmiony lud sam urządzi swe życie zbiorowe w sposób doskonały, według tych idealnych wzorów, jakie widzą oczy marzyciela społecznego. Teorya Machajskiego, ujęta poję-

ciowo w swej istocie ze stanowiska skutków, jakie wcielona mogłaby wywołać, przejrzana w swem znaczeniu praktycznem przez ludzi, którzy żyją wśród samego życia, nie w więzieniach i na zesłaniu, i którzy obcowali — nie tylko z teoryami socyologicznemi, lecz i z charakterami ludzkiemi w ich nieskończonej rozmaitości — musi być traktowana jako objaw jakgdyby jakiejś metafizyki społecznej. Wszystko w niej jest czyste i dobre, jak człowiek, który ją wymyślił, lecz dalekie od życia.

Teorya ta nie pozostała bez echa. Wywołała ferment w socyaliźmie rosyjskim, podobno odbiła się i na naszym w Galicyi.

Co do mnie, to, straciwszy Machajskiego z oczów w roku 1892 w Zurychu, spotkałem go dwukrotnie — pierwszy raz w roku 1907, gdy, po ponownem aresztowaniu w Irkucku i po ponownem zesłaniu, uciekł z Aleksandrowskiego więzienia i znalazł się w Genewie. W czasie dwukrotnych z nim rozmów dowiedziałem się szczerej opinii o jego nowej roli herezyarchy społecznego. Dowiedziałem się tedy, że jego zwolennicy, z którymi osobiście nigdy się nie stykał, gdyż, zarabiając na życie w Genewie, jako zecer w drukarni, w kraju nie bywał, — tylko w jednem jakowemś miejscu w Rosyi istnieli jako organizacya, mająca zarząd i literaturę — w ciągu dwu lat rewolucyjnych. Organizacya ta nie wykonała żadnego zamachu terorystycznego. Jak mnie wówczas upewnił, była to jedyna organizacya rewolucyjna, która nie posiadała «bojówki» i nie miała wcale żadnej broni. Ani na chwilę zadaniem tych «machajczyków» istotnych nie były napady

bandyckie lub teror ekonomiczny. Jako dowód prawdy tego twierdzenia Machajskiego służy ten fakt, że żaden z jego zwolenników nie był osądzony przez sąd wojenny, a ci, którzy wpadli w ręce żandarmów, zesłani zostali na Sybir drogą administracyjną. W innych miejscach Rosyi organizacyi »machajczyków» nie było wcale. Na terenie Królestwa «machaizm» nie istniał, gdyż w języku polskim nie było zupełnie broszur, ani druków, wykładających te zasady. Dopiero w roku 1909 ukazały się jakieś dwie broszurki, których nie znam.

Lecz systemat Machajskiego zemścił się na nim samym w inny sposób. Bo oto ostatniemi czasy odpadki «bojówek» rozmaitych partyi politycznych, działających na terenie Królestwa, wyrzutki, wybierki, uciekinierzy i zdrajcy, półbandyci i notoryczni rzezimieszkowie, gromadząc się w jedno i z natury swego zawodu poszukując jakiejś nazwy, płaszczyka, znaku — trafili na system, krytykujący zaciekle te właśnie wszystkie partye, z których oni powychodzili, to jest na ów mistyczny «machaizm». Ludzie, których za pomocą swego systematu zwalczał, których na oczy nie widział, których działalność potępiał, ogłosili się, czy zostali ogłoszeni jako wyznawcy jego teoryi. Co najgorsze, on sam uległ przez pomyłkę nieszczęsną oskarżeniu o organizowanie tych band.

Że J. W. Machajski nie ma dziś nic wspólnego z jakąkolwiek akcyą polityczną dzisiejszą — na to mam dowód w dwóch jego listach, które w roku ubiegłym otrzymałem. W obudwu prosił mię o pomoc w wynalezieniu mu lekcyi w Zakopanem, lecz zarazem przedstawiał istotne swe położenie. Całe życie spędził w izbach

więziennych lub w takich samych, jak więzienne, izbach nędzarskich. Znękany niedostatkiem, ze starganemi nerwami, pod przybranem nazwiskiem — pragnął tylko zarabiać na życie. Nie mogę ogłosić tych listów, gdyż są zbyt osobiste, ale mogę zaręczyć, że stanowią niewątpliwy dowód, iż autor ich nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek polityką, działalnością społeczną i pragnie jedynie znaleźć w kraju kąt spokojny i kawałek chleba. Na żądanie, wyrażone w jednym z tych listów, z maja r. z., zwróciłem się do p. dr. Dłuskiej z prośbą o jakieś zajęcie w sanatoryum dla żony Kiżły (Machajskiego). Otrzymałem wkrótce odpowiedź, że takiego miejsca w sanatoryum niema, ale również zapewnienie pośrednictwa w wyszukaniu zajęcia dla osoby, o której mowa. W drugim liście, pisanym we wrześniu r. z., Machajski uskarżał się na jeszcze gorsze warunki materyalne. Lecz nareszcie dostał lekcye, wyrobił sobie dobrą klientelę, wrócił do dawnego zajęcia swojej młodości. Zarabiał już około 300 koron miesięcznie, mógł tedy spłacić długi i pracować spokojnie. Ale wtedy właśnie przyszło nieszczęsne aresztowanie.

Dla mnie, który znam go od tak dawna i tak dobrze, Machajski jest jedną z najciekawszych postaci naszego życia. Jakakolwiek może być ocena jego teoryi społecznych, niewątpliwą jest rzeczą, że on sam jest człowiekiem wysokiej wartości, mickiewiczowskim «człowiekiem cierpiącym, człowiekiem walczącym, człowiekiem wolnym w duchu». Gdyby żył w średniowieczu, założyłby był zakon lub sektę religijną. Dziś założył sektę społeczną. Przez całe życie był anachoretą, wygnańcem, ulegał ciągłemu prześladowaniu, schodził

coraz niżej do ludu, aż do ostatniej granicy. Jego teorye nie uleczą zapewne niedoli ziemskiej i nie nakarmią tłumów, jak tego pragną, ale to pewna, że ich twórca czysty jest w swej myśli, w swej wierze i w swem życiu, że przez to życie przeszedł niesplamiony niczem, jak gronostaj.

Czy to jest możliwe, ażeby człowiek taki był wydalony z granic Galicyi, wydany na nowo Rosyi?

Słowo moje może nie mieć żadnego znaczenia, zaręczenie może nie mieć żadnego waloru dla czynników miarodajnych, a jednak ośmielam się twierdzić publicznie, że jedynem wyjściem z tej przykrej sprawy byłoby wypuszczenie J. W. Machajskiego na wolność, przekreślenie jego dawnej winy z r. 1891 i udzielenie mu formalnego pozwolenia na pobyt w Zakopanem, gdzie znalazł dla siebie warunki pracy.

Paryż, 1 luty 1911.

[ARTYKUŁY LITERACKIE]

ORGANIZACYA I PROGRAM TEATRU NARODOWEGO W WARSZAWIE

[Odpowiedź na ankietę Przeglądu Warszawskiego]

Jako autorowi, którego utwór sceniczny grany jest właśnie na scenie Teatru Narodowego, nie łatwo mi jest zabierać głos w ankiecie, mającej wyjaśnić domniemany charakter i artystyczne zadanie tej sceny, gdyż mogę być przez złośliwych pomówiony o pochwałę swej wytwórni. Zabieram jednak głos, ażeby spełnić życzenie Szanownego Redaktora wielce zasłużonego organu.

Ankieta, choć tak żywotna i potrzebna, jest nieco spóźniona. Wyprzedził ją pewien rodzaj plebiscytu publiczności, która przestrogami krytyków warszawskich nie dała się odstraszyć i odpędzić od podwoi Teatru Narodowego w czasie wystawiania *Don Juana* Zorilli. Sądzę, iż publiczność szukała w tej sztuce jakiegoś dla siebie pokarmu duchowego, znalazła tam zagadnienie zbrodni i kary, sąd nad pewnemi problemami, recytacyę cudnego wiersza Miłaszewskiego i artystyczną wystawę. Szły i szły do teatru jakieś tłumy nieprzebrane — studenci, szwaczki, kolejarze, tramwajarze, rzemieślnicy, urzędnicy, robotnicy. Teatr Narodowy winien być

właśnie świątynią dla takich tłumów. Dla kogoś przecie ta mównica artystyczna być musi. Czyż ma to być tylko miejsce spotkania publiki premierowej, złożonej z ludzi bogatych, ze znudzonych wszystkiem snobów, którym nic już w Europie i w Ameryce nie jest dziwne i którzy tuż po premierze czekają na drugą bardziej pikantną? Teatr Narodowy winien mieć na oku te szerokie masy inteligencyi spracowanej wielkiego miasta, która wszystkiego pożąda umysłem zgłodniałym i sercem spragnionem, a która «nigdzie nie jeżdżając, tu się pasie na dziedzinie, jako w lesie zając». Nie znaczy to wcale, iż ma on być teatrem popularnym. Teatr Narodowy winien dawać dzieła wielkiego natchnienia, swoje przedewszystkiem, a jeśli swojskich nie stanie, obce dzieła geniuszów. Dzieł dramatycznych polskich nie bardzo starczy, dzieł dramatycznych polskich, któreby nowoczesnego człowieka do teatru siłą swą niewoliły, a odwracały od obcej rewolucyjnej trucizny. Słowacki, Fredro, Wyspiański — są to genialni poeci minionego czasu, twórcy wielkiego stempla okresu niewoli. Któż dziś będzie opłakiwał naprawdę, sercem czującem, niedolę *Samuela Zborowskiego*, opiewaną najcudniejszemi pod słońcem wierszami? Kto może szczerze przeżywać perypetye uczuciowe *Wesela* albo *Wyzwolenia?* Kogo zadowoli zupełnie *Pan Jowialski?* Jest to uczuciowa przeszłość, duchowy czas miniony. Nie znajdując w utworach pisanych dla sceny spraw ducha wiecznie żywych, nie umierających nigdy, zrozumiałych równie dla nas, jak dla wszystkich ludzi na świecie, należałoby może g r a ć *Odę do młodości*, błogosławieństwo wichrów z *Beniowskiego*, *List do autora Trzech Psalmów* i odpowiedź tamtego, niektóre sceny z *Nieboskiej Komedyi*, *Przez zagony, przez pole...* Lenartowicza i t. d. Możliwości takiej g r y widziałem na ostatnim popisie zespołu «Reduty», gdzie wzruszenie religijne, natchnienie muzyczne i słowo wieszcze splatało się w jednię z ruchem i gestem, tworząc zadatki sztuki nowej, jeszcze nieznanej na świecie. *Oda do młodości* albo *Do przyjaciół Moskali*, to utwory, które mogą być g r a n e jako wstrząsające misteryum. W nowoczesnym teatrze obniżone jest i niemal znieważone — słowo. Na przedstawieniu *Cyda* w przekładzie Wyspiańskiego aktorka, wygłaszająca przedmowny wiersz Morsztyna, wiersz żelazny o wspaniałej potędze, wypowiedziała go w sposób potworny, domagający się kary publicznej. Tymczasem ani jeden «krytyk» nie zwrócił na to uwagi. Ideał niezapomnianego kunsztu recytacyi wiersza mam we wspomnieniu młodości, gdy miałem szczęście słyszeć Józefa Rychtera. Do tego wysokiego artyzmu trzeba wrócić i dążyć.

[1925]

W ODPOWIEDZI ARCYBASZEWOWI I INNYM

[I]

Powieść p. t. *Przedwiośnie*, którą na jesieni roku ubiegłego ogłosiłem był drukiem, doczekała się w prasie naszej całego szeregu recenzyi. Nie o krytykach jednak polskich mej książki, — którzy ją czytali, — mam tutaj zamiar mówić, korzystając z gościnności na łamach *Echa Warszawskiego*. Chodzi o opinie naszych sąsiadów ze wschodu, którzy tej mojej książki nie czytali, a jedynie na podstawie pewnych właśnie okrzyków publicystycznych polskich wydają swe okrzyki. Jedne z tych głosów rosyjskich pomawiają mię o to, iż w powieści p. t. *Przedwiośnie* wychwalam komunizm rosyjski, a inne, jak *List otwarty* pisarza rosyjskiego Arcybaszewa, utrzymują, iż jako skrajny szowinista polski z nienawiści do Rosyi i Rosyan wogóle — poważyłem się poetę narodowego Puszkina nazwać «tylko pornografem». Przyparty, jak to mówią, do muru, muszę tu zająć uwagę publiczną krótkiem wyjaśnieniem, dzieląc je na dwa punkty.

1) Życzliwe osoby nadesłały mi (za co składam im na tem miejscu uprzejme podziękowanie) wycinki z sowieckiego pisma *Prawda*, traktujące o powieści *Przedwiośnie*. Jeden z tych artykułów, pisany przez

L. Domskiego p. t. *Komunizm w Polsce wzrasta*, ogłasza, iż «wielką sensacyę sprawił (w Polsce) zwrot pisarza S. Żeromskiego. Ostatnia jego powieść p. t. *Przedwiośnie* jest wyraźną pochwałą komunizmu i rewolucyi proletaryackiej. Powieść ta jest wcieleniem agitacyi komunistycznej w kraju, gdzie nie wolno szerzyć literatury komunistycznej». W drugim artykule p. t. *Znamienny zwrot* autor R. Arskij w zakończeniu długiego bałamutnego artykułu o mej działalności literackiej donosi, iż oto «jeden z bardzo wybitnych i utalentowanych pisarzy polskich wyraża nie tylko sympatye swe dla komunizmu, ale i wzywa na tę drogę. Samo przez się rozumie się, iż należy jaknajprędzej przełożyć tę książkę na język rosyjski i obznajmić robotników z nowym utworem Żeromskiego, społecznika i piewcy rewolucyi».

W istocie, nie tyle ze względów na obznajmienie robotników, lecz raczej autorów artykułów tego rodzaju, jak przytoczone wyżej, należałoby przełożyć tę powieść na język rosyjski. Zanim to nastąpi i zanim rzecz sama się wyjaśni, oświadczam krótko, iż nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucyi, czyli mordowania ludzi przez ludzi z racyi rzeczy, dóbr i pieniędzy, — we wszystkich swych pismach, a w *Przedwiośniu* najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz zapomocą tego utworu literackiego usiłowałem, o ile to jest możliwe, zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć. Chciałem, jak to zaznaczył jeden z czujnych krytyków polskich, a człowiek serca, — «uderzyć w sumienie polskie», — wezwać do stworzenia wielkich, wzniosłych, najczyściej polskich, z ducha naszego wyrastających

idei, dokoła których skupiłaby się zwartym obozem młodzież, dziś pchająca się do więzień, ażeby w nich gnić i cierpieć za obcy komunizm. Nie zrozumiano mej przypowieści. Nie uderzyłem w sumienie, lecz tu i tam trafiłem w brzuch, tu i tam w serce poczciwe, niewiedzące, zaślepione. Nie zrozumiano ohydy, okropności, tragedyi pochodu na Belweder, — sceny, przy której pisaniu serce mi się łamało. Koroną moich usiłowań stały się pochwalne artykuły w pismach moskiewskich, głoszące, iż przyłączyłem się do komunistów, poprostu i bez namysłu, jakbym się oto zapisał do cyklistów, albo esperantystów.

Nie, panowie władcy Moskwy, i panowie sympatycy władców Moskwy. Sprawa «nie ma tak dobrze». Zawsze, wciąż, dawniej i teraz mówię to samo, iż tutaj w Polsce musimy wypracować, stworzyć, wydźwignąć, wdrożyć w życie idee, któreby przewyższyły moskiewskie, któreby dały naprawdę i w sposób mądry ziemię i dom bezrolnym i bezdomnym, któreby wydźwignęły naszą świętą, wywalczoną ojczyznę na wyżynę świata, gdzie jest jej miejsce.

2) W Nr. 52 gazety rosyjskiej, wychodzącej w Warszawie p. t. *Za Swobodu* znajduje się artykuł M. P. Arcybaszewa p. t. *List otwarty do P. Żeromskiego.* We dwu długich kolumnach druku znakomity pisarz rosyjski, Arcybaszew, omawia wyrażenie z mej powieści p. t. *Przedwiośnie* — brzmiące w ten sposób:

«Budował wraz z innymi skrytki w skalnych pieczarach, w labiryncie starych murów w celu przechowywania zakazanych książek, nieprzyzwoitych wierszy Puszkina i innych pornografów».

P. M. P. Arcybaszew zaznacza na początku swego *Listu,* iż nie mógł jeszcze czytać mego utworu p. t. *Przedwiośnie,* gdyż nie posiada na tyle znajomości języka polskiego. Zdanie, przytoczone wyżej, wyrwane zostało z całości utworu, a przetłomaczone przez kogoś na język rosyjski boleśnie dotknęło rosyjskiego pisarza, a nawet ma stanowić obrazę dla całej rosyjskiej literatury.

Muszę tedy rzecz wyjaśnić. W pierwszej części powieści p. t. *Przedwiośnie* opisuję młodość gimnazyalną mego bohatera Cezarego Baryki w dalekiem mieście Baku. Przytaczam tam najrozmaitsze dowody jego rozpuszczenia się, łobuzeryi, ulicznikowstwa i braku jakiejkolwiek opieki moralnej. Dla odmalowania tej sprawy, — źle, czy dobrze, to do rzeczy nie należy, — musiałem stanąć, niejako, na stanowisku tego młokosa. Przytaczam tedy jego rozmaite uczucia, poglądy, myśli, wyrażenia, sprawki i awantury, patrząc na świat i życie jego oczyma i przemawiając jego językiem. To jednak, co myśli, mówi i czyni Cezary Baryka, to nie są moje myśli istotne, choć ja je wymyśliłem i tej fikcyjnej figurze podsunąłem. Naprzykład, stojąc w porcie z matką i patrząc na uchodźców z Rosyi, młody Baryka formułuje sobie w myśli wyrok nieubłagany na nich. Ja wymyśliłem to sformułowanie i przypisałem je wymyślonej przeze mnie osobie, ale nie jest to formuła moja, lecz jego, o ludziach, uciekających z Rosyi. Tosamo z tem nieszczęsnem wyrażeniem, które p. M. P. Arcybaszewa tak zabolało. Puszkin pisał utwory swawolne, nie dla celów artystycznych, lecz dla samej swawoli młodzieńczej, czyli utwory tak zwanę pornograficzne.

Sam p. M. P. Arcybaszew przyznaje, iż Puszkin w młodości swej napisał «kilka kpiarskich i nieprzyzwoitych utworów». Utwory te dostawały się do rąk młodzieży gimnazyalnej i były właśnie specyalnie poszukiwane i adorowane przez niedorostków. Nie utwory wielkiej i nieprzemijającej piękności, lecz nadewszystko owe swawolne i nieprzyzwoite. Otóż dla mego bohatera, w tym specyalnie okresie jego życia, — Puszkin był autorem przedewszystkiem rzeczy «kpiarskich i nieprzyzwoitych», które Baryka wraz z kolegami w skałach i dziurach przechowywał, nie dla ich piękności poetyckich, lecz dla ich walorów pornograficznych. Jako autora tych właśnie wierszy bohater mój cenił wysoko Puszkina, oraz innych bardzo nędznych pornografów, autorów scen czy wierszy. Lecz to nie dla mnie, lecz dla mego bohatera, i to w tym tylko okresie jego życia, Puszkin był «pornografem».

Ja i mój bohater — to są dwie różne postaci... Jeżeli mój bohater zostaje komunistą, albo nazywa Puszkina w swych mniemaniach «pornografem», — to nie znaczy, ażebym ja, autor powieści, zostawał *eo ipso* komunistą, albo mniemał o Puszkinie, iż jest to «tylko pornograf». Gdyby autorów pism literackich w sposób tak prosty i niewybredny a bezapelacyjny utożsamiać z ich bohaterami, to literatura piękna musiałaby szybko ustać, gdyż autorowie pomaszerowaliby do kryminału za złodziejstwo, rozboje, włamania, oszustwa, kazirodztwa, rozwiązłość, i t. d. Takie utożsamiania wciąż się jednak praktykują. Zdziwiło mię, iż znakomity pisarz, p. M. P. Arcybaszew, nie znając mego utworu, z racyi jednego właściwie zdania podniósł przeciwko

mnie tyle zarzutów. Uczynił to w sposób dosyć bezceremonialny, jakby, zamiast wyjaśnienia, trzeba było zaraz wywlekać z płotu żerdź, tą żerdzią zamierzać się na mnie i wywijać mi żerdzią nad głową.

Per longum et latum pan Arcybaszew udawadnia mi w swym *Liście otwartym,* kto to jest Puszkin, jakie zajmuje miejsce w literaturze, oraz domyśla się, iż ja, jako zaciekły szowinista, widzę w wielkim poecie «tylko pornografa», i t. d. Kim jest Puszkin, wiem bardzo dobrze ze szkoły rosyjskiej i z czytania utworów tego poety poza szkołą. Oddaję mu wszelkie honory, jako świetnemu twórcy wśród rzeszy Słowian. Wiem może nawet więcej, niż p. M. P. Arcybaszew, choćby po przeczytaniu znakomitego dzieła Jana Kucharzewskiego p. t. *Od białego do czerwonego caratu.* Wywody rosyjskiego pisarza nic mi nowego nie powiedziały.

Jeżeliby jednak wywody, które tutaj przytoczyłem, nie przekonały naszego szanownego gościa, emigranta z Bolszewii, p. M. P. Arcybaszewa, jeżeliby on wciąż czuł się niemile dotkniętym wyrażeniem, znalezionem w mej powieści, a formułującem pogląd mego bohatera, Cezarego Baryki, w pewnym okresie jego życia, na pewne utwory Puszkina, to z całą gotowością, przez głęboki szacunek dla p. Arcybaszewa i przez pietyzm dla istotnie wielkich utworów Puszkina, gotów jestem w następnem wydaniu powieści, o ile się ukaże, zmienić to wyrażenie na inne, oraz w przekładach, o ile się ukażą, uczynić tosamo.

[25 lutego 1925]

[II]

Jeszcze o swawolnych wierszach Puszkina

Echo Warszawskie zamieściło łaskawie moją odpowiedź na *List otwarty* p. M. P. Arcybaszewa z racyi pewnego wyrażenia o Puszkinie w powieści *Przedwiośnie.* Pismo *Za Swobodu* przedrukowało w przekładzie moją odpowiedź i dodało nową notatkę p. M. P. Arcybaszewa, który uważa wprawdzie «incydent» za wyczerpany, ale nie uznaje moich wyjaśnień, iż wyrażenie o Puszkinie nie było moją opinią, lecz mniemaniem mego bohatera w pewnym okresie jego życia, co w tekście utworu każdy nieuprzedzony łatwo spostrzeże. Nadto p. M. P. Arcybaszew pisze nadal w tonie poprzednim, niewłaściwym. Ponieważ autor rosyjski mej powieści nie czytał, a nie chce uznać mej lojalnej odpowiedzi, prowadzonej w tonie grzecznym do najdalszych granic, nie chcę już z nim prowadzić rozmowy publicznej, gdyż wojować jego bronią nie mam zwyczaju.

Do tej rozmowy publicznej wmieszał się ze strony polskiej, jako arbiter, p. L. K., którego artykuł przetłomaczyło i przedrukowało pismo *Za Swobodu.* W artykule p. L. K. znajduje się ustęp następujący «Epitet «pornograf» w zastosowaniu do autora *Oniegina* istotnie jest niespodziewany. Powieści i poematy Puszkina można dać do rąk podlotka bez obawy zgorszenia i nie znajdzie się w nich ani jedna z tych scen i opisów drastycznych, tak zwykłych dziś nawet u bardzo szanownych autorów, których za te sceny jednak nie nazywamy «pornografami». O poecie nie stanowi kilka wierszy «swawolnych», do druku przez autora nie prze-

znaczonych, co do tego p. Arcybaszew ma zupełną racyę».

Nie sądzę, żeby było dobrze dawać do rąk podlotkom wszystkie powieści i poematy Puszkina. Naprzykład w zbiorze p. t. *Russkaja potajonnaja literatura XIX stoletia. Otdieł pierwyj. Stichotworenia. Czasť pierwaja, s predisłowiem N. Ogariewa.* Londyn 1861. 12°, str. 427; — zawierającym niesłychanie cenne, piękne, ważne utwory poetów rosyjskich, które w Rosyi carskiej ukazać się nie mogły, znajdujemy *Stichotworenia eroticzeskija* Puszkina, jak *Gawriliada* (str, 40—59), *Car Nikita* (str. 60—68), *Wieczerniaja progułka* (69—71), *Pierwaja nocz braka* (71—76), *Wisznia* (104—106), i mnóstwo tak zwanych *Epigram*, które do rąk podlotków dostawać się nie powinny. Poemat *Gawriliada* to nie tylko utwór, że tak powiem, wesoły, trudny do przełknięcia nawet dla dojrzałego znawcy życia, ale nadto zohydzający święte, nietykalne wierzenia chrześcijańskie w sposób prawdziwie potworny, niesłychany i niewiarygodny. Poemat ten zaopatrzony jest przez wydawców w przypiski i waryanty, jako tekst literacki, godny druku na równi ze wszystkiemi innemi poematami poety. Pan L. K. chyba nie zna tych pism Puszkina! Inne z tych swawolnych poematów mistrza noszą datę powstania, a nie tak znowu wczesną, młodzieńczą, bo naprzykład wysoce plugawa *Wieczerniaja progułka* rok 1829, to jest datę kiedy, trzydziesto i dwuletni poeta, opuściwszy już sferę duchową dekabrystów, popędzonych w Sybir, i przywrócony już do sowicie opłacającej się łaski carskiej, zwracał się w wiadomy sposób do naszego Mickiewicza, może w odpowiedzi na wie-

szcze, wzniosłe, nieśmiertelnie piękne jego słowa: *Druziam w Rossii (Do przyjaciół Moskali)*, przytoczone w temże wydaniu w świetnem tłomaczeniu.

Nie, panie L. K.! Podlotkom poematów Puszkina bez wyboru dawać do rąk nie należy, gdyż wydane, jak *Gawriliada*, pieczołowicie i zaopatrzone we wszystko, co się utworom wielkich poetów należy, noszą jednak w bibliotekach nazwę *Obscena*. Te to właśnie *Gawriliady* chwytał z biblioteki ojcowskiej mój «podlotek» Baryka, one to przesłoniły mu oczy na inne, wartościowe utwory Puszkina, a nawet niejedno może w jego czystej duszy splugawiły.

[4 marca 1925]

[JOSEPH CONRAD — AUTOR RODAK]

[I]

Jeden z najbardziej fenomenalnych twórców w dziedzinie literatury — Joseph Conrad-Korzeniowski — zstąpił do grobu. Jego życie i jego dzieło pisarskie świadczą o potędze woli, prawdziwie bezprzykładnej. Jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z ziemi rodzinnej, z miasta najgłębiej zatopionego w przeszłości, w rutynie, w trwodze myśli publicznej, — rzucił się na obce statki i puścił się sam w obce morza, został marynarzem, majtkiem, oficerem, wreszcie dowódcą okrętu. Jako człowiek dojrzały postanowił tworzyć w mowie, obcej mu za dni młodości i dzieciństwa, przybranej dopiero w latach męskich, — i został pierwszorzędnym prozaikiem, stylistą, mistrzem, dyktatorem wysłowienia w tej mowie, tak niezrównanie wyrobionej w ciągu długiego szeregu stuleci. Można go bez przesady nazwać zdobywcą, konkwistadorem, nieulękłym przywłaszczycielem dóbr duchowych, które posiąść zapragnął, ażeby je rozmnożyć i nowe z nich stworzyć wartości. W długim szeregu znakomitych prac opowiadał ludziom osiadłym świata o tem, dlaczego uciekł z ojczyzny, o tem, co przeżył wśród fal nieobeszłych oceanów i co widział na wybrze-

żach dalekich, *'twixt land and sea*. Są to nowożytne sagi świadka, który oglądał za swych szalonych młodych lat glob ziemski z wielu jego stron, rozmaicie oświetlony przez słońce i księżyc, — który przemierzał kolisko poprzez upały zwrotnika i przy oziębłem świetle północy, — który w ciągu kilkudziesięciu lat przerzynał się poprzez najdziksze szaleństwa przyrody i przypatrywał się wszelakiej dzikości, łotrostwu i niedoli człowieka. Morze było marzeniem jego dzieciństwa i morze było treścią najistotniejszą jego epopei. W odtworzeniu zapomocą słowa wspaniałości i straszliwości oceanu jest mistrzem niedościgłym. We wszystkich najznakomitszych jego utworach morze jest sceną, na której przesuwają się tragiczne, śmieszne lub nieszczęśliwe cienie aktorów. Najświetniejsza zaś w prostocie swej, w treściwości i jasności książka — *Zwierciadło morza* — wyraża to najprawdziwsze, najistotniejsze, co człowiek, rzucony na morskie odmęty, przeżywa, czuje i myśli. Mówią, iż ten cudzoziemiec pierwszy powiedział Anglikom, — żeglarzom od stuleci, — czem jest morze. Czy tak jest, trudno sądzić. Napewno jednak opowiedział im legendy, których nie znali, wyraził najtajniejsze uczucia, sekrety serca, zrośniętego z pławaczką morską, — okrętem. Któż nie pamięta opowieści o statku, który ma w sobie dziką, wściekłą, w morzach wykołysaną duszę, który się rzuca na baryery portów i druzgoce je w szczapy, który ma w sobie skoki i rzuty szalonego piraty, a zrzuca z siebie otrząsem niepojętym wstrętnych dlań ludzi?...

Joseph Conrad był miłośnikiem i bardem okrętu. Statek jest dlań istotą żyjącą, drogą, czcigodną, jest to jego dom rodzinny i wędrujący ułamek lądu, — tego wszystkiego, co zostało i czeka, — jest to pan i przyjaciel, dobroczyńca i obrońca. Stary marynarz, który po latach przymusowego na lądzie pobytu, na widok portu, zapełnionego kominami i masztami, wydaje jeden tylko okrzyk — w nim zawiera całe życie swoje: — «Okręty!»

Społeczeństwo żeglarzy, rozproszone na wszystkich wodach globu ziemskiego, było właściwie ojczyzną Josepha Conrada. W długich podróżach do celów nieskończenie dalekich pilny i ciekawy obserwator, miłośnik morza i wszelkich spraw jego, nauczył się, zgłębił, pojął duszę marynarzy i zapamiętał wszystko, cokolwiek mówili i czynili. Stąd wynikła niezrównana galerya portretów, malowanych, zapewne, z żywego modela. Kapitan MacWhirr, prowadzący parowiec *Nan-Shan* w powieści p. t. *Typhoon*, — kapitan statku, który ratuje rozbitą szkutę *Lorda Jima*, opój i zawalidroga z pozoru, a bohater najwyższej miary w istocie rzeczy, — galerya marynarzy ze statku *Narcissus*, ze statku *Patna*, *Tremolino* i innych — to ta rodzina, to naród poety. Pamięta on ich wszystkich, szanuje każdą ich cechę, lubi ich przywary, manie, nałogi, tęsknoty i furye wewnętrzne, kocha ich życie, ich dnie i noce. Kocha każdego marynarza i wszystkich razem, gdziekolwiek wędrują. Kiedy w r. 1914, na samym początku wojny, miałem zaszczyt poznać Józefa Konrada Korzeniowskiego i pozyskać jego przychylność, — po długiej pewnego razu rozmowie, gdy ta przychylność, jak sądzę, dosięgła najwyższej granicy, — czegoś jeszcze brakowało. Wówczas znakomity pisarz nachylił się ku mnie, mrugnął porozumiewawczo okiem, uderzył

mię po kolanie i szepnął mi do ucha: «Ejże! Pan musiał przecież być marynarzem!»...

Niestety, tej zalety nie posiadałem, wskutek czego i inne zblednąć musiały. Utwory, że tak powiem, lądowe, jak *Secret Agent*, *Romance*, poniekąd *Nostromo* (przepyszna opowieść o kopalniach srebra w Ameryce Południowej), — nie mają cechy portretowości, o której wyżej była mowa. Są to utwory pisane jak gdyby pod pewnemi wpływami, przypominające doskonalsze arcydzieła, znane już skądinąd. W tych to utworach Joseph Conrad najmniej jest sobą, najmniej w nich widać szczerej i dostojnej pracy marynarza, ażeby ujrzeć życie ze strony poezyi.

Najpiękniejszy i najdziwniejszy, jak sądzę, pozostaje zawsze utwór p. t. *Lord Jim*. Mamy tu wskazany rozwój i postęp procesu sumienia w katowni wewnętrznej ducha, pędzący człowieka z miejsca na miejsce, z morza do morza, z zatoki do zatoki, z przesmyków na wyspy skaliste pośród oceanu, zawsze z tą samą na czole troską i z tą samą wewnątrz męczarnią. Dzieło olbrzymie!

Jeden z najprzenikliwszych i najsubtelniejszych naszych estetów, Wilam Horzyca, w pewnej rozmowie o twórczości Josepha Conrada, zwrócił mi kiedyś uwagę na tajemnicę *Lorda Jima*, rzucając pytanie, — czy utwór ten nie jest przypadkiem symboliczną spowiedzią? Czy pod formą, pod osłoną przypowieści o młodzieńcu nieszczęśliwym w stronach dalekich, borykającym się ze swem sumieniem, nie mamy tutaj wyznania o dziejach i przeżyciach duchowych innej zgoła natury? Czy nie jest to wymyślna historya innego, niż opisany, we-

wnętrznego procesu: — zapomnienia, pogardzenia, odtrącenia innych zupełnie obowiązków? Dziś, gdy to życie zdobywcze, bogate, świetne jest już zamknięte, gdy nic już w dokonanej pracy pisarza odmienić się nie da, jest może pora do zapoznania się choćby w szkicu pobieżnym z cieniem tego życia — z jego polskim początkiem. Sądzę, iż uchylenie tego cienia pod światło, ukazanie jego nadzwyczajnej wzniosłości, dostojeństwa i piękna, niejedno wytłómaczy. W każdym razie — może udzielić niejakiej odpowiedzi na pytanie Wilama Horzycy. Życie Josepha Conrada, żeglarza, oficera angielskiej marynarki handlowej, nowelisty i publicysty, chciwie czytanego na obudwu anglo-saskich półkulach, jest naogół znane, może podlegać ciągłemu badaniu i będzie zapewne opisywane wielokrotnie. Odkryte będą niewątpliwie wszelkie źródła jego twórczości i wpływy, którym ulegał. Lecz polski jego początek osłonięty będzie dla zachodu tajemnicą, gdyż sam Joseph Conrad rzucił nań cień zapomnienia, czasem tylko w kilku artykułach publicystycznej natury zwracając łaskawe oczy w tamtę stronę globu. Tymczasem sami krytycy angielscy wskazują na ową ciemną, nieznaną, świadomie ukrywaną słowiańskość duszy pisarza, na wpływ mowy macierzystej, która wywarła impuls szczególny a decydujący na dobór wyrazów, rytm, obrazowość, na siłę, na znamiennie podniosłą odmienność i pełnię prozy angielskiej Conrada. Krytyk Richard Curle, autor wielkiego studyum o tym pisarzu, przypisujący drugiemu okresowi jego twórczości znaczenie tak dalece decydujące, iż przyrównywa je ze znaczeniem pracy mistrza mistrzów, Gustawa Flauberta, dla

prozy francuskiej, pisze: «Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie usiłowań angielskich, to jest wogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy».

Mamy jeden tylko środek zmierzenia wpływu Polski na duszę twórcy angielskiego: — zapoznanie się z jego światem rodzinnym, który chłopcu siedemnastoletniemu musiał być przecie znany dokładnie. Siła przeżyć rodzinnych, głęboko tragicznych, może będzie miarą tego impulsu do szukania czegoś innego, który młodzieńca z kraju wyrzucił na zawsze. Nie on przecie jeden wyrywał się z tamtoczesnej katowni. Poeta styczniowego powstania, jego wieszcz silny i gorący — Mieczysław Romanowski — wołał w rozpaczy:

Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły, — ziemia mi zbrzydła,
Jabym chciał w górze pohulać z wami
I tam na chmurze żyć piorunami...

. . . .

A tu żałobą pokryte doły...
Dajcie mi skrzydła, orły, sokoły!

Cóż dopiero mówić o tym chłopcu, otoczonym wokół grobami!

Oprócz wzmianek autobiograficznych, zamieszczonych przez Józefa Conrada w artykułach publicystycznych *Poland Revisited, First News (Notes on Life and Letters)*, w *The Mirror of the Sea*, *Personal Record* i innych, — oprócz listów do rodziny i przyjaciół,

pisanych przez jego rodziców, a znajdujących się już to w Bibliotece Jagiellońskiej, już w zbiorach aktów tajnych, niedawno przez Rosyę wydanych i złożonych obecnie w Cytadeli, — najobfitszem źródłem do dziejów rodu Korzeniowskich i młodocianego Teodora Józefa Konrada Korzeniowskiego są *Pamiętniki* brata jego matki, Tadeusza Bobrowskiego, wydane we Lwowie w r. 1900. W t. I tych pamiętników na str. 363 znajduje się przedewszystkiem wiadomość o samym rodzie, o dziadach angielskiego pisarza: «Rodzice (Apolla Nałęcz) Korzeniowskiego byli bardzo poczciwi szanowani w okolicy ludzie. Matka, Dyakiewiczówna z domu, poczciwa, przez męża zahukana żona, kochająca matka, ale nic nie znacząca istota, — ojciec, Teodor, porucznik z 1807, kapitan z 1831 r., bił się dobrze, ale ciasnej głowy szlachcic i przekonany, że był pierwszym wojownikiem w Europie, pierwszym gospodarzem i najzasłużeńszym mężem w kraju... Ma się rozumieć, że wielkim był przytem politykiem i jedynym patryotą, bo zawsze, nie radząc się głowy, gotów był siąść na koń i wypędzić wroga z kraju... Zazwyczaj... a szczególnie w uniesieniu, do czego był skłonny, [synów], ludzi dojrzałych traktował jak małych chłopców i łajał od głupców i gorzej, co oni z największą pokorą, całując ojca w rękę, znosili. Z trzech synów, którzy rzeczywiście wszyscy byli zdolni, najstarszy Robert..., zginął w 1863 r. wcale już niemłodym człowiekiem. Najmłodszy, Hilary, był takim samym, jak ojciec, utopistą, a niemniej złośliwym od brata Apolla, chociaż wcale niedobrodusznym w stosunkach... W 1863, przed wybuchem powstania wzięty i sądzony, na «posielenie» do Tomska zesłany został.

Tam znowu gospodarował, złota szukał i spekulował, aż w 1873 r... umarł... Żyjąc wśród osobistych, rodzinnych i polityczno-patryotycznych iluzyi, doczekał się poczciwy kapitan (dziad Teodor) późnego wieku, który w biedzie pędził, i roku 1863 widział skutki przekonań, które wyznawał. Na wiosnę 1864 w Dubnie, pilnując tam sprawy syna Hilarego, skołatanego żywota dokonał. Co ciekawe, że konsystujący w Dubnie pułkownik, który go był poznał, jako dawnemu żołnierzowi polskiemu posłał na pogrzeb muzykę pułkową»...

Na innem miejscu (str. 361) srogi zawsze dla «czerwieńców» i radykałów Tadeusz Bobrowski tak opisuje ojca Josepha Conrada, Apolla Nałęcz Korzeniowskiego: «Z młodych ludzi z okolicy z jednym tylko zejść się i sympatyzować mogłem, mianowicie z Apollem Nałęcz Korzeniowskim (tak się bowiem dość pretensyonalnie podpisywał zawsze), później szwagrem moim, odnowiwszy z nim dawną ze szkół żytomierskich znajomość... Kiedy ja wyjeżdżałem do Petersburga, on właśnie stamtąd był wrócił, nie ukończywszy uniwersytetu, a nawet z pewnością nie wiem na jaki wydział uczęszczał. Miał na wsi ustaloną reputacyę bardzo brzydkiego i niezmiernie złośliwego. Rzeczywiście pięknym nie był, ba, nawet przystojnym, ale miał bardzo miły wyraz oczu a złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach, ani w czynach nigdy jej nie dostrzegłem. W uczuciach gwałtowny, wylany i szczerze kochający ludzi, w czynach niepraktyczny, a często niezaradny nawet. W mowie i piśmie często nieubłagany, w życiu codziennem nieraz aż nadto pobłażliwym bywał, snać dla równowagi, jak mu to nieraz

dowodziłem, jak niemniej i to, że miał dwie wagi i miary dla maluczkich i głupiutkich i dla wielkich świata tego... Dla publicznej, że tak powiem, złośliwości swojej wybierał osobne ofiary wśród osób, które albo jego samego w czemkolwiek uraziły, albo które wogóle rozdęte były majątkiem i pozycyą, — w czem najczęściej śmiech miał po swojej stronie. Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za «ultrasa» i za «czerwonego», było w nim sto razy więcej «żyłek szlacheckich», — jak mu to nieraz dowodziłem, — jak we mnie, którego ani on ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali. W rzeczy samej miał on bardzo czułe i miękkie serce, a stąd dużo współczucia dla biednych i uciśnionych, i dlatego zdawało mu się i innym, że jest demokratą. Tymczasem były to tylko porywy serca i myśli «dobrze urodzonego Nałęcza», ale nie przekonania iście demokratyczne... Oczytany bardzo w lżejszej francuskiej i polskiej belletrystyce, sam wcale zdolny belletrysta, gruntownej, w jakiejkolwiek gałęzi, wiedzy nie posiadał; talent zaś poetycki miał wcale niezwyczajny i do rzędu najudatniejszych naśladowców Krasińskiego zaliczonym być może (*Siedm słów z krzyża* w rękopiśmie tylko znane, bardzo piękne), zaś jako tłómacz Wiktora Hugo i Heinego był niezrównany, tak znakomicie w styl i fakturę pierwszego, w gorycz drugiego wcielać się umiał. Język jego utworów i tłómaczeń znakomity. Oryginalne utwory jego dramatyczne *Komedya* i *Dla miłego grosza* (ostatnia nawet premiowana w Warszawie i współcześnie z Korzeniowskim Józefem) miały niemałe powodzenie wśród czytającej i myślącej publiczności, ale grzeszą, mojem zda-

niem, przesadą i fałszem w charakterystyce pewnych grup społecznych [1]. Na scenie, i to żytomierskiej i kijowskiej, ostatnia miała powodzenie. W owej porze zalecał się mojej starszej siostrze, bardzo jeszcze młodziutkiej...» Z kolei następuje charakterystyka tej siostry, matki Josepha Conrada (t. II, str. 14): «Starsza siostra moja, pięknej powierzchowności, wielkoświatowego układu, wyższego nad pospolity ówczesnych kobiet naszych poziom wykształcenia, znakomitego polotu umysłu i serca — mniej łatwe miała usposobienia i potrzeby — a w owej porze więcej wymagała, by się nią zajmowano, niż sama dać innym mogła i chciała. Dość słabego zdrowia, a walcząca między miłością dla późniejszego męża i wiadomą jej wolą ojca, którego pamięć i zdania czciła, nie mogła zostawać w równowadze moralnej, — niezadowolona z siebie, nie mogła dać innym tego, co jej samej brakowało. Dopiero połączywszy się z ukochanym przez siebie człowiekiem, rozwinęła w dalszem życiu niepospolite zasady umysłu i uczuć, rozumu i serca. Wśród najnieprzyjemniejszych kolei życia osobistego, w którem wszelkie niepowodzenia narodowego i społecznego objawiły się, umiała ona zawsze stanąć i najsilniej utrzymać się na stanowisku obowiązków żony, matki i obywatelki, zjednać sobie szacunek i cześć swoich i obcych,

[1] Oprócz wymienionych przez Tadeusza Bobrowskiego utworów Apollo Nałęcz Korzeniowski ogłosił: *Strofy oderwane* przy *Komedyi* (przerobionej z Gribojedowa *Gorie ot uma*, Wilno 1856), — *Batożek* (komedya w 2 aktach), — *Co robic z tym fantem, co go trzymam w ręku* (Warszawa 1862), — *Akt pierwszy* (dramat, Lwów 1869). — Przełożył Alfreda de Vigny *Chatterton*, Victora Hugo *Hernani* i *Marion Delorme*.

dzieląc wygnanie męża, i godnie reprezentować niewiastę polską».

W lipcu 1855 r. wyszła za Apolla Korzeniowskiego. Z początku młodzi Korzeniowscy zamieszkali w Łuczyńcu, dokąd przeniosła się matka młodej mężatki, Teofila z Pilchowskich. W następnym roku Apollo Korzeniowski zamieszkał z żoną we wsi Derebczynka, dzierżawionej przezeń od Teodora Sobańskiego. Tutaj to przyszedł na świat Teodor Józef Konrad Korzeniowski dnia 6 grudnia 1857 r. W t. II na str. 440 Tadeusz Bobrowski opowiada dalsze losy tego stadła i małego ich synka: «Pierwszą ofiarą został mój szwagier Korzeniowski, który, zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam pozornie dla zajęć literackich, ogłosiwszy nawet prenumeratę na pismo miesięczne *Słowo* w rodzaju *Revue des Deux Mondes*, wybitne w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 roku, aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisyę, której prezesem był pułkownik Rożnow»... Dalej następuje szczegółowy opis podróży młodych zesłańców — Apolla Korzeniowskiego, jego żony i małego synka Konrada — najprzód do Permu, a później do Wołogdy. Na przedostatniej stacyi pod Moskwą dziecko rozchorowało się, a żandarmi odmówili możności zatrzymania «zsyłki». W Niżnim Nowgorodzie pani Korzeniowska z sił tak opadła, iż ją z kibitki wynoszono na stacyę. «W Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, — pisze Tadeusz Bobrowski, — przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22-ą, a ich synek 23-ą osobą, składającą ówczesną kolonię polską w Wołogdzie».

Z tego czasu pobytu w Wołogdzie przechowały się listy Apolla Korzeniowskiego, pisane do krewnych w kraju. Część ich ogłosił *Tygodnik Illustrowany*, inna część znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. Listy te należą do cennych skarbów literatury polskiej. Przedmiotem ich jest ów mały, sześcioletni chłopczyk, Konradek, wygnaniec w krainę zimy i szkorbutu. Trwoga i troska o niego przewija się poprzez te zżółkłe, smutne karty...

W r. 1863 pozwolono Korzeniowskim przenieść się z Wołogdy do Czernihowa. «Siostrze mojej, — pisze pamiętnikarz na str. 441, — która liczyła się tylko towarzyszącą mężowi, pozwolono dla «familijnych interesów» na parę miesięcy przyjechać do mnie. Zdrowie jej było już wtedy widocznie bardzo nadwerężone wymagało najprzód dłuższego wypoczynku, następnie troskliwej kuracyi, lecz ani jednego, ani drugiej osiągnąć nie mogliśmy, bowiem po upływie owych paru miesięcy ówczesny nasz wielkorządca, generał-gubernator Bezak, rozkazał: by jej dłużej pod żadnym pretekstem przebywać nie pozwolić, a gdyby się chorobą składała, polecił sprawnikowi skwirskiemu do lazaretu do Kijowa ją dostawić, czego unikając, sam sprawnik poufnie mnie ostrzegł, pragnąc się od owej ostateczności uwolnić. Wyjechać więc w pierwszych dniach jesieni 1863 musiała do Czernihowa, dokąd towarzyszyła jej matka.

Wuj mój Pilchowski Adolf, wysłany w jesieni 1861 roku w t. zw. «porządku administracyjnym» (t. j. bez sądu, a tej kategoryi rozkazano następnie wyprzedać majątki w ciągu lat trzech, które zostały sprzedane za

bezcen), przeznaczony do Orenburga»... — ciągnie dalej spokojny *narrator possessionatus*. Nie możemy, niestety, za nim podążyć i, dla braku miejsca, przytoczyć wszystkiego, co pisze o najmłodszym z tej rodziny, bracie matki Josepha Conrada, — Stefanie Bobrowskim, członku Rządu Narodowego, nieustraszonym działaczu, spiskowcu i emisaryuszu, który zginął dnia 2 kwietnia 1862 r. w pojedynku z Grabowskim. Ten dwudziestodwuletni młodzieniec, jeden z geniuszów powstania, jedna z jego gwiazd przedwcześnie zagasłych, ginie w pół drogi, z ręki rodaka. «Zgon jego — pisze Bobrowski — utrzymywaliśmy w sekrecie przed matką, aż do jesieni 1863 r., która w przejeździe z Kijowa do Czernihowa zasłyszawszy na stacyi rozmowę podróżnych: czy jest matką poległego w pojedynku? dowiedziała się o katastrofie!». Kiedyś, w jesieni 1873 r. w Krakowie, przyniesie jej osoba nieznana zbroczoną koszulę, pęk włosów i list pożegnalny...

Matka Josepha Conrada zmarła w Czernihowie, ojcu pozwolono wyjechać zagranicę. Przeniósł się do Krakowa i tu zmarł w r. 1869. Mały Konradek pozostał sam pod opieką wuja Tadeusza, dla którego żywił zawsze najżywsze uczucia i któremu dedykował pierwszą swą powieść *Almayer's Folly*. Tak przynajmniej zdają się wskazywać litery dedykacyi: «T. B.»

O swym pobycie w Krakowie, pierwszej szkole na ulicy Floryańskiej, chorobie, śmierci i pogrzebie ojca opowiedział już sam Joseph Conrad w szkicu p. t. *Poland Revisited*, opowiedział w sposób cierpki i zimny. Przytoczyłem był w przekładzie urywki z tej opowieści w przedmowie do t. I zbiorowego wydania, pism angiel-

skiego autora. Stanęło, widać, znowu dookoła niego to koło zaklęte rycerzy pobitych — ojciec, matka, wuj, dwaj bracia ojca i ten ostatni, junak, najmłodszy, Stefan Bobrowski. Dobrzy czy źli, cnotliwi czy ułomni, lecz aniołowie tej walki przepotężnej a przegranej, smutni, pełni boleści swych, na mieczach swych oparci. Oto to koło, ten łuk boleści, straszliwie, nad miarę strzymania, naciągnięty, wyrzucił go, zdaje się, niegdyś z ojczyzny.

W szkicu p. t. *First News*, pisanym w r. 1918, Joseph Conrad opowiada swym czytelnikom, iż bibliotekarz Biblioteki Jagiellońskiej (a więc znakomity nasz człowiek, jeden ze świetnych umysłów, zgasły przedwcześnie dr. Józef Korzeniowski) powiedział mu za bytności w Krakowie w r. 1914, iż Biblioteka posiada spory zwitek listów Apolla Korzeniowskiego, w których jest wciąż mowa o nim, jako o małym Konradku. Były to listy pisane między r. 1860—1863 do pewnego bliskiego przyjaciela, w którego papierach się znalazły. Joseph Conrad wybrał się do Biblioteki w towarzystwie swego starszego syna, o którym mówi: *The attention of that young Englishman was mainly attracted by some relics of Copernicus in a glass case.* O sobie zaś mówi: *I saw the bundle of letters*... Tak to, trzymając w ręku zwitek listów ojcowskich, ostatniego posłania tamtego koła, syna swojego mianował Anglikiem...

Dziś wszystko to już jest przeszłość i proch. Czcimy w Josephie Conradzie wielkiego pisarza i znakomitego człowieka. Pragniemy, by lekka mu była ziemia, którą wybrał i gdzie spoczął po długim swym trudzie. Składamy na jego mogile kwiaty z pól naszych, — już wolnych, — wyrosłe z prochu męczenników i aniołów wolności, wierząc, iż najgodniej go czcimy.

[1924]

[II]

Już kilka razy pisałem o Józefie Conradzie, zawsze na skutek żądania wydawców i redaktorów. Teraz czynię to z własnej woli, pobudzony przez czasopismo, które mam przed oczyma. Redakcya miesięcznika *La Nouvelle Revue Française* z dnia 1 grudnia 1924 roku wydała numer specyalny, składający się z prac piętnastu angielskich i francuskich pisarzy, całkowicie poświęcony naszemu wielkiemu rodakowi, p. t. *Hommage à Joseph Conrad.* W tym hołdzie zbiorowym niema, oczywiście, głosu polskiego, aczkolwiek jeden z autorów, — J. Kessel, — zamieszcza artykuł p. t. *Conrad slave,* cudeńki głosząc o bliskości sztuki Conrada do sztuki pisarskiej rosyjskiej. W innych głosach, opiniach, wspomnieniach i wersyach tyle jest materyału ciekawego, nieznanego, nowego, że prawdziwie zachodzi potrzeba dorzucenia nieco wieści i z polskiej również strony. W artykuliku André Gide'a znajdujemy wzmiankę, iż pierwszym rzecznikiem uznania dla Conrada w wysokim świecie literackim Francyi był nie kto inny, tylko Paul Claudel. Wielki poeta, a sam również wędrowiec po dalekich lądach i morzach globu, pierwszy odczuł i ocenił Conrada. Wzniosły twórca, który zapomocą kształtów subtelnej Poezyi mówił o Polsce, gdy o niej nikt nie mówił, gdy była sierotą, zapomnianą przez cały świat szeroki, pierwszy zrozu-

miał zagmatwaną, pełną symbolów i zagadek powieść polskiego eleara o morzach i lądach odległych. Gdy Claudela w czasie pewnego literackiego obiadu pytano, co należy czytać z owego Conrada, o którym tyle mówił, — odrzekł: — Wszystko! — Lecz przedewszystkiem *La Nouvelle Revue Française* zasłużyła się, umieszczając na czele zeszytu artykuł Johna Galsworthy'ego, który w ciągu lat trzydziestu był współwędrowcem, współtowarzyszem, przyjacielem i kolegą Conrada na morzu i lądzie, — który, jak sam wyznaje, posiada z górą dwieście jego listów, zawierających szczere wyznania i zwierzenia. Lecz nie przypomnienia i szczegóły niejako zewnętrzne, charakterystyka anegdotyczna stanowi główną wagę artykułu J. Galsworthy'ego. Znakomity ten pisarz angielski określa geniusz Conrada tak doskonałemi, ścisłemi i pewnemi rysami, odsłania jego duszę z precyzyą i nieomylnością ręki iście anglosaską, iż własne nasze sądy o Conradzie ulegają odmianie. Zaczynamy wierzyć tym wyrokom, zgadzamy się na te sformułowania, gdyż przypomnienie nasuwa nam mnóstwo dowodów potwierdzających, które dotąd wymykały się naszej uwadze. Twierdzono powszechnie, iż morze było żywiołem głównym twórczości Conrada, a on sam był «romansopisarzem morza». Możnaż było sądzić inaczej po przeczytaniu jego arcydzieła p. t. *Zwierciadło morza?* Galsworthy stwierdza, iż ocean nie był wcale «bohaterem» Conrada, lecz był nim zawsze człowiek, walczący z tym żywiołem zdradzieckim i okrutnym. Dość wspomnieć MacWhirra i tyle innych postaci, zmagających się z falami i wichrami. Sądziliśmy wszyscy, iż Conrad jest epikiem przygód do-

znanych i przeżytych, iż rzeczy widziane i wchłonięte z zewnątrz dają mu asumpt do twórczości. Galsworthy stwierdza, iż Conrad wysnuł z nicości, stworzył w *Nostromo* nieznany kontynent na podstawie krótkotrwałego pobytu w pewnym porcie Ameryki Środkowej. Słyszeliśmy tyle razy, a czytaliśmy w tymże zeszycie, iż Conrad ulegał wpływowi tych i owych pisarzy, a nawet, że ma jakąś duchową styczność z pisarzami rosyjskimi, zwłaszcza z Dostojewskim. Galsworthy notuje, iż nazwisko «Dostojewskij» podniecało Conrada, jak czerwona chusta, i przydaje, iż «Dostojewskij był zapewne, z istoty swej i treści wewnętrznej, zbyt rosyjskim dla smaku tego Polaka». Tosamo zresztą notuje R. B. Cunninghame-Graham w artykule p. t. *Inveni portum*, przytaczając szczegół, iż gdy pewnego razu zapraszał Conrada na jakieś zebranie, otrzymał odeń odpowiedź ze wściekłem zaciśnięciem zębów: «— Nie pójdę, bo tam będą Moskale». Najciekawsze wszakże wyznanie znajdujemy na końcu artykułu Johna Galsworthy'ego. Wspomina on w tem miejscu ostatnie swoje spotkanie z Conradem, ostatnie odwiedziny i smutne przeczucie śmierci. Wreszcie pisze: — *Sa femme me dit qu'une sorte de mal du pays s'etait emparé de lui dans les derniers mois de sa vie, qu'il semblait parfois vouloir tout quitter pour retourner en Pologne.*

Angielski pisarz zżyma się na tę wiadomość, zaczerpniętą od żony Conrada, — świadka niewątpliwego i wiernego, — więc dodaje: — *L'appel de la naissance à la mort, rien d'autre, sans doute, car il aimait l'Angleterre, pays de ses courses, de son travail, de sa longue et dernière escale.*

Bez wątpienia Conrad kochał Anglię i nieraz to w pismach swoich wyznawał publicznie, gdyż szlachetne miał serce, które nie zapomina dobra doznanego. Lecz sam Galsworthy stwierdza, iż był to tylko marynarz i tylko artysta. Serce marynarza niczego nie zapomniało, co zawdzięczał Anglii. Lecz serce artysty mogłoż zapomnieć o Polsce? Ze szlachetnego, z dostojnego szedł rodu. Cudna, przezacna, przeczysta istota była jego matką. Nosiło go łono pełne zawistnej miłości, niezłomnego poświęcenia i trwogi, gdy wróg pod oknami czyhał i każdy krok śledził. Ręce nieulękłe tuliły go do piersi, gdy zesłańcza kibitka niosła się poprzez rozłogi nieprzemierzone, skróś lasów i głuchych pól, przez Moskwę, Nowgorod, aż do dalekiej Wołogdy. Oczy konające spoczywały na jego głowie, gdy je śmierć na wygnańczem posłaniu zamykała. Dokoła jego kołyski biły serca wiernych rycerzy Polski, wygnańców i zesłańców, stał wieniec krewnych, ludzi poświęconych sprawie, i wpatrywały się weń oczy arcyrycerza powstania sześćdziesiątego trzeciego roku, Stefana Bobrowskiego. Dziecięce jego posłanie osnuł arcydziełami świata ojciec-poeta, tłomacząc je wytrwale, ażeby nie oszaleć w mękach wygnania, gdy w kraju wrzała walka. O tych wpływach literackich na młodą wyobraźnię późniejszego pisarza nic nie wiedzą angielscy i francuscy pisarze, a i sam Conrad we *Wspomnieniach* niewiele o nich powiedział.

Nie mogą też zrozumieć, czemu to taką awersyę do «Moskali» żywi ten pisarz. Coś on tam musiał zapamiętać ze swej pierwszej po kuli ziemskiej podróży. Coś musiał znienawidzieć i czegoś zapragnąć. Zapragnął nadewszystko wolności, wyrwania się z kajdan, w które jego dziecięce rączki i nóżki były zakute. I oto teraz, po obejściu koła żywota, u szczytu sławy, stara polska ziemia z jej legendami niezrozumiałemi i obojętnemi dla świata, z legendami niezłomnemi, jak żelazo, upomniała się o swoje prawo do duszy. Tajemnicza, — jak stwierdza dwoje przyjaciół, — Angielka żona i wielki angielski pisarz, — nieustępliwa *mal du pays* dosięgła uchodźcę na obcej wyspie. «Wszystko porzucić i wrócić do Polski» — oto kres tej duszy po okrążeniu ziemi i po zdobyciu trudem własnych rąk wszechświatowej sławy.

Na początku zeszytu umieszczona jest nieznana fotografia Conrada z roku 1874, gdy, po ucieczce z kraju, «młody pies» otworzył na świat oczy w Marsylii. Szkoda, iż z tej odbitki nie można tutaj uprzytomnić twarzy tego konkwistadora świata, bujnowłosego awanturnika, o oczach marzyciela.

Nadzwyczajna nasza obojętność, gdy chodzi o rzeczy kultury, sprawiła, iż nie postaraliśmy się wcale o oświetlenie i uwydatnienie postaci duchowej Conrada ze strony polskości. Niema ani jego życiorysu, ani historyi gniazda, z którego na świat wyleciał, ani miarodajnego studyum o tej fenomenalnej twórczości. Tymczasem dla uwydatnienia w całej pełni tego literackiego zjawiska, tego niezwykłego fenomenu piśmiennictwa światowego, niezbędne jest polskie oświetlenie. Znaczna część utworów angielskich Conrada przedstawia się niezrozumiale, dziwacznie, zagadkowo. Zwracano już uwagę, iż *Lord Jim* jest to obraz procesu duchowego, fikcyjna historya jakowejś tajem-

niczej zdrady, opuszczenia obowiązku i dziejów ekspiacyi. Niedawno wydana powieść p. t. *Złota strzała* jest również utworem alegorycznym. Utwór *Nostromo* nie tylko jest poematem epicznym z dziejów jednej z republik amerykańskich, którego to świata Conrad wcale nie znał, lecz jakiemś rozważaniem, rokowaniem, zgadywaniem i intuicyjnem tworzeniem pod postacią wymyślonej historyi. Nadewszystko jednak utwór dramatyczny p. t. *Jutro* zawiera w sobie treść przejrzyście alegoryczną. Nikt w Polsce nie podjął dotąd pracy nad zobrazowaniem tej ciekawej literackiej sprawy. Nasz urząd propagandy przy Ministeryum Spraw Zagranicznych nosił się z myślą o wydaniu po angielsku dwu prac, pisanych przez krytyków polskich, a nawet o urządzeniu w Warszawie poważnej, jak to mówią, «Akademii» ku czci zgasłego pisarza. Byłoby rzeczą nadzwyczajnie pożądaną, ażeby takie dwie prace o Conradzie zostały napisane. Jedna, dająca jego rodowód, historyę rodziców, postać ojca, historyę młodości do czasu wyjścia z kraju. Druga badawcza, przenikająca i oświetlająca całość jego literackiego dorobku. Ponieważ się do mnie w tej sprawie zgłaszano, wskazywałem na dwu pisarzy najbardziej powołanych, na Wilama Horzycę i na Stanisława Wyrzykowskiego. Lecz w Ministeryum — jak szybko i gwałtownie powstała inicyatywa, tak też szybko wszystko zgasło. Nie jest to, coprawda, rzecz urzędników załatwiać takie «urzędowe kawałki». To sprawa literatów. Być może, iż po założeniu i ugruntowaniu w Warszawie P. E. N. Klubu, na którego czele stoi w Anglii właśnie John Galsworthy, wielki a wierny przyjaciel Conrada, zdołamy, jako pierwszą pracę porozumiewawczą, dać Anglii nasze, polskie widzenie Conrada, sprawiedliwe, bezstronne, przenikliwe, a uwydatniające niejasne dla zachodu kryjówki jego duszy. Bo my tylko jesteśmy w stanie zrozumieć go zupełnie, odczuć, co mówi jawnie i co ukrywa, co tai i co symbolami zasłania. My jedni, bo jest on także pisarzem polskim, aczkolwiek tworzył w języku angielskim. Że tak jest, dowodzi choćby list, który odeń otrzymałem po napisaniu przedmowy do zbiorowego wydania jego pism po polsku. Dziękuje on tam, iż odczułem «rodaka w autorze». Nie chciałem dawniej listu tego ogłaszać, gdyż zawiera krępujące komplimenty, jakich się w takich razach zażywa. Lecz dziś, gdy Jean-Aubry nosi się z myślą wydania całej korespondencyi Conrada, dziś, gdy wiemy, iż ten nasz «rodak» przy końcu swej drogi życiowej był samotny, samotny tak dalece, iż chciał wszystko porzucić i wrócić do Polski, należy przytwierdzić, iż dawniej i zawsze te same żywił dla ojczyzny uczucia.

Nie mamy, — broń Boże! — zamiaru wydzierania «autora» Anglikom i anektowania go na naszą literacką własność. Lecz jest to nasz obowiązek, ażeby przyswoić sobie jego dzieła w doskonałych przekładach, sprowadzić jego ducha do kraju, skoro ten duch do kraju zatęsknił. W równej mierze jest to pisarz angielski, jak polski. Teatry nasze, uskarżające się ciągle na brak sztuk interesujących, winnyby coprędzej wystawić utwór *Jutro*, ażebyśmy mogli zrozumieć jego ideę. Któż wie, może ją łatwo zrozumiemy... Wydawcy, którzy podjęli publikacyę dzieł Conrada, winni ją szybko

kotynuować, gdyż nietylko się opłaca, lecz daje możność puszczania powtórnych wydań. Krytycy nasi winni zabrać się do studyów nad Conradem, duchem oryginalnym, odmiennym, nowym, zuchwałym wśród naszych wieszczów i pisarzów. Z tej twórczości, która jest tak bezmiernie bliska i tak bezmiernie daleka, w dobie odrodzenia i rozwoju państwa, w chwili zetknięcia się z falami morza, wionie na naszą literaturę ogromne powietrze, atmosfera kuli ziemskiej. Śmiały, twardy, niepodległy, indywidualny człowiek — ustał. Musiał się zwrócić w naszą stronę, bo Polska tak jest w uczucie bogata, iż się z jej objęć nikt, kto szlachetny, nie wyrwie.

[1925]

[O WPŁYWIE LITERACKIM FRANCYI NA POLSKĘ]

[Odpowiedź na ankietę pisma Les Nouvelles Littéraires]

W odpowiedzi na cztery pytania Redakcyi pisma *Les Nouvelles Littéraires,* skierowane do mnie w liście z dnia 19. XI. 1924, odpowiadam według postawionych punktów:

1) Upodobanie świata artystycznego Polski w całości i ogromie piśmiennictwa francuskiego zawsze bardzo znaczne, w niektórych momentach, jak to zobaczymy niżej, ogromne, obecnie, wskutek całego splotu okoliczności, nie tylko nie maleje, lecz wzmogło się nadzwyczajnie. Każde nowe imię literackie i każde nowe wybitne dzieło budzi wśród nas żywe zainteresowanie, przechodzące nieraz, jak wszędzie na świecie, w dziedzinę snobizmu. Mam właśnie, pisząc te słowa, przed oczyma ostatni numer pisma artystycznego, w którem znakomitość literacka wyznaje indagującemu ją krytykowi, iż czytała wszystkie utwory Marcelego Prousta «z największym mozołem i największą przyjemnością». Jest to już chyba mąximum upodobania.

II) Na pytanie drugie niepodobna dać odpowiedzi, — gdyż ani romans polski, ani teatr, ani utwory poetyckie, ani studya estetyczne nie są naśladownictwami, czy też odbiciami analogicznych dziedzin twórczości współczesnej francuskiej. O ile niegdyś Molier był duchowym ojcem klasycznej komedyi polskiej, a poeci i dramatopisarze połowy XIX stulecia dominowali nad pewnemi talentami polskiemi, — o ile Maeterlinck był w pewnej mierze inspiratorem pierwszych utworów poety wielkiej miary, Stanisława Wyspiańskiego, — o ile możnaby mówić o pewnego rodzaju szkole maeterlinckowskiej, — to dziś wśród twórców polskich można skonstatować raczej wyzbycie się obcych wpływów. Niepodobna przytoczyć w pobieżnej notatce na stwierdzenie tego faktu dowodów z obcego i nieznanego we Francyi języka i piśmiennictwa, to też muszę poprzestać na zaznaczeniu, iż w literaturze współczesnej Francyi nie znajdujemy pewnych wysokowartościowych objawów twórczości, które ukazały się tutaj, zwłaszcza w dziedzinie poezyi.

III) Pytanie trzecie zaskoczyło mię. Duch francuski jest tak bogaty, tak głęboki i rozlewny, iż trudno dać odpowiedź na to pytanie kategoryczne nawet we własnem imieniu. Ponieważ Polska niezmiernie dużo zawdzięcza Francyi, a życiem literackiem przejmowała się i przejmuje bardziej, niż inne narody, muszę wytłomaczyć szerzej tę trudność wyboru «szkoły», czy «maniery», którąby według tutejszej opinii najdokładniej odzwierciedlała ducha Francyi. Muszę przytoczyć kilka przykładów. Już pierwszy kronikarz polski w zaraniu XII wieku, anonim tajemniczy, nosi zagadkowe imię «Gallus», bowiem jest albo Francuzem z pochodzenia, który umiłował Polskę i dał jej pierwszy, bezcenny, pisany w języku łacińskim rys zarania dziejów, z wdzięczności, jak sam mówi: «*ne frustra panem polonicum manducarem*», — albo jest Polakiem, który w klasztorach francuskich zdobył wiedzę i kulturę. Pierwszy pisarz narodowy w wieku XVI, świetny artysta Jan Kochanowski, bawił na studyach w Paryżu, obcował z Ronsardem i wiele ze swej sztuki mistrzowi francuskiemu zawdzięcza. Encyklopedyści wywarli bardzo znamienny nacisk na prozaików i poetów w dobie upadku państwa polskiego. Ich idee grają główną rolę w wierszach i prozie tego gorącego czasu. Nasi wielcy poeci «romantyczni», Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, większość żywota swego strawili na emigracyi we Francyi, obcując z wielkiemi jej duchami, przenikając nawzajem do gorących jej duchów i biorąc w siebie jej życie. Paryż był swego czasu jedynem i największem miastem literackiem Polski rozgromionej. Popioły dwu najsubtelniejszych poetów, Słowackiego i Norwida, dotąd spoczywają na paryskich cmentarzach, równie jak prochy filozofów, historyków, polityków, oficerów, żołnierzy. W kraju, pozbawionym w połowie XIX stulecia wolności słowa i literatury, Balzac nadewszystko był z zachwytem czytany przez warstwy oświecone i arystokratyczne. Rozwijająca się literatura narodowa musiała zwalczać i wykorzeniać ten wpływ i czytelnictwo. W czasach nowszych wpływ Stendhala i Flauberta był bardzo wydatny na konstrukcyę i fakturę twórczości prozaików polskich. Mniej tu zaważył Zola, aczkolwiek miał zwo-

lenników i naśladowców. Ten przydługi wywód był niezbędny dla uwydatnienia nadzwyczajnego znaczenia każdego z przytoczonych ogniw oraz całości tworzącej Francyi na duszę polską właśnie współczesną. Niezwykłe przywiązanie polskie do przeszłości utrudnia sprecyzowanie kultu dla jednej jakiejś «szkoły». Mamy tutaj wciąż znakomitych poetów, którzy odtwarzają w doskonałych przekładach poezyę francuską «antologicznie» — od czasów najdawniejszych do najostatniejszych. Są to poeci — «Miriam» (Zenon Przesmycki), były minister kultury i sztuki, Leopold Staff, mistrz słowa polskiego, doskonała poetka Bronisława Ostrowska i inni. Mamy tutaj pracownika, który kultowi literatury francuskiej w Polsce od zarania do chwili obecnej poświęcił całe życie i ogrom pracy. Jest to doktór medycyny Tadeusz Boy-Żeleński. Przełożył on na nowo świetnym wierszem całego Moliera i około ośmdziesięciu tomów pisarzów francuskich, poczynając od Villona, poprzez Brantôme'a Montaigne'a, Laclos, aż do Baudelaire'a. W tej ogromnej i doskonale wykonanej pracy znaczące miejsce zajmuje kult Balzac'a. «Boy» ogłasza nieustannie studya o Balzac'u i zapomocą odczytów bardzo uczęszczanych szerzy balzakizm, kult twórcy *Komedyi ludzkiej* jako autora najświeższej mody. Możnaby tedy mówić o tym balzakizmie jako o manierze francuskiej najbardziej typowej dla oczu polskich. Lecz, jak ze wszystkiego wynika, trudno tu jest w Polsce orzec [i] zdecydować, jaka szkoła czy jaka maniera wyraża najściślej ducha francuskiego. Jeżeli wolno jednak wyrazić osobiste mniemanie, to sądzę, [że] mistrz wszech czasów w sztuce pisarskiej, Gustaw Flaubert, najdoskonalej i najpełniej [wyraził] tego ducha.

IV) Każdy utwór nowszej powieści francuskiej — Romain Rolland, Marcel Proust, Georges Duhamel, Roger Martin du Gard, Paul Morand, przedwcześnie zgasły Raymond Radiguet znajdują tłomaczów (Romain Rolland i Georges Duhamel wielokrotnie), a jeżeli, wskutek trudności wydawniczych, nie ukazują się w przekładzie polskim, to są czytani w oryginale z najżywszą żarliwością przez koła oświecone. Wśród młodych poetów daje się dostrzec w jednych grupach kult Samaina, Rimbaud, Jammes'a, Claudela, w innych Guillaume'a Apollinaire'a. Lecz zgłodniałe życie twórczości polskiej podąża nowemi, nieznanemi, niedeptanemi przez nikogo drogami.

[1924]

O POTRZEBIE AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ

Niewygłoszone przemówienie na wieczorze literacko-artystycznym w dniu 22 czerwca [1924 r.].

Wieczornice takie, jak obecna, i przez taką, jak obecna, wywołane konieczność, najbardziej żywo uprzytomniają mi sprawę, której zaniedbanie mści się twardo na naszem życiu zbiorowem. Mówię o zaniedbaniu utworzenia instytutu, poświęconego uprawie w Polsce gruntu literackiego i ułatwieniu duchowego żywota pracowników na polu literackiem. Przed sześcioma laty ogłosiłem broszurę, poświęconą wykazaniu konieczności narodzin takiej instytucyi literackiej — p. t. *Projekt akademii literatury polskiej*. Pisałem to wówczas, gdy samej mowie naszej groził zalew i skażenie germańskie, gdy na jednym krańcu państwa powstającego, — w Zakopanem, — otrzymywało się papier urzędowy o takiem brzmieniu: «Poświadczenie zapotrzebowania do odpłatnego nabywania towarów podlegających obowiązkowi poświadczenia zapotrzebowania za wykazaniem konieczności zaopatrzenia», — a na drugim krańcu, na ostatnim przylądku helskiego półwyspu, można było czytać na tablicy przydrożnej: «Nie wolno mikołajka rośniącego nad brzegiem Bałtyku i na wydmach wykopywać, ani wyrywać, ani też całkowicie lub częściowo ucinać, lub też zrywać. Natrafioni będą ze § 34 ustawy polnej ukarani». Między jednem a drugiem oświadczeniem urzędowem o takiem brzmieniu można było wówczas napotkać nietylko w papierach publicznych, w gazetach, a nawet w pismach literackich takie «mikołajki», że sama istota bytu zbiorowego wołała o instytucyę jakąś, któraby «natrafionych» pociągała do odpowiedzialności przed trybunałem nieskażonej polszczyzny. W tej sprawie nie wystarcza doraźne skarcenie przez purystę językoznawcę, lecz konieczna jest stała i pilna praca około języka narodowego w mowie, piśmie i tworzywie, przedsięwzięta przez samych ludzi pióra. Oprócz nieskazitelności języka wskazywałem w swem pisemku inne ważne zadania, nad których realizacyą owa instytucya miała pracować. Być może, iż nazwa sama — «akademia» — była nieszczęśliwie wybrana, za obszerna i drażniąca. Nie chodziło jednak ani o haftowane fraki i kapelusze z koguciemi piórami, ani o rozdawnictwo pasportów do krainy nieśmiertelności, lecz o organizacyę i zorganizowaną pracę. Pismo moje owoczesne nie wywołało echa i zostało jako głos donkiszota, wołającego sobie na puszczy, zapomniane nie tylko ze względu na warunki życia państwowego, nie sprzyjające powstaniu podobnego organu, lecz także ze względu na niechęć do pracy w tym kierunku samychże piszących, — poetów, dramaturgów, prozaików, estetów, historyków literatury i wszystkich innych pracowników, w sposób twórczy lub umiejętny orzących naszą jałową niwę.

Tymczasem między chwilą ogłoszenia broszury, o której mówię, a chwilą obecną zaszły okoliczności, które stanowią mój smutny tryumf. Nie mogę tutaj wymieniać nazwisk i nie wolno mi zająknąć się od przytoczenia nieszczęść, na które w życiu naszych braci, pisarzy polskich, przyszło nam patrzeć w tym czasie. Wolno mi tylko tyle powiedzieć, iż pisarz polski, choćby najpierwszy, choćby taki, którego nazwisko będzie na wieczne czasy zapisane w literaturze złotemi zgłoskami, skoro go dosięgnie postrzał losu, skoro mu przyjdzie wałęsać się po ulicach stolicy, albo w najcięższej chorobie zalegać łóżko szpitalne, staje się objektem litości publicznej. Ale trzeba wówczas złożyć przed bogaczami niewątpliwe dowody jego istotnego obłędu, nie jakiejś tam neurastenii, która do pisania jest potrzebna, albo obnażyć rany istotne, odrażające, ażeby uwierzono, iż taki «łgorz» nie «szkli», — że zasługuje w chrześcijańskich sumieniach na wzgardliwą z pańskiego stołu kość jałmużny. W normalnym porządku rzeczy, czyli wówczas, gdyby instytut, którego założenie proponowałem, istniał rzeczywiście, pisarz w nieszczęściu powinien być właśnie ukryty przed oczyma ciekawych, zapaść się, jak kamień w wodę, w braterskie zaopatrzenie, w zaopatrzenie we wszystko, we wszystko bez wyjątku. Nie odkrywać jego ran i niedoli, lecz zakrywać je należy, zakrywać przed oczyma ciekawości — powszechnej. Dziś do kogóż to, prawdziwie, odwołujemy się w takich razach, jak żebracy? Do rządu, który, oczywiście, ma miliony potrzeb pilniejszych, niż jakaś tam literatura. Do społeczeństwa dzisiejszego, czyli do tych, którzy najobojętniej w świecie patrzą

na wyniszczenie takiej instytucyi, jak Kasa imienia Mianowskiego, — którzy na całym obszarze Rzeczypospolitej nie mają 40 tysięcy złotych, potrzebnych na sprowadzenie do kraju całego muzeum rapperswilskiego, aby dziś okazami swemi nie żebrało po odzyskaniu niepodległości u zwiedzających je licznych rzesz cudzoziemców o wskrzeszenie niepodległości, nie «odwoływało się wciąż do sprawiedliwości Boga i świata«, nie demonstrowało swych męczeństw w chwili, gdy cudzoziemcy podpisują protesty przeciwko grasującemu jakoby we wskrzeszonej Polsce «białemu terrorowi».

Instytut literacki możliwy jest do stworzenia, o ile chcieliby go stworzyć sami pisarze. Do tego celu potrzebny jest przedewszystkiem lokal, jakiś gmach po urzędach wojskowości, usuwających się do specyalnego budynku. W takim gmachu mogłaby w bardzo krótkim czasie powstać biblioteka literacka, gdyż, o ile mi wiadomo, wielu pisarzy posiada zbiory, które chętnie przekazaliby instytutowi, czyli owej »Akademii». W takim gmachu powinnoby znaleźć pomieszczenie archiwum literackie, czyli autografy i listy po pisarzach zmarłych, które dziś rozproszone są po bibliotekach nieraz w fatalnem zachowaniu. W takim gmachu winnaby powstać pracownia, poświęcona wielkiej ilości spraw, stanowiących przedmiot zainteresowań literackich, a więc pracownia do gromadzenia słowników języka, słownika gwar, gromadzenia dokumentów historyi piśmiennictwa i t. d. Takiego gmachu pisarze polscy mieliby prawo domagać się od rządu, i niewątpliwieby go dostali, gdyby chcieli. Ale nie chcą. Wolą pracować w odosobnieniu, albo wiecować w kawiarni. Wolą

odpowiedzialność za wszelkie niedomagania zbiorowego literackiego życia zwalać na urzędników państwowych, którzy do takich czynności, jak zawiązywanie stosunków z życiem literackiem zagranicą i z zagranicznymi pracownikami, nie nadają się, gdyż nie reprezentują literatury i wogóle wolą przepędzać czas w sposób państwowy.

Nieraz nasuwa się desperacka myśl, iż może byłoby lepiej, gdyby urzędów państwowych mniemanej opieki i mniemanej propagandy wcale nie było. Gdyby nie było tych koziołków ofiarnych, na których zwala się odpowiedzialność za fatalny stan stosunków, może obudziłaby się energia wśród samych pracowników literackich. Dziś rozmaite urzędujące politykusy albo powolne sługi partyi takich czy innych, mając sobie powierzony przez abnegacyę i bierność pisarzy zakres niby-działania tutaj i zagranicą, działają w interesie swych partyi albo według swego widzi mi się, nieraz na szkodę piśmiennictwa, a najczęściej siedzą sobie, napawając się rozkoszą siedzenia po długiem zabieganiu i wystawaniu.

Zachodzi pytanie matematycznej natury: skądżeby to projektowana buda literacka czerpała fundusze? Odpowiedź jest natychmiastowa: przedewszystkiem z dziedziczenia po ojcach, po pisarzach zmarłych, z honoraryów za nowe wydania pism autorów nieżyjących. Dziś jest sytuacya taka, iż po geniuszach lat minionych własność dziedziczą — wydawcy. Jan Lemański świetnie ten stan rzeczy sformułował w maksymie: «Geniusz poety należy do narodu, który go wydał, czyli do wydawcy». Któż zaś jest bardziej godny pobierania honoraryum za druk dzieł pisarzy zmarłych od literatów

dziś twórczo pracujących i od pisarzów przyszłości, którzy kiedykolwiek działać tu będą? Ani ci, ani tamci, potomkowie, nie chowaliby odsetka ceny za pisma przodków do kieszeni, lecz używaliby tego spadku na stypendya dla talentów niewątpliwych, na podróże dla adeptów literatury do ognisk cywilizacyi, na wydawnictwa klasyków, umiejętnie opracowane, na bibliotekę arcydzieł wszechświatowych w doskonałych przekładach, na badanie literackie źródeł, na prowadzenie prac słownikarskich, gromadzenie gwar, wreszcie na czynną opiekę nad upadającymi, chorymi, bezsilnymi, nieszczęśliwymi.

Dziś literaci polscy żyją w rozsypce, nie tylko w rozterkach wzajemnych, podzieleni przez partye polityczne i przydzieleni do rozmaitych partyi, ale nadto podzieleni na twórców i «geneziarzy», czyli buchalterów literackich. W swoim gmachu zobaczyliby się nareszcie oko w oko i zaczęliby rozmawiać o swych sprawach. Jeżeliby się kłócili, to przynajmniej o to, co zasługuje na kłótnię i dąży do rozstrzygnienia, co stanowi materyał i co stanowi wykwit tej sztuki, w której usługach wszyscy trawią życie.

Do stworzenia literackiego w Polsce ośrodka przychodzi inicyatywa nawet z zewnątrz. Istnieje w Anglii międzynarodowy klub pisarzów, z którego wszelka polityka została wyeliminowana, pod nazwą «P. E. N. Club» *(Poets-Essaysts-Novelists).* Prezesem tego stowarzyszenia jest John Galsworthy, a członkami najgłówniejsi pisarze Anglii, Francyi, Belgii, Włoch, Norwegii, Szwecyi, Niemiec, Holandyi, Stanów Zjednoczonych i t. d. Na liście członków honorowych figurują — Hardy, Yeats, Hofmannsthal, Maeterlinck, Brandes, France,

Romain Rolland, Croce, Mereżkowskij i Gorkij, Hamsun i Bojer, i t. d. Nie wiem, z czyjej rekomendacyi zaproszony zostałem na członka honorowego tego międzynarodowego klubu, lecz to niezasłużone wyróżnienie sprowadziło mi na głowę szereg listów, żądających założenia w Polsce odłamu owego «P. E. N. Clubu». Jakże tu jednak założyć odłam stowarzyszenia o charakterze międzynarodowym, gdy tutaj nikt nie myśli o zorganizowaniu stowarzyszenia o charakterze narodowym? Nikt o nas nie wie na świecie i nikt nie wie, z kimby w Polsce zawrzeć literacką znajomość, do kogo się zwrócić i o czem radzić. Nikt też nie może literatury polskiej reprezentować, nie jako jej król czy prezydent, burmistrz czy wójt, lecz jako normalny i potulny prezes instytucyi.

Są tacy, którzy utrzymują, iż tak, jak jest, jest najlepiej, każdy żyje na swoją rękę i pracuje oddzielnie. Poco nam jakieś tam organizacye? Prace wykonywa się w samotności. Niewątpliwie! Lecz pracujący w samotności dowiaduje się, że w jego także imieniu ktoś idzie z czapką do rządu po pensye i zasiłki. Jakie pensye, jakie zasiłki! Kto będzie decydował o tem, komu rzucić ów rządowy zasiłek, czy go obdarzyć pensyą? Stronnictwa w sejmie albo urzędnik desygnowany. Gdyby istniała akademia literacka, ona jedna byłaby sądem sprawiedliwym i niewątpliwym, gdyż my jedni wiemy, kto w naszej sztuce jest majstrem, a kto fuszerem.

Są tacy, którzy się lękają, ażeby proponowana instytucya nie stała się sanhedrynem starców, wielkich mogołów, zaskorupiałą twierdzą literackiej reakcyi. Sądzę, iż byłoby wprost, przeciwnie. Ta to instytucya byłaby wieżą strażniczą, sygnalizującą wiekuistą nowość. Ona to miałaby przedewszystkiem książki, czasopisma i wszelkie źródła nowe. Ona przez dyskusye, odczyty, rozmowy i wpływy podnosiłaby poziom naszego życia wyżej, a, co najważniejsza, przeniosłaby ogół pracowników z kawiarni, z jałowej i głuchej samotności, w której pokutuje rutyna lub snobizm, do sali obrad, na literackie agora, gdzie ścierałyby się najświetniejsze szpady krytycyzmu.

Ileż to spraw aktualnych czeka na wszczęcie, na zapoczątkowanie, na rozwiązanie! Z całego ich ogromu wyjmę dwie, najbardziej interesujące. Pierwsza sprawa — to sprowadzenie do kraju zwłok Juliusza Słowackiego. Nie mam tutaj czasu na jej wyłuszczenie, a nawet na uprzytomnienie. Zaznaczę tylko, że przecie zebranie obywatelskie przed laty, pod przewodnictwem marszałka Badeniego, w sali rady miejskiej miasta Krakowa, zdecydowało sprowadzenie zwłok poety i złożenie ich na Wawelu. Gdy kardynał Puzyna oświadczył, że ich tam nie puści, sprawę tę wogóle porzucono, a uchwały nie cofnięto. Gdy zaś znaczny zespół pisarzy i artystów wszelkich odcieni przekonaniowych podpisał odezwę, ażeby zwłoki wieszcza złożyć przynajmniej w ziemi rodzinnej i zaproponował na grobowiec jedną z gór w Tatrach, to jeden z pisarzy, p. Jan Gwalbert Pawlikowski, potraktował inicyatorów tej myśli w sposób brutalny i kazał wszystkim «czekać». Otóż i czekamy. Przyszła niepodległość, a od p. Pawlikowskiego nie doczekaliśmy się wszczęcia tej sprawy, której pozostawienie tak jak jest stanowi zniewagę wielkiego poety.

Druga aktualność — to Stanisław Brzozowski. Jedni go czczą, jako mistrza, jako spowiednika duszy narodu, a inni twierdzą, że to ni mniej ni więcej tylko agent byłej carskiej «ochrany». Wracają z Rosyi rozmaite tajne papiery, a nikt nie pomyśli o zbadaniu tej strasznej zagadki, której zagmatwania są najboleśniejszą kartą naszych literackich dziejów, gdyż, jeśli oskarżony o zbrodnię zdrady jest winien, to mamy do czynienia z fenomenem obłudy na miarę niesłychaną, a jeśli jest niewinny, to mamy do czynienia z potwornem zjawiskiem morderstwa publicznego, bezkarnego, dokonanego zbiorowo na ciele i na duszy, jakie trudnoby znaleźć gdziekolwiek na świecie.

Nasuwa się pytanie najbardziej niepokojące: ktoby należał do instytucyi, o ileby powstała. Czy to nie będzie klika synekurzystów, związek kalek i niedołęgów duchowych, narzucający się na przewodnika «młodym, zgłodniałym i silnym» w niebosiężnych górach twórczości? Ale rozejrzyjmy się tylko dokoła. Jak świetne prace dziś, w naszych oczach powstały, a nie otrzymują należytego nie tylko uczczenia, lecz nie znajdują czytelników. Prace profesorów Morawskiego, Witwickiego, Zielińskiego, Brücknera, Nitscha, Łosia, Rozwadowskiego, Łempickiego, ogromna praca odtwórcza Jana Kasprowicza, Miriama, Czubka, Staffa, Żegoty-Cięglewicza, Jedlicza, Wyspiańskiego, Boya, Langego, Grossekowej, Józefa Jankowskiego i tylu innych!.. Młody Józef Wittlin siedem lat pracuje nad przekładem *Odyssei*. Dlaczego nie obcujemy z tymi ludźmi, czemu nie słyszymy ich wykładów i odczytów, czemu nie widzimy żadnych grup literackich, w które ci przewodnicy

rzucaliby promienie wieczyście nowego postępu, które się świecą w ich pismach? Wszyscy wiemy doskonale, kto wśród nas jest talentem, i wszyscy wiemy, kogo należy do «akademii» powołać.

Sięgam po tom najnowszy, który się właśnie za szybą księgarską ukazał, po *Różową magię* Maryi z Kossaków Pawlikowskiej. Oto wiersz p. t. *Lenartowicz:*

Złotniczeńku ty na niebie,
chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek, proszę ciebie,
z szczerozłota gwiaździstego.

Zrób mi kubek! Zrób mi kubek!
— Ale proszę zrób mi ładnie —
wyrzeźb wszystko w nim co lubię:
ptaka, serce, gwiazdę na dnie.

Zrób mi lekki i nieduży,
ale mocny zrób i twardy —
niech mi całą wieczność służy!
Chcę pić z niego dla twej chwały.

Otrzyj ręce twe z pozłoty,
którą złocisz świat pociemku —
dla miłości, dla tęsknoty
uczyń kubek, złotniczeńku.

Najcudniejsza i najgodniejsza pochwała tej poezyi cichej, najrdzenniej polskiej, możnaby powiedzieć — «wiślańskiej», tutejszej, rodzimej. Znaleziono tu określenia czarodziejsko trafne. Mówi się «—Złotniczeńku!» Jakże to będzie mianownik od tego wołacza? Nie istniał w mowie, lecz znaleziony został i tkwi w tym

kubku szczerozłotym, jak perła uryańska. Powiedziano tu, że tamten cichy i pokorny «złocił świat pociemku». O, słowo skrzydlate, piękne i prawdy pełne! Znam niewydaną korespondencyę Lenartowicza, leżącą w Rapperswilu, i wiem, że to określenie jest złote. W zapomnieniu, w dalekiej Florencyi, w pustej rzeźbiarskiej pracowni aż do ostatniego tchnienia «złocił świat pociemku». W wolnej ojczyźnie uczciło jego duszę to arcydzieło nowoczesnej poezyi.

Ośmielam się na jedną krótką chwilę, z deklaracyą natychmiastowego zwrotu, z pokorą i czcią ująć ten kubek szczerozłoty, — napełniam go tęgiem winem entuzyazmu, na jaki tylko mię stać, a którym się w życiu krzepiłem, i wnieść w ręce młodej poezyi i młodego pisarstwa toast na cześć skarbu, który jest najdroższym skarbem ojczyzny, na cześć wiecznej potęgi i wiecznej sławy literatury polskiej.

PRZEMÓWIENIE O SIENKIEWICZU

Pokosy śmierci od chwili wybuchu wielkiej wojny rzucające w czarną ziemię nieprzeliczone w naszym narodzie zasoby jego siły męskiej, nie szczędzą również najdostojniejszych kwiatów ducha, jakie ta ziemia wydała. Zgasł w tym czasie niemal stuletni Teodor Tomasz Jeż, nie doczekawszy się po długiej nocy czuwania jutrzni wolności, świtającej nad Polską, — on, co przez długi swój żywot zdążał do jej granic wszystkiemi szlakami Europy, — a do niewolnej nie chciał wrócić z tułactwa. Gdy my jedynie z podań historyi, z pożółkłych stronic politycznej broszury, z rapsodu żałoby zapomnianego poety znamy cień wodza Bema, — on patrzał w jego srogie oczy przed bitwami siedmiogrodzkiemi. Spał, głowę składając na kretowisku, pokotem obok wodza Dembińskiego. Szedł tajnemi ścieżkami prac wyzwoleńczych od Paryża po Konstantynopol i od Londynu po Bukareszt obok Mickiewicza, Lelewela, Nabielaka, obok mężów Towarzystwa Demokratycznego i obok twórców 63-go roku. Potem, samotny, myślą zawsze skierowaną ku zorzy wolności, ukrytej w nocy, pismami swemi i zabiegami, w Europie i w Ameryce, zapalał i rozżarzał serca czasu naszej młodości, —

zabiegami, które należy nazwać temi samemi słowy, jakiemi określono czyn Mochnackiego na marmurowym w Auxerre pomniku: *actionibus publicis vehementissimus*. Spoczął w ziemi dalekiej żołnierz wytrwały, wędrowiec samotny, pisarz niezłomny, szermierz niepochwalony według zasługi, — odszedł do szeregu wielkich współtowarzyszów broni.

Zamknęły się wśród tychże krwawych dni jasne oczy Stanisława Witkiewicza, aż do starości oczy dziecka prawdomównego, które z najgłębszym na pokolenie entuzyazmem i z najbezwzględniejszą szczerością szukały w tym świecie tego, co jest jedyną pociechą wśród tylu nędz i jedynem dobrem wśród tak wielkiego zalewu ohydy, — objawów piękna wiecznego. Widziały one scenę ogromną, drugą scenę polskiego teatru po tamtej, w której aktorem był Teodor Tomasz Jeż, — dziecięce — widziały Sybir, katownię ojca i matki, — młodzieńcze — Petersburg w dobie popowstaniowej z jego środowiskiem polskiem rozbitem, jak owce przez wilki,— Warszawę z poddaszami wielkich później artystów, — Monachium, pełne rozbitków roku 63-go, — męskie — widziały Zakopane z jego dawnym światem, w przedburżuazyjnym okresie, w długiej dobie braterstwa z tutejszym ludem, badania i tworzenia nowych wartości ze starego przędziwa odwiecznej sztuki ludowej, — wreszcie sędziwe patrzyły długo w cichą zatokę Quarnero, jakoby w obraz wieczności. Cała ta widownia odbiła się w licznych pracach, które są znane powszechnie, lecz nadewszystko odzwierciadlała się w żywem, artystycznem słowie, pełnem krasy tak niezrównanej, wesela tak helleńskiego, iż, gdyby to słowo ujęte

było przez pismo, stałoby się najpiękniejszą plemienną epopeją z tego okresu czasu. Lecz czarowne słowo rozwiało się i przepadło wraz z tym bezcennym człowiekiem...

Ostatnie czasy, tyloma przeładowane wiadomościami, przeszyła wieść o śmierci Henryka Sienkiewicza. Jeżeli tamci dwaj pracownicy osiągnęli trudami swemi, każdy we własnej dziedzinie, sumę nowych wartości w narodzie i podwyższyli stopień jego zjednoczenia się w społeczeństwo dostojne pośród rodziny ludów, to Henryk Sienkiewicz osiągnął najwyższy gradus tej skali. Jest to rzeczywiście zjawisko niezwykłe, ażeby człowiek nie obdarzony zakresem władzy, przekazanej mu przez inną władzę, ani siły, wręczonej mu przez siłę zbiorową, lecz własną jedynie wewnętrzną mocą, przekazaną nietrwałemu pismu, mógł osiągnąć potęgę tak iście hetmańską. Jakimże sposobem do tego doszło? Jakie były tego władztwa pierwiastki?

Henryk Sienkiewicz posiadał od natury niezwykły dar słowa. Dziś, gdy sztuka pisarska nadzwyczajnemu uległa udoskonaleniu i uprawie, nie widać już może tak wyraźnie tego znaczenia, jakie dla rozwoju artystycznej prozy polskiej miały pierwsze cztery tomy jego *Szkiców*. Kto przeżył ten wpływ w młodości, ten musi stwierdzić, iż na tle owoczesnego pisarstwa było to słowo nowe, inne, własne, wydobyte z pospolitego języka, z mowy codziennej szlachty, mieszczan i chłopów. Ten swój pierwszy dorobek znakomity pisarz doskonalił przez całe życie, przystosowując go do rozmaitych zawartości, które nim wypadło przyoblekać. I dziś jeszcze, mimo rozpowszechnienia form i rodzajów

artystycznych, nikt go nie prześcignął w spokojnej, prostej, a doskonale pięknej budowie zdania, w logicznym rozwoju okresów, uwydatniających obrazy i ukazujących myśli. Czytając utwór Sienkiewicza jakiejkolwiek natury, nie doznajemy przykrości i nieznośnych zahaczeń o skazy, zadry i szczerby, — ani jednego tam fałszu dla oka, ani jednego dla ucha. Trzeba mu przyznać pierwszeństwo, jako mistrzowi sztuki pisania, samego kunsztu wypowiedzenia się po polsku na piśmie. Nie poprzestał on jednak na wszechwładnem ogarnięciu mowy dzisiejszej, którą się posługiwał w utworach malujących współczesność, albo którą uderzał jak szpadą, gdy trzeba było stawać w obronie wszystkich Polaków, — lecz posunął się do rozłamania wrzeciądzów skarbca mowy starej, prapradziadowskiej, do gwaru wojny i pokoju Rzeczypospolitej. Otworzył przed nami ów skarbiec siedmnastego wieku i dał literaturze polskiej arcydzieło stylu: — usłyszeliśmy na własne uszy żywą mowę naddziadów, leżących po lochach kościołów, po szlakach dzikich pól, między wybrzeżem a wybrzeżem obudwu mórz, dokądkolwiek dobiegło polskiego konia kopyto. To władztwo nad językiem żywym i martwym służyło przedewszystkiem do uwydatnienia elementu zdrowia i siły, — do podkreślania wynikającego z nadmiaru siły pierwiastka walki, jako motywu twórczego, — i chwały, jako rezultatu i nagrody. Ów atut siły, jako motyw i efekt twórczy, jest w utworach pisarza jak gdyby wrzecionem, na które nawijają się włókna różnorakich legend. Wskazuje on niewątpliwie na to, iż sam twórca miał nie tylko w duszy, lecz niejako w żyłach, w kościach i szpiku kości

ową moc lwa spragnionego walki. Jeżeli nie był w stanie wyładować jej materyalnie, to kładł ją w pismo, jak «nabój w burzące działo».

Zachodziło to wówczas, gdy społeczeństwo poszarpane, przywalone ogromem nieszczęść żyło w milczeniu, pełnem smutku i zwątpienia. Lecz w żyłach wielkiego narodu pod zewnętrznemi ranami i pod zewnętrznym bezwładem, w jego kościach i szpiku kości trwała i krążyła tasama lwia siła, moc plemienna, zbiorowa, olbrzymia. Stąd poszło zrozumienie się pisarza z narodem, połączenie się w piśmie i czytaniu tak zupełne, jakiego zapewne nie osiągnął jeszcze żaden z piszących na świecie. Przypominam sobie z lat minionych w małem miasteczku Królestwa, miasteczku pogrążonem w zabiegi około zarobku i przeżycia, w brud i pospolitość człowieczej wegetacyi, tłum rzemieślników, rolników, terminatorów i wszelakiej małomiejskiej mizeryi, zbierający się przed urzędem pocztowym, ażeby tamże na miejscu słuchać odczytywania na głos przez jednego z oświeceńszych czeladników z gazety, prenumerowanej za grosz składkowy, — przygód pana Kmicica, powodzeń i niepowodzeń Rocha Kowalskiego i facecyi pana Zagłoby. Jednocześnie najbardziej wyrafinowane i przesiąknięte cudzoziemszczyzną salony arystokracyi i plutokracyi, snobizm mieszczański i żydowski uprawiały niejako pod przymusem najżywszy kult tegoż pisarza. Na stancyach uczniowskich, w izbach najczerwieńszej, radykalnej młodzieży w Zurichu, Genewie i Paryżu, naprzekór wszelkim teoryom, czytywano tesame utwory. Były one, jak wiemy, ulubioną lekturą legionistów w rowach strzeleckich, —

jak wykazały ankiety w kwestyi czytelnictwa, są najpopularniejszemi w chatach śląskich górników, w dworach szlacheckich i w dworkach drobnej szlachty na Podlasiu i Litwie, w chałupach oświeceńszych chłopów na obszarze całej Polski. Dotarły wszędzie, gdziekolwiek skupiła się gromadka ludzi mówiących po polsku w Rosyi, Ameryce północnej i południowej, tworząc podwalinę zbiorowej biblioteczki. Poszły w ślad za Polakiem, dokądkolwiek ruszył za chlebem i dokądkolwiek w wędrówce swej zabrnął. Jeżeli bowiem był tak biedny, że o żadnym druku myśleć nie mógł, tylko zarobkiem zajęty, skoro tylko pierwszego się grosza dorobił i udał do pierwszego z brzegu miasta, to tam wśród rzeczy niezbędnych, które mu nabyć wypadło, pokazano mu z pewnością książkę Sienkiewicza w przekładzie na taki język, w którego dziedzinę los go rzucił. Bo nie tylko do rąk polskich trafiły te książki. Dostały się one i tam, położyły się na stołach tych, dla których samo imię polskie było nienawistne, — kazały zachwycać się tem, co skazane zostało oddawna na zapomnienie i zagładę, — wzbudziły upodobanie do tego, co przedtem rozjuszało jedynie fanatyzm i nienawiść. Na Polaków biła z tych książek tężyzna żywotna, wiara w siebie, rodząca męstwo, fantazya kawalerska, pewne swego sukcesu uniesienie mocy, beztroska idąca naprzebój, niepamiętna o możliwości porażki, potęga zapału, jako wynik siły ramienia, swada, ekspresya, humor i dobry polski ton, doradzający czego się trzymać na świecie.

A nie tylko dla Polaków leżało w tych książkach coś cennego, bo *cow-boy'e* w stepach, Burowie w południowej Afryce, żołnierze i marynarze, politycy, kupcy, poszukiwacze przygód, aferzyści w New-Yorku, skwaterzy amerykańscy i sekciarze angielscy, wykwintni bulwarowcy w Paryżu, gorący lud Florencyi i Neapolu, stateczni robotnicy w miastach niemieckich i historycy w swych gabinetach — wszyscy przecie czytali skwapliwie *Quo Vadis*. Jak szeroki jest świat, tak szeroko rozpostarła się sława pisarza. Musiało tedy być w nim coś powszechnie ludzkiego, godnego uwagi, budzącego upodobanie wśród tylu stref, ras, narodów i warstw. Zarówno powstanie *Quo Vadis*, jak powodzenie tej książki na świecie, a więc do pewnego stopnia sposób, w jaki została napisana, wskazują na drugi pierwiastek natury pisarza, na jego religijność i przynależność do świata łacińskiego. *Quo Vadis* jest najpopularniejszą książką tego świata, najefektowniejszym jego wyrazem. Wrażliwości, której nie porwie równie katolicki i wysoce utalentowany, lecz ciężki i surowy Manzoni, uwadze, do której nie przemówi nerwowy i pełen wybuchów Fogazzaro, uczuciu, którego nie opanuje patetyczny Paweł Claudel, albo zbyt szczery, zbyt bezwzględny Franciszek Jammes, przekonaniu, którego nie ujarzmi ostentacyjnie uroczysty Paweł Bourget, systematowi myślenia, którego nie zdoła poprowadzić za sobą w swe niedostępne zawiłości kardynał Newman — narzuca się *Quo Vadis* swemi płomiennemi barwami, opisami wspaniałych pochodów, pożarów, uczt, walk na arenach i w zaułkach wiecznego miasta, wnętrza katakumb, obrazami grozy i rozpasania, rozpusty i mąk ducha, zdrad i niespodziewanych nawróceń, całą masą i mocą plastycznych obrazów, których głównym, jak

zawsze, efektem jest manifestacya siły fizycznej oraz mocy cielesnych wzruszeń i cierpień.

Trzecią bowiem najbardziej uderzającą cechą pisarstwa Henryka Sienkiewicza jest zewnętrzna plastyczność. Ten wyraz plastyczność, utworzony z greckiego źródłosłowu *plasso* lub *platto*, co znaczy — kształtuję, urabiam, oznacza w naszem rozumieniu zdolność do wyrażania zapomocą utworzonego kształtu i zapomocą ruchu nadanego kształtowi najbardziej istotnych, zasadniczych cech zjawiska. Tę zdolność wyrażania radości i cierpień zapomocą kształtów bijących w oczy, obrazów nad wyraz oczywistych Henryk Sienkiewicz posiadał w stopniu szczególnym. Nadewszystko co do stanów bytu fizycznego, zajść życia w borykaniu się, w walce, w rozpętaniu pasyi, w napięciu kości i mięśni. Dość tu przytoczyć niezrównany, arcymistrzowski opis walki byków w Madrycie, polowania na tura w *Krzyżakach*, sceny z bykiem w *Quo Vadis*, świetne sceny myśliwskie w książce dla młodzieży *W pustyni i w puszczy*, walki Ursusa z Krotonem, Kmicica z Wołodyjowskim, Podbipięty z Tatarami, wbijania na pal, wyrywania języka Jurandowi, szczególniej zaś pewien opis zwady i bójki w karczmie z *Potopu*. Ostatnia scena posiada taką moc ekspresyi, iż sama jedna może starczyć za symbol owych czasów, za dokładny obraz XVII wieku na pograniczu zachodu i wschodu. Należy zauważyć, iż ta zewnętrzna plastyczność rzadko i mniej skutecznie przeciska się do głębi, — którą, niby promienie Roentgena, ukazują nam niezrównani malarze i plastycy wnętrza Stendhal, Balzac, Flaubert...

W społeczeństwie takiem, naprzykład, jak francuskie, które w krwawych walkach wewnętrznych, partyjnych i międzywarstwowych dawało wyraz swym wiarom i przekonaniom przez wytoczenie istnych strumieni krwi w rzezi hugonotów, w szczękaniu noża gilotyny podczas wielkiej rewolucyi, w walkach barykadowych roku 30-go i 48-go, we wzajemnych bratobójczych wystrzeliwaniach się czasu komuny, — tendencya utworów literackich wyszła z nich... nazewnątrz. Zajęła ona miejsce swe w parlamencie, w radach municypalnych i izbach robotniczych. Osiągnięty został podział w zakresie artystycznym i społecznym. Każdy z tych zakresów pracy uzyskał niezależność i wymiar sfery wpływu. Nie można, oczywiście, utrzymywać, ażeby wszelkie utwory literackie, powstające we Francyi, miały być pozbawione idei przewodniej, a nawet tendencyi, lecz faktem jest niewątpliwie stwierdzonym, iż tam literatura wywalczyła sobie najszerszy zakres swobody co do wyboru tematu i metod jego traktowania. Wskutek tej swobody, zaopatrzona w niezmierny zasób doświadczeń wielowiekowej kultury, mogła pójść w głąb zjawisk, badać najdalsze przyczyny i powody zewnętrznych komplikacyi, rozpatrywać człowieka w jego istocie i prawdzie tajnych jego przeżyć. Rzadko tam już spotykamy doktryny i intencye pisarza, poprzebierane za figury literackie, oraz dydaktyzm i nauczycielstwo skierowane do czytelnika. Pisarz zachodu ujmuje życie ludzkie ze spokojem badacza, z przenikliwością odkrywcy i czułością poety. Nawet łotrostwa zwierząt, ukazujących się w ludzkiej postaci, wywody głupców udających myślicieli i przygody nieszczęśliwych, popadających w beznadziejną śmieszność nie

budzą pasyi, ani uniesień, uwydatnianych gdzieindziej we wskazówce, podanej publiczności przez pisarza. Przeżycia postaci, pokazanych bezstronnie, są tak ludzkie i powszechne, iż ten, kto je w czytaniu obserwuje, musi je uznawać za własne swoje wspomnienia lub doświadczenia. Pisarz taki, jak, naprzykład, Flaubert, z nieporównaną dostrzegawczością przedstawia nie tylko objawy zewnętrzne codziennego i pospolitego życia — radość i smutek, przebiegłość i złudzenie, bezmyślną wegetacyę i świadomy czyn, miłość i zdradę, rozkosz i rozpacz, narodziny i śmierć, lecz uprzytamnia również świat wewnętrzny, tajny, podświadomy, daje obraz sekretnej maszyneryi, która powoduje zdarzenia jawne, odsłania ukryte życie i samą w sobie śmierć wewnętrzną, zanim nastąpiła śmierć fizyczna, — umie pokazać z takiem okrucieństwem, prawdą i bezstronnością, jak to czyni sama przyroda, uniesienia duszy, złudzenia jej i przerwanie jej życia, skon duszy, zanim nastąpił skon ciała. Zwyczajna opowieść o życiu mężczyzny i kobiety przemienia się pod jego piórem na symboliczny obraz życia ludzkiego, staje się bezstronną a przecie żałość budzącą legendą o dziejach Adama i Ewy po wiekach wieków od wygnania z raju, epopeją o okrucieństwie i zawiłościach uczuć, o niedoli ślepych złudzeń, bezkarności łotrostw i tryumfie śmiesznej paplaniny.

Wielki pisarz polski miał pełną moc malowania owego wewnętrznego świata i złożył tego dowód w powieści pod tytułem *Bez dogmatu*, aczkolwiek narzucił jej własną tendencyę, — lecz w warunkach, które osaczyły jego twórczość, nie był w stanie uprawiać sztuki

badawczej, o jakiej przed chwilą była mowa. Olbrzymie zaufanie, jakiem był obdarzony przez społeczeństwo, zmuszało go do nauczycielstwa i satyry. Czy rady i wskazania pisarza były dobre, czy złe, jego nagany słuszne, czy jednostronne, nie pora dziś przesądzać. Dopiero potomność oceni trafnie i sprawiedliwie te płody jego twórczości, patrząc na stworzone w pomroce niewoli wśród białego dnia wolności i w słońcu bezpieczeństwa nowych polskich pokoleń,

Jedno wszakże należy podnieść z naciskiem. Jakakolwiek mogła być pobudka twórcza jego dzieła, nauczająca, czy karcąca, to wielki ów plastyk, ujmując temat z zewnątrz niejako podsunięty, nadawał mu cechy tak niezrównanego artyzmu, przesycał go pomysłami własnemi tak nowego i nienaśladowanego rodzaju, iż figury wyprowadzone stawały się kreacyami sztuki czystej. Plastyczność takich figur, jak Zagłoba, Roch Kowalski, Rzędzian, Bogusław Radziwiłł, Kmicic i jego kompania, Wołodyjowski, Kiemlicze, Podbipięta, nadawała utworowi Henryka Sienkiewicza znamię sztuki w najwyższym stylu, wprowadziła te postaci do areopagu najcenniejszych kreacyi w literaturze świata, unieśmiertelniła ich trwanie w pamięci powszechnej.

Byłoby rzeczą zbyteczną przypominać i uprzytomniać stronę działalności publicznej zgasłego pisarza, — wyliczać jego listy w sprawach krajowych, odezwy do społeczeństwa w razach klęsk elementarnych, nawołujące do ofiarności, — wystąpienia publiczne w razach powszechnej rozterki, ankietę w sprawie polskiej, która poruszyła wszystkich pisarzów świata, — odezwy w rzęczach oświaty, — z racyi

prześladowania naszej narodowości, ogromną pracę, prowadzoną wespół z mecenasem Antonim Osuchowskim na rzecz obrony ziemi w Poznańskiem, szkolnictwa na Śląsku, zbiórek na Macierz Szkolną w Królestwie, na rzecz pomnika Mickiewicza w Warszawie, wreszcie ostatnią działalność w sprawie ofiar wojny, która to działalność wydała wielomilionowy rezultat. Wszyscy te akty i prace w żywej mamy pamięci. Widnieje w nich gorąca miłość ojczyzny, świeci się niestrudzona gotowość do dzieła. Henryk Sienkiewicz miał w inicyowaniu, poruszaniu i przeprowadzaniu tych dzieł szczęśliwą rękę. Nigdy nie zawiodła rzecz wszczęta przezeń, nigdy nie chybiła siła rzutu tej mocnej i wprawnej dłoni. Nam, którym tak długo nic się nie udawało zbiorowego, nam, co nie mieliśmy poza sobą rządu, konsulatu, opieki prawnej, ten człowiek samotny a przemożny starczył nieraz za polityczny i społeczny urząd. Ileż to razy ściągał i wiązał w jedno całą naszą sprawę, opasując nas powrozem swego ducha! Ileż razy, jako ów Ursus, wychodził sam na arenę, ażeby na śmierć mocować się z prześladującą nas bestyą! Wszystkie oczy były na niego zwrócone, wszystkie usta wymawiały jego imię, nawet usta zawistników i nieprzyjaciół, których i on nie był pozbawiony. Był najpierwszym z żyjących Polaków, stał się człowiekiem-sztandarem. Kiedy ustanie wicher straszliwy, niszczący narody najprzedniejsze, kiedy ich reprezentanci utworzą koło, radzące o jakiejś lepszej, wyższej, bardziej godnej człowieka formie bytu, Henryk Sienkiewicz byłby był najbardziej powołanym do przedstawicielstwa tego nowego lądu polskiego, który się z oceanu cierpień,

z pod przypływu i odpływu morza łez wysunął pod słońce, — byłby najodpowiedniejszym rzecznikiem Rzeczypospolitej, posłem przemawiającym w imieniu Królowej o jej prawie do korony, — człowiekiem naszego narodu, który posiada w sobie głos dwudziestu kilku milionów i zaufanie wszystkich, od najbiedniejszego włościanina do najbogatszego magnata. Niedola śmierci zaciążyła nad sprawnością przenikliwego umysłu, który usiłował rozwiązywać węzły, krępujące ducha ludzkiego, i pętle, co ciemiężą ciało. Rzecznik sprawy polskiej przed światem musiał upaść na progu, przed zaczęciem dzieła wolności. Żal całego narodu, żal szczery i głęboki otoczył jego mogiłę. Żałuje go Korona, jak długa i szeroka, jednego z najlepszych swych synów, jakich przez wieki wydała. Żałuje go Litwa święta, którą nanowo po wielkich Litwinach w całej ozdobie i bujnej przeszłości ukazał. Żałuje go Chełmszczyzna, której był najpilniejszym nauczycielem wytrwania i gorliwym obrońcą. Płacze po nim ziemia poznańska, niemem łkaniem Jurandowem i krwawemi jego łzami. Opłakują go ziemie śląskie, które głęboko miłował i ze wszech sił wspierał w ich narodowej pracy. Szczerze i głęboko żałuje go literatura polska, którą wywyższył, rozsławił po ziemi i bezcennemi klejnotami ozdobił.

Cześć, wdzięczność i miłość po wsze czasy jego imieniowi.

[1916?]

«O CZYSTOŚĆ I POPRAWNOŚĆ JĘZYKA»

I

Kuryer Poznański zamieścił niedawno we dwu odcinkach artykuł p. t. *O czystość i poprawność języka* — podpisany pseudonimem «Sonet». Redakcya pisma zaopatrzyła ten artykuł w przypisek, głoszący: «...nie na wszystkie wywody Szan. Autora się godzimy». To zastrzeżenie było w istocie niezbędne, gdyż obok szeregu błędów, które autor wyłowił w mowie ustnej, w gazetach, pismach ulotnych, przewodnikach, książkach do nabożeństwa, w utworach literackich i pracach naukowych prof. Brücknera, prof. Chmielowskiego i prof. Danysza — karci on, jako błędy, wyrazy i zwroty nie zupełnie na to zasługujące. W jednem miejscu swej rozprawki pisze: «Do dziwolągów zgoła prowadzi szerząca się coraz więcej mania tworzenia na wzór niemieckiego wyrazów złożonych, którą prof. Brückner w swych *Dziejach języka polskiego* słusznie potępia, chociaż sam pisze «słoworód» i «słowotwórstwo». Tak jeden ze znanych bardzo lekarzy poznańskich proponował swego czasu, poprawiając niby «tężec karku», by mówić «zapalenie mózgordzeniowe»... Przoduje

w tym względzie jednak Żeromski ze swemi oczodołami, szybkobiegaczami, koszokupami, mostołodziami i t. d. Maluczko, a usłyszymy o nosochustkach i stołonogach». Czytelnik artykułu, rozweselony «nosochustkami i stołonogami» pomysłu p. Soneta, słusznie mógł wnioskować, iż rzeczowniki «oczodoły, szybkobiegacze, koszokopy», nie «koszokupy» (przewiduję tutaj błąd drukarski w mało znanym wyrazie), «mostołodzie» są «mojemi», to znaczy wymyślonemi przezemnie «dziwolągami, do których prowadzi szerząca się coraz więcej mania tworzenia na wzór niemieckiego» (oczywiście — języka) «wyrazów złożonych». Tymczasem tak nie jest. Ani jeden z tych wyrazów nie jest «moim». Wyraz «oczodoły» notuje *Wielka Encyklopedya* Orgelbranda, wydana w roku 1874, dając obok następujące wyjaśnienie: «Oczodoły — są to jamy kostne, w których umieszczone jest oko, oraz dodatkowe jego przyrządy» i t. d. Wyraz «koszokop» przytacza *Słownik* Lindego i objaśnia: «koszokop — przykop blisko pod fortecę podsunięty, który robotnicy dla zasłonięcia się sypią przy pomocy koszów szańcowych». Wyraz «mostołodzie» — podaje tenże *Słownik* Lindego z objaśnieniem: «Mostołódź czyli ponton — łodzie drzewiane, lub z innej materyi, służące do postawienia na nich mostu dla przeprawy wojska». Nadto — *Wiadomości, tyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce* Juliana Kołaczkowskiego (Kraków 1888) podają szczegół: «Moraczewski w swoich *Starożytnościach* wspomina w t. I str. 41, iż Krzysztof Arciszewski wynalazł w r. 1647 nowy gatunek mostołodziów czyli pontonów». Pracując swego czasu nad opowieścią p. t. *Popioły*, musiałem

poznać dawne dzieła z zakresu wojny i wojskowości, fortyfikacyi, artyleryi i t. d. A więc prace Józefa Jakubowskiego (1743—1814), nauczyciela ks. Józefa Poniatowskiego, *Nauka artyleryi, zebrana z najpóźniejszych autorów dla korpusu artyleryi narodowej* (1781—83); Józefa Franciszka Łęskiego (1760—1825) *Teoretyczna i praktyczna nauka żołnierskich pomiarów, czyli miernictwo wojenne* (1790); Filipa Meciszewskiego *Fortyfikacya polowa* (Warszawa 1825) — oraz wszelkiego rodzaju «nauki», instrukcye, rozporządzenia, mustry i t. d. Na końcu trzeciego tomu dzieła Józefa Jakubowskiego znajduje się słowniczek wyrazów w artyleryi używanych, których znaczną ilość ów autor sam ustalił. Pisząc swą opowieść, używałem takich właśnie terminów, jakie były w owym słowniku podane, gdyż miały walor podwójny — nazw dla rzeczy i zjawisk natury wojennej, oraz barwy tego okresu. Sądzę, że i dziś te wyrazy mają w języku naszym to samo prawo, chyba, że kto wymyślił inne, lepsze — o czem nie słyszałem. Wyraz «szybkobiegacz» figuruje w różnych słowozbiorach, np. w *Słowniku*, wydanym przez księgarnię Arcta w Warszawie. Wyraz ten, zbudowany z przymiotnika «szybki» i rzeczownika «biegacz» (znanego Lindemu), w taki sam sposób, jak wiele innych złożeń, gdzie pierwszym członem jest część mowy odmienna, a temat występuje z zakończeniem samogłoskowem *o* — ma wzory w rzeczownikach: Krzywosąd, Ślepowron, Ostroróg, Złotogoleńczyk, jasnowidz, krótkowidz, lekkoduch, jawnogrzesznik, czarnoksiężnik. Co do potrzeby lub zbyteczności używania wyrazu «szybkobiegacz», należy zaznaczyć, iż jakaś nazwa funkcyi

szybkiego biegania jest nieodzowna. Jakże bowiem mianować ten specyalny zawód i określoną czynność uczestników, czasu pierwotnych igrzysk olimpijskich, więc Koroibosa i następnych olimpiad, gdy tylko piesze wyścigi były stosowane, gonitwy długie, tak zwane *dolichos*, składające się z dwunastu podwójnych biegów? Kim był ze swego mistrzostwa Lacedemończyk Ladas, który jak wicher dwadzieścia cztery razy przebiegał *stadion*, liczący sto dziewięćdziesiąt dwa metry, aż trupem padł na ziemię? Albo — jak zwać współzawodników w rekordach wyścigowych pieszych dzisiejszego świata sportowego? Musi przecie być w języku klasyfikacya rzeczownikowa zawodu, czy pasyi tego rodzaju. Nie nadaje się po temu miano «goniec», gdyż określa czynność inną, uwydatnioną np. w *Maratonie* K. Ujejskiego: «Z płonącego miasta wybiegł niewolnik... A gdy na czatach innego zbiegł *gońca*, krzyknął mu tylko: do Suzy, do Suzy! A tamten przez gruzy, jak struś, popędził...» Nie nadają się również terminy, bardziej rozległy obejmujące zakres, jak współzawodnik, szermierz (również przynależne do kategoryi wyrazów złożonych).

Nietylko tedy nie przoduję w owej «manii» tworzenia «swoich» własnych wyrazów, ale nie ukułem własnego wyrazu nigdy, ani jednego. Jeżeli wprowadzałem mało znane i obcobrzmiące w wyślizganym, ubogim, gazeciarskim języku miejskim, to są to twory staropolskie, albo ludowe. Niektóre z ostatnich można znaleźć w *Materyałach do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc*, zebranych przez ks. Władysława Siarkowskiego, — inne zapamiętałem i przyswoiłem sobie za

czasów dzieciństwa i młodości. W górach Świętokrzyskich i otaczającej je leśnej krainie, dzielącej ongi ziemie Wiślan i Mazowszan, dochował się najdawniejszy, zapewne, i w najczystszej swej formie piastowski język polski, gdyż nie podlegał nigdy żadnym znikąd naleciałościom postronnym.

Autor artykułu w *Kuryerze Poznańskim* wytyka prof. Brücknerowi używanie terminów «słoworód» i «słowotwórstwo». Wyrazy te nietylko należą do języka, lecz stanowią nazwy, przyjęte przez językoznawców. Szkolna *Gramatyka języka polskiego* prof. Antoniego Małeckiego (Lwów 1910), przeznaczona dla gimnazyów galicyjskich, podaje je do wiadomości i nauki uczniom, a jednocześnie w pismach publicznych potępia się ich używanie, jako «dziwolągów językowych». Jakże, według krytyka z *Kuryera Poznańskiego*, powinien się nazywać dział gramatyki, mający za przedmiot pochodzenie imion, co właśnie określa się jako «słoworód» i «słowotwórstwo»? Autor winien był podać inne nazwy. Wersya o tem, że wyrazy złożone z dwu rzeczowników nie odpowiadają duchowi języka polskiego wciąż się powtarza. Prawdę tę głoszą wszystkie wskazania od gramatyki szkolnej aż do pierwszego zeszytu *Języka Polskiego*. P. A. Danysz w artykule p. t. *Copia verborum Aleksandra Jabłonowskiego* — pisze: «...podnieść wypada, że w słusznem poczuciu wstrętu, jaki języki słowiańskie czują do rzeczowników, złożonych z dwóch rzeczowników, wstrzymał się (Jabłonowski) od tego rodzaju nowotworów. Jak wstrętne nam są złożone rzeczowniki nowożytnego języka czeskiego... tak też odpychamy wszelkie zakusy wprowadzenia takich

nowości do naszego języka, jak «światopogląd» zamiast poglądu na świat, albo «czasokres» zamiast okres czasu, «spadkobranie» zamiast branie spadku, dziedziczenie.» Czy język polski istotnie «czuje wstręt» do rzeczowników złożonych z dwu rzeczowników, o tem, oczywiście, rozprawiać nie mogę, ale mam wątpliwości. Weźmy dla przykładu: Bogurodzica, Świętowit (Światowid); — imiona własne, składające się z dwu osnów rzeczownikowych, jak — Boguchwał, (Bóg + chwała), Bogusław, Chlebosław, Domosław, Darosław, Dobrogniew, Dobronog, Dobromysł, Dobrogost, Domomir, Drogodar, Drogomir, Gniewomir, Gniewosław, Grodosław, Lechosław, Ludomir, Radowid, Sieciesław, Stanisław, Strachosław, Strażywoj, Świętosław, Swiętopełk (Świętopług według Lelewela, czy Świętopułk), Wiarosław, Wiślimir, Włościbor, Włostobor, Włodzisław, Władowoj, Wolimir, Wolisław, Zbrojsław, Ziemiomysł, Ziemowit (Ziemowid); Złotosław, Bogusława, Radogosta, Złotosława; — nazwy miejscowości: — Bartodzieje, Bydgoszcz, Dawidgródek, Dębogóra, Dobrotwór, Dźwinogród (według *Starożytnej Polski* K. Balińskiego), Jangrot, Janopol, Januszgród, Jezupol, Józefgród, Kitajgród, Kołobrzeg, Komargród, Koniecpol, Kopajgród, Kostomłoty, Krzyżtopór, Lasopol, Maryampol, Michałpol, Miropol, Panigród, Pakosław, Rajgród, Sandomierz (Sądomir = Sudomir), Skalmierz (Skarbimir = Scarbimiria), Tarnopol, Tarnobrzeg, Tarnogród, Tarnoskała, Terespol, Tomaszpol, Uszomierz, Wodzisław (Włodzisław w XI w.), Wolborz (Wojbor), Wilkołazy, Żytomierz; — nazwy herbów: — Drogomir, Drogosław, Dęboróg, Krzyżołuk, Krzyżoróż, Krzyżostrzał, Łukocz, Orłosław, Odrowąż, Różopiór, Tarczobron, Zło-

tokłos, Pracotwór; — wyrazy ustalone i notowane w słowozbiorach: — bałwochwalca, bratobójca, mężobójca, ojcobójca, cudotwórca, czarodziej, dobrodziej, złodziej, kołodziej, kaznodzieja, dziworód, dziwoląg, dziwożona, dziewosłęb, drzeworyt, miedzioryt, staloryt, kwasoryt, gwiazdozbiór, grododzierżca, głodomór, groszoröb, imiesłów, językoznawca, kamieniołomy, kołowrót, krwotok, (krwiotok), ślinotok, nasieniotok, kościotrup, kręgosłup, księgosusz, księgozbiór, korkociąg, koniokrad, konował, listopad, miłosierdzie, miodosytnia, mięsopust, nocleg, obrazoborca, powsinoga, piorunochron, prawodawstwo, pracodawca, powieściopisarz, rodowód, rękopis, dziejopis, rybołówstwo, rzeczoznawca, Różokrzyżowcy, słoworód, słowotwórstwo, srebrogłów, złotogłów, świętokradztwo, świętokupstwo, sianokos, świnopas, sztukmistrz, światowładca, światłodawca, wilkopies, wilkołak, wilkozęby, wojewoda, wojewodzic, winobranie, widosen, zwierzostan; — terminy ustalone w chemii: — węglowodan, węglowodór, siarkowodór; — w zoologii: — członkonóg, głowonóg, grzbietopławek, jamochłony, jeżozwierz, kręgopławy, krzyżodziób, szydłodziób, latolistek, mrówkojad, mrówkolew, myszołów, nosorożec, perłopław, skałotocz, stawonóg, zimorodek; — w botanice: — latorośl, śluzorośle, ziarnopłon, wilczomlecz, muchomór, muchołówka, żabiściek, wodorost, kwiatostan, owocostan, ciepłorosty, zimnorosty; — w geologii: — iłołupek, lądolód, wodospad, wodogrzmiot (góralskie), lodozwał i t. d. Ten dorywczy wykaz, który nie wyczerpuje bynajmniej ogółu wyrazów-złożonych (zapisanych choćby u Lindego), wskazuje bądź co bądź, że, gdyby język nasz «czuł wstręt» do tego rodzaju tworów, nie byłoby

ich tyle. Przeciwnie, narzuca się spostrzeżenie, że imiona własne «słowiańskie» świadczą o upodobaniu ongi do tego rodzaju złożeń. Odzwierciedla się w tej dążności wygasła wiara w czarodziejską moc słowa, które z jakowymś symbolem potęgi ducha ludzkiego, z pierwiastkiem — *sław*, *chwał*, *mysł*, *mir*, *woj*, *wid*, *gniew*, *dar*, *gost* — splatano w jedno, dodając doń inne jakieś pojęcie, przewidzenie, lub życzenie, — jakby w błogosławieństwo, w słowny amulet, narzucający na drogi *miru* i *sławy*. Podobną pasyę do złożeń można zauważyć w nowoczesnem słownictwie naukowem. Wynika ona z konieczności ujmowania zjawisk w krótki i zwięzły rzeczownik, niezbędny tam, gdzie chodzi o ścisłe oznaczenie rzeczy i zatrzymanie w pamięci faktu. Takie nowe, a odległe od siebie umiejętności, jak psychologia i lotnictwo, jednako ubiegają się o rzeczowniki dla uwydatnienia swych pojęć i przedmiotów materyalnych. Nic dziwnego, że chwytają dwa rzeczowniki i łączą je w trzeci, zaradzając w ten sposób brakowi nazwy. Język angielski, który wchłonął w siebie mowy Celtów, Anglów, Sasów, Fryzów, Jutów, łacinę, język normandzki, francuski i duński, posiada wielkie bogactwo synonimów dla wyodrębnienia najróżnorodniejszych pojęć — ma, naprzykład, kilkanaście nazw dla oznaczenia potęg — *rozum* i *umysł*. My mamy ich zaledwie kilka. To też od czasów Trentowskiego i Libelta nasi badacze muszą tworzyć sami terminy potrzebne. Nieraz przedziwnie i niespodziewanie przydać się tu może język ludowy. Jeżeli taką nazwę wypadnie złożyć z dwu wyrazów i jeżeli to usiłowanie przekreśli językoznawca, jak to czyni krytyk z *Kuryera Po-*

znańskiego z terminami gramatycznemi «słoworód» i «słowotwórstwo» z tego względu, że język nasz jakoby wyrazów złożonych nie znosi, to powstaje wprost plątanina. Rzeczowników — nosorożec, głowonóg, kołowrót, kościotrup, zimorodek, ziarnopłon, korkociąg, rękopis niepodobna wyrugować z języka zapomocą opisu z dwu czy trzech wyrazów. To też sądzę, że zostaną napewno te z nowych wyrazów złożonych, które posiadają taką właśnie cechę. Zlepienie «światopogląd» jest złe, gdyż można je zastąpić przez opis «pogląd na świat», «spadkobranie» przez «branie spadku«. Ale już pokrewny tej ostatniej próbie nowotworu rzeczownik «spadkobierca» nie ustąpi i w dzisiejszym języku nie będzie go można zamienić na «bierca spadku», gdyż taka forma się nie utrze, aczkolwiek «bierca» istnieje w staropolszczyźnie. Byłoby to zaś ubożenie języka, gdyby jakieś pojęcie nie miało ustalonej nazwy.

W innem miejscu artykułu w *Kuryerze Poznańskim* p. «Sonet» gani używanie w mojej powieści p. t. *Popioły* takich wyrażeń: «Już gdy przepływano obok, okręt był poddany rewizyi...» «Wracając, ostrzeżony był...» «Był prowadzony po groblach...»

Nie rozumiem dokładnie, dlaczego używanie formy biernej konjugacyi ma być grzechem przeciwko czystości i poprawności języka. Jeżeli się tu i owdzie wyrwie strzępek zdania i takich strzępków przytoczy kilka z rzędu, wygląda to jako nadużywanie formy biernej, podszepnięte przez język obcy. Tymczasem — są wypadki, że tylko forma bierna użytą być może, gdy tego wymaga jakość zjawiska, które ma być uwydatnione w danym opisie. W takim, naprzykład,

ustępie Pisma: «Wtedy Jezus zaprowadzony został na puszczę przez Ducha, aby był kuszony od dyabła» — mogła być użyta tylko forma bierna, gdyż tylko ona mogła w pełni wyrazić tajemniczy, niepojęty stan właśnie bierności przybranej, który szatan, jako czynna siła, usiłuje dla siebie pokonać. Podobnie trafne formy widać w Objawieniu św. Jana: «...jeśli kto nie był zapisany w księdze żywota, wrzucony był w jezioro ogniste...» «Sądzeni byli umarli stosownie do tego, co napisane było w księgach». «I widziałem trony, a tym, którzy usiedli na nich, dany był sąd». W *Lilli Wenedzie:* — «Lecz wy mnie puście do ojca mojego, który od dwóch dni jest morzony głodem...» W *Anhellim:*— «Posłani są na zaludnienie...» «On był przeznaczony na ofiarę...» W *Księgach pielgrzymstwa:* — «Pielgrzymie, stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa...» — widać dobry przykład tej konieczności formy biernej, która uwydatnia i maluje głębię bierności w przeciwieństwie do czynnej siły, wyrażonej przez użycie czynnej formy w pierwszej części zdania. To samo w wersetach: — «Zaczęli się odpychać, obalili drabinę i pobici są z murów». «Kto odrzuca wezwanie wolności, odrzucony będzie od oblicza jej».

W innem jeszcze miejscu swego artykułu p. «Sonet» wytyka mi wyrażenie: «Zorza poranna... dawała widzieć zgliszcza». «Dawać widzieć» jest według niego germanizmem, tłómaczeniem niemieckiego — *lassen.* Być może, iż jakieś w tym wypadku powinowactwo zachodzi, lecz «dać» i «dawać» ma tak wielkie zastosowanie w najrozmaitszych skojarzeniach pojęciowych, iż

trudno będzie zdecydować, które z nich jest germanizmem, a które zwrotem czysto polskim, jeśli nawet to samo znaczenie w języku niemieckim posiada. «Dać znać, dawać znać» — jest, zdaje się, czysto polskie, a «dać widzieć, dawać widzieć» ma być germanizmem. Taki, naprzykład, zwrot w *Słowniku gwar polskich* Karłowicza: — «*kopać* kopca nie można, bo *nie da* i zaraz narzyka okropnie» — to germanizm, czy nie?

P. «Sonet» z *Kuryera Poznańskiego* kończy swój artykuł następującą notą: «Doprawdy czas wielki, by utworzyło się proponowane niedawno towarzystwo *ku czuwaniu* nad poprawnością języka, gdyż zanik jej coraz groźniejsze przybiera rozmiary i to w sferach, gdzie tego najmniej spodziewać się należało». Istotnie specyalne towarzystwo do czuwania nad czystością języka jest nad wyraz pożądane. Obecnie spełnia ten obowiązek redakcya *Języka Polskiego.* Proponowane towarzystwo musiałoby się jednak zabrać i do «purystów» w rodzaju p. «Soneta», który w tymże krytycznym artykule, stając na tak nieubłaganem stanowisku względem np. prof. Chmielowskiego, układa zdania w ten sposób: «Stanowczo jednak wybaczyć ich (błędów językowych) nie można w *rozprawach* nie *tyczących kwestyi* dnia bieżącego, które *autorzy* piszą spokojnie, tak, że czas mają dbać i o formalną stronę». Owi «autorzy» piszą «kwestye», czy «rozprawy nie tyczące»? P. «Sonet» błędnie używa słowa «tyczy» bez *się.* Linde wyjaśnia: «Tyczy się co czego albo kogo, dotyczy się — należy do kogo, ściąga do czego.» Inne zdania nie lepiej są stylizowane, jak naprzykład, pierwsze i drugie zdanie całego artykułu, związane wyrazem «niesłusznie», który zgmatwał jasność obu, gdyż nie wiadomo do czego się stosuje — do wojny, czy do troski o czystość języka — i t. d. Błędem prowincyonalnym, który p. «Sonet» kilkakroć popełnia, jest zaopatrywanie przyimków *w* i *z* w zbyteczne *e.* Pisze: «*we* Warszawie», «*we* wszystkich warstwach inteligencyi», «przykłady wzięte *ze* życia». Tylko w wypadkach, gdy po przyimkach *w* i *z* następujący rzeczownik poczyna się od dwu spółgłosek — dla uniknięcia zbiegu trzech ustawiamy *e*: — we Wrocławiu, we Włocławku, we Włoszech, we Włodawie, we Włoszczowie, we Lwowie, — lecz nie: we Londynie, we Wilnie, i nie we Wiedniu. Mówimy i piszemy: — z życia w Warszawie, w Wiedniu. Ośmieszonym prowincyonalizmem jest galicyjskie «we Widniu» — jak w charakterystyce gwary galicyjskiej, skonstruowanej przez Stanisława Witkiewicza: «Skąd ja przychodzę do tego, żebym szedł panu na rękę we Widniu«?

II

Prof. Aleksander Brückner w artykule swym p. t. *Powstanie i rozwój języka literackiego* — zamieszczonym w *Encyklopedvi polskiej*, wydawanej przez Akademię Umiejętności, w pierwszej części dzieła *Język polski i jego historya* na str. 96 i 97 pisze: «Kogo szkoła, wojsko, urząd w języku i piśmie obcem wyłącznie chowały, temu nie tak łatwo otrząść się z tego, nawet gdy po polsku myśli i pisze, nie dziw więc, że Przybyszewskiemu czy Nossigowi germanizmy wyrzucają, że u Żeromskiego czy Sieroszewskiego z rusycyzmem się

spotkasz. Dawno przed nimi można się było tego wszystkiego napatrzeć».

Co do mnie — chowałem się rzeczywiście w szkole, gdzie wszystkie przedmioty wykładano w języku rosyjskim, lecz na szczęście miałem w niej kilku nauczycieli Polaków o najgorętszej duszy — to też nie mam prawa powiedzieć, że przeszedłem szkołę rosyjską. Była ona taką tylko z wierzchu. Moim nauczycielem języka polskiego w ciągu wielu lat był Antoni Gustaw Bem, językoznawca i historyk, krytyk literacki i pierwszorzędny, wzorowy, nieskazitelny polski stylista. Spis prac jego znaleźć można w pośmiertnem wydaniu p. t. *Studya i szkice literackie* (Warszawa 1904). Na szkolnej ławie, a raczej pod tą ławą, pisane stosy liryk, olbrzymich poematów i nie mniejszych tragedyi, oraz powieści — ten mój mistrz młodych lat i nigdy niezapomniany dobroczyńca duchowy cierpliwie wertował i okrutnej poddawał krytyce, nie tylko na dalekich samowtór spacerach, lecz i publicznie na lekcyach. Każdy wówczas rusycyzm, gdyby się był okazał, podlegał wypaleniu białem żelazem szyderstwa, którego mi ten pasyonat nie szczędził, jak we wszystkiem, do czego przykładał ręki. Zabawna to rzecz, gdy się stwierdzi, że wypalanie rusycyzmów na lekcyach języka polskiego dokonywało się w języku rosyjskim. To też mój surowy nauczyciel i «uparty umysł» jak się sam nazywał, którego «krew zalewała», gdy zbrodnię przeciwko czystości języka w ramotach moich wytropił, w grobie swym by się przewrócił, gdyby powziął wiadomość, że w pisaninach publicznych jego ucznia dziś jeszcze, po latach — «z rusycyzmem się spotkasz». Nie byłem nigdy w rdzennej Rosyi, nie miałem w życiu obowiązku, któryby mię zmuszał do posługiwania się językiem rosyjskim, to też, jeśli pisma moje grzeszą rusycyzmami, w istocie zasługują na najbezwzględniejszą publiczną naganę. Prof. Brückner, który tyle niestrudzonej pracy i tyle głębokiej wiedzy w badanie mowy naszej włożył, uczyniwszy mi zarzut taki, może raczy uczynić mi zaszczyt, podobnie jak tamten dostojnik piśmiennictwa, wykazując, gdzie i kiedy tych się karygodnych wykroczeń dopuszczam. Mam nadzieję, że Szanowna Redakcya *Języka Polskiego* użyczy prof. Brücknerowi miejsca, gdy on, przychylając się do mej prośby, zechce przytoczyć wykaz mych «rusycyzmów».

[1916]

SĘDZIA — «OBRUSITIEL»

«Blednow». Powieść. Napisał N. Pokrowskij. Petersburg 1891.

Ci nawet z pomiędzy beletrystów rosyjskich, którzy szlachetnie walczą pod hasłem sprawiedliwości społecznej i humanizmu, nie zdradzają bynajmniej współczucia i sympatyi względem idej, podtrzymujących oddech narodu polskiego. Z wyjątkiem jednego bodaj Włodzimierza Sołowjewa, śmiało i bezwzględnie nawołującego społeczeństwo rosyjskie do wymierzenia sprawiedliwości skrzywdzonej Polsce (*Kwestya nacyonalizmu w Rosyi*) — nie można wskazać żadnego pisarza, którybyo stawał w obronie naszej, wobec niezliczonej zgrai prokuratorów niszczenia i wynaradawiania. Genialny melancholik północy Iwan Turgieniew mówił o sobie umierając, że był zawsze *«prawdiw i czestien»* (prawdomówny i szlachetny) — miał jednak tyle tej szlachetności, że pisał broszury, popierające system wynaradawiania w Królestwie. Wprawdzie szkicował czasami tendencyjnie dodatnie sylwetki Polaków i Polek (Kwieciński w powieści *Stiepnoj Korol Lir*, bohaterka pow[ieści] *Now'*), lecz są to raczej kontrasty, pomysły przygodne i środki artystyczne do oświetlenia niedołęstwa lub małostkowości w postaciach rdzennie rosyjskich. Dostojewskij — ten mistyk altruizmu, poeta litości, jak go nazywa Brandes, nienawidził Polaków nie gorzej od Katkowa i wyszydzał wady tych nawet, którzy ginęli w kopalniach sybirskich. Szczedrin — najbardziej może oryginalny, niedoceniony pisarz naszego wieku, nieskazitelny rzecznik praw człowieka, dalekowidzący mędrzec, chłostał aż do zaciekłości swym dowcipem, subtelniejszym bez wątpienia, niż dowcip Dickensa, i zjadliwszym ,niż dowcip Heinego, — ten «szereg kolosalnych nieporozumień», jakim, według niego, jest Rosya współczesna, — dla nas jednak nie miał w swym niewyczerpanym arsenale ani jednej skałki. Inni, młodsi, jak Gleb Uspienskij, Wsiewołod Garszin, Macztiet, Korolenko i t. d., jeśli nie utrzymują się w tonie Dostojewskiego, — to milczą. Nie lepiej traktuje sprawę naszą wolny od cenzury, poza granicami caratu istniejący odłam piśmiennictwa rosyjskiego. Programaty najbardziej nieprawdopodobne i od rzeczywistości dalekie wspominają o «całości państwa» i nie zwracają uwagi na różnice narodowe i historyczne.

Jeżeli w beletrystyce rosyjskiej zjawiają się kiedykolwiek mdłe, półszczere i półświadome sympatye względem uciśnionych politycznie, to noszą na sobie zawsze pewną charakterystyczną cechę. Zachodzi pod tym względem analogia między poglądami mistyków północy wszelkich odcieni a poglądami socyalistów międzynarodowych; pierwsi i drudzy zwracają uwagę na ucisk narodowościowy o tyle, o ile ich do tego zmuszą niejako szematy teoryi społecznych. Trzeba, ażeby im dowiedziono, że nie idzie o prawa rozwoju narodu, lecz o ucisk takiej grupy etnicznej, która stała się

supra-organizmem, pewnego rodzaju klasą społeczną— i wówczas dopiero zyskuje się ich uwagę. Przed kilkoma laty ukazała się powieść Łanskoja p. t. *Obrusitieli* (Rusyfikatorowie), zohydzająca sfory wyrzutków moskiewskich, działające w miasteczku podolskiem.

Satyra ta, nawiasem mówiąc, pisana bez talentu, odznaczała się takiem właśnie wtłoczeniem kwestyi w ramy zagadnień społecznych.

Na jesieni w roku zeszłym zawitała na wystawy księgarni rosyjskich w Warszawie powieść p. t. *Blednow*, lecz znikła stamtąd wkrótce. Czemu przypisać należy kwarantannę wobec tak niewinnych utworów — zrozumieć trudno, powieść ta bowiem nie przyniosła żadnych owoców z drzewa wiadomości złego i dobrego, wyśmiewa tylko, daleko niedołężniej, niż to czyni Szczedrin lub Macztiet, — świat urzędniczy, lecz bohater działa w Warszawie...

[Następuje streszczenie powieści]

Blednow, jako typ literacki, ma zapewnioną trwałość, tak dalece w najdrobniejszych szczegółach psychologicznie i życiowo prawdziwą jest postać tego głuptasa. Ujawnionym jest w jego czynach rdzeń duszy rosyjskiej, owa bezmyślna ambicya i chciwość jakiegoś działania, byleby tylko zasłużyć na względy.

Nie mniej dobrze wycieniowaną jest sylwetka Kaniewskiego, aksamitnego barbarzyńcy, lojalnego wolnodumca, tępego sofisty a reprezentującego legion osobników tego gatunku, o przekonaniach, wahających się między nihilizmem i tajemnemi przepisami biura żandarmeryi... Poprostu świetną jest postać «Polki Józi»

dobrej żony o mózgu ptasim, nieszczęsnej ofiary czasu...

Najciekawszą jednak jest przebijająca między wierszami książki myśl autora. Myśl ta należy zapewne do kategoryi względnie uczciwych, ale pokazuje zarazem wydatnie ów grzech pierworodny altruizmu północnego: nieświadome hołdowanie niewoli.

«W Rosyi ojczyzna znaczy *stanowoj pristaw* (żandarm okręgowy)» — szydził Szczedrin. Takie właśnie rozumienie ojczyzny rozciągnęło się tam i na umysły najbardziej rozwidnione, wsiąkło w nie, jak zarazek, i jako integralna część organizmów psychicznych, przechodzi dziedzicznie z pokoleń na pokolenia.

Ci ludzie nie rozumieją absolutnie «chowania w sercu ognia świętego», nie kochają ojczyzny dla niej samej, jako największego na ziemi dobra, nie mogą też należycie ocenić wartości głuchej, zaciekłej i skrytej obrony swego kulturalnego typu, swej mowy, swego obyczaju, jaką spotykają w Warszawie. Pokrowskij nie może odtworzyć polskości warszawskiej, istnienie której i piękność przeczuwa w tyradach adw. Barzęckiego i w myślach ucznia Kędzierskiego, — bo i dla niego choć o tem nie wie, ojczyzna — to *stanowoj pristaw*.

[1892]

«HRABIA AUGUST»

Notatki i wrażenia. Wydał Aleksander Mańkowski

Wydawcy opatrzyli książkę niniejszą oryginalnem napozór zastrzeżeniem, oświadczającem z woli autora, iż powieść jego komunikowaną była redakcyi *Gazety Polskiej* już w kwietniu roku zeszłego. Autor, zastrzeżenie takie redakcyi nadsyłając, przewidywał widocznie, że powieść ta, druk której dopiero w marcu r. b., czyli po ukazaniu się w *Słowie* pierwszego tomu *Bez dogmatu*, rozpoczęty został, zaliczonąby była przez Taine'ów a Brandesów warszawskich do rzędu naśladownictw reklamowanego po rogach ulic utworu H. Sienkiewicza, ze względu na przypadkowo identyczną w obu utworach formę pamiętnikową, wybór tematu i tożsamość niemal treści. Zestawienie to wstępującemu zaledwie na niwę powieściopisarstwa autorowi szkodzi i tak bardzo w oczach przeciętnej masy czytelników.

Aleksander Mańkowski jest pisarzem zupełnie oryginalnym i, jeżeli przypomina kogo sposobem pisania, to Taine'a chyba w jego *Spostrzeżeniach o życiu*. Dał w *Hr. Auguście* duży karton, pełen żywcem, za włosy niejako porwanych i skarykaturowanych zdaleka postaci, rysowanych konturowo wprawdzie, ale szerokiemi, śmiałemi liniami, odruchami niejako genialnej ręki. Nie pisze on jednak spokojnego, jak Taine, zupełnie objektywnego studyum społecznego; gwałtowność satyryka unosi go na stare tory, stwarza satyrę, dramat, częstuje nas jednym jeszcze traktatem moralnym... *de Republica emendanda.*

Hrabia August, objąwszy po ojcu, który «się zapracował», wielką fortunę, wcześnie przychodzi do przekonania, że «najdoskonalszą na świecie rzeczą jest turecki *kef*». Pociesza się wygodnem i dowcipnem rozumowaniem, według którego «wytężenie wszystkich sił i zdolności w jednej generacyi wywołało w następnej instynktowną i niepohamowaną dążność do spokoju».

To też, jakkolwiek zapisał się był na wydział prawny w celu zadowolnienia opiekunów, pragnących widzieć go z czasem na stanowisku «ekscelencyi», — «rzadko tylko chodził zobaczyć, czy też się nie przewrócił gmach uniwersytecki».

Za czasów owego «uczęszczania» do uniwersytetu poznał i pokochał piękną Zosię, był przez nią kochanym, miał na połączenie się z nią zezwolenie jej rodziców — nie ożenił się jednak, ponieważ nie chciał «wyzuwać się z jedynego bogactwa, jakie życie daje— ze swobody».

Porzuciwszy Zosię, pędzi życie sybaryty, je dobrze, nudzi się, czasami myśli i rozprawia o sztuce, o dobrych uczynkach i bez przerwy drwi z otaczającego go stada. Po upływie lat czterech dowiaduje się, że Zosia wyszła za mąż za «bogatego i porządnego obywatela z Królestwa, którego zwano Anglikiem z powodu niczem nie zamąconego spokoju». W Wenecyi,

dokąd udaje się na lato znudzony Warszawą, spotyka Zosię, bałamuci ją, uwodzi, a gdy ta, trapiona wyrzutami sumienia, powraca do kraju — hr. August, przenosząc się z miejsca na miejsce, odnosi cały szereg tryumfów miłosnych, ściga panią Bird, i jest przez nią ścigany, bałamuci Annę, córkę młynarza pod Bernem, grywa w kręgle z parobkiem, chodzi na zabawy do karczmy, i t. d. Powróciwszy do Warszawy, dowiaduje się, że Zosia ma zostać matką. Wkrótce potem zjawia się u niego Anglik, któremu żona wyznała całą prawdę, i zmusza do zgodzenia się na oryginalną satysfakcyę, żąda, aby uwodziciel był obecny przy porodzie Zosi, aby wyszukał mamkę i opiekował się swem dzieckiem. Hr. August zaczyna gorączkowo studyować dzieła, traktujące o akuszeryi, doznaje strasznych udręczeń moralnych, aż umęczony nieznośnym dla jego nerwów widokiem porodu, przy którym był obecny, dostaje pomieszania zmysłów.

Obserwuje on nieustannie z uporem maniaka i zapisuje w swych notatkach mnóstwo uwag i spostrzeżeń. W polu jego lornetki, przez którą przygląda się otaczającemu go światu, przesuwa się szereg członków «towarzystwa»: — Zerciowie, księżna Hortensya, Witold Poraj-Trąbakiewicz, Zygmunt, Marynia, Silberfisz i t. d. Ten właśnie kalejdoskop stanowi o wartości utworu, sama bowiem postać hr. Augusta zwichniętą została przez autora dobrowolnie przez to już, że, pisząc satyrę, zaprawiając studyum tendencyą moralną i wypowiadając rzecz całą przez usta istoty, najbardziej z całego orszaku pozbawionej zdrowych funkcyi nerwów, zwyrodniałej i chorej, — musiał autor wiele

uwag własnych, wiele śmiałych, bystrych, rozumnych i zdrowych aforyzmów kazać wypowiadać preparatowi, który narówni z innemi bada i ośmiesza. Hr. August upada pod brzemieniem win stosunkowo błahych: — uwiódł mężatkę—oto cała jego faktycznie wina, uwiódł, nie myśląc o tem, co czyni, poddając się nieświadomie uczuciu. Tak dalece nie zna życia, nie rozumie swego istnienia, że miażdży go widok cierpień kobiety rodzącej, niweczy jego rozum silnie wstrząsające nerwami widowisko. Tymczasem ten zblazowany, niepoczytalny prawie samiec postanawia wydziedziczyć oczekujących po nim spadku krewnych i zapisać cały majątek na «dobroczynne fundacye».

«Z jednej strony — pisze — nastąpi płacz, ale zato z drugiej — będą się szczęki żwawo ruszały, żołądki będą z upojeniem trawiły i może się znajdzie jaki syty biedak, który mnie za to pochwali i powie:— Niech mu to Bóg nagrodzi».

Na innem miejscu powiada:

«Dobrem może się nazwać tylko to, co od nas wymaga wysiłku, co nas kosztuje, co nam przychodzi z trudnością. Jałmużna wdowy była dobrym uczynkiem. Milionowy skąpiec, dający grosz ubogiemu, ma zasługę, bo wolałby i ten grosz w kieszeni zachować. Nie jestem biedny, jak wdowa, nie kocham złota, jak skąpiec. Dając, nie ujmuję sobie ani dobrego obiadu, ani artystycznych zachcianek — nic! Mam dużo. To, co mi zbywa, rozdaję, bo mi jest niepotrzebne, jak niedopalony koniuszczek cygara. W dodatku dogadzam przedewszystkiem własnym nerwom, które nie znoszą jęku i płaczu. Jest to uczucie zwierzęcej samoochrony. Się-

gam instynktowo do kieszeni, jak instynktowo chory pies gryzie trawę. Nie czuję nawet potrzeby pochwalenia się z tem, co jedni nazywają dobrym uczynkiem, a inni — ubezpieczeniem od ognia piekielnego. Więc ja nic nie mogę zapisać pod rubryką dobrego?...

...Ale zato zaczynam widzieć, że jest na świecie jedna rzecz wieczna, która się nie zgubi, nie przepadnie, której ukraść, spalić, zniszczyć nie można: — to dobry uczynek.»

Zasada etyczna, która, według założenia autora, miała święcić tryumf w umyśle czytelnika, chwieje się, dzięki takim rozumowaniom, słabnie i wpływu nie wywiera, czytelnik bowiem obdziela nieszczęsnego hr. Augusta nie wstrętem, lecz sympatyą i współczuciem. Jest to jednostka pod względem moralnym chora, lecz ma społecznie zasługi duże, kroczy bowiem po tej niemal jedynej elipsie myślenia, poza którą chodzi się wygodnie, prawda, i ze swobodą, ale samopas.

Nie opanował Mańkowski sylwetki zdenerwowanego hrabiego tak wszechwładnie, jak mu się to udało zrobić z sylwetką Trąbakiewicza, z przewybornym portretem księżnej Hortensyi. Tam, gdzie silnem «machnięciem» ręki chwyta śmieszne rysy w imię idei, jaka głęboko w satyrze jego się kryje — ma w sobie coś ze Szczedryna.

Oto np. salon hr. Idalii na ulicy Żórawiej, gdy Koko śpiewa drastyczne piosenki, któremi rozkoszują się mamy, wysławszy do sąsiedniego salonu córki:

«Nie były to w tej chwili kobiety, obdarzone darem myślenia, wolą, duszą, nie były to nawet baby... Były to jakieś porozrzucane po kanapach i odęte od

napojów sakwy, którym dokuczało gorąco, które niczego nie chciały, a które monotonny śpiew Koka jako tako kołysał i przyjemnie podrażniał».

«...Panie słuchały. Czasami jedna na drugą mrugnęła. Inna znów zasłaniała wachlarzem tajemniczy uśmiech, zastosowany do słów piosneczki, które, jak egoistka, przeżuwała samotnie. Słuchały i lubowały się... Stado ma swoje prawa...»

Nie jest *Hrabia August* ani dobrze, według formułek zbudowaną powieścią, choć posiada Mańkowski bez wątpienia zdolność śledzenia charakterów, nie jest też wyborną, miażdżącą satyrą. Jest to zaledwie kręgosłup powieści, wyraźnie opowiedziana jej fabuła — daje jednak świadectwo o sile talentu autora, o jego temperamencie twórczym, skłonnym do szlachetnego, bezlitośnego, okrutnego śmiechu z brzydoty i zła.

[1890]

[ODEZWY W SPRAWACH PUBLICZNYCH]

PORT W GDYNI

Port w Gdyni jest jednem z najżywotniejszych przedsięwzięć nowoczesnej Polski, a jego budowa pierwszorzędną jej potrzebą. Są to drzwi do świata, a zarazem ostatnia twierdza obronna od zagłady dla Kaszubów, Mazurów Pruskich, Kabatków, Kociewiaków, Warmiaków. Jeżeli to dzieło nie będzie szybko, pilnie i doskonale wykonane, zatrzasną się przed naszą całością i przed naszą przyszłą potęgą te drzwi przednie, a zakraińcom naszym wydarty zostanie główny i ostatni zamek obronny. Lud kaszubski, cofający się krok za krokiem, piędź ziemi za piędzią, stulecie za stuleciem przed niemiecką nawałą, w ostatniej swojej grupie, którą los oddał nam w ręce, jeszcze nie zgryzioną i jeszcze nie dającą się pożreć, a powierzył na przechowanie i wychowanie, — zapadnie w otchłań niemiecką. Będą obumierały w naszych zimnych oczach, będą schły i w obcy pień szły bezcennemi sokami gałęzie naszego narodu na Warmii i Mazurach, — spadną i wdeptane zostaną w obcą ziemię ostatnie liście słowińskiego drzewa ponad Łebskiem jeziorem. Nie tylko obnaży się przed światem nędzna słabość nasza, niechęć do obronnego dzieła, tchórzostwo i lenistwo

w sprawie dźwigania plemiennej wielkości, lecz nadto padnie w te żywe jeszcze odnogi, wici i pędy — zaraza naszej niemocy i śmiertelny lęk przed wrogiem.

Odwieczny nasz błąd: zwracanie się twarzą, piersiami, natężeniem pasyi i wszystkich sił do walki i zmagania się jedynie ze wschodem, znowu toczy nasz organizm i nasze jestestwo. Wolimy nie tylko w czynie, lecz także w bezsilnych sądach i doraźnych chceniach leźć poprzez błota białoruskie ku starym dzikim polom, ażeby tam w spotkaniu z odwiecznym antagonistą, z rozpasanym nomadą, topić siły w błotach i rozpraszać je po obcem polu, zamiast zwodzić dzieło obronne, świetne, dostojne i nieśmiertelnie wzniosłe.

Conajmniej połowa naszego narodu nic wciąż nie chce wiedzieć o tej furcie do morza, o porcie w Gdyni. Jeszcze cała masa ciemięgów nie odetchnęła ani razu powietrzem potęgi, które się unosi nad morzem. Nieliczni jedynie, rozumiejący znaczenie tego portu, pracują nad jego otwarciem. Pamiętam, jak poeta Jan Kasprowicz, w czasie plebiscytu na Warmii i Mazurach, przemawiał do tłumu słuchaczów polskich, mieszkańców Kwidzyna. Nic nie zdoła odtworzyć mocy jego słowa i nic nie zdoła wyrazić entuzyazmu słuchaczów, zamkniętego w oczach, w bladości lic, w jęku i westchnieniu. Chwytali w dusze swe nakazy: nie lękać się Niemców! nie dać się! bronić się! — przemocy, wiecznej napaści i wiecznemu gwałtowi przeciwstawić moc polską! Gdyby dziś temu znakomitemu mężowi i poecie przyszło mówić te słowa w środowisku rdzennie polskiem, w stołecznej Warszawie, lub wolnym Krakowie, czy miałby takich słuchaczów? Słu-

chałyby go uszy głuche, a słowa jego obijałyby się o serca oziębłe. Powiedzą mi, oczywiście, iż to nie sprawa i zadanie poetów — porty budować. Lecz trzeba ten port, jego obraz, jego niezbędną konieczność, jego narodowe widziadło w duszach ludzkich wykuwać, ryć w sercach, ciosać w granicie woli. Trzeba otoczyć to dzieło pospólną miłością. Trzeba je za dnia i w nocy budować wszystkiemi ziemiami i całym narodem.

[1925]

ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE

[W SPRAWIE MAZURÓW PRUSKICH]

[W piśmie Harcerz].

Ciężko mi pisać dla harcerzy.

Sztywnieją mi palce, gdy mam kreślić dla nich jęczące we mnie wyrazy.

W szeregach harcerskich jeden mi ubył — «harcerz złoty».

Przyzostał w Nałęczowie i w milczeniu kamiennem od tylu lat już — nie czuwa.

Świetlista jego laska, która dla oczu mych i dla świata liście i owoc wypuścić miała, uschnięta jest i połamana.

Lecz, jak powiadali dawni wieszczowie, choć umarłym zawierają się usta, idea nieśmiertelna pozostaje.

I gdy nasze zawrą się usta, idea nieśmiertelna pozostanie.

Wam to, młodociani piastunowie lasek świetlistych, przyjdzie może niezadługo zajrzeć w jej oczy przeraźliwe.

Powietrze polskie nasiąka znów szaleństwem nawałnicy. Przeklęte wichury wojenne znów w rubieży naszczekują. Wypadnie wam może ujrzeć czystemi

oczyma odrażające choroby ludzkości, wrzody i rany, które za dni pokoju tają się we wnętrznościach społeczeństw. Zobaczycie może czystemi oczyma podłość cywilizatorów, ukrytą w fałdach obłudy i za maską kłamstwa, — jawne łotrostwo handlarzy ludami.

Nie pożąda ani jeden z nas jednej piędzi ziemi niemieckiej.

Nie chce ani jeden z nas władzy nad jedną duszą niemiecką.

Nie wyciąga ani jeden z nas dłoni po przemoc nad władzą, nad pracą, nad mową niemiecką.

Jesteśmy synami i czcicielami pracy.

Nie pożądamy niczego, co jest poza granicami, gdzie już mowa nasza wygasła.

W obliczu tej prawdy, a na zasadzie sprawiedliwości i miłosierdzia, wy prawdomyślni i prawdogłośni, musicie z czasem zażądać układu i sami układać zazębienie się ludów ruskich o lud polski, zahaczenie się plemion, dziejów, spraw, stanu posiadania i stosunków na wschodzie i na południu.

Nie możemy podobnie z narodem niemieckim układać zazębienia narodu o naród na zasadzie sprawiedliwości i miłosierdzia, gdyż naród niemiecki zagładę nam niesie.

Musimy bronić się od zagłady.

Walkę na śmierć o istność naszą nakazuje nam miłość ojczyzny.

Smętek niedarmo z kaszubskiego wybrzeża na statku angielskim do Anglii odjechał.

Nie zmarnował tam czasu napewno i niczego nie zaniedbał.

Patrzcie, prawdomyślni i prawdomówni, których usta kłamać nie umieją i nie mają prawa, gdyż przysięgliście Bogu i Polsce wiary dochować, jaka to jest sprawiedliwość cywilizatorów!

Chcą oto, żeby ostatni szczątek kaszubski oddany był na zniszczenie.

Chcą oto, żeby język przedziwny, prastary, przecudny, przebogaty, ostatni ślad mowy ludów w pień wyrąbanych, do nogi wytraconych, uległ do cna zagładzie.

Tego się domaga interes handlarzy ludami.

Patrzymy przecie obojętnie, naród olbrzymi, wyjarzmiony z niewoli, jak w naszych oczach wymiera, — skoro Niemcom został wydany, — język mazurski.

Patrzymy obojętnie, jak w obcy naród zamienia się plemię jezior, kość z kości naszej i krew z naszej krwi.

Patrzcież i wy harcerze!

Wśród nas, olbrzymiego narodu i wielkiego mocarstwa, jeden tylko człowiek nie wyrzekł się tej kości z naszych kości i krwi z naszej krwi, — nie uląkł się, nie ustał, nie zapomniał, — Bolesław Limanowski.

Dziewięćdziesiąt dwa lata dźwiga na barkach.

Sam jeden przemierzył oto Mazury.

Stopą niemal stuletnią obszedł nieodkupione ziemie i okrążył granice, a wszystko nieulękłą źrenicą obejrzał.

Uczynił tosamo, co czynił zawsze przez swe długie, pracowite, wielkie, cnotliwe życie.

Uczył rozwiązywać zawiłości życia ludzkiego polskim sposobem i pisał żywoty bohaterów.

Ostatnią podróż przedsięwziął dla duszy swej i dla Polski.

Wy, których młode serca pałają dla przyszłego szczęścia Polski, wspominajcie w hasłach waszych to imię.

Wy, którzy zdrowemi płucami wciągnąć będziecie zmuszeni wichurę wojenną, gdy w nas uderzy, i na bagnetach waszych rozpiąć sławę zwycięstwa, patrzcie dziś pilnie w Szczytno!

Betonowemi rowami łączy tam sąsiad nasz jezioro z jeziorem.

Może, kiedy zechce, w każdym z tych rowów ustawić Grubą Bertę i bić dzień dnia i noc w noc w samo serce Warszawy.

Czuwaj! Czuwaj! Czuwaj!

[1925]

ŚLASKI I WILCZEK

Gdy usunięte zostaną ostatnie kamienie cerkwi na Placu Saskim, ukaże się znowu przestrzeń pusta, na której cesarzewicz rosyjski Konstanty ćwiczył niegdyś szeregi wojska polskiego. Wskrzesną znowu legendy wojenne, przywalone masą moskiewskiego rumowia, i najwznioślejsza ze wzniosłych legenda o Ślaskim i Wilczku.

Gdy bowiem tyran Konstanty, — który wielkich napoleońskich wojen nie przebył, a nad oficerami i żołnierzami przewodził, co okrąg ziemski obeszli, bijąc się we stu bitwach pod gwiazdą Napoleona, — znieważył na jednej paradzie oficera nazwiskiem Ślaski, ten w oczach tegoż cesarzewicza i całej generalicyi, podszedł do baryery, oparł o nią rękojeść szpady i rzucił się piersiami na ostrze, śmierć sobie zadając przeszyciem przez serce. Tosamo innego dnia, z tejże przyczyny wykonał oficer nazwiskiem Michał Wilczek.

Czemuż to taki rodzaj śmierci w obliczu moskiewskiego uzurpatora wybrali dla siebie ci dwaj rycerze? Innego wyjścia nie było. Należało bowiem, albo czynnie znieważyć cesarzewicza i w pojedynku z nim dochodzić praw swego honoru, albo go skrytobójczo za zniewagę zgładzić. Lecz zamordowanie sekretne cesarskiego brata sprowadziłoby zemstę carów na kraj

ledwie z niedoli wojennych oprzytomniały. A wyzwanie na pojedynek cesarzewicza mogłoż mieć skutek należny?

Pozostawała jedynie forma trzecia, którą ci dwaj natychmiast po zniewadze w duszach swoich znaleźli, nieulękłą dłonią wybrali i wykonali w milczeniu wzniosłem. Nie wiedzieli przecie, iż w dalekiej Japonii od wieków istniał ów sposób dochodzenia praw honoru, praktykowany przez dostojne dusze samurajów, a noszący nazwę *harakiri*. Człowiek, doznający od drugiego zelżywości nie do zniesienia, sam sobie życie odbierał w tym kraju, karząc w ten sposób straszliwie i nieodwołalnie krzywdziciela swej dobrej sławy. Lecz w kraju wolnej Japonii ten sposób dochodzenia swego honoru był powszechnie znanem prawem zwyczajowem, otoczony był od niepamiętnych lat obrzędowym ceremoniałem i stał się powszechnie uwielbionem prawem moralnem. Na Saskim Placu rycerze Ślaski i Wilczek to prawo straszliwe skarania nieodwołalnie krzywdziciela widokiem śmierci — pierwsi wynaleźli w Polsce ujarzmionej i samowtór ku czci potomnych pokazali.

Niegdyś w Grecyi starożytnej wielki tragik uwielbił w nieśmiertelnym utworze siedmiu rycerzy, stających przeciwko jednemu grodowi. W naszych dziejach nikt nie uwiecznił w tragedyi tych dwu, stających przeciwko moskiewskiemu caratowi. Dzieło ich jest sieroce, samotne i milczące. Naprzód stanął na niem pomnik generałów, co polegli za wierność swemu moskiewskiemu monarsze z rąk powstających podoficerów i żołnierzy. A później na ich dziele uwaliła się niezmiernym ciężarem bizantyńska cerkiew, co miała

wieczną niewolę Polsce wydzwaniać i wiecznej jej sromocie swemi złotemi kopułami przyświecać.

Teraz, gdy naga, wolna ziemia znowu z pod haniebnego pomnika i z pod gruzów cerkwi ma się ukazać, winnaby być na środku tego placu położona spiżowa tablica, któraby lapidarnemi słowy czyn Ślaskiego i Wilczka pochwalała. Tablica ta winnaby leżeć na samej ziemi, ażeby nie zawadzała stopie przyszłych szeregów żołnierzy, co przed wodzem pokoleń, — któremu Bóg powierzył honor Polaków, — defilować będa przez dziesięć tysięcy lat. Tablica ta nie zawadzałaby marszom pokoleń przyszłych żołnierzy, jak nie zawadza na rynku krakowskim kamień pamiętny na miejscu, gdzie przysięgał Tadeusz Kościuszko, iż najeźdźców z Ojczyzny wypędzi. Ta forma uczczenia oficerów, którzy winniby od wolnej Ojczyzny otrzymać rangę — «Dwaj przeciw caratowi» — byłaby zgodna ze skinieniem ręki wodza na koniu, krótkim mieczem swym salutującego ich cnotę wojenną, w nich najwyżej objawiony honor i uwielbioną Ojczyznę. Być może, iż inaczej wypadnie decyzya powołanych i miarodajnych urzędów i rozkaz narodowej władzy. Ale pisarzowi polskiemu, który zawżdy, gdzie i jak mógł, czcił te dwa imiona, wolno przecie wstawiać się za poległymi chwalebnie. Wolno mu również, — jeśli nie na Placu Saskim, w niezniszczalnym metalu, to w sercach oficerów i żołnierzy, braci najdroższych, za których bronią u granic kraj wolny pracuje i wielkość swoją kształtuje, — ryć imiona Ślaskiego i Wilczka, ażeby przenigdy nie uległy zapomnieniu.

[1925]

SPRAWA KASY IM. MIANOWSKIEGO

Kasa pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, im. rektora Szkoły Głównej dr. Józefa Mianowskiego, założona w okresie niewoli, była w ciągu długiego czasu jedyną nieomal w «Nadwiślańskim Kraju» latarnią, oświetlającą w pomroce ścieżkę nielicznej garści ludzi, zajętych zbieraniem, porządkowaniem i publicznem uwydatnieniem wiadomości pożytecznych. Po odzyskaniu niepodległości Kasa im. Mianowskiego zwolna, stopniowo i planowo przekształcać się zaczęła na *centralną instytucyę organizacyjno-naukową* pierwszorzędnej doniosłości.

Otoczona dziś najbardziej kompetentną opieką Rady Naukowej, złożonej z delegatów wszystkich naszych wszechnic i towarzystw naukowych, poparta w swych usiłowaniach i zamierzeniach przez Rząd narodowy, poczęła nietylko realizować w dzisiejszych niepomyślnych warunkach swe zadania wydawnicze, wspierać instytucye naukowe [1], uczonych samoistnie pracujących,

[1] Kasa M. stworzyła Pracownię Ikonograficzną w Warszawie, Obserwatoryum Magnetyczne pod Warszawą, pracownie genetyczne: hodowli roślin i hodowli zwierząt; wiele lat utrzy-

wysyłać młodych pracowników zagranicę dla studyów uzupełniających, lecz nadto pokusiła się o sformułowanie potrzeb i wymagań naukowych we wszystkich dziedzinach wiedzy oraz o ujęcie wpływu na całość nauki polskiej.

W tym właśnie okresie jej pracy, przejściowe, a nader ciężkie przesilenie finansowe, w które popadło nasze młode państwo, odbiło się i na podstawowych funduszach oraz pracach Kasy im. Mianowskiego. Rząd, bezlitosną siekierą wyrąbujący drogę dla przyszłej racyonalnej waluty krajowej, nie oszczędził i subwencyi na popieranie nauki. Nie mam zamiaru zażywać łatwej metody krytykowania postanowień Rządu w tej sprawie i wykazywania, co przez cofnięcie zasiłków ulega zdruzgotaniu, zahamowaniu, zepsuciu, lub całkowitemu zniesieniu w życiu nauki. Rząd państwa tak potężnego i starego, jak Wielka Brytania, dążąc do równowagi budżetowej, nie oszczędził również instytucyj oświatowych i naukowych, najbardziej nieodzownych i czcigodnych. Tamten rząd wiedział, że instytucye naukowe angielskie mają poza sobą naród angielski, społeczeństwo, czujące się w swem jestestwie. Podobnie było ongi z Kasą im. Mianowskiego. Poczęła się ona w czasach, kiedy żadnego Rządu narodowego wcale nie było. Liczyła wtedy na społeczeństwo rozdarte i rozbite, lecz mimo to czujące się w swej jedności i w swem jestestwie. Liczyła na niewidzialny, a niezniszczalny i niezdobyty rząd duchów światła,

mywała (przed wojną) pracownie Warsz. Tow. Naukowego, i do dziś dnia dopomaga subwencyami oraz udzielaniem swych wydawnictw wielu innym organizacyom naukowym.

którego ani wytropić, ani zniszczyć nie zdołał wszechogarniający i bezlitosny najazd. Kasa im. Mianowskiego wówczas nie na wzór angielski, lecz prawdziwie jako wzór dla wszystkich społeczeństw, wystawiła swe cele, nakreśliła swe drogi, czyli odwołała się tym sposobem w przymusowem, a wzniosłem milczeniu do niewidzialnego rządu duchów światła i nie zawiodła się w rachubie.

Wbrew wszystkiemu powstała i naprzekór wszystkiemu przetrwała. Patrzyła na olbrzymią ruinę rządu zaborców i doczekała się końca niewoli.

Miałażby dziś, gdy obaliły się i w proch obróciły wszystkie przeszkody, które jej powstaniu i działalności stały na zdradzie, nie znaleźć poparcia wśród wolnego polskiego narodu? Zasłużona, dostojna, wzniosła krynica wiedzy miałażby wyschnąć właśnie w Polsce niepodległej, cudownem zrządzeniem losów z kajdan wyjarzmionej? Niestety, trzeba to publicznie stwierdzić z goryczą, której tysiączne przyczyny dokoła widnieją i z dnia na dzień się pomnażają, iż polskie społeczeństwo powojenne nie jest już tamtą skupioną w sobie jednią z okresu niewoli. Coś takiego stało się z niem, iż na wezwanie, najgodniejsze posłuchu, nie odpowiada i nie słyszy wołań najbardziej natarczywych. Wielka ofiarność publiczna na cele społeczne, oświatowe, naukowe, kulturalne, nie mówiąc ani słowa o artystycznych, prawie ustała. Wszyscy w tem nowem państwie oglądają się na rząd widomy i działający, wszystkiego żądają od rządu i wszystką odpowiedzialność za wszystko, co się tylko da pomyśleć na rząd składają.

Nauka zaś z jej dalekiemi celami organizowania wiekuistej, twórczej rewolucyi, skierowanej nie przeciw ludziom, lecz przeciwko przyrodzie, mająca na oku nie podział dóbr wytworzonych, lecz ich nieskończone przyczynienie i pomnożenie, — w dobie doraźnej walki nie tylko klasy społecznej przeciwko klasie, lecz powszechnego bogacenia się kosztem bliźnich, wydaje się być czemś dalekiem, dziwacznem, może i godnem szacunku, lecz zbytecznem. Pracowite i skrzętne gromadzenie, umiejętne organizowanie i ciągłe ćwiczenie bezcennej siły — wiedzy narodowej — zbiornika energii — o wartości największej, z którego, jak z przeczystego jeziora w wysokich górach płynie wraz z potokami na wszystkie strony moc niezmierzona, zdolna do przetworzenia się na każdy motor o użyteczności najbardziej realnej i doraźnej, nie budzi już entuzyazmu, jak za dawnych lat niewoli.

Z pychą odtrącamy i z odrazą odrzucamy nazwę państwa burżuazyjnego, którą Polsce dzisiejszej nadają złośliwie sąsiedzi. Lecz czy możemy jej nadać nazwę Chrystusa narodów, albo nazwę świętego Jerzego, którąśmy ją ozdabiali w dniach uzyskania wolności? Nie umiemy wznieść się na wyżynę burżuazyi Zachodu i Ameryki, tych światłych dorobkiewiczów, którzy nagromadzone bogactwa zużywają na tworzenie instytutów niezrównanych, służących sprawom nauki czystej.

Idą zwolna w zapomnienie wartości i cnoty wypracowane za dni niewoli, czy wojny i w radosnej chwili wyzwolin, jakby na stwierdzenie prawdy dawno przez wieszcza narodowego przepowiedzianej:

Ręce za lud walczące sam lud poobcina.
Imion miłych ludowi lud pozapomina.
Wszystko przejdzie. Po huku, po szumie, po trudzie
Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

Gdybyżto «cisi»!... Ale oto obok tego gmachu, obdartego z niewolniczej skóry, która bezcześciła piękne dzieło ofiarnika w najwyższym stylu, Stanisława Staszica, obok tego domu — dziwoląga nad dziwolągi. który tylko w dzisiejszej Warszawie może egzystować, — mkną z hałaśliwem porykiwaniem setki najwspanialszych, najbardziej europejskich, czy amerykańskich automobilów, wiozące dobrze lub źle urodzonych powojennych magnatów. Cuchnącym gazem zatruwają płuca ubóstwu, biegnącemu za zarobkiem i trudem, a błotem ulicznem obryzgują, na rogu gmachu — dziwoląga, szafki z książkami, które Kasa im. Mianowskiego wydała. W żadnem oku nie spłonie duma, w żadnem sercu nie zapali się postanowienie, ażeby z tym czerepem rubasznym w stolicy wolnego państwa raz skończyć, ażeby szlachetne formy dawne, wyśnione, pomyślane i utworzone przez Staszica wskrzesić na nowo. I tak oto sterczy w samym środku wielkiego miasta ten istny obraz i symbol Polski dzisiejszej. Zewnętrzna powłoka i skorupa niewoli zdarta została, lecz wewnętrzna treść wynurzyła się oto na światło i widomie stoi przed naszemi oczyma. Jeżeli nie razi nikogo z magnatów tej ziemi dom, gdzie mieści się Kasa im. Mianowskiego, ta forma zewnętrzna, to cóż mówić o rozumieniu wewnętrznych celów, zamierzeń i prac tej instytucyi? Nie jestże próżną stratą czasu «odwoływanie się» do tych cudzoziemców w ojczyźnie, do

głuchoniemych potentatów, gdyby nawet nosili najbardziej polskie i głośne nazwiska?

Kilku magnatów polskich mogłoby bez uszczerbku dla swych fortun postawić Kasę im. Mianowskiego na najwyższym poziomie, na takim poziomie, jakiby dziś zajmowała, gdyby dar jednego tylko inżyniera nie został przez państwo ościenne skonfiskowany. Nie budzą się w żadnym z nich ambicye przodków, którzy instytucye naukowe niegdyś stwarzali. Wolą oni czekać cierpliwie na swoją kolej, aż im nieubłagany na nieubłaganych sąd i wyrok losu, ślepa zemsta grubego i sprośnego Marchołta wydrze, zniszczy i podepce bogactwa ze skąpstwem zamykane, jak się to już zdarzyło tu i tam poza granicami, tej dziedziny nanowo złotego egoizmu, aż ich wyzuje z dziedzictwa, którego używać po chrześcijańsku, w myśl przepisów anielskiego doktora chrześcijaństwa, nie umieli, aż ich nanowo rozmiecie i rozproszy poza granice ojczyzny.

Patrząc z boku na zmaganie się Kasy im. Mianowskiego z obojętnością zamożnego ogółu, gdy apel jej dotarł już do zrozumienia sejmików, wywołał opodatkowanie się gron nauczycielskich, rozbudził ofiarność wśród... uczniów, poruszył firmy handlowe i zarządy banków, postanowiłem odezwać się do tego właśnie świata bogaczów. Nie bacząc na śmieszność, jaką się okryć mogę, iż chudy, wędrowny literat śmie mieszać się do spraw tak wysokiego porządku, podnoszę jednak mój głos w nadziei, iż do jakiegoś ucha doleci.

Kasa im. Mianowskiego nie mogła swego czasu dla braku funduszów wydać czterotomowego dzieła o naukowych podstawach lotnictwa, którego autorem

był inżynier Witold Jarkowski, najdoskonalszy przed wojną elew szkoły awiatycznej w Paryżu, później profesor lotnictwa w politechnice petersburskiej. Tegoż Witolda Jarkowskiego, świetnego uczonego i wynalazcę, bolszewicy — ku wiecznej ich hańbie — rozstrzelali, jako zakładnika, jako dziesiątego w szeregu. My nie umieliśmy dzieła naszego rodaka drukiem ogłosić, a tamci go bestyalsko zgładzili. Oto obraz dwu «kultur» sąsiadujących.

Nie będę się tu odwoływał do poczucia narodowej dumy, ani do innych uczuć nieuchwytnych, gdyż te «truizmy» nikogoby dziś nie wzruszyły. Wskażę tylko kilka zjawisk oczywistych, których odsłonięcie ujawni niebezpieczeństwo nietylko państwowe, ale i osobiste każdej jednostki tego kraju. Oto sąsiedzi nasi ze wschodu posiadają dwadzieścia siedem fabryk samolotów, podczas gdy my posiadamy jedną. Na dwustu naszych lotników — w ciągu jednego roku — trzydziestu straciło życie. Znakomity awiator włoski, który u nas gościł niedawno, powiedział o lotnikach polskich, iż są to niewątpliwie bohaterowie, gdyż on stchórzyłby haniebnie, mając wsiąść na aparat, na którym nasz lotnik wzbija się nad poziomy. Cóż nam jednak przyjdzie z tego czysto naszego bohaterstwa, skoro w ciągu pół godziny wszyscy udusimy się w gazach trujących sąsiada z zachodu, udoskonalanych nieustannie, bezsennie, przez szeregi uczonych chemików, pracujących w specyalnych laboratoryach? Ażeby zaś mieć chemików, pracujących specyalnie w laboratoryach nad gazami, trzeba łożyć na utworzenie nauki własnej wogóle, gdyż odkryć swych, sekretów i wynalazków nikt

nam przecież nie wyda. Niski poziom kultury nauk zabija ich praktyczne zastosowania. Gdy Anglicy postanowili upaństwowić kopalnie węgla, poprzedzili to badaniem czysto naukowem całej sprawy. Jeżeli, zbliżywszy się do morza, chcemy rozwinąć handel rybami Bałtyku, należy wesprzeć stacyę naukową badawczą w tej dziedzinie, założoną na Helu. Tymczasem ta maleńka, a z entuzyazmem prowadzona oaza naukowa nie może ruszyć z miejsca, gdyż nie jest w możności wykupić obstalowanego mikroskopu. Setki bogaczów, zwiedzających tę stacyę, puszczały mimo uszu wiadomość o braku mikroskopów. Straty wyrządzone przez szkodników leśnych z powodu niedostatecznego stopnia zbadania ich przez zoologów, wynoszą, oczywiście, więcej, niż budżet nauki całego naszego państwa.

W nasze życie nowoczesne, bogate, nieokiełznane, żywiołowe, musi wejść ścisła nauka, jako regulator i kierownik. Ona to jedynie może nam dopomóc, ażebyśmy z miazgi bujnej, lecz złupionej przez najeźdźców, starganej przez złą uprawę, sponiewieranej przez jawną głupotę, skłóconej o byle co lub nagim ugorem leżącej, mogli rozpocząć planowe budowanie nowej treści wewnętrznej, nowej szerokości i bujności ducha, świadomej, czysto narodowej, własnej, na najlepszych i niewątpliwych osnutej doświadczeniach i na dostojnych wzorach. Z jej to pomocą jedynie nie stracimy bogactw olbrzymich, które nasz naród już posiadł, i z jej pomocą jedynie zdołamy nowe odnaleźć.

W wolnem państwie polskiem nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemycana, musi być polska. Nauka — to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebiosa nieskończoności odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste.

Posiadamy instytucyę temu właśnie celowi służącą, założoną w mrokach niewoli przez ojców czcigodnych i przekazaną nam, którzy żyjemy w słońcu bezgranicznej, złotej wolności. I dziś oto ta właśnie instytucya — nie posiada dostatecznych środków.

Ratujmy! Wspierajmy! Stwórzmy na nowo Kasę imienia Mianowskiego!

[1924]

[W SPRAWIE GRUZYI]

W pamiętnikach, malujących najbardziej twardy los wygnańców polskich na Sybir po powstaniu roku 63-go, w pismach, uwydatniających opuszczenie nasze przez świat cały, występuje zawsze sojusznik wygnania, — Gruzin, przykuty również jak powstaniec polski do taczki katorżnika.

W dalekiem, sybirskiem zesłaniu w stepie śnieżnym, w mroku kopalni zakwitł ów uśmiech przyjaźni, pozdrowienie się duchów wolności, który na licach dwu dalekich ludzkich typów jaśnieje.

Przyjaźń, w takich zawarta warunkach, trwalsza jest ponad wszystko. Mijają, w miarę odmiany konjunktur, układy międzypaństwowe, zawierane na skutek wzajemnej wymiany dóbr materyalnych, — tamten niemy uśmiech trwa poprzez wieki. Naród Polaków i naród Gruzinów, nie sąsiadując bezpośrednio ze sobą, ma przecież wspólne karty historyi. Domowe wspomnienia, impulsy do walki i jej dzieje, ujęte przez pismo, a nadewszystko to, co jest skarbem najdroższym i najtrwalszym, — pieśń, — tęsamą tu i tam ma podnietę, tosamo hasło.

W dobie swojej długiej niewoli Polacy, wydeptując tyle dróg obczyzny, deptali także strome ścieżki niebosiężnych gór Kaukazu. Dzisiaj Gruzini zmuszeni są przez wspólnego wroga do przemierzania równiny polskiej.

Nadchodzi jednak dzień, kiedy ludy świata znienawidzą podbój i gwałt, jakiemikolwiek osłoniony hasłami, odrzucą przemoc ludu nad ludem.

Wolność Gruzyi musi być hasłem wszystkich ludzi, wolnych w duchu.

Warszawa, d. 17. V. 1923 r.

KU CZCI FRANCISZKA NULLO

W roku bieżącym, dnia 5 maja, upływa sześćdziesięciolecie od daty bitwy pod Krzykawką, gdzie w chwalebnej dobie powstania zginął od kul i szabel kozackich pułkownik wojsk włoskich, Franciszek Nullo. Zwłoki jego, uszanowane nawet przez najeźdźców, spoczywają na starym cmentarzu miasta Olkusza w ziemi kieleckiej.

Dziesięć lat temu, za pobytu we Włoszech, pomieściłem był w kwartalniku politycznym p. t. *Eloquenza* wspomnienie o Franciszku Nullo i zaryzykowałem obietnicę, iż skoro tylko Polska niepodległość odzyska, jednym z pierwszych jej czynów będzie uczczenie publiczne zwłok włoskiego i polskiego bohatera i przeniesienie ich z cichego w Olkuszu schronienia do narodowego panteonu. Polska odzyskała niepodległość, jest panią wszechwładną swych ziem i władczynią popiołów, ukrytych w ich łonie, a Franciszek Nullo czci, należnej mu od narodu polskiego, nie otrzymał. Bezcenne jego popioły leżą w miejscu wiadomem. Czy zapomnieli o nim Polacy? Bynajmniej! Jeszcze za panowania najeźdźców, w najsroższej dobie ich przemocy, czujna pamięć okolicznych obywateli, umieściła na grobie bohatera skromny znak, kamienny pień z piaskowca z napisem zaiste lakonicznym: «Fr. Nullo — 5 V 1863 — Pod Krzykawką». Legiony po wkroczeniu w granice byłego «Królestwa» oddały honory wojskowe tym zwłokom. Miasto Olkusz, świadome skarbu, który w obrębie jego granic spoczywa, zdobi mogiłę kwiatami i otacza ją żywą troskliwością. Ale naród niepodległy, niezwyciężone państwo, nie może chyba pozwolić na dalsze trwanie lakoniczności napisu, który w dobie niewoli pamiętna ręka wyryła.

Inne przecie nadmogilne słowo należy się najszlachetniejszemu ze szlachetnych europejczyków, który tak bez wahania «rzucił się w rzekę nieszczęścia» naszego, za przyszłą niepodległość i potęgę państwa Polaków, na moskiewskie kule serce swe wystawił i w nasze piaski wszystką swą krew wytoczył.

Ażeby Franciszkowi Nullo oddać należną cześć, zawiązał się komitet, z którego inicyatywy w dniu 5 maja r. b. odbędzie się w Olkuszu uroczysty obchód z udziałem rządu i wojska polskiego, poselstwa włoskiego w Polsce i delegatów z Włoch, w tym celu specyalnie przybywających. Przed mogiłą olkuską ma się odbyć defilada wojskowa. Tego dnia nastąpi wmurowanie tablicy w narożnik domu, obok którego ciągnie się ulica, prowadząca na cmentarz, wygłoszone będą przemówienia i odczyty dla ludu. W Warszawie odprawione będzie nabożeństwo żałobne w kościele garnizonowym na placu Krasińskich.

Te obchody, w ścisłe ramy zamknięte ze względu

na wielkie uroczystości powitania wielkiego gościa z Francyi, marszałka Focha, nie wyczerpują sprawy. W jakimś dniu roku bieżącego prochy Franciszka Nullo winny być przeniesione z Olkusza do Warszawy i złożone tymczasowo w krypcie garnizonowego kościoła, dopóki nie będzie zbudowany panteon narodowy dla bohaterów wywalczonej wolności.

Przychodzień z Włoch, śpiący w ziemi olkuskiej, musi być pierwszym w tym rzędzie. Ale są jeszcze inni: Włosi, Francuzi, Niemcy, Rosyanie. Im wszystkim należy się równe uczczenie. Wywyższenie w roku bieżącym Franciszka Nullo powinno wywyższyć święte hasło, które mieli wypisane na naramiennikach rycerze Jana Henryka Dąbrowskiego: *Gli uomini liberi sono fratelli*. Ponad pustynią, gdzie doraźny zysk, paskarstwo i oszustwo grasuje, należy wydźwignąć świątynię bohaterów, ażeby oczy nowych Polski pokoleń mogły ją mieć zawsze przed oczyma, jakoby obłok świecący.

Franciszek Nullo musi być teraz uczczony, ażeby nam tego prochu nie pozazdrościła jego ziemia rodzinna i nie zabrała go z cichego cmentarza w Olkuszu do Bergamo, gdzie na miejskim placu wznosi się już pomnik tego przzodownika «tysiąca», zastępcy i adjutanta bożyszcza Włoch zjednoczonych, Józefa Garibaldiego.

Nie jest prawdą, jakobyśmy byli teraz za ubodzy i jakoby nas nie stać było na wzniesienie świątyni archaniołów wolności. Stać nas na to, — tylko w nas dusza ustała. Podwyższenie ku czci powszechnej Franciszka Nullo obudzi w nas duszę, wzmoże nanowo kult ofiary, której On był i jest najdostojniejszym wzorem. Podwyższenie popiołów Franciszka Nullo będzie wyciągnięciem ręki z kajdan uwolnionej do tej ziemi, słonecznej, do ziemi włoskiej, skąd do nas pieśń wolności przyleciała.

[1923]

«LATARNIA»

Nowe, powojenne życie z jego zgiełkliwym przemysłem i zabiegliwym handlem, z młodzieńczem upajaniem się pięknem istnienia i beztroskliwą zabawą rozbiło swoje namioty na cieniach, padających po ziemi od mogił bohaterów, zabitych przez ślepe pociski, lub niemniej ślepe ciosy ręki człowieczej.

Świat nowy chętnie i szybko zapomina o tym, komu zawdzięcza swą wolność, swobodę wszelkich poczynań i nic o tem nie chce wiedzieć, iż tańczy w upojeniu na cieniach, padających od mogił. Lecz obok straganów i siedlisk życia nowego stoją świadkowie żywi, posępni wygnańcy ze świata, który już odszedł i minął, a nie mający możności wmieszania się w tłum pracy i zabawy: to ślepi, którym wojna miniona wypaliła oczy. Spojrzenie ich niewidzących źrenic przesuwa się, jak czarne skrzydło śmierci, po obszarach pracy, przenika zabiegi powojennego gromadzenia bogactw, zgiełk kłótni i radość zabawy. Ślepi słyszą z wyrazistością podwójną, potrójną wszystko, cokolwiek się dzieje w ciemności, która u stóp ich zaległa. Ślepi mają dusze pełne goryczy i zgrozy. Przebywając w okręgach bezprzykładnego cierpienia, przykuci do miejsca niedoli, na bezczynność skazani, mają serca napełnione

jadem. Najgłębszem bodaj nieszczęściem istoty żyjącej, której zadaniem jest zdobywanie żywności, odzieży i schroniska, oraz obrona przed wrogiem, jest brak najniezbędniejszego ze zmysłów, brak wzroku. Lecz utrata siły widzenia w kwiecie wieku męskiego, gdy się ją posiadało od dzieciństwa, jest nieszczęściem, którego nikt z widzących nawet wyobraźnią najwyższą zmierzyć i zgruntować nie zdoła. A jednak tę to właśnie otchłań należy mierzyć i badać, o ile społeczeństwo ludzkie nie ma być tłumem egoistów.

Jest właśnie możność ulżenia ciężaru jarzma niedoli ślepych żołnierzy, wydobyć z ich serca, skoro nie można światła ich źrenicom przywrócić, kolca żalu i rozpaczy, który je przebija. Jest możność dania im w ręce kija podpory, wsparcia ramieniem ich kroków w ciemności, dania im do rąk pracy odpowiedniej, któraby im zapewniła życie wśród ludzi, jako braci wśród braci.

Zaledwie część niewidomych żołnierzy, w liczbie siedmiuset jednostek, jest zarejestrowana, mieści się częścią w zakładach w Warszawie, Lwowie, Bydgoszczy i Płocku. To ci, którzy mają schronienie nad głową i dolę osłodzoną pieczołowitością rodaków. Lecz są ślepi żołnierze, w nędzy i zapomnieniu błąkający się po drogach życia, potrącani przez biedę i odepchnięci od pociechy za to, iż oczy dla wolności ojczyzny stracili.

Ucywilizowane społeczeństwa oddawna pracują nad ulżeniem niedoli ociemniałych rodaków. Od szesnastu lat poświęca się tej pracy Miss Winifred Holt w Ameryce, tworząc ogniska pod nazwą *Phare* (Latarnia), których celem jest zapobieganie zupełnej ślepocie i stała dla ociemniałych pomoc. Już dwanaście

lat temu została otwarta w New-Yorku przez prezydenta Stanów Zjednoczonych pierwsza z tych instytucyi, a dziś posiada, oprócz siedziby głównej, prowincyonalne oddziały. W roku 1916 przez prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej został otwarty instytut *Phare* w Paryżu, z którego wyłoniły się cztery prowincyonalne placówki. W roku 1920 powstał *Phare* w Rzymie. Wszystkie te instytucye i ogniska pochodzą duchowo od amerykańskiego pierwowzoru i zachowują z nim serdeczne stosunki.

«Latarnia» polska powstała w grudniu 1921 roku z inicyatywy Miss Winifred Holt, która przybyła do Polski w celu zbadania stanu ociemniałych na powojennym terenie. «Latarnia» polska ogranicza się na razie do rejestracyi ociemniałych, niesienia pomocy tym ofiarom wojny przez reedukacyę, pomoc materyalną, udzielanie informacyi i wskazówek.

Pierwszą jej czynnością było urządzenie gwiazdki dla ociemniałych żołnierzy w szpitalu przy ulicy Zakroczymskiej. Zamierzeniem «Latarni» polskiej jest spisanie wszystkich ociemniałych na wojnie polskich żołnierzy, wydobycie ich z ciemności, wyszkolenie w zawodach dla nich dostępnych, danie im możności zarobkowania, nauka czytania i pisania według systemu Braille'a. W zakładzie reedukacyjnym, jaki ma powstać, urządzane będą dla ociemniałych odczyty, koncerty, dostarczy się im możności gimnastyki, pływania, sportów, jak ślizgawka, taniec, jazda na rowerze, boksowanie się, jazda konno i t. d., co się praktykuje w *Phare*'ach francuskich i amerykańskich. Pensyonarze tamecznych instytucyi dla ociemniałych mają swe zespoły muzyczne i zebrania towarzyskie z widzącymi. Dwa z *Phare*'ów francuskich już zwinięto, gdyż ociemniali, nauczywszy się zarabiać na życie, pożenili się i założyli własne warsztaty pracy zarobkowej.

Miss Winifred Holt, zwiedzając polskie zakłady, spotkała dwu dzielnych oficerów, ociemniałych na wojnie, zaprosiła ich do *Phare* w Paryżu w celu wyszkolenia się na przyszłych instruktorów «Latarni». «Latarnia» z funduszów dotychczas zebranych umożliwiła im podróż, a misya francuska w Warszawie eskortowała tych dwu oficerów do Paryża, zdobywając sobie jeden więcej tytuł wdzięczności całego naszego narodu. Ci dwaj oficerowie, wyrwani z objęć wiecznego smutku, uczą się dziś wszelkich możliwych zajęć, odpowiednich dla niewidomych, by z czasem, powróciwszy do kraju, wyszkolić rodaków w zakładzie reedukacyjnym. Na stworzenie tej placówki potrzeba środków ogromnych, tysięcy i milionów, o które zwraca się «Latarnia» do całego społeczeństwa. Niech płyną zapisy i dary dla ociemniałych żołnierzy! «Latarnia» będzie organem wdzięczności rodaków dla tych, którzy najwyższy skarb człowieka i radość życia poświęcili dla umiłowanej ojczyzny.

Protektorat nad «Latarnią» objął łaskawie Naczelnik Państwa, honorowym prezesem komitetu jest jenerał Haller, członkami zarządu tymczasowego są pp. St. Staniszewski, ks. Eustachowa Sapieżyna, hr. Róża Tyszkiewiczowa, Fr. Lilpopowa, dr. Jarecki, dr. Kępiński, dr Kamocki.

Siedziba tymczasowa «Latarni» mieści się przy ulicy Czackiego nr. 9. [1922]

NIECH ŻYJE ZIEMIA SPISKA!

Gdy Polska w ciężkiej chwili swoich dziejów nie mogła sobie z nawałą sprzeczności poradzić, gdy musiała się targać wśród zamachów i intryg wrogów zewnętrznych, Austrya pierwsza wyłupała podstępnie ze świętej polskiej korony perłę najozdobniejszą: — Ziemię Spiską. Przepiękny Poprad, którego brzegami wędrował w prawieku święty Świerad, wyrosły z pośród ludu polskiego, jako róża z pośrodka cierni, zdążając do swych pustelni, przy ujściu wód popradowych do Dunajca i dunajcowych do Wisły, — przepiękny Poprad niosący wsze wody wysoko-tatrzańskie do naszej Wisły i do naszego morza, — stał się rzeką cudzą, jakby mu kazano w górę popłynąć bystremi falami, a od wieków i na wieki polski lud Spisza, od macierzystego podhalan szczepu oddarty, popadł w madziarską niewolę. Trzebaż temu ludowi wspominać, ile w ciągu półtorawiecznej niewoli wycierpiał? Madziar, — tyran jeden z najgorszych na ziemi, — usiłował wydrzeć mu język ojczysty, zakazywał samej nazwy Polaka. Ani jednego napisu w ojców języku, ani jednego dźwięku matczynej gwary w piśmie lub druku. Ale żyła w zakolu ubogcih siół święta mowa ojczysta, takasama jak

na wszystkiem Podhalu, stara, czysta, a wiecznie młoda. W tym czasie, gdy w Zakopanem i podhalańskich osiedlach dźwignął się człowiek ubogi z barłogu poniżenia i ciemnoty, gdy tam rozszerzać się już zaczęła narodowa oświata, aczkolwiek nie polskie jeszcze w «Galicyi» rządziło prawo, lecz chytre austryackie rozporządzenie, Spiszak był wciąż na ostatku, zapomniany i wzgardzony przez madziarskiego przywłaszczyciela. Był czas, kiedy samotny pracownik ś. p. Tesseyre, — niech jego imię będzie na zawsze pamiętne! — raz wraz dźwigał w plecaku polskie książki z Zakopanego na Spisz, żeby po chatach zakładać tajne czytelnie, ścigany za to, jako zbrodzień po lasach i przesmykach górskich przez węgierskich żandarmów. Później jedynie czcigodny dr. Bednarski i grono pracowników z Nowego Targu trudziło się stale około nawiązania narodowej łączności z polską ludnością Spisza i, w miarę sił, zaspokojenia jej potrzeb duchowych.

Teraz nareszcie, gdy po wielkiej wojnie moc tyranów, którzy między siebie Polskę rozszarpali byli, na miazgę porażona została, gdy nie ostał się ani jeden cesarz, — moskiewski, niemiecki, austryacki, — a madziarska samowola odpadła od naszych strzelistych gór, z wysokiej Łomnicy i Garłucha aż za Koszyce strącona, na ziemi Spiskiej pojawił się nowy najeźdźca.

To Czech! «Brat» Czech. Ze złotej Pragi, z ziemi dalekiej wyciągnął ramię aż za naszego Popradu wody, po Nowy Targ, po Dunajec. Na miejscu Madziara staje Czech, Słowianin, i na tej samej co Madziar prawnej zasadzie chce polskim wsiom Spisza narzucić swoją obcą mowę, swoją tu postawić szkołę i swoje prawo

narzucić. «Brat» Czech ogłasza się, jako spadkobierca austryacko-węgierskiego tytułu do władania polską ziemią na Spiszu.

Gdy ludy świata ku zakończeniu przemocy narodu nad narodem wzdychają, gdy wszystkie narody godzą się na stanowienie o sobie każdego szczepu, gdy nikt już nie chce wojny, a wszyscy pożądają pracy, pokoju i wolności, ten naród czeski, — ledwie z niewoli głowę podźwignął, — chce na zasadzie przemocy, gwałtu, siły przed prawem, najazdu rządzić ludami, które jego władzy nie chcą i nie uznają. Zapowiada on nam, narodowi polskiemu, ciemiężonemu od tylu czasów, że po niewoli niemieckiej, moskiewskiej, austryackiej nastanie dla nas na Śląsku, na Orawie, na Spiszu niewola czesko-słowacka, — zapowiada on nam, że zagarnie, jako swoją, czysto polską ziemię Śląską, Orawy i Spisza Nie poprzestaje na groźbie, lecz wysyła na Spisz siłę wojskową i gotów jest przelewać naszą krew, byle tę ziemię przemocą ogarnąć.

Ze strony polskiej niema względem Czechów ani jednej winy. Rachunek nasz jest bez omyłki i skazy. Polska nie wyciągnęła ręki ani po jedno czeskie osiedle, po jedną czeską szkołę, po jedną czeską duszę.

Zapomnieliśmy temu narodowi, że gdy «Galicya» jęczała pod najsroższym austryackim uciskiem, oni to «bracia» Czesi zalewali tę część naszej ojczyzny hołotą urzędniczą austryacką, ścigali naszą niepodległość, utajoną w spiskach i zmowach.

Zapomnieliśmy temu narodowi, że gdy Polska porażona została drzewcem opryczników moskiewskiego cara, po powstaniu w roku 1863, gdy pobici powstańcy,

najlepsi synowie polscy, wielkim pochodem szli w śniegi Sybiru, a milcząca ziemia zalana była krwią i zastawiona lasem szubienic, oni wtedy «bracia» Czesi pojechali na zjazd słowiański do carskiej Moskwy.

Liczyliśmy na Czechów, jako na sojuszników w czasie trwania tej wielkiej wojny. Gotowi byliśmy zawrzeć z nimi przymierze wieczne na podstawie najsumienniejszej sprawiedliwego rozgraniczenia. Szanowaliśmy pracę Czechów nad wewnętrznem ich zjednoczeniem i państwowem odrodzeniem. Czciliśmy, jak należy, ich piśmiennictwo i sztukę. Stawialiśmy sposoby ich pracy, jako wzory dla siebie. Nie uczyniliśmy nigdy ani jednego kroku, ani jednego ruchu, któryby mógł szkodzić ich dziełu u potężnych nowego świata wskrzesicieli.

Jeżeli oni w tej dobie wyzwalania się narodów usiłują wbić nam nóż w bok i krew naszego ludu wylewać, gdy nasza sprawa z mozołem się dźwiga z upadku, jeżeli oni dziś podstępnie i zdradziecko wyzywają nas na rękę, to niech będą pewni, że tego już im nie zapomnimy. Nie usiedzą ci najeźdźcy ani na Śląsku, ani na Orawie, ani na Spiszu! Polska dziś jest jeszcze w walce i trudzie skupiania swej siły. Ale niech Czesi wiedzą, że nasza siła jest, choć jej jeszcze nie widać. Niech nie liczą na to, że jej niema i nie będzie. Może niedaleką jest chwila, że ci dziedzice, naśladowcy i uczniowie Madziarów los swoich mistrzów podzielą. Śląska nie damy! Orawy nie damy! Spisza nie damy!

Niech żyje Ziemia Spiska!

[1920]

O ODZIEŻ CIEPŁĄ DLA ŻOŁNIERZA

Śnieg głębokiemi zaspami pokrywa ulice miast i zadyma wioski przyziemne. Mróz srogi ściska. W ulicach miast stoją długie kolumny ludzi ubogich, niewiast znędzniałych i wychudłych, czekając przed drzwiami sklepów i składnic na chleb, mleko, węgiel. Srogi wicher siecze tych ludzi, jak martwą ziemię, bo z miejsca swej kaźni odejść nie mogą, gdy w sercach ich bije najgłębsza miłość rodzicielska i rodzinna, — śnieg zasypuje ich, jak bruk uliczny. W każde załamanie muru szumnych ulic Warszawy, stolicy wyzwolonej Polski, wepchnięty jest skręt łachmanów i wyciąga się zeń ręka żebrząca.

Są w tej stolicy ludzie, wyczekujący na chleb, mleko i węgiel w nieskończonych kolumnach, i są ludzie, którzy tam nie czekają, gdyż posiadają wszystko. Świat Polski wyzwolonej rozpada się na dwa odłamy — na nędzarzy i bogaczów. Nigdy jeszcze tak się dochodami z ziemi nie opchał wielki właściciel ziemski i chłop posiadacz, jak w tym okrutnym czasie. I nigdy jeszcze tak olbrzymia tłuszcza bezdomna, nie posiadająca ani skiby roli, wielomilionowa rzeka komornicza bez ujścia,

a przykuta do gruntu, nie nurtowała ziemi polskiej. Wiatr bowiem świszcze w czerepie wystygłych fabryk, a coraz liczniejszy tłum robotników bez pracy patrzy w miasto, w którego głębi kotłuje się zbytek.

To jest istota tej dziedziny, o którą walczy na froncie bohaterski żołnierz bez butów, śpiąc głuchą nocą w okopie ze skostniałemi nogami i z dreszczem, przejmującym do szpiku kości, — to jest ta owczarnia, w której wnętrzu mędrkowie społeczni kuszą się o wyspekulowanie prawa jednakiego dla wszystkich warstw społecznych, czyli jednakiego prawa dla owiec i wilków.

To jest ziszczenie świętej łaski, dane żyjącemu dziś pokoleniu za cenę kości bohaterskich, rozrzuconych po ziemi. Świat paskarzów, bogaczów, zbogaconej hołoty, świat chamów w drogich futrach i kortach, świat motłochu w znakomitej bezcennej bieliźnie i obuwiu, — i świat nędzarzy, obdartych ze szmat, smaganych wichrem i śniegiem zimy. To, co dziś jest, — to nie Polska, wyśniona przez bohaterów i przez doboszów ich kohorty, wielkich pieśniarzy. To świat, który nie stoi, wyżej, lecz niżej od sąsiadującego z nim otoczenia.

W dniach 22-im, 23-im, 24-ym i 25-ym listopada odbędzie się zbiórka ciepłej odzieży dla polskiego żołnierza. Skaut polski, młodzieniec, w którego nieskażonem sercu zamknięta jest Polska przyszła, istotna, wywalczona przez bohaterów i wyśpiewana przez poetów, przyjdzie w poselstwie od żołnierzy do drzwi obywateli — po ciepłą odzież. W progu nędzarzy nic, pewnie, nie użebrze, z izb inteligencyi zawodowej wyniesie przedostatnią koszulę. To też niech ten poseł od skost-

niałych żołnierzy w zimnem polu kołace do drzwi bogaczów, niech w nie wali, jak groźny, pozywający zwiastun, niech nie błaga, lecz żąda, niech patrzy z grozą w zimne oczy i niech tem spojrzeniem sięga do kamiennego serca.

[1919]

ZAKOPANE DLA GŁODNYCH WILNA

Ze wszystkich miast, w których mowa polska rozbrzmiewa przez wieki, obarczonych dzisiaj nieszczędnie krzywdami wojny, najnieszczęśliwsze jest Wilno. Nie może się z niem porównać ani jedno z miejsc w Polsce. Gdy na bruk Kalisza waliły się czasu klęski gruzy jego budowli, na ulice Wilna walą się z głodu i konają jego mieszkańcy. Jak głosi wieść straszliwa, najbiedniejsza część ludności tego miasta z nędzy wymarła.

W prawieku, za cenę miłości cudnej królowej, kupiona została unia wieczysta Polski i Litwy, jedno z najpiękniejszych podań z przeszłości świata. Litwa to kolebka wodza narodu — Kościuszki, to kraina, którą nazywał ojczyzną wieszcz plemienia polskiego — Mickiewicz. Wilno to mury, w których cieniu nauczali Śniadeccy i Lelewel, a gdzie się uczył Słowacki.

Polska obdarta dziś i zgłodniała, krwawiąca bose nogi na kamienistej drodze do wolności, *ostatnią kromkę chleba, którą niesie do ust, winna rozłamać i połowę podać konającej siostrze.*

Idzie tu nie tylko o miłosierdzie względem bardziej cierpiących, lecz o nasz skarb najdroższy, nabyty przez współżycie w ciągu pięciuset lat, o byt fizyczny, o dorobek kultury polskiej na tej męczeńskiej ziemi.

Zakopane, d. 25 lipca 1917.

NA GŁODNYCH W WARSZAWIE

Prezes Komitetu Obywatelskiego i Prezydent stołecznego miasta Warszawy, książę Zdzisław Lubomirski, wydał następującą odezwę:

«Sekcya zbierania ofiar wezwała grono obywateli miasta, aby z sercem gorącem i rękami do pracy chętnemi, stanęli do rozniecenia jak najszerszej akcyi ratunkowej, wobec grozy nasuwającego się stanu rzeczy.

Niedawno uderzyliśmy do ofiarności publicznej na cele oświatowe i danina obywatelska popłynęła radośnie i hojnie. Dziś — niestety — bijemy w trwogi dzwon: na progu domu naszego stanął głód w całej swej grozie, w całej swej okropnej nagości.

Dążymy do nauczania powszechnego. Czy jednak wynędzniałe, głodne dzieci, które zaludnią sale szkolne, będą zdolne do nauki? Idziemy w każdej myśli i w czynie każdym do jaśniejszego jutra, czy jednak wynędzniali, głodni chłopcy wyrosną na dzielnych obywateli kraju, a dziewczęta — na silne matki przyszłych pokoleń polskich?

Pragniemy odbudować kraj nasz, czy jednak nie ujrzymy rychło, że nowe podwaliny zakładamy na cmentarzysku ludu!

Ze strasznej pożogi wojennej, z tego huraganu klęsk i ofiar, co się nad nami rozszalał, musimy nadewszystko ratować życie zagrożonych mas ludności, a zwłaszcza ocalić dzieci.

Zanim najszersza ofiarność, ujęta w pewne normy i zasady, obejmie ogół społeczeństwa polskiego, zwracamy się już nie do miłosierdzia i uczuć ludzkich, lecz do samozachowawczego instynktu narodowego, do wszystkich obywateli gorącego serca i do wszystkich, komu dola dostatkiem opromienia życie, aby bez zwłoki złożyli na ów cel święty, nie ofiarę, lecz dług społeczny.

W tragicznej, a przełomowej chwili dziejowej, jeśli nie mamy do podziału dochodu, musimy oddać majątku część. Dla kraju naszego jeden jest niezawodny ratunek — ocalić lud polski od głodowej śmierci!

A w ofiarności naszej niema chwili do stracenia, w pracy — chwili odpoczynku».

Jeżeli jakie skupienie ludzkie w Ojczyźnie, to przed wszystkiemi Zakopane powinno głośno odpowiedzieć na to wezwanie przedstawiciela Warszawy. Nie chcemy tutaj wypominać, ile materyalnego dobra właśnie Warszawie zawdzięcza Zakopane, do niedawna wieś podhalańska, a dziś całej Polski «Letnia Stolica» — pragniemy raczej powołać się na głęboką miłość, z którą w ciągu lat przychodzili do podnóża tych gór ludzie z Warszawy i przejawiali tę miłość swoją w nieprzeliczonych uczynkach.

W godzinie okrutniejszego nad wszelkie słowo doświadczenia, gdy robotnik utracił warsztat swej pracy, inteligent zawodowy nie ma o co rąk zaczepić, a widmo głodu schyla się nad kołyskami dzieci, — niechaj się odezwie w sercu zacnego ludu Podhala i zgromadzonej tu inteligencyi tasama głęboka miłość. Nie zezwólmy, Obywatele, sobie samym dożyć tego pohańbienia, ażeby obcy ze świata rzucali kość jałmużny nieszczęśliwej stolicy, dopóki sami nawzajem ród swój ratować możemy. Nie odczepnym groszem litości, lecz dostojnym czynem w postaci daru podhalańskiego wesprzyjmy braci, czynem, któryby był ich i nas godny.

Zakopane, w październiku 1915

[O NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI]

[Na zjazd młodzieży polskiej w Leodyum w Belgii w marcu 1910 r.]

Cieszę się zapowiedzią tego nowego przejawu siły w łonie młodzieży polskiej, który usiłuje rozerwać skorupę zatęchłych form, który świadomie, mężnie i nieodwołalnie wraca do świętego źródła Polski, do jej celu, podeptanego przez przemoc świata i zaniedbanego przez niemoc wewnętrzną. Wierzyłem w to przez całe życie, co teraz z nową siłą w waszych szeregach, jak nowe hasło się rozlega, że niepodległość Polski nie jest chimerą poetów i nie jest punktem partyjnego programu, lecz jest powietrzem żywotwórczem, bez którego płuca polskie nie mogą oddychać — jest tchem, bez którego wielka istotnie praca ducha nie może być dokonana. Musimy wszyscy bez wyjątku, z niezachwianą wolą, wrócić do pierwotnych założeń walczącego i pracującego ducha polskiego, musimy odwrócić się od myśli, że sprawę Polski można wyżebrać, wyszachrować, wyczekać. Rozsypujemy się oto, rozpraszamy, pędzimy bez wiedzy o tem, co się dzieje, odśrodkowemi szlakami. Nie ratują stanu rzeczy ani świetności sztuki, ani zdobycze literatury, ani połysk

tu i owdzie geniuszu w nauce, — idziemy w różne strony, spłaszczamy się, wsiąkamy w ludzkość, obracamy się w podobiznę samych siebie, w element polski, w naród zapomniany przez świat i przez nas samych. Jesteśmy już tylko społeczeństwem, nie jesteśmy narodem. Pokolenie, którego wy, Rodacy, jesteście czołowym szeregiem, musi stać się pracownikiem, który młotem czynu, świadomym ludom w zakresie walki o sprawiedliwość społeczną i oświatę jaknajszerszą, spoi nas znowu w naród. Jeśli nie odda następnemu pokoleniu ojczyzny wolnej, niech mu ją odda wolną i nieśmiertelną w duchu. Każdy zewnętrzny czyn w duchu się musi począć i dokonać. Sprawiedliwość społeczna i oświata jaknajszersza, najintensywniejsza, — te dwa ramiona ducha nowożytnej Polski, — winny raz na zawsze zrosnąć się z prastarym okrzykiem tych, co po trudzie czcigodnym śpią po dołach cmentarnych Sybiru i Francyi, «ziemi cudzej»: — «Niech żyje Polska niepodległa»!

[DO STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO]

[Na dzień jubileuszu — d. 6 marca 1910 r.]

Czcigodny Panie!

Ktokolwiek zechce wwiedzieć się w sny o wolności powstańczego pokolenia, w bieg sprawy, przemierzyć pola pobojowisk i katakumby okrutnego dnia przegranej, kto się zapuści w długie, niesławne dzieje życia, duszonego na śmierć przez przemoc, i zechce zbadać wytężone skupienie pracy wieczyście młodej, na śmierć zawziętej, zawsze czuwającej, najistotniejszej a najmniej znanej, pracy nad utrzymaniem zdrowia narodu, — ten musi ujrzeć Twoją postać szlachetną, jak w świetle łuny nieśmiertelnego powstania, — wczoraj, najgorzej zapłacony, odszedłszy, — wstajesz do dnia, górnik pracowity, ażeby stanąć na nowo do przebijania tajnego chodnika w pokładach bytu wielkiego plemienia, od najgłębszych i najdawniejszych kierując wyjście ku rolom ledwie zoranym i ku ugorom, jeszcze nietkniętym sochą niczyją.

Człowiek pokolenia, które zorzy nie widziało i idzie w mrokach nocy od zarania swoich dni, mrokiem wciąż gęstniejącym otoczone, z radością trafia na tę daleką, tajną drogę, którą wykuwał Twój młot, —

a na Twoją świetlistą postać i na Twój jasny czyn spogląda jak na wcielenie najpiękniejszej legendy o pokoleniu powstańców.

Skupione w małem zrzeszeniu grono ludzi pióra, przebywających w Paryżu dla studyów i dla nabrania tchu na tych samych szlakach Ojczyzny, któremi szedłeś, Czcigodny Panie, w złotym dniu życia, kiedy od pracy odrywasz na moment dłonie i wśród wiernego grona spoglądasz na drogę przebytą, ośmiela się przesłać Ci wyrazy najgłębszej czci i najserdeczniejszego pozdrowienia.

Paryż, dnia 16 lutego 1910 r.

W SPRAWIE SPROWADZENIA ZWŁOK JULIUSZA SŁOWACKIEGO

[I]

Na wiosnę roku 1909 zwołany został w Krakowie wiec, który jednogłośnie uchwalił, że w tym roku, jubileuszowym JULIUSZA SŁOWACKIEGO, prochy jego mają być sprowadzone do kraju i złożone w grobach królewskich na Wawelu. Komitet Obywatelski wybrany na tym wiecu na posiedzeniu plenarnem w czerwcu r. 1909, powziął wiadomość poufną od swego przewodniczącego p. Marszałka Kraju, że książę Biskup Krakowski nie zgadza się na złożenie zwłok poety w grobach wawelskich. Wobec tego stawiano na tem posiedzeniu dwa zasadnicze wnioski: 1) złożenia przez członków Komitetu Obywatelskiego mandatów i odwołania się w tej sprawie do społeczeństwa; 2) wysłania do księcia Biskupa Krakowskiego delegacyi z prośbą o kategoryczną zgodę lub odmowę. Przyjęty jednak został wniosek trzeci, postawiony przez p. Prezydenta Miasta Krakowa, w tym duchu, ażeby szukać jeszcze dróg i sposobów uzyskania grobu dla Wieszcza. Ponieważ wniosek ten przeszedł znaczną większością głosów, członkowie Komitetu Obywatelskiego zatrzymali mandaty. W ciągu lata i jesieni

r. 1909 ozwał się, jak wiadomo, w prasie i na zgromadzeniach szereg głosów i uchwał, domagający się jednomyślnie złożenia zwłok na Wawelu. Obecnie wiceprezes Komitetu Obywatelskiego, p. Wacław Sieroszewski, na swój list, wraz z innymi członkami Komitetu wystosowany do Prezydyum Miasta z naleganiem o wyjaśnienie sprawy, otrzymał w dniu 21 października 1909 z Sekretaryatu Prezydyum Miasta Krakowa odpowiedź z zawiadomieniem, «że p. dr. Juliusz Leo — prezydent miasta — przed trzema tygodniami był u księcia kard. Puzyny, który w obecności ks. biskupa Nowaka stanowczo i kategorycznie oświadczył, że zdania swego w sprawie złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu w niczem nie zmienił».

Książę Biskup Krakowski mocą nadanej mu władzy rozstrzyga nieodwołalnie o katedrze i podziemiach Wawelu. Wszystkie środki uzyskania tam miejsca dla JULIUSZA SŁOWACKIEGO zostały wyczerpane. Sprawa złożenia prochów jego na Wawelu upada.

Jednakże pozostaje w całej swojej mocy jednomyślnie powzięta uchwała wiecu, decydująca w imieniu społeczeństwa, że zwłoki poety mają być sprowadzone do kraju. Ta jednomyślnie powzięta i zgodnie wyrażona wola narodu nie powinna i nie może być unicestwiona przez *liberum veto* jednostki. Skoro daliśmy wygnańcowi, wielkiemu poecie, to najdroższe dlań, na co nas stać — dostojny grób w ojczyźnie — nasza godność a jego zasługa nie pozwala na to, ażebyśmy gnuśnie mu tę łaskę dziś odebrali dlatego, że jeden z nas na to się nie zgodził. — Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby zniewagą wyrządzoną dostojeństwu

poety. — Na taki akt woli, jak sprowadzenie do kraju zwłok JULIUSZA SŁOWACKIEGO, społeczeństwo nasze, aczkolwiek przyciśnięte ogromem nieszczęść, rozszarpane i przybite nowemi ciosami, może się zdobyć i powinno. — Proch głosiciela nieśmiertelnej woli narodu, miłości ojczyzny, apostoła idei ofiary — przyniesiony dziś na naszą ziemię, może się stać cementem, który spoi rozszarpane dzielnice, złączy rozdarte zawsze warstwy i w przeciwne strony biegnące stronnictwa, tchnie w nas, przynajmniej na ten dzień, jedność i miłość — i ku wiecznemu celowi skieruje umęczone oczy żyjących.

To też my, pisarze, artyści i czciciele tego bezcennego skarbu naszej sztuki i tego wysokiego zaszczytu naszej natury, — zwracamy się do społeczeństwa i do miarodajnych jego czynników z gorącem i najbardziej natarczywem wezwaniem i prośbą, ażeby nam pomogły wykonać plan, któryby położył kres gorszącemu i poniżającemu nas zatargowi a zarazem sprawił, ażeby kości JULIUSZA SŁOWACKIEGO przestały być kością niezgody w narodzie.

Oddawna pisarze nasi wskazywali na Tatry, jako na grobowiec JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Doradzał to Henryk Sienkiewicz, Stanisław Witkiewicz, Tadeusz Miciński, Maciej Szukiewicz i inni. Różniono się tylko w wyborze miejsca. Obecnie, po gruntownem zbadaniu i rozważeniu sprawy przez znawców Tatr, przyszliśmy do przeświadczenia, że na taki grobowiec nadaje się najbardziej piramida granitowa turni Kościelca nad Czarnym Stawem. W zachodniej stromej jej ścianie, na dwieście metrów ponad Czarnym Stawem, a więc

w połowie niemal wysokości góry, znajduje się w granitowej caliznie olbrzymia wnęka o ośmdziesięciu metrach wysokości i znacznej głębokości, gdzie wskutek naturalnego w szczycie odchylenia nie spadają lawiny i piarg się nie osypuje. — W tej tatrzańskiej kaplicy należałoby, według planu powołanych artystów, wykuć w granicie katakumbę, w niej z tegoż granitu wielki sarkofag, całą pieczarę zawrzeć kratą z żelaza lub bronzu i wyciosać do całego grobowca prowadzące monumentalne schody — od ścieżki, która do wnęki tej zmierza. — Praca około wykucia grobowca — z funduszów, które na sprowadzenie zwłok poety zebrała młodzież akademicka — winnaby się zacząć jaknajrychlej, a cały grobowiec może być dziełem paru miesięcy.

Wówczas zwłoki JULIUSZA SŁOWACKIEGO mogłyby być przywiezione do Krakowa i na przeciąg 24 godzin wystawione ku uczczeniu narodowemu, na wysokim, artystycznie wykończonym katafalku, w Barbakanie przed bramą Floryańską, w tej naszej bramie tryumfalnej. — Poczem zwłoki poety winnyby być — nie przewiezione — lecz przeniesione z Krakowa w Tatry przez czcicieli ze wszystkich warstw społeczeństwa i złożone w tymczasowym czy wiecznym grobowcu.

Zadaniem specyalnego komitetu artystów byłoby stosowne przyozdobienie na tę uroczystość Barbakanu i całego Krakowa, zbudowanie rydwanu, przyozdobienie Zakopanego, wsi i miast, przez które przechodzić wypadnie, i t. d.

Zwracamy się z tym planem do całego społeczeństwa polskiego, — a w szczególności do władz krajo-

wych i reprezentantów sejmowych, do Koła Polskiego w Wiedniu, do Komitetu Obywatelskiego dziś jeszcze funkcyonującego, do młodzieży akademickiej — pierwszej inicyatorki sprowadzenia zwłok poety do kraju, — do pisarzy i artystów.

Wzywamy do zwołania w Krakowie wiecu, w którym — naszem zdaniem — powinniby wziąć przedewszystkiem udział uczeni, artyści, pisarze, jakoteż wogóle ludzie gorąco tej sprawie oddani i jej doniosłość odczuwający. — Mniemamy, że Komitet, powołany przez ów wiec, najlepiej zdoła wywiązać się ze swych zadań pod przewodnictwem dotychczasowych kierowników Komitetu Obywatelskiego.

Wierzymy, że, tak postawiwszy i przeprowadziwszy sprawę, oddamy najdostojniejszy i powszechny hołd prochom wielkiego poety, wyjmiemy czcigodne jego imię z pod czyjejkolwiek w narodzie niełaski, wmurujemy jego kości w dzikie ściany naszej ojczyzny, gdzie wichrem otoczony, owiany mgłami, wpośród ponurej zimy i czarującej pogody, będzie błogosławił niziny.

A gdy nadejdzie dzień godny jego niepodległej królewskiej harfy, poniesiemy go z tej górskiej pieczary, my lub potomni, do mauzoleum Krakowa, czy do mauzoleum Warszawy.

Paryż, d. 15 grudnia 1909.

[II]

Pisma codzienne przedrukowały artykuł p. Jana Gwalberta Pawlikowskiego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, pomieszczony

w kwartalniku lwowskim p. t. *Lamus*. Przeczytawszy w tej chwili dopiero ów artykuł, zmuszonym się czuję do zabrania głosu, ponieważ, wyznaczony przez grono inicyatorów projektu przeniesienia zwłok poety w Tatry do napisania odezwy, jestem autorem, jeśli nie samego projektu, to odezwy właśnie, podpisanej później przez 61 osób.

Zabieram głos bynajmniej nie na skutek brutalnego wezwania w zakończeniu artykułu p. J. G. Pawlikowskiego, lecz dlatego jedynie, ażeby zniewagi i drwiny, ośmieszające tę sprawę, nie obryzgały którejkolwiek z szanownych osób, podpisanych pod odezwą, i nie przyczyniły którejkolwiek z nich moralnej krzywdy. Jako autor tej odezwy, biorę na siebie wszelkie napaści, któremi jeszcze obrzucony być może pomysł sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego w Tatry. Przedewszystkiem muszę zastrzec tutaj, że w niniejszem wyjaśnieniu nie podejmuję tonu, jakiego p. J. G. Pawlikowski użył dla sponiewierania inicyatywy, może błędnej, ale powziętej w celu oddania czci naszemu poecie, podjętej w dobrej woli i przez uczciwych ludzi. Nie podejmuję zaś tego tonu przez szacunek dla samej sprawy i dla druku polskiego. Upraszam jednak sprawiedliwego czytelnika, ażeby raczył w słowach tutaj użytych dojrzeć opanowanie poczucia swej krzywdy, powściągliwość i rozwagę, jakie sobie nałożyłem.

P. J. G. Pawlikowski autora projektu i odezwy w sprawie przeniesienia zwłok Słowackiego w Tatry radzi nagrodzić wyliczeniem mu dwudziestu pięciu kijów w Barbakanie, tam właśnie, gdzie odezwa projekto-

wała spokojny i dostojny akt czci dla poety. Szczodry magnat! Prawo bicia kijem na własnem podwórzu wydarte zostało z ręki przez obce prawo, ale pozostał przecie w duszy pierwszy odruch uczucia, pierwszy pęd myśli i pierwszy argument logiki: dwadzieścia pięć kijów! Nie można już bezkarnie bić kijem... ale został w mózgu i sercu popęd do argumentowania starym argumentem, gdzie jeszcze można, przynajmniej względem «literata» za podanie pomysłu, który nie przypadł do smaku. A smak i wola p. J. G. Pawlikowskiego decyduje o wszystkiem. Co do mnie, to nie dla zmiany tego smaku i woli, lecz dla wyłuszczenia istoty rzeczy w obliczu bezstronnego czytelnika, muszę przypomnieć pochodzenie owego tatrzańskiego projektu.

Należałem był swego czasu do warszawskiego komitetu obchodu rocznicy Juliusza Słowackiego i solidaryzowałem się z grupą zwolenników uczczenia poety w jego roku jubileuszowym zapomocą postawienia w Warszawie monumentalnego teatru dla tragedyi i dramatu, wydania krytycznego, kompletnego, zupełnego i nie obliczonego na zyski zbioru dzieł wieszcza, a wreszcie sprowadzenia zwłok jego do Warszawy. Komitet warszawski został rozwiązany przez władzę i wszystkie jego funkcye upadły. Cały ideowy spadek po tym komitecie warszawskim objął wiec krakowski — i komitet na tym wiecu wybrany. Umieszczono moje nazwisko na liście jego członków, gdy byłem poza granicami kraju. Znalazłszy się w przejeździe przez Kraków na posiedzeniu, które się odbyło pod prezydencyą p. Marszałka kraju, wyłuszczyłem te zadania, jakie sobie komitet warszawski stawiał i prosiłem o ich zrealizowanie w miarę

możności. Ale krakowski komitet obywatelski, jako wyraziciel wiecu, miał tylko jedną dyrektywę i tej pilnował: sprowadzenie zwłok J. Słowackiego w jego roku jubileuszowym na Wawel, ponieważ taka była jednomyślna uchwała wiecu. Stała się ona prawem, obowiązującem wszystkich, które to prawo społeczność sama sobie narzuciła i bez protestu przyjęła. Dwukrotnie, wraz z innymi członkami tego komitetu, zwracałem się listownie do Prezydyum o wyjaśnienie sprawy, kiedy kardynał ks. Puzyna odmówił pozwolenia złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu. Gdy zaś nadeszło wyjaśniające pismo p. Prezydenta miasta Krakowa o kategorycznej odmowie kardynała ks. Puzyny — powstała myśl złożenia zwłok poety w Tatrach. Wrogą i odrażającą była i jest dla wielu czcicieli Juliusza Słowackiego myśl o zużywaniu jego imienia i prochów do walki z klerem, a nieznośną była i jest myśl, że darowany mu grób odebrany został. Takie właśnie było uczucie grona pisarzy, przygodnie, dla studyów, zebranych w Paryżu. Nieliczne to grono postanowiło wydać odezwę z projektem złożenia zwłok poety w Tatrach, któryby strącił w tej sprawie wszelką walkę i oddał poecie to, co mu ofiarował wiec krakowski: sprowadzenie jego zwłok w roku jubileuszowym do kraju. Koło paryskie zleciło mi napisanie odezwy.

Odezwa ta, projektująca złożenie zwłok Juliusza Słowackiego w Kościelcu, gdy Wawel został dla nich zamknięty, najfatalniejszy wzięła obrót. Zamiast zjednoczyć opinię, co było jej zamierzeniem, zamiast spowodować zwołanie wiecu, czego się domagała, któryby swą uchwałą to zjednoczenie ujął w formułę praw —

zamiast wymarzonego oddania poecie czci — wywołała rozdwojenie, pochwały i nagany, osobiste napaści, a wreszcie taki skutek, jak artykuł p. J. G. Pawlikowskiego. Pisząc ową odezwę, sądziłem, że proch Juliusza Słowackiego może się stać cementem zjednoczenia dusz polskich. Ta myśl była z gruntu fałszywa. Były to «frazesy». Niestety, tak! Drwiny, wyzwiska, poniewieranie cudzej czci, jakie witają każdy zamysł powiększenia sumy piękna duchowego na tym padole pychy i nędzy polskiej — to nie są frazesy. Istotą rzeczy polskiej jest nienawiść, a sprawa sprowadzenia zwłok Słowackiego stała się nie tylko nowym dowodem, ale nawet nową strawą dla tej nienawiści.

Dziwna wszakże rzecz, że odezwę tak «fatalną» podpisali nieostatni w Polsce ludzie, nie sami «dekadenci», «papierowe dusze» i «literaci». P. J. G. Pawlikowski pociesza się, czy martwi, że ci inni uczynili to «odruchowo, z nałogu i przez kwietyzm». Tak nie jest. Wielu z podpisanych nadesłało umotywowany wyraz swej zgody na ten projekt. Nie mam tutaj możności przytoczenia tych głosów, gdyż uważam każdy z tych listów za duchową własność jego autora, a na zebranie pozwolenia publikacyi niema czasu, lecz może się znajdą środki i pozwolą ogłosić broszurę w tej materyi. Znalazłyby się tam słowa, wręcz przeciwne krzykom p. J. G. Pawlikowskiego, a pochodzące z pod pióra, które nawet on, nawet sam on może uznaje.

Powtarzam raz jeszcze, że owa «fatalna» odezwa wzywała do zwołania wiecu, gdyż wiec jedynie mógł zatwierdzić projekt tatrzański, albo go zupełnie odrzucić, jako niewłaściwy, nieodpowiedni, czy niewykonalny. Wiec jedynie mógł utrzymać i nadal popierać myśl o Wawelu. Wiec wreszcie mógł uchwalić zaniechanie myśli o przenoszeniu zwłok poety z cmentarza na Montmartre do kraju. Ani jedna jednostka, nawet sam p. J. G. Pawlikowski, rozstrzygnąć tego nie będzie w stanie. Wiec krakowski uchwalił złożenie zwłok na Wawelu, lecz komitet, przez ten wiec wybrany, stwierdził, że J. Słowacki na Wawelu złożony być nie może. I nic już dalej. Niewykonane i na drodze porzucone zostało to prawo, które sobie narzuciliśmy. Czy taki powinien być stan rzeczy?

P. J. G. Pawlikowski zwalcza projekt tatrzański zapomocą różnych argumentów, z któremi tutaj rozprawiać się nie będę, gdyż nie trzymane są w tonie umiarkowanym, lecz w tonie zniewag. Wypowiada swe gusta, zwalcza przywidzenia, o których w odezwie mowy nie było, cytuje zdania zakopiańskich górali, przekręca i wydrwiwa uczciwe intencye. Argumentów istotnych przeciwko temu projektowi nie podał. Ale ów projekt nie wymaga wcale obalenia. Nikt powołany nim się nie zajął, więc leży on na drodze polskiej. I oto wszystko.

Podnoszę jeden szczegół.

Przenoszono do kraju z odległych, dzikich pól i obczyzny zwłoki świętych, królów, bohaterów. Niesiono je, czy wieziono, przez setki mil, gdy nie było kolei żelaznych. Z cecorskiego pola przywieziony został krwawy trup Żółkiewskiego. Z Lotaryngii przynieśli żołnierze zwłoki Stanisława Leszczyńskiego, ze szwajcarskiej Solury prochy Kościuszki, z nad brzegu Elstery — Poniatowskiego. Przynosili je na ramionach

żołnierze i mężowie o duszy rycerskiej. O takich duszach myślałem, pisząc o «czcicielach poety ze wszelkich warstw społeczeństwa».

Myśl o przeniesieniu zwłok J. Słowackiego z Krakowa w Tatry, na przestrzeni czternastu mil, p. J. G. Pawlikowski doprowadza do stanu okropnych wizyi. Jego «zmysł rzeczywistości» — dośpiewał mu, że byłby to pochód «z noclegami po karczemnych zajazdach, z szubienicznym humorem znudzonych pątników... *Danse macabre*, czy kulig! Pogrzeb z kuligiem i figurami»!

To oczywiście nie jest dekadencya. Pan J. G. Pawlikowski mówi o «czynie», wynosi się ponad padół «literatury» z niebylejaką pychą. Cóż tedy w tej sprawie przeniesienia zwłok J. Słowackiego orzekł, jak ją postawił? Poza sponiewieraniem przeciwnika — cóż pozytywnego doradził? W końcowem zdaniu swego artykułu nakazuje on pełne właśnie «czynu», głębokiej myśli i dostojeństwa — czekanie. To wystarczy, ażeby opinia jego zwyciężyła na całej linii. Nie tylko przecie w tej sprawie czekanie jest naszą najdostojniejszą formą pracy i czynu.

W liście z dnia 5 lutego 1835 roku pisał do matki wielki poeta:

«A kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi... O takim teraz marzę powrocie!»

Czy się też kiedy spełni to jego marzenie?

Paryż, dnia 12 maja 1910

[VARIA]

[W BRZASKU PRZEDWIOŚNIA]

Wiatr wiosenny nad polskiemi ziemiami przelata. Z dalekich stron ciągną ptaki do gajów, pól, łąk i strzech. Nie zawsze odnajdą znajome gaje i strzechy, a same pola i łąki jakże często zastaną do niepoznaki zmienione i przedzierzgnięte na nice! Z rumowisk domostw, z bud skleconych doraźnie, z pieczar kopanych w ziemi wyglądają słońca litościwszego oczy dzieci, wiatr wiosenny wciągając chciwemi nozdrzami. Raduje się stratowana ziemia, jak jeszcze nigdy, — bije gwałtownie serce ludu, że po tej zimie straszliwej wiosna powraca. Nie obejmie słowo tej prastarej i przebogatej mowy, która już tyle wyraziła, — grozy, co nęka i targa lud. Nie wyda i nie odtworzy mocy potęg, które weń biją. Zatoczył się kręgiem ostatni krużganek naszego piekła. Noc dosięgła ostatniej swojej minuty. W oczach pęka się ciemność i nasza godzina wnet uderzy. Przeczuwa to serce polskie, choćby najcichsze i najprostsze, a radość jego nie ma granic.

Niczem innem, tylko kowadłem, głęboko w ziemię wbitem, stała się od tylu czasów wola całego narodu, — kowadłem, w które kto chciał, od ucha walił.

I nędzną w trwaniu głuchem była pociecha, że na tem kowadle naszem dla kogoś także kują się kajdany. Aż oto w brzasku tego przedwiośnia od ziemi do ziemi niesie wiatr odgłos nowy. To polska dłoń chwyciła młot i kucie nowej pracy w rodzinie ludów z poza huku armat dolata. Wzniosłość, przejmująca dreszczem radości, jest w tym głuchym sygnale, co zasłania wieloraki czyn, kształtujący najjaśniejszą rzeczpospolitą przyszłości.

Nie jest samotne dziecko, co oczyma blademi, jak wiosenne przylaszczki, po tylu torturach i trwogach nocy zimowych słońca wygląda. Nie jest samotny oracz, co na rolę dziką wychodzi, nie wiedząc, czy mu bitwa pozwoli brózdy dokończyć. Nie jest samotna kobieta, co chyłkiem przed niewiadomemi i ślepemi kulami zbiera chróst i rumowie pobojowisk, ażeby dzieci ogrzać i nakarmić.

Miłość całego naszego narodu jest przy nich. Jeszcze nigdy nie było wśród nas takich uczuć, na jakich zewnętrzną formę patrzymy. Jest to najgłębszy entuzyazm, zawarty w niemych, zawiłych, długotrwałych i doskonałych pracach.

Któżby uwierzył, że może przygasnąć i zacichnąć ponura i wrzawliwa waśń społeczna? A przecie widzimy, że bezczynne fabryki w ciągu długich i długich miesięcy płacą rzeszom robotniczym część zarobku, jak gdyby były w ruchu. Domem rodzonym stał się szlachecki dwór, — gdzie jeszcze stoi, — dla siół bliskich i dalekich. Daje schronienie, karmi, odziewa, leczy i ratuje bezdomne, w popłochu uchodzące zastępy. Miasto Częstochowa dzień w dzień miesiącami

wydaje jedenaście tysięcy obiadów. Któżby przed niedawnym czasem uwierzył, że wśród takich warunków, wśród takich pokus, w ogniu przewrotów, rozbojów, łupiestw i gwałtów — w ogromnem fabrycznem ognisku Zagłębia, gdy zeń odeszło moskiewskie panowanie, nie będzie bandytów, rabusiów i złodziei? Czy można było przewidywać, że tam nikt nie zobaczy na ulicy żebraka?

Nie jest to ani czcza przechwałka, ani szczęśliwy przypadek, lecz wynik właśnie polskiej wytężonej pracy, dzieło przewidującego rozumu. Królestwo, po którego niwach, miasteczkach, siołach i bezdrożach hula i przewala się najdziksze rozpasanie wojny, — gdzie wsie leżą w ruinach, — przysyła w tych oto tygodniach ośmnaście wagonów wyrobionych wideł, łopat i grabi siostrze Galicyi, ażeby miała z wiosną o co ręce zaczepić. We dwa tygodnie pół miliona zbiera Poznańskie dla Królestwa. Wszystko, co jest najlepszego w narodzie, co jest dowodem i świadectwem europejskiej jego kultury, porywa się, jak jeden czujący człowiek ku ratunkowi, ku odbudowie miast i wsi, ku organizowaniu gospodarstwa jutrzejszego tak, ażeby dawało dwa razy więcej plonu, niż dotąd, ażeby mogło spłacić bez trudu powojenną pożyczkę i dać podstawy żywotowi zgoła nowemu. Gdziekolwiek i jak daleko mowa polska rozbrzmiewa, tworzy się plan w zakresie gospodarczym, kulturalnym, oświatowym, sanitarnym, estetycznym i wykwita zeń organizacya.

Widzimy w tej chwili jaśniej niż kiedykolwiek, że jesteśmy narodem, jednym i niepodzielnym, młodym, silnym, szlachetnym do gruntu w swem prawie

i żądzy wieczności, — a siódmym co do liczby w Europie. Na niebywałe wreszcie patrzymy widowisko: przypomniał sobie świat, ten, który imienia naszego już nie znał i miejsca pobytu nie widział na mapie, — że jesteśmy narodem. Przypomniał sobie nawet to, o czem nazbyt wielu z pośród nas samych zwątpiło, — a o czem mówili nam tylko wieszczowie, co widzieli w natchnionych swych przejrzeniach, i modlili się o tę «wojnę powszechną», — naszą przeszłość, chwałę, siłę i prawo do stu tysięcy lat bytu. Lecz nasza rzecz, jakkolwiek tak niesłychanie zależna od świata, nie jest nazewnątrz, lecz wewnątrz koliska. Sami musimy budować zrąb naszego domu. Wiemy wszyscy, że tylko niezłomna, niestrudzona, gwałtowna praca we wszystkich dziedzinach i moc jej skutków da nam to, co nam obca przemoc wzięła. Bez mała dwa miliony Polaków bije się ze sobą pierś w pierś w armiach wrogich. Byłoż kiedy na ziemi takie widowisko? Byłże kiedy tragizm rzeczy równie bezdenny? Lecz serce polskie nie pęknie od tego widoku, bo ono to zmierzyło najgłębszą otchłań niedoli i miało szczęście przeczuć jej kres.

Tysiąc z górą kościołów runęło w gruzy. Nie wznosi się już krzyż nad płaskim obszarem i nad białemi ścianami wioski. Jeżeli gdzie widnieje, to nad pospólną mogiłą żołnierzy, co z dalekich gór i obcych równin przyszli, ażeby w piaskach i błotach (których Moskal osuszyć ani zasiać nie dał), na «polskich» drogach (których Moskal nie dał w europejskie zamienić) — śmierć znaleźć. Lecz krzyż wzniesie się znowu nad równinami. Stanie i zabłyśnie na wieżach nowych kościołów. Wzniesie ów tysiąc kościołów lud polski swo-

jemu Bogu. Będą to, zapewne, zrazu szopy, słomą czy dranicami pokryte. Później przyjdzie czas na budowanie mocniejsze. Nie będą to świątynie bogate, z drogiego marmuru, czy ciosu, bo na to nas nie stać. Nie będą to również naśladownictwa stylów starych, — romańszczyzny, gotyku, renesansu, baroku, empiru, — czy sobowtóry ich zmodernizowanych karykatur «nadwiślańskich». Będzie to, zapewne, jakiś styl nowy, styl polski, który wyda ze siebie wojna, — ta najbezwzględniejsza krytyka wszystkiego co słabe i co już było, — oraz geniusz artystów. Jeżeli można budować z betonu, cementu i żelaza opancerzone rowy strzeleckie takiej mocy, że ich rozedrzeć i zmiażdżyć nie mogą najsilniejsze armaty, to z tychże materyałów nowoczesnej techniki, z tych nowych danych, które architektom wręcza dzisiejsza sztuka inżynierska i konstruktorska, można, jak sądzę, wznosić kościoły. Cement, żelazo, szkło, cegła — oto, zapewne, będzie mowa budowniczych, z której tworzyć będą nową pieśń o Bogu nad polskiemi siołami. Gdy pójdą w ruch wielkie fabryki żelaza, robotnicy polscy wytwarzać będą w piecach i halach żelazne kształty upiększeń, spojenia, wiązadła, łuki, rynnice i wszelkie widome formy, zrodzone w intuicyi i tworzącej imaginacyi artystów, — formy, wobec których może zbledną wynalazki dawne a dziś już tylko kształty umarłe i zagasną czary świątyń gotyckich. W warsztatach szklarskich marzenie kolorystów wytrawi w szybach malowidło nowe, nie naśladujące, przypuszczam, starego witraża, który w zamierzchłych powstał czasach i prastarych był owocem materyałów, oraz gatunku tworzywa, — lecz malowidło

nowe, w którem się objawi tchnienie bożego dzieła na ziemi i dech potęgi, niszczącej królestwo szatana. Na ścianach tych nowych świątyń ujrzą może synowie nasi piękno nowego porządku, obrazy święte i wielkie przeżytych cierpień ludzkości, widziadła jej wiary, nadziei i miłości.

My jednak, którzy jesteśmy tak zapóźnieni wśród ludów cywilizowanych, musimy wykonać prace najcięższe, najgrubsze i najpotrzebniejsze. Mamy odbudować z gruntu wieś polską. Mamy dopiąć tego, ażeby na miejscu lepianek i chałup stanął dom wygodny, zdrowy, czysty i według naszego umiłowania zbudowany. Mamy zabrukować i zabudować mieściny nasze. W huku kilofów, młotów i drągów muszą zniknąć topieliska dróg. Muszą pomknąć pociągi na szynach nowych kolei. Te prace czekają na męskie ramię, na męską siłę i wytrzymałość. Lecz iluż to mężczyzn w narodzie naszym ubędzie! Ilu pochłoną mogiły, ilu powróci do domostw niezdolnych do pracy! To też z całym naciskiem musimy się już dziś odwołać do pracy kobiecej. Wydaje mi się, że kobiety powinny przygotowywać się i organizować, zdając sobie sprawę z tego, co je czeka. Nieliczne mogą oczekiwać na mężów-żywicieli. Samotne będą musiały stać się żywicielkami nie tylko samych siebie, lecz i rodzin całych. Tyle wśród nich posiadło wykształcenie wyższe, lub średnie. One to, jak sądzę, powinny już dziś układać plan przyszłej pracy, której jest nieprzebrany ogrom. Czeka na nią cały świat dzieci, które trzeba od zguby ratować, ażeby plemię nie skarlało, chować i kształcić. Czeka na nią handel, który trzeba tworzyć od początku do końca i uczynić czysto polskim. Jak dziś niema tutaj jednego niemal strzępa, któryby się na miejscu wytwarzał, tak w przyszłości nie powinno być jednego strzępa, któryby tu z zewnątrz przychodził. Kobiety to nadewszystko powinny zabrać się do zbadania niezrównanego systematu kooperatyw nie tylko spożywczych, lecz także i wytwórczych, które powinny właśnie zaszczepić i rozwinąć. Ogrodownictwo, produkcya i zbyt przetworów nabiału, sprawa najodpowiedniejszego odzienia dla ludu, warsztaty i małe fabryki, gdzieby się wytwarzało wszystko, co jest niezbędne do kulturalnego życia prostego w Polsce człowieka, — oto są zadania, które na ręce kobiece, na pomysłowość, wyrafinowaną inteligencyę i subtelność kobiecą czekają.

Jesteśmy dziś żołnierzami wszyscy. Nie tylko ci, co w legion ujęci i związani do ostatka się biją, lecz wszyscy, mężczyźni i kobiety. Jedni idą do szturmu w istocie i łamią wyciągnięte nad nami sceptrum szatana, — a inni pracują wytrwale, pracują na wszystkich polach — dla tej jednej sprawy, ażeby na drgającem ciele szatana zatknąć sztandar zwycięski, o który prosili się nadaremnie w ciągu tylu lat nasi ojcowie.

[1915 ?]

MAGDALENA

Z oczyma przygasłemi od przepychu tajnych połysków starego bronzu, wielobarwnych marmurów, błękitu lapislazuli i migotania drogich kruszców kościoła idzie się przez amfiladę sal, przez chór laików, przez salę braci, przez sień pełną fresków aż do kaplicy, zwanej skarbcem, ponieważ w istocie zawarła w swych ścianach klejnoty bez ceny.

Kolorowe majoliki, wykwintne buazerye, stale ślicznie rzeźbione w drzewie, przywiezionem z Indyi, filary ścian z granitu, przywiezionego z Egiptu, basreliefy, posadzki mozajkowane marmurem żółtym sieńskim, zielonym i czerwonym greckim, czarnym i śnieżyście białym, — całość dostojna i niezrównana rodziła zachwyt, dochodzący do tak wysokiej granicy, że się przechylił na drugą stronę i stoczył w dół odrazy.

W głębi najbogatszej z tych sal, w skarbcu właśnie, wisi obraz. Oczy spoczywają na nim z ulgą, bo nareszcie nie jest przepychem, bogactwem, olśniewającą barwą. Jest czarny, jest głuchy, jak zmierzch ponurego dnia, którego głębia zatapia się w nieprzejrzanej nocy.

Leżą na ziemi zwłoki Chrystusa, nie zdjęte, nie ściągnione, lecz zaiste oddarte z krzyża. Jeszcze w lewej nodze tkwi gwóźdź. Z prawej wyrwała żelazo ręka Matki, szalonej z boleści. Usta Magdaleny, która upadła w rozpaczy na głowę, przywarły do rany w podeszwie nogi. Wargi wessały się w dziurę, rozszarpaną od żelaza, sączącą ze siebie zastygłą krew.

Wieczność nie oderwie tych ust od rany tej nogi.

Ponad ciałem męczennika słania się Matka. Nie płacze i nie wydaje skarg. Patrzy się w oczy widza ślepemi oczami, dźwiga się bezskutecznie na zemdlałych nogach, — i raz wraz plaska w próżni oszalałemi rękoma.

Co jest najbardziej męczeńskiego w ludzkości: — cisza cnoty, zamordowana przez świata wiekuistą czarną secinę, — Matka, niema z boleści od wejrzenia na śmierć Syna-bohatera, niezgłębiona miłość kobieca, która ranę swoją, ostatni skarb, ostatni raz całuje — to zawiera ten obraz.

Jakimże sposobem znalazło się takie płótno wśród przepychu sal, gdzie mnisi, zbogaceni aż do najwyższej kresy dosytu, przepędzali czas na doskonałem próżnowaniu, zawarowanem mądremi sofizmatami? Jakąż uderzającą śmiesznością stała się obecność symbolu takiej męczarni wśród tych marmurów, w których ciężkiem lśnieniu leży stękanie, po których w ciemne noce spływa pot ludzki, — w głębi tych sal do subtelnych rozmyślań, korytarzów do samotnych przechadzek, izb do modlitwy i kościoła do śpiewu! Co ma wspólnego straszliwa prawda o śmierci Jezusa Chrystusa, którego Ribera na wieki zamknął w swe ramy, z tem zamczyskiem, symbolem tyranii nad cudownem miastem?

Z okien skarbca głęboko widać Neapol. W jego

wąskich ulicach, w czarnych szczelinach między murami, które, — śni się, — szatan szpadą wyorał w kipiącej lawie wulkanu, mknie przez wieki, pracuje, w cuchnących norach płodzi się, tuli za stosami nawozu i umiera z klątwą na ustach ciemny lud.

Ten ogrom, wiecznie deptany nogami tyranów, wiecznie głodny, głupi, oszukańczy, ciemny, nędzę swą zawierający w radosną pieśń, a przechowujący w łonie swem świętość, wolność i tęsknotę — toż to ty jesteś, Magdaleno! Jego to usta przypadły do rany w podeszwie nogi Zbawiciela. Bo w głębi wieków On jeden wstąpił w szczeliny tych murów, które szpadą swą wyorał szatan w kipiącej lawie wulkanu. On jeden przyniósł miecz do walki z mieczem szatana.

Nadaremnie się wznosi męczarnia artysty aż do zenitu, by wizyę wszechrzeczy materyalnem tworzeniem ogarnąć i w dostępnem dla oczu zwierciedle ludzkiemu plemieniu ukazać! Nadaremna jest praca artysty, by w plemię ludzkie tchnąć prawdę, uniesienie bohatera i miłość!

Dzieło jego staje się ozdobą krużganków bogacza.

Dzieło jego służy sykofantom za tarczę przeciwko zarzutom. Nie wcielają się w płótno Ribery i nie znajdują w niem uciszenia wypłakane oczy nieszczęsnych matek. Nie patrzy w nie wspomnienie dni i nocy bohatera, stratowanych przez kopyta koni gwałtu, dziczy, oszustwa. Nie płynie zeń w ciemne piwnice żywota krzyk, żeby się dźwigał wiekuisty duch człowieka, Orland Szalony.

Któż wyłupie wieczne płótno z drogocennych ram? Kto je wyrwie ze zniewagi pobytu w skarbcu obłudników, którzy ślubowali doskonałe ubóstwo, a poślubili najbardziej wyrafinowaną rozkosz, najwyszukańszy sposób pożywania owoców męczeństwa ludu? Kto i kiedy odda ten obraz ludowi, ażeby uczynił zeń sztandar swój święty, feretron do noszenia po ciemnych ulicach, które przezierał aż do śmierci wszystkowidzącemi oczyma najsmutniejszy z rodu ludzkiego, Jakób Leopardi, — i z których wysnuł straszliwe swe pieśni?

[1908]

ODGŁOSY KRAKOWSKIE

[I]

Zasypiałem wczoraj w bardzo mdłym humorze: w pokoju było zimno, jak w psiarni — a w dodatku naczytałem się na noc *Najnowszych wyników spisu ludności z 31 grudnia 1890 r.* prof. Tadeusza Pilata. Nieładnie jest przecie, jeżeli w 17-tu powiatach Galicyi na 100 kobiet więcej niż 90 nie umie ani czytać, ani pisać, a jeszcze nieładniej, jeżeli cyfra ta, jak w powiecie Turczańskim dochodzi do 97. Płeć piękna w Galicyi nie zdradza wogóle zgubnych popędów emancypacyjnych, ale znowu w niektórych powiatach jest owego wstrętu do literatury trochę za wiele: w pow. Turka nie czyta 97,62%, w pow. Bohorodczany 96,99, w pow. Kossów 95,07, w pow. Lisko 94,82, w pow. Nadwórna 94,53, w pow. Rawa 94,49, w pow. Borszczów 94,28, w pow. Horodenka 93,71, w pow. Zaleszczyki 92,79, i t. d.

Zato płeć brzydka rwie się do nauki: tylko w pięciu z wymienionych powiatów liczba analfabetów przewyższa 90%. W pow. Turczańskim nie czyta 94,26%,

w pow. Lisko 93,27, Bohorodczany 92,04, Nadwórna 90.81, Kossów 90,71.

Wprawdzie nawet w stołecznem mieście Krakowie analfabeci stanowią prawie połowę ogólnej liczby mieszkańców (25,86% analf. mężczyzn i 32,98% kobiet), a powiat Krakowski miał ich 50%, ale jest przecie i taki, niestety, jeden jedyny powiat Bialski, gdzie nie czyta mniejsza część ludności, tylko 40,35%. Porównywując wyniki spisu ludności z r. 1890 pod względem wykształcenia elementarnego z wynikami z r. 1880, prof. Pilat znajduje, że wówczas było w Galicyi analfabetów przeciętnie 77,08%, a obecnie jest 66,4%.

Trapiła mię również tego wieczora petycya, wniesiona do Rady państwa na ręce posła Potoczka przez 14 gmin pow. Limanowskiego o zapomogę bezzwrotną na przednówek, oraz skonstatowanie niebezpieczeństwa głodu w pow. Bocheńskim, Żywieckim, Nowosądeckim i... Krakowskim.

Kołysany przez takie marzenia, zasnąłem, jak powiada pan Jan Styka w jednej ze swych poezyi, «z dziecka uśmiechem na twarzy»... Nazajutrz bardzo rano obudziła mię służąca tej pani, od której odnajmuję zimny pokój, — wołając wniebogłosy:

— Proszę pana! Można się z panem widzieć?

— A cóż u licha — nie widzisz się ze mną?

— Ij — nie miałabym też nic pilniejszego do roboty! Ten pan się chce z panem widzieć...

— Cóż znowu za pan?

— A o!

— Rety! — Zygmunt...

Wkroczył na obszary mego pokoju, niby Fojbos-

Apollo, przywitał się, usiadł skromnie i zaraz, bestyjka, wyciągnął prawicę po ostatniego papierosa, jaki posiadałem, po jedyną nawet co do liczby osłodę moją w tem powszechnie galicyjskiem położeniu.

Zwierzyłem mu się z ufnością z owych 17-tu powiatów, ze zmniejszenia się za ostatnie trzydziestolecie obszaru lasów dworskich w Galicyi o 352.000 morgów, wskazałem na 630-tu żydów, właścicieli dóbr, posiadających ogółem 591.693 morgi ziemi, co stanowi przeszło 13% własności tabularnej prywatnej, dowodziłem z dokumentami w ręku, że w powiecie Stryjskim izraelici posiadają więcej niż połowę obszaru tabularnego, a w pięciu innych powiatach przeszło 20%; nie wiele brakowało, abym wpadł w stan prorokowania do pewnego stopnia rzeczy przyszłych, gdy on powstrzymał mię znienacka, mówiąc:

— Tom się uśmiał! Weźcież tę książkę, przyjrzyjcie się faktom i wskazaniom, jakie tu hr. St. Tarnowski «do rozważania podaje», a z pewnością zobaczycie te sprawy w innem świetle.

Posiedział jeszcze, pogwarzył, a następnie *wziął* i pojechał do Drezna.

Czytałem *Z doświadczeń i rozmyślań*, w niejakiem wzburzeniu wszystkich władz umysłowych, bo w rzeczy samej znalazłem tam wskazania, mające na celu oświatę ludu w Galicyi, a zdradzające *statek* i bystrość, a nawet dowcip. Dobry hrabia roztacza przed nami taki np. deseń:

«Tu rada jedna, ale stanowcza i dostateczna byłaby w Bractwie Nauczycielskiem, które nie potrzebowałoby być zakonem, ale poświęcałoby się na służbę

z miłości Boga i bliźniego, z religijnego powołania. Francuscy braciszkowie *de la doctrine chrétienne* mogliby być gotowym i doskonałym wzorem».

Nie poprzestając na tyle szczytnem rozwiązaniu palącej kwestyi, hr. Tarnowski zwraca uwagę ogółu na inne jeszcze leki, jakie tylko umysł «tej miary» wyszukać zdoła z tak przedziwną łatwością.

Oto np. co radzi mieszkającym — «W pałacach»:

«...Tych kół towarzyskich... tych rodzin bogatszych i zdawna cywilizowanych, jest przeznaczeniem — chcą czy nie chcą — być dla cudzoziemców miarą, typem, świadectwem oświaty i ogłady naszej, a dla nas jej okazem próbnym. Tak, jak suknie, męskie, czy damskie, w Warszawie, Krakowie, czy Lwowie, krają się według dziennika mód, wychodzącego w Paryżu czy Londynie, tak formy życia towarzyskiego, przedmiot i sposób rozmowy, stopień grzeczności i ogłady, bądź to w miastach, bądź na wsi, w sąsiedztwie, stosuje się do przykładu tych, o których się przypuszcza, że mają tej towarzyskiej estetyki najwięcej. Stąd powinność podwójna: żeby obcym dawać wyobrażenie jaknajkorzystniejsze o cywilizacyi naszej — żeby swoim dawać jaknajlepsze wzory zagranicznej. Nie opuszczać się, nie rdzewieć, nie usuwać się od towarzyskiego życia dla małych niewygód i przymusu, jaki on nakłada... Nie zaniedbywać języków zagranicznych, bo swoim własnym przez świat przejść nie zdołamy. Dawniej było u nas francuzczyzny za dużo, ale też takeśmy na nią narzekali, że dziś jest jej między młodymi (mężczyznami) stanowczo za mało... Starać się o miejsce w świecie (zagranicznym) prawdziwie wielkim, w najlepszym,

jaki jest w tym lub owym zagranicznym kraju. Nie ten wybierać, który najłatwiej przystępny, ani ten, który niby najzabawniejszy; stosunki z takim światem są właśnie szkodliwe, bo dają nam pozór fałszywy i zły, sprawiają, że u cudzoziemców poważnych możemy czasem uchodzić za co innego, niż naprawdę jesteśmy. Warunek zaś drugi, żeby w tym zagranicznym... świecie zachowywać się z rozumem, taktem i dobrym smakiem. Podobać mu się, jeżeli można, ale koniecznie robić *jemu* wrażenie, a sobie sławę ludzi porządnych i dobrze wychowanych. Młody Polak, dobrze widziany przez cudzoziemców, który skończy jakim mniejszym czy większym skandalem, a nawet taki, który w klubach tylko lub na turfach coś znaczy, a w domu i w salonie nic, jest w swoim rodzaju publiczną klęską... A więc wiele wykształcenia i oświaty, wiele towarzyskiej ogłady i poloru, stosunki ze światem zagranicznym, a w nim jaknajlepsza postawa i sława, oto pożytki bardzo wielkie, jakie nam mogą przynieść młodzi Polacy i młode Polki z majątkami i tytułami». No i t. d. sączy się ten styl śliski, miękki, wlokący się jak plwocina. Tam dopiero zamienia się na las wykrzykników i znaków zapytania, iskrzy się złością i oszczerstwem, gdzie kończą się «oświadczenia», a zaczynają «wymyślania».

Nie mam ani miejsca, ani odpowiedniego, jak mówił Krasiński, «hańby słowa» na streszczanie całej tej książki. Nowego zresztą nic w niej niema, a jeden z najbardziej charakterystycznych jej rozdziałów podał w całości niedawno *Kraj* petersburski. A przecież — kto przeczyta całą tę dziadowską filozofię kruchty i przyjrzy

się następnie życiu Galicyi, musi stwierdzić ogromną zależność jego przejawów od ogólnego tonu *Doświadczeń i rozmyślań,* — kto następnie choćby pobieżnie przyjrzy się życiu społecznemu np. Czechów i porówna je z życiem Galicyi — znajdzie, że program całego dla niej rozwoju kreśli hr. Tarnowski. Galicya na zawsze widać pozostanie krajem lokajów arystokracyi, choćby jej rozwojem kierowali całkiem nie-szlachcice...

Nim dzieło hr. Tarnowskiego posypią proszkiem otwockim zapomnienia, muszę zaznaczyć wartość tego utworu, jako kapitalnego przyczynku do historyi obłudy ludzkiej. Bez wątpienia, żaden typ znany, ani Świętoszek — Moliera, ani Uriah Heep — Dickensa, ani Juduszka Gołowlew — Szczedryna nie skupia w sobie obłudy tyle, ile jej mieści ta książka. Obłudną ona jest w każdym niemal wierszu, w każdem ze zdań wtrąconych, w niskich insynuacyach, jak ta np., że *Prawda* warszawska «nie ma pod względem reputacyi nic do stracenia», i w bigoteryi, a przedewszystkiem obłudną jest w arcy-humorystycznem wywracaniu oczu w kierunku «chat»...

[II]

Jak cywilizacya cywilizacyą, nigdy jeszcze rodzaj ludzki nie chodził w spodniach z nogawicami takiej szerokości, jak obecnie. Biegli w matematyce i demokratyzmie galicyjskim obliczają, że, gdyby, dajmy na to, nastąpił niespodziewanie zwrot reakcyjny ku epoce minionej, wąskonogawkowej, i gdyby warstwy, które «są dla cudzoziemców miarą, typem, świadectwem

oświaty i ogłady polskiej, a dla Polaków jej okazem próbnym» kazały sobie jednomyślnie a hurtownie zwęzić, że się tak wyrażę, majtki, — to podobno z wyciętych klinów i kawałków, złożonych w ofierze na rzecz oświaty w Galicyi, czego przecież oczekiwać mamy prawo, dałoby się ozdobić cały tłum nauczycieli ludowych, naturalnie według wskazań mody z epoki minionej, tłum, dopuszczający się w tych czasach powszechnego upadku moralności — niesmacznego, nieefektownego, a nawet godnego pogardy bezeceństwa chodzenia bez żadnych wogóle spodni. Zatem jednakże wyznać muszę, że w tutejszym świecie umysłowym nie można zauważyć żadnych nawet «pertraktacyi w toku» w kierunku przeprowadzenia wzmiankowanej reformy, z czego wynika, że rzeczy pozostaną *in statu quo*, czyli że nauczyciele, zamiast oddziaływać na lud dodatnio, budzić będą i nadal, rozumie się przedewszystkiem w kobietach, instynkty najohydniejsze.

Poseł Edward Gniewosz, zabierając głos w komisyi budżetowej przy rozprawie nad wnioskiem p. Pinińskiego o «stabilizacyę» inspektorów szkół ludowych, zaznaczył, że w Galicyi 2.000 gmin nie mają szkół zupełnie, że 1.000 szkół już istniejących nie funkcyonuje dla braku nauczycieli, albo funkcyonuje nieprawidłowo, że z liczby 5.600 nauczycieli ludowych — 600 jest niewykwalifikowanych, a 1.500 praktykantów lub suplentów.

Obecnie, w roku nieurodzaju, sprawa przedstawia się daleko gorzej: wobec niskiej płacy rocznej (minimum 100 guldenów, maximum 240) i wobec drożyzny tegorocznej, wobec wreszcie zaprowadzenia oszczędno-

ści za rok ubiegły w kwocie 47.404 złr. na dodatkach pięcioletnich (dodatek wynosi 50 złr.), które to odmówienie pięcioleci pewnej liczbie nauczycieli p. wiceprezydent M. Bobrzyński umotywował «nienagannością i małą skutecznością ich pracy»: siewcy oświaty porzucają zawód, wstępują do straży skarbowej, powiększają zastępy woźnych oraz pisarzów, albo jeśli nie powiększają żadnych zastępów, to, jak zaznacza J. Chrzanowski, wójt gminy Sielce pod Nowym Sączem, w korespondencyi do *Przyjaciela ludu*, «do ostatniej już dziurki pasa przyciągają». Trafiają się i tak bezczelni, że pisują wstępne artykuły... Poprostu 300-guldenowy siewca siada i pisze artykuł wstępny. Ja — powiada — mam ośmioro dzieci, na każdą osobę z mej rodziny wypada dziennie 10 centów, a za taki fundusz nie można w tej okolicy kupić litra mleka. Dajcie — powiada — na chleb do mleka! Inni, nie znalazłszy na swym pasie więcej dziurek, idą, strawieni przez tyfus głodowy, z tej krainy «petycyi», «pertraktacyi w toku», «odmownych rezolucyi«, gdzie przecież czasami, jak na ostatnim kuligu u księcia marszałka, «humor się pieni, jak szampan, w mózgach i w sercach».

Mnie osobiście, jako gorliwca interesów cywilizacyi, zaniepokoiła najbardziej następująca, nie stwierdzona, co prawda, urzędownie pogłoska. Szeptano sobie w cukierniach na ucho, że w górach karpackich zjawiły się stada zdziczałych, pół-nagich, kudłami porośniętych nauczycieli wiejskich, że błąkają się po wierchach i dolinach, że szukają schronienia w jaskiniach oraz dziuplach drzew i trudnią się łowiectwem. Opowiadano, że nie mówią już językiem ludzkim, lecz

wyją bez przerwy jakąś pieśń barbarzyńską, przypominającą nieco melodyę znanej ballady: «Nie mam tego, ani tego, bo mi majster kiepsko płaci...» Zebrawszy się komunikiem gdzieś na urwiskach, czatują oni dniem i nocą, a gdy ujrzą kozicę, puszczają się w pogoń i ścigają biedne zwierzę z chyżością i zajadłością chartów dotąd, aż je w biegu pochwycą; wówczas, bezwstydni, własnemi zębami rozdzierają kozicę na sztuki i, wydając pogańskie okrzyki, pożerają całą, na surowo, z kiszkami i kopytami.

Wieści takie, jakkolwiek nie stwierdzone urzędownie i fałszywe z gruntu, boć niepodobna przypuścić, aby żołądki, choćby też i nauczycieli, mogły strawić kopyta kozicy, zapaliły we mnie pewien rodzaj znicza. A dziatki, pomyślałem, pozbawione doniosłych skutków znajomości abecadła, a chłopkowie, wystawieni na niebezpieczeństwo poszeptów, a kraśne dziewoje, nie umacniane i nie utwierdzane w czystości obyczajów... «Tu rada jedyna, ale stanowcza i dostateczna...» — zabrzmiało w mej duszy. A więc postanowiłem iść do hr. St. Tarnowskiego i błagać go, aby niezwłocznie tchnął na mnie, aby mi wylał na głowę bańkę oliwy, aby rozkazał *złemu* wyjść ze mnie i udzielił błogosławieństwa na jedyne, stanowcze i dostateczne przedsięwzięcie. Powziąłem zamiar urzeczywistnienia myśli, rzuconej przez tego sympatycznego hrabiego — t. j. założenia «Bractwa Nauczycielskiego» *de la doctrine chrétienne*, które przecie «nie potrzebuje być zakonem» w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, a więc regułą swoją nie pozbawiłoby mię nawet tego wszystkiego, co w dziewicach i mężatkach tej ziemi przywykłem oddawna uważać za piękne, dobre i szlachetne. W głębi duszy pielęgnowałem, rzecz prosta, niewinne marzenie, że jako założyciel wyniesiony zostanę wkrótce na godność przeora, a może nawet — *o, bon Dieu!* — opata...

Tymczasem — «wszystko runęło na łeb i poszło na nic!» — bo oto mężowie Wydziału krajowego, wziąwszy pod uwagę wskazania Rady szkolnej krajowej, postanowili, po długotrwałem dłubaniu w nosach, przeprowadzić reformę szkolnictwa, i to nie zapomocą półśrodków, ale energicznie, — poprostu postanowili podnieść pensyą nauczycieli ludowych z 240 reńskich (maximum) odrazu do wysokości 250 reńskich.

Skoro tak — rozważałem — to i «Bractwo» nie ma racyi bytu, bo i tamci kafrowie z gór karpackich zstąpią, ucywilizują się i zaczną robić «*prawdziwie wielkiemu światu* wrażenie, a sobie sławę ludzi porządnych i dobrze wychowanych» — i ci, co «do ostatniej dziurki pasa przyciągali», zapuszczą teraz brzuchy i podbródki, i lud za kilka miesięcy zacznie Pawła Bourgeta w oryginale czytać. Tę samą mniej więcej nadzieję wyraził marszałek ks. Sanguszko w mowie, otwierającej sejm w dniu 3 b. m.

«Miejmy nadzieję — mówił — że tem podniesieniem nie tylko osiągnięty będzie choć częściowo cel zaradzenia brakowi sił nowych nauczycielskich, ale także, że ta młodzież, którą w kraju tak ważne i szczytne czeka zadanie, tą pomocą od *moralnych* chorób ochronioną zostanie, na które — rzucona na pastwę losu, — niestety, nieraz narażoną jest». (Marszałek ma tutaj zapewne na

myśli niemoralne i ohydne przyzwyczajenie nauczycieli — chodzenia bez odpowiednich części stroju męskiego).

Atoli pomimo podniesienia pensyi i wyrażania nadziei — bakałarze zdradzają bez przerwy jakiś nienasycony i niewidziany w dziejach apetyt. Złożyli do sejmu poprostu niezliczoną ilość petycyi — i posypały się wnioski: posła Kramarczyka o przeznaczenie doraźnej pomocy dla nauczycieli w formie dodatku drożyźnianego, posła Asnyka i towarzyszów (wydatek przekroczyłby 300.000 złr.), posła Zolla i tow. (wydatek stanowiłby 150.000 złr.). Reforma projektowana wejdzie w życie dnia 1-go lipca r. b., jeżeli, *notabene*, jak tego pragnie poseł Wojciech Dzieduszycki, cała ta historya nie zostanie *odroczona*. Górskim powiatom Galicyi zachodniej i całemu Powiślu grozi głód. W powiecie Myślenickim 62 tysiące osób głoduje i nie ma ziarna na zasiew wiosenny. W 19-tu wsiach ani jedna rodzina nie posiada zapasów żywności. Z powiatu Żywieckiego donoszą, że wysuszone i zmielone łupiny kartoflane, pomieszane z owsianą mąką i zalane wodą, stanowią jedyne pożywienie wielu ludzi. W powiecie Krakowskim w 23-ch gminach około 3.000 ludzi nie posiada żadnych środków do wyżywienia się. W powiecie Wielickim położenie pogarsza się z dnia na dzień i głód doskwiera ludności. Klęska nieurodzaju dotknęła również powiaty: Sandecki, Limanowski, Grybowski, Wadowicki, Kolbuszowski, Mielecki, Łańcucki. W powiecie Bialskim na 48 gmin w 40 panuje głód, w Nowotarskim głód i wielka śmiertelność, w Tarnowskim głód grozi połowie powiatu. Ogółem głodujących jest 600.000.

Pomoc, uchwalona z funduszów państwowych celem złagodzenia nędzy, wyniesie około 60.000 reńskich. Znowu tedy biegli w matematyce mieli robotę z obliczaniem; wypadło tak: jeżeli obdzielić głodujących jednorazowo, to każdy zgłodniały dostanie naraz 10 bułek po cencie sztuka w sztukę, jeżeli zaś obdzielać w ciągu 10 dni, to każdy zgłodniały dostanie codziennie jedną bułkę za centa.

Poseł chłopski Potoczek interpelował w sejmie komisarza rządowego, kiedy mianowicie Wysoki Rząd zamierza przystąpić do rozdziału tej kwoty, czy, nie poprzestając na doraźnej pomocy, przyjdzie w pomoc większym zasiłkiem, czy odpisane zostaną podatki, jakie z powodu klęsk elementarnych odpisane być mogą, i t. d.

W głębi duszy poseł chłopski mówił: «My, polscy i ruscy włościanie, przez 77 lat składamy ofiary i daniny, daniny i ofiary na ołtarzu rządowego skarbu, mamy więc prawo domagać się pomocy w latach nieurodzaju. Mamyż czekać z założonemi rękami, aż jednych głód wywiezie na wieczny odpoczynek, a innych żydzi przemysłowcy sprzedadzą za ostatnie kilo konsumcyjnego towaru. W r. 1889 dla samej Galicyi udzielono 600.000 reńskich, jako pożyczkę bezprocentową, a 300.000 jako bezpowrotną zapomogę. A dziś co się dzieje? Dla towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju, dla jakichś Lloydów rozmaitych znalazło się odrazu pięć milionów, a dla całego ludu rolniczego ofiarowano tyle, że nie wiemy naprawdę, czy to sen, czy mara. Dla wszystkich krajów, reprezentowanych w Radzie państwa, przeznaczono zaledwie 360.000 złr., pomimo że dla

samej Galicyi trzy miliony nie byłoby za wiele. A teraz dzielcie się, jak możecie, żyjcie lub umierajcie — wszystko nam jedno...»!

Tak się cham rozgadał, że aż króla Zygmunta III-go wspomniał. — Król Zygmunt — powiada — wyrzekł takie pamiętne słowa: «Wielkość i sława miast nie polega na wielkich gmachach i wspaniałych kamienicach, ale na dobrem mieniu i dostatku obywateli. Słowa te — powiada — naszego króla możnaby śmiało wypisać złotemi głoskami nad każdym pokojem departamentów rządowych...» Nad «pokojem departamentów rządowych» unosi się duch Jego Excelencyi Pawła Popiela. Płacze po nim gazeta *Wstecz*, łkał rzewnie doktór Głuptasek, redaktor *Śmietnika polskiego*, i odmawiały litanię niespożytych zasług tego «wielkiego obywatela» wszystkie organy, służące w ministranturze galicyjskiej. A teraz, gdy żal się nieco ukoił, zaczyna się wskazywanie na *złe*. Bystrooki hrabia tylko wyjdzie na balkon, zaraz zobaczy i pokaże paluszkiem, w którem miejscu złe siedzi...

[1892]

«MĘKALE»

Mieszczanin Łagowa, Kurozwęk, Oleśnicy, Pacanowa, Połańca — drobnych osad na pograniczu gub. Kieleckiej i Radomskiej położonych, nosi w ustach ludu okolicznego pogardliwe przezwisko — «mękala».

«Mękalska dusza» — mówi chłop, gdy chce wyrazić swój wstręt i nienawiść, lub określić dobitnie czyjąś nędzotę moralną. Zapytany o przyczynę nienawiści i nazwy — wspomina jakieś odległe, mglisto w jego pamięci zarysowujące się dzieje. Mieszczanin ze swej strony pogardza «śmierdziuchem chamciuciu», drwi z jego głupoty i, ile się uda, oszukuje w handlu. Jakkolwiek mękalstwo nie pozbyło się powszechnego u nas indywidualizmu, stoi jednak w stosunku do wioski bardziej solidarną i jednomyślną gromadą.

Mieszczanin kilkomorgowiec przewyższa chłopa sprytem, inteligencyą, wytrwałością. Jest pracowitszym i lepszym rolnikiem, — małorolny jest poza uprawą swego «zuchelka» przebiegłym przekupniem (handluje mięsem, roznosząc je po wsiach i dworach, końmi, trzodą chlewną, zbożem, owocami), bezrolny uprawia rzemiosło (szewctwo, rymarstwo, mularstwo, kowalstwo,

stolarstwo). Hardy jest niesłychanie. Hardość ta «obywatelska» źródło ma w tradycyi ustnej o dawnym stanie mieszczańskim, o dostojeństwach w sądzie ławniczym, o wysokiej «kunsztów» uprawie. Cechuje mękala religijność, pachnąca odległemi wiekami, fanatyczna a obrzędowa, i niezmiernie oryginalny pogląd w rzeczach polityki, pogląd dodatni i stanowiący kręgosłup niejako jego organizmu moralnego.

Nim przystąpię do bardziej szczegółowego opisu bytu mieszkańców jednej z najuboższych a najstarszych z wymienionych osad — Oleśnicy, oraz do wyjaśnienia stosunku mękala do chłopa, zaznaczę tutaj przyczynę wymienionego w tytule imioniska.

Oleśnica — licha dziś osada rolnicza w gub. Kieleckiej, powiecie Stopnickim — jest jednem z najstarszych miast Powiśla małopolskiego. Sąsiaduje ona ze Stopnicą, Solcem, Pacanowem, Połańcem, Staszowem, Kurozwękami i Szydłowcem. Leży na szlaku, którym w r. 1241 ciągnął z pod Sandomierza ku Krakowu zwycięski Batu-chan. W odległości wiorst kilku, pod Wielkim-Turskiem, między Połańcem a Osiekiem, stoczył z mongołami nieszczęśliwą bitwę Włodzimierz, wojewoda krakowski. Po tem zwycięstwie szedł Batuchan przez Oleśnicę i Szydłów ku Chmielnikowi, gdzie kwiat rycerstwa polskiego przez hordy oskrzydlony poległ śmiercią męczeńską.

Na całym pasie Nadwiśla po odejściu mongołów pozostała pustynia, a w rzędzie miast w perzynę zburzonych była i Oleśnica. Już jednak w roku 1255 otrzymuje ona przywilej rządzenia się prawem magdeburskiem, wyprzedzając pod tym względem nie tylko

sąsiednie miasta małopolskie, ale Kraków (w r. 1257), Lublin (1317) i Tarnów (1330).

Wcześniej uzyskały prawo teutońskie tylko Szroda (1178), Lwów (1217), Brzeg (1250) i Poznań (1253). Prawdopodobną jest rzeczą, że odbudowali i podnieśli zburzone miasto osadnicy niemieccy, chętnie przez Bolesława Wstydliwego ściągani.

Od nadania przywileju aż po ostatnie lata wieku XVIII jest Oleśnica na prawie niemieckiem. Czy przeniesienie miasta z prawa polskiego na niemieckie rozciągało się i na wioski, wchodzące w skład majętności «Zamku Oleśnickiego» — określić trudno w braku jakichkolwiek po temu wskazówek.

Kazimierz Wielki, zakazując pod karą śmierci w roku 1356 «nagany» (apelacyi) sądów ławniczych do Magdeburga i Halli i ustanawiając dla miast na prawie magdeburskiem sądy najwyższe prowincyonalne w Krakowie, Poznaniu i Sandomierzu, prawdopodobnie Oleśnicy do Sandomierza apelować polecił. — «Ortyle» bowiem krakowskie z Magdeburga sprowadzane na wyroki oleśnickie wpływu nie wywierały. «Ortyle» zabraniają np. wyciskania zeznań zapomocą tortur, — tymczasem jeszcze w wieku XVIII akta sądu radzieckiego Oleśnicy mówią wyraźnie o «konfessatach dobrowolnych i inkwizycyach przymusowych».

Księgi praw magdeburskich sąd oleśnicki nie miał zapewne, jak wiele innych miasteczek pomniejszych, i sądzono według tradycyi, zwyczajów i przykładu.

Wytworzyła się tu mieszanina prawodawstw. Księga dekretów, z których wyjątki przytoczę, mówi

o «Saksonii» *(Zwierciadło Saskie,* zebrane około roku 1220 przez Epka de Repgow), o «Prawie magdeburskiem» i «chełmińskiem», — oraz o «Statucie». Mieszanina tem jest prawdopodobniejszą z lat upływem, że już w wieku XV nawet mieszczanie krakowscy zwracali się niejednokrotnie do *praw niemieckich,* ilekroć prawo saskie i chełmińskie niedostatecznemi się okazywały.

W okresie ferowania dekretów w wieku zeszłym (od roku 1756 do 1773) wyższą instancyą jest już dziedzic «Zamku». On aprobuje wyroki, «relaxuje» czasami dolę skazanych na śmierć, ułaskawiając ich o tyle np., że ćwiartowani być mają nie za życia, lecz po straceniu mieczem.

Wyroki, jakie mam pod ręką, noszą tytuł następujący: *Protokół Dekretów miejskich Oleśnickich Anno 1726, sporządzony za Sz-o Pisarza nadwornego przez przywilej naznaczonego Kuchmistrza i Pisarza nadwornego J. W. Pana i Dobr. Naszego.*

«W tym protokóle Dekreta więźniów i złoczyńców, którzy jaką śmiercią ginęli dla pamięci dalszego Urzędu Radzieckiego, którzy natenczas będą dochodzili»...

Z roku 1759.

«Żyda Michela z miasta Raciąga dobrowolne Inkwizycye przed sądem miasta Oleśnice.

Jako zeznał na dobrowolnych Inkwizycyach przed sądem zwyż wyrażonych osób, jako ich było żydów czterech jeneralnych, a piąty *(pięty)* żyd-niemiec Ślązanin z miasta Wrocławia i dwóch katolików, tylko żyd nie wie, skąd są, i nie wie, jak się zowią. Ci zaś sami żydziej więźniowie — Michel i drugi żyd Dawid

z miasta Płocka, trzeci z miasta Tarnowa zeznali: żyd Michel zeznał, jako będąc w szpitalu w mieście w Pilcy i ten niemiec żyd tam mnie napadł i namawiał mię, który mi rzekł: podź ze mną, ma tam żyd arendarz w Lgocyej pieniądze, co woły przedał. I pośli obydwa wieczorem, a drudzy kompanya kolegaci siedzieli w krzakach pod karlinem. I krzyknął na nich żyd-niemiec po żydowsku: Erszko, przybywajcie; bo mi nóż utonął. Ci, zeszedszy się ze sobą, mieli gorzałki barełkę, w tem się napijali i tak poszli nocą do Lgocyej do browaru. I tak jedni poszli do izby, a drudzy byli na dworze, jeden żyd Dawid u drzwi, a drugi u furtki na tele. Powtórne Inkwizycye tych żydów Michel i Dawid więźniów, którzy na konfessatach, jako żyd młody Dawid stał z nożem nad stróżem katolikiem w browarze w Lgocyej. Żyd Dawid młody zeznał na konfessatach, jako słyszał żydówkę, która mówiła, iż ten żyd stary Michel głowę ukręciół Dziecięciu żydowskiemu i nożem pokłół żydówkę. I mieli taką radę między sobą: zabrawszy pieniądze Arendarzowi, podzielemy się i pojedziemy do Szląska.

Dekret Niewiernych żydów.

Żyd Michel, który się dał namówić niewiernemu żydowi niemcowi, aby zrabowali arendarza Lgocykiego i z drugiemi Żydami, którzy naszedszy, zrabowawszy i pokłówszy Arendarkę i Winiarkę żydówkę i dziecięciu głowę ukręcili, pieniądze pobrali — naznaczamy niniejszym Sądem naszym według sprawiedliwości i świątobliwego Prawa, aby Żyd Michel żywcem był ćwiartowany i ćwierci jego na palach po gościńcach

bite przy granicy. Drugi żyd Dawid z miasta Płocka, będąc przy tem Excessie także namawiany i z nożem stojąc nad browarnym stróżem katolikiem, mówiąc do niego: jak będziesz wołał, to cię nożem przebiję, — za który występek jego i przestępstwo Przykazania Boskiego, naznaczamy Sądem naszym, jako Prawa święte świadczą, aby był żywo w koło wpleciony i na pal przybity.

Lubo ci Zbójcy zasłużyli śmierć według Prawa dekretem wyrażonego, ad instantiam jednak JW. Pana i Dobrodzieja naszego, relaxuje się dekret tak, aby żyd Michel pierwej był ścięty, a potem ćwiartowany i ćwierci po gościńcach na palach powieszane. Drugi żyd Dawid tymże sposobem, aby był ścięty i w koło wplatany i z kołem na pal przy gościńcu wbity. Mocą i władzą Zamku Oleśnickiego aprobuję ten dekret. — K. m. p.

Działo się w Oleśnicy dnia ósmego, miesiąca czerwca, 1759 r.»

Z roku 1760.

«My, sąd miejski Oleśnicki, zasiadszy w sprawie Jaśnie W-nego Pana a Dobrodzieja Naszego kryminalnej, która się pokazała na Lokaja, sługę pańskiego imieniem Symona, rodem z Mrzygłoda z miasteczka, miejski synek. Młodzian, który pomieniony Symon nieszczęsnym affektem swoim i umysłem dobył się do skarbu pańskiego i kłódkę ukręcił, ale nic nie wziął, tylko przez straż miejską nadworną, który spostrzegszy, że kłódka ukręcona u Skarbca Pańskiego, — więc tedy przez rozdruch ludzi Pańskich Grzegorza masztalerza, sługę Pańskiego, który mówiąc do tego Symona: tyś to tę kłódkę ukręcił? Ten odpowiedział, iże ja.

W tem ten Symon wszedszy na zapiec i mając nóż przy sobie i kłół się nim, którego krew oblała. Jako Inkwizycya padła przed Sądem Oleśnickim w swym ciele pomieniony Symon uczynił ran cztery ku sercu, a więc za takowy Excess kryminalny, gdy chciał duszę swoją zgubić, ferujemy dekret niniejszym sądem naszym za jego występek według Świętobliwego Prawa, aby beł obieszon na szubienicy dla ukajenia inszych.

Który dekret i sąd Starą radą, jako nie umiejący pisać rękami swemi własnemi, w kółkach znakiem krzyża świętego podpisujemy.

Wojciech Biernacki — Burmistrz
Michał Lalowicz — Stary Rajca
Mateus Dziedzicowic — Stary Rajca
Maciej Stępień — Stary Rajca i t. d.
Antoni Gnatowski — Ławnik
Grzegórz Chojnacki — Ławnik i t. d.
Michał Szczepański — Lajc Woyt.»

Z roku 1760.

«Inkwizycya Franciszki Leszczynczanki a córki Adrynki — ratione ognia, założonego w dom małżonków Szymańskich, obywatelów m. Oleśnice.

Pierwsze zeznanie tejże Franciszki, jako zakochawszy się z‚sobą z Grzegorzem masztalerzem Pańskim, który się miał ze mną żenić w tem do Szymańskich córki poszedł — ja — widząc to — wzięłam węgiel ognia uwinąwszy w szmacinę pod wązk (?) poszłam nocnym sposobem po drugich pacierzach i wetchnę-

łam w strzechę od domu w chlew, gdzie bydlęta beły, a to z tej racyi, że mnie porzucił. Do tego i do Szymańskich miałam ansę o pieniądze żołnierza, którzy mnie o więcej posądzali, jak co ja wzięła. Tylko talar bity beło. Powtórne Inkwizycye tejże Franciszki w roku 1760 ratione tegoż samego ognia taż sama dobrowolnie zeznała, — jako ja z umysłu swego ten ogień założyłam i spaliłam tych małżonków Szymańskich. Zaś według płodu, to sama dobrowolnie zeznała, jako zostawszy brzemienną z tymże Grzegorzem Masztalerzem w r. 1758 we żniwa, — z tym spuściwszy przed tymże Grzegorzem, żem ja jest taką. Na to odpowiedział, że jeżeli się będzie chować, to będę wiedział, jak się rządzić, jeżeli zaś nieżywe będzie, to tam zrób z nim, co chcesz. Ale ja widząc, żem ja jest już niepewna, dźwigałam kamienie na to, abym sobie potrafiła dla wstydu.

Potem odjechawszy matka na jarmark — nie było nikogój, tylko siostra. Ja rozchorowawszy się, układłam się za piecem w izbie — wtym pytała się mnie siostra: coć to? Jam powiedziała, że mnie wnętrze boli. Wtymem porodziła i w grub-em włożyła. Po dwuch dniach poszłam prać, to-ć dziecię-m wzięła i uwinęłam między chusty i utopiłam na zwierzyńcu w dole, które zaraz utonęło. Potem powiedziałam temuż Grzegorzowi, że się tak stało, a on mi na to odpowiedział, żeś źle zrobiła, bobym beł inszego sposobu szukał i pod Bożą Męką bym pochował.

Pytając się, na coś się dała powtórnie uwieść, odpowiedziała: bo się obiecał ze mną żenić — wtymem mu się pozwoliła, kiedy tylko chciał.

Tedy zaś przyjechawszy z Podola, kiedy na kontrakty jeździli do Lwowa w roku 1760, gdy ze mną pił we czwartek, a w piątek do córki Szymańskich poszedł — wtymem, rozgniewawszy się, zapaliła.

Dekret według Inkwizycyi. My sąd Radziecki, Oleśnicki i t. d. Za dobrowolnym na Inkwizycyach tejże Franciszki, która się dobrowolnie przyznała według wszystkich punktów, za które to występki, jako Świątobliwe Prawa nasze świadczą taki ferujemy Dekret, aby ogniem skarana beła dla ukajenia inszych.

Lubo Franciszka za niecnoty swoje popełnione, według Prawa i Sprawiedliwości męczona i śmiercią Dekretem opisaną palona być powinna, mocą jednak Dworu Oleśnickiego relaxuje się Rygor, wyrażony w Dekrecie tak, aby bez inszych mąk, mieczem tylko katowskim ścięta była. Dat. we Dworze Oleśnickim 26 Febr. 1760 r. — K. m. p.»

Z r. 1773.

«Dekret żyda Łachmana w r. 1773 dnia 14 Stycznia w dzień piątkowy.

Zasiadszy w sprawie niewiernego żyda Łachmana na złodzieja rodem z Lanckorony, a ożenionego w mieście Podolskiem Żwańcu, który przez pijaństwo z żoną swoją skłóciwszy się udał się na hultajskie złodziejstwa, a żonę swoją porzucił w Starym mieście i sam poszedł do Iwanisk, dał parobkowi groszy dziesięć N. 10, aby go do Staszowa przywiózł. Gdy wszedł do domu żydowskiego w Opatowskiej ulicy na lewej stronie, tam wszedł Zieleński, który bywszy w Konfederacyi Barskiej był w tym Żwańcu gospodą w tym domu, gdzie też i ten żyd beł przy zarobku. Więc

wejrzawszy na żyda poznał go, potem go się zapytał: a ty tu żydzie co robisz? Żyd mu odpowiedział: tak chodzę po świecie, tentując kawałka chleba. Wtym ten Zieleński kazał dać wódki blaszane naczynie i częstował kilkoma porcyami żyda, namawiawszego na złodziejstwo, obiecującego: — będziesz miał pieniądze i konia. Wziął ten Zieleński z sobą wódki flaszkę i pili przez drogę kilka razy... Przyjechawszy pod miasteczko Oleśnicę pojechał ten Zieleński po zapłociu, a żyd poszedł piechotą. Konia uwiązawszy u płota, sami poszli do miasta na przeglądy. Przyszli do Ratusza, tam po stajni rewidowali, poszli potem do Austeryi. Tam beły wozy z chlebem wojska Jej Cesarskiej Mości, więc się im nie udało ukraść. Poszli potem do stajni Księżych i pootwierali drzwi do pierwszej stajni. Druga stajenka była zamknięta zamkiem — ten żyd wlazł przez górę i spuścił się do koni, gdzie się łoskot uczynił. Parobek domowy, pomiarkowawszy, że złodziej, dał znać do Panów swoich, a Zieleński w tym popłochu uciekł. Więc złapanego gdy oddali do Urzędu, jako złoczyńcę za kryminalny występek według Św. sprawiedliwości a prawa Chełmińskiego, Saskiego i Magdeburskiego kryminalnie Dekretem naszym śmierć szubieniczną naznaczamy. Aby z tej szubienicy nie był żadną korrupcyą, przekupieniem albo kradzieżą odcinany, aż swój czas naznaczony wykonany będzie, bo gdyby się kto poważył to uczynić, na kogo przeświadczenie padnie, ten będzie podlegał Dekretowi nieuchronnemu. Pereat mundus, fiat justitia. Amen».

*

Władza aprobaty ostatecznej wyroku sądowego, powierzona dziedzicowi, poniżyła sądownictwo miejskie.

Potworna, na mieszaninie legend odwiecznych oparta modła wyrokowania, stosowana przez sąd mieszczański, staje się w ręku dziedzica biczem na lud okoliczny, a niejednokrotnie stosuje się poprostu do jego rozkazu. Trudno znaleźć lepszy sposób upozorowania barbarzyństwa. Opowieść ludowa, z jaką spotykałem się w kilku wioskach, otaczających Oleśnicę, wie o parobku «nieboraku», który za zabicie psa dziedzicowego na polu — do sądu miejskiego oddany, na śmierć szubieniczną osądzony został. Opowieść ta zbyt jest w pamięci ludowej świeża, zbyt żywą do «mękali» tchnie nienawiścią i zbyt jest powszechnie znana, aby fałszywą być miała, — a wykonanie wyroku na «nieboraku» o małą zapewne miarę czasu wyprzedza szlachetny uniwersał z obozu pod sąsiednim Połańcem, nie dziwna, że nadaremnie, wydany...

[1891]

[PRZEDMOWY DO KSIĄŻEK]

«PRZEZ CIERNIE ŻYWOTA»

Ferdynanda Kurasia

Opisy życia ludu, o ile ujawniły się w literaturze, bywają zazwyczaj dziełem osób pochodzących z warstw, zwanych wyższemi, czy górnemi. Powodowani litością, współczuciem, podnieceni przez ideał dźwigania warstw, zwanych niższemi, — zdobycia siłą, czego na mocy dobrowolnych ustępstw osiągnąć nie można, — artyści, szukający barwy lokalnej i istoty życia, — pisarze wszelkiego typu, czerpiący tematy do swych utworów z życia masy pracującej — notują w gruncie rzeczy wspomnienia swe, albo twórczo malują na tem tle tak rozległem, wymyślając z głowy świat do ludowego podobny. Te opisy, nieraz barwne epopeje, tworzone w niby-gwarze prowincyonalnej, pisane przez ludzi dostatniej sfery, tworzone w zamożności i spokoju, rzadko kiedy odzwierciadlają żywot istotny synów i córek ziemi, nieraz zaś są śmieszną reporterką i przedrzeźnianiem.

Zdarzają się i twory poczciwe, ale niezdarne i do niczego niepodobne. Język ich nie jest starą, pradawną, a przecież zmienną mową pracy, a sceny życia, gdyby nawet były podobne do istotnych, są ugrupowane w spo-

sób obmyślony na zimno, wymędrkowany dla jakiegoś celu, tendencyjny. Nagromadza się zjawiska jaskrawe, celowo dobrane, albo wydobyte z wyobraźni, ażeby czyniły zadość społecznemu, czy literackiemu założeniu z góry. Rzadko się zdarza, — gdyż nad wyraz trudno może się zdarzyć, — ażeby ktoś z ludu przemówił, to znaczy, żeby sam lud przemówił o sobie.

Taki rzadki wyjątek, a może nawet unikat, stanowi pismo Ferdynanda Kurasia pod tytułem *Przez ciernie żywota.* Mamy tutaj w formie jasnej, prostej, bez uciekania się do niby-gwary, w postaci nie obarczonej zamiarem estetyczno-twórczym, podane życie samo w sobie. Czytając te stronice, ma się wrażenie, iż odsłania się ze mgły i pomroki sama najrdzenniejsza iścizna życia ludowego, iż nakreślony został ręką niewprawną i przez to może genialną — jego symbol.

Nie podaje nam tu swego referatu, ani dzieła spostrzegacz, reporter, misyonarz do sfery dzikusów, lub poeta, szukający tutaj natchnienia, lecz zcicha mówi o sobie sam objekt, sam murzyn polski, bytujący z prawieków obok nas, dokoła oparcia naszej stopy. Gdyby czarna ospa, albo szkarlatyna jęła przemawiać o sobie i odsłaniać dzieje swego bytu, ukazywać drogi swego pochodu po niewiadomych szlakach rozwoju, doznawalibyśmy tego wrażenia, co przy czytaniu pisma Ferdynanda Kurasia. To porównanie może kogoś urazić, jako nieścisłe, a nawet przesadne. A jednak tak jest w istocie.

Życie opisane tutaj tak dalece odskakuje od normalnego porządku rzeczy, od życia ludzi cywilizowanych wogóle, od wszystkiego, co jest sprawiedliwością i miłosierdziem, iż tylko do ciężkiej, ohydnej, przeklętej choroby może być przyrównane. A przecież ten pisarz życia ludu nigdzie się nie uskarża, nie pomstuje, nie wzywa na pomoc. Jego powieść jest spokojna nawet tam, gdzie maluje najstraszliwsze sceny ciemnoty, w poradni znachora-pijanicy, który ma uleczyć głuchotę, — pod cudotwórczym krzyżem obok Bychawy, gdzie nieszczęsne matki wykopywały dołki w ziemi, kładły w te dołki głowy swych chorych dzieci i przysypywały je ziemią, ażeby je z nieuleczalnych kalectw wybawić. Nigdzie on nie staje w pozycyi wyzywającej, nawet wtedy, gdy maluje dantejski obraz, gdy trzej chłopcy-niedorostki wstępują do ledwie wystygłego kotła w cukrowni, ażeby go obtłuc z osadu, z zarazy, którą wchłaniają płucami. Przedstawia nam straszliwe mieszkania robotników — (cztery rodziny w jednej izbie, uciekające przed zgnilizną i wilgocią na pewien rodzaj mieszkań nawodnych), a gdy przed tym opisem zakrywamy oczy, gdyż, zaprawdę, lisy mają stokroć mądrzej i lepiej urządzone nory, a zające zdrowsze i wygodniejsze kotliny, niż ci z pożytkiem powszechnym pracujący ludzie, — on bawi nas anegdotycznie wspomnieniem przygody, którą mu te mieszkania troglodytów w pamięci zostawiły. Znajduje urok w przyrodzie, widzi go, kocha i wspomina, ale nas czczemi opisami nie napawa i nie nudzi. Dostrzega urok lasu, pola, wielkiej rzeki, jak gdyby chyłkiem, wśród potwornej pracy, znieobaczka pochwycony i zapamiętany.

Przy rąbaniu pni dębowych z płacą dzienną 10 kopiejek — (o, losie straszny i przeklęty! — dziesięć

kopiejek za dzień ciężkiej pracy) — urok lasu pustego, niemego, zastygłego w śniegach widzi i odtwarza tak doskonale, iż ten urok i nam się udziela z jego łaski. Maluje przytem głód pracujących, gdy każdą grudkę i każdą krupkę kaszy gotującej się w garnku na węglach pożerali naprzód oczyma, a później zgłodniałemi usty i wnętrznościami. Maluje zaś nie dla jakowegoś celu, tylko z uśmiechem wspomnienia tamtej chwili, maluje dla samego malarstwa, z potrzeby wewnętrznej, jako prawy i dostojny odtwórca wszystkiego, co na to zasługuje.

Nie wymawia ani jednem słowem wielkiemu panu, odzianemu w śliczny strój do łowów, gdy go ów pan z lasu przepędzał, skoro z bratem niedorosłym suche patyczki na ogień zbierali. Nie dobywa słów przeraźliwych, gdy biedny ojciec tłukł głową o ścianę, patrząc na syna, zmarłego z czarnej ospy, — i gdy tego syna całował w usta. Nie podnosi głosu nigdy. Raz jedyny, gdy go poraził cios najokrutniejszy — utrata słuchu — wskutek nieszczęśliwej przygody uderzenia wrótnią w głowę, rozwiązuje się jego język dla pożegnania się ze światem szmerów, szelestu drzew, głosów przyrody i śpiewu ptaków. Wtedy dostrzegamy, jak głębokim jest poetą. Nie mogę powstrzymać się, ażeby tego pożegnania tutaj nie przytoczyć, jest to bowiem wysokiej piękności hymn o rozkoszy słuchu i jedyne pewnie w literaturze świata pożegnanie się z dźwiękiem.

«Żegnaj, świergocie przywiązanych do strzechy wioskowej wróblich gromadek i ty, lotnych jaskółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj cudowny hymnie szarego skowronka, zawieszonego w wiosenne poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią.

Żegnajcie, rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie, wy polnych świerszczów ćwierkania wśród tchnących aromatem pól w jasne letnie dzionki, i ty, czarowna żabich chórów kapelo w przednocki majowe.

Żegnajcie, szmery wód i poszumy pól.

Żegnajcie, kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci.

Wdzięczna melodyo pastuszej ligawki, srebrzysty głosie dzwonka, krówek poryki, koników rżenie, żegnajcie, żegnajcie...»

Najpiękniejsze jednak w tem dziełku są opisy podróży, podróży proletaryackich, odbywanych najętym wozem, po bocznych polskich drogach, do celów nijakich, do nadziei znalezienia miejsca pobytu, punktu oparcia, zaczepienia się o jakąś pracę, dosięgnięcia kąta mieszkalnego. Autor nasz z tych to podróży podaje tysiące szczegółów, które wtedy ujrzał i na zawsze zapamiętał. A czyni to w sposób tak prosty i, że tak powiem, dobry, iż sami stajemy się na nowo rozciekawionemi dziećmi, które tą oto wynajętą furmanką w «świat szeroki» jadą. Kędyś przyjmują nas w gościnę, serdecznie zapraszają na nocleg tacy sami, jak my, biedacy i pracownicy, nocleg pospólny w zadymionej i dusznej izbie. Ale widzimy wokoło siebie twarze poczciwe, poorane, spalone na skwarze i posieczone od ulew i chłodów, podeptane przez troskę wieczystą.

Obcujemy z dawno zgasłymi ludźmi, którzy na widok dzieci otwierają ramiona, zdejmują z twarzy troskę i bojaźń o jutrzejsze jadło i wystawiają ubogi poczęstunek. Prości polscy ludzie, fornale, zarobnicy, drwale, drobni kramarze, rzemieślnicy i robotnicy ukazują nam się z tych kartek w ich prawdzie i istocie. Przemawiają oto do nas dawne, dziwne religijne obyczaje, które czas idący wytracił, przepraszania w imieniu zmarłego nędzarza przez mówcę pogrzebowego—ziemi czarnej za to, iże ją deptał, wody zimnej za to, iże ją pił...

Pijemy czarną i zimną poezyę polskiego ludu.

Cała ta epopeja małorolnego nędzarza, pełna ludzi tak plastycznie i wiernie przedstawionych, iż znamy ich odtąd i jesteśmy ich przyjaciółmi, choć tak bezmiernie są ubodzy i dalecy, — pisana jest ślicznym, przeczystym, naturalnym językiem. Ani jednej zadry, ani jednego fałszu, ani jednej blagi, lub przesady!

Książka w początkowej swojej większości, — do chwili kiedy jej autor zostaje uznanym poetą ludowym, doznającym zasłużonych odznaczeń, — jest arcydziełem literackiem, czemś nowem, nieznanem, odkrywczem. Druga część, końcowa, jest już tylko osobistą historyą, pamiętnikiem przejść, przygód, zmian pozycyi socyalnej, wizyt, wyjazdów i wycieczek, i właściwie nie ma już związku z częścią pierwszą. Przygody, odmalowane w części pierwszej, czyta się jednym tchem, choć to jest pospolity sumaryusz wędrówek za chlebem, zarobkiem i legowiskiem pewnej proletaryackiej rodziny. Jest to odsłonięty rąbek groźnego obrazu, bolesnej krainy ubogich, na którym każdy ruch stopy ich

na cierń natrafia i krew na śladach swoich pozostawia.

Warto przeczytać tę książkę. Warto dać ją do czytania, — zamiast bzdurstw i bajd, — dzieciom szczęśliwym tej ziemi, które nie przypuszczają, nie wiedzą, nie słyszały i nie widziały w najsmutniejszym śnie, jak tuż obok nich cierpią straszliwie rodzeni ich bracia i rodzone siostry.

[1925]

«BIULETYN POLSKIEJ KONFEDERACYI PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH»

Ród ludzki nigdy może nie wydał ze siebie większej sumy intelektu, objawiającego się w jednostkach, jak w dobie życia Leonarda da Vinci i Mikołaja Kopernika. Jeżeli w pobieżnem wyliczeniu nazwać tylko dziedziny, które dalekiem spojrzeniem swojego geniuszu ogarnął, zmierzył, lub wprost posiadł toskański mistrz Leonardo, to będzie to niemal cały obszar ludzkiej inteligencyi: teorya muzyki, awiatyka, architektura, inżynierya, sztuka wojenna, teoretyczna i praktyczna mechanika, hydraulika, algebra, fizyka, astronomia, geografia, geologia, arytmetyka, geometrya, botanika, anatomia. Leonardo da Vinci pisał traktaty o ruchu, o tarciu, o machinach, o locie ptaków, rozpoznawał przebieg zjawisk na równi pochyłej, wyznaczył położenie środka ciężkości piramidy, ustalił prawa odbijania się ciał, przeczuł wyraźnie konstrukcyę mechaniki abstrakcyjnej, ciężar i ciśnienie powietrza, budowę atmosfery, promieniste rozchodzenie się ciepła, przyczyny wznoszenia się chmur, istotę sprężystości, ruch drgający i falowy, rolę barw dopełniających się, zjawiska załamywania się i difrakcyę światła. Jest on wynalazcą ciemni optycznej,

zna się pierwszy na zwierciadłach wklęsłych, o stulecie wyprzedza Błażeja Pascala w znajomości równowagi ciał ciekłych w naczyniach zespolonych, rozważa zjawiska echa, współbrzmienia i zasadnicze objawy drgania strun, zastanawia się nad przypływem i odpływem morza, bada wiry powietrzne, wykonywa doświadczenia z magnesami, zajmuje się teoryą widzenia i złudzeniami optycznemi, migotaniem gwiazd i popielatem światłem księżyca na nowiu. Jest wynalazcą mnóstwa machin w przemyśle i rękodziełach, wiatraków, tokarni, śrubowców, sond, pras, młynów i przeróżnych machin wodnych, pieców, lamp i t. d. Projektuje uspławnienie rzeki Arno, wiercenie tunelów górskich, kanalizacyę Toskanii i Lombardyi, przeniesienie kościoła Św. Jana w Medyolanie wraz z fundamentami na inne miejsce. Pierwszy przewidział zastosowanie śruby w żeglarstwie i miał wyraźne przeczucie maszyny parowej, jest wreszcie praszczurem olbrzymiej dziedziny lotnictwa. Ponad tą niezmierną krainą jego naukowego poznania, wciąż jeszcze otoczoną mgłą tajemnicy, wznosi się jego wielka nauka o sztuce malarskiej i widnieją jego dzieła istniejące i poniszczone: Monna Liza i posąg Ludovica Moro. Człowiek ten, jako potęga myśli, wielostronności, głębi i wyobraźni, stoi w dziejach, jako symbol i szczyt człowieczego rodu.

Obok tego wykwitu południa, obok tego strzelistego blasku z pomarańczowych ogrodów, w tym samym czasie na polskiej północy wznosi się chmurna i mrokiem lasów osłoniona postać Mikołaja Kopernika. W dziedzinie wiedzy Kopernik zrównał się z Leonardem da Vinci oczytaniem w mnóstwie pism autorów

klasycznych i średniowiecznych wszelkich rodzajów poznania. Kopernik zajmował się fizyką, magnetyzmem, botaniką, badał kwestyę waluty, sporządził w Olsztynie warmińskim optyczne narzędzia zwierciadłowe, oraz sławne *triquetrum* we frauenburskiej dostrzegalni, urządzał wodociągi we Frauenburgu, oraz podobno w Kwidzynie, zajmował się geografią, sporządzał szkice topograficzne i mapy geograficzne z Bernardem Wapowskim i Aleksandrem Skultetim, przez całe niemal swe życie był botanikiem i praktykującym lekarzem, pisał poemat łaciński *Septem Sidera*, zajmował się malarstwem, rysunkiem, próbował swych sił w muzyce i rzeźbie. Podobnie jak Leonardo da Vinci zagłębiał się w badanie filozofii platońskiej. Ponad tym całym światem dociekań i prac wznosi się jego nieśmiertelne dzieło o obrocie ciał niebieskich, wysnute z samoistnych badań.

Prof. Ludwik Antoni Birkenmajer, który badaniu nie tylko życia i dzieł Kopernika, lecz pilnemu i przenikliwemu śledzeniu dróg jego geniuszu poświęcił swe życie, przypuszcza, że ci dwaj ludzie, Leonardo da Vinci i Mikołaj Kopernik, spotkali się w roku 1500 we Florencyi, dokąd Leonardo wraz z towarzyszem swym, matematykiem Fra Luca Pacciolim, przybył po upadku Sforzów, a dokąd zjawił się również w tym samym czasie Kopernik wraz z bratem swym Andrzejem, dążąc do Rzymu. Spotkanie to mogło było nastąpić w domu Soderinich, gonfaloniera Piotra i biskupa Franciszka, z których pierwszy był przyjacielem Leonarda, a drugi najzaufańszym przyjacielem biskupa Łukasza Waczenrode, wuja Kopernika.

W wieści o zetknięciu się tych dwu postaci zawiera się szczególne wzruszenie. W myśli, iż mogli zetknąć się i rozmawiać o sprawach i tajemnicach swych, nieznanych gromadom zjadaczów chleba, zawiera się szczególna nauka. Czy można przypuścić, ażeby ci dwaj mogli byli zmawiać się przeciwko dobru tłumów, biegających ulicami Florencyi? Geniusz może napewno źle życzyć i źle czynić ciemnym masom. Ale wszystko przemawia za tem, iż nie na złe, lecz na dobro całego rodu ludzkiego, obcując ze sobą, ci dwaj, ukrywający starannie swe tajemnice, zmawialiby się we Florencyi, gdyż od iluż to lat, aż do dzisiejszego dnia żywi się i cieszy świat dorobkiem ich samotnych dociekań, rozmyślań, prób i prac!

Nie obchodzi nas dziś wcale, do jakich stronnictw zaliczali się ci dwaj ludzie, jakie żywili polityczne i społeczne metody uszczęśliwienia ludzkości. Obchodzi nas nadewszystko ogrom inteligencyi obudwu. Są oni jakby sumą, zespoleniem, zamknięciem we dwu osobach usiłowań tłumów inteligencyi, która się obecnie organizuje w krajach łacińskich i słowiańskich. A jak nierealnem jeszcze i, niejako, domniemanem jest spotkanie się Kopernika z Leonardem, tak samo niedokonanem jeszcze do czasu jest zjednoczenie się organizacyi inteligenckich polskich i francuskich, o którem w wykazach niniejszych czytamy. Cieszy nas niewymownie, iż honorowe przewodnictwo w odłamie polskim objęła genialna Marya Curie-Skłodowska, to najprzedziwniejsze drzewo naszej ziemi i naszych czasów, oraz dostojny syn Adama Mickiewiczą, noszący najczcigodniejsze

w Polsce nazwisko, człowiek, w którego żyłach płynie najszlachetniejsza krew słowiańska. Pod rozległym cieniem tych dwu imion, jak pod cieniem rozłożystych drzew, przeliczne już dziś rody pracowników obozy swe rozłożyły.

Z małych i niepokaźnych ziarn idei celne powyrastały zboża. Ono to, dostojne, celne zboże, zajmie wkrótce sąsieki, gdzie mieszanina złego i dobrego, poślad partyjny, zalegał. Niedaleki jest czas, kiedy organizacye inteligencyi obejmą cały nasz naród, gdyż cały naród musi się wciągać w te objęcia. Cały nasz naród musi iść za światłem przewodniem geniuszów, takich jak Leonardo i Kopernik, idących na czele wszystkiego, co się dzieje, — po drogach nowych, im tylko znanych, po szlakach niewiadomych postępu.

[1925]

«NULLO I JEGO TOWARZYSZE»

K. Firlej-Bielańskiej

Najważniejszy i najoczywistszy rezultat wojny światowej — niepodległość naszej ojczyzny — przyszedł w stosunku do długości okresu niewoli tak nagle, iż wielu z pośród nas oślepił i ogłuszył. Jedni nie dojrzeli i nie dorośli do wolności w duchu, inni jej nie dowierzają, inni wcale jej nie potrzebują, a są i tacy, którzy jej wcale nie spostrzegli. Polska osaczona jest nie tylko przez wrogów zewnętrznych, lecz ma w swych trzewiach niemoc nieuchwytną, jak młode drzewo dopiero co zasadzone w ziemię i przechorowujące swe zakorzenienie się w glebę. Ileż to razy słyszy się pytanie zasadnicze, zadawane na ucho, sekretnym sposobem: — jakaż jest idea moralna Polski wskrzeszonej, jaka jest wewnętrzna racya jej bytu, jakiż jest sok żywota tego od niedawnych lat nowego drzewa pod słońcem?

Pod rozmaitemi osłonami, w najrozmaitszem przebraniu, obłudnie, wykrętnie, przemyślnie, systemem niedomówień i zamilczeń osacza racyę bytu Polski wskrzeszonej, a skoro tylko może, usiłuje ją porazić cudzoziemski ideał wypróbowanej, zaskorupiałej przebiegłości

sposobów władania masą ludową albo ideał krwawego społecznego przewrotu. Nie chodzi tu o zdecydowanych, zaprzedanych wrogów, lecz o ludzi, zaślepionych ze złą lub dobrą wolą, przez taką czy owaką społeczną doktrynę, i opętanych manią uwielbienia dla jednej, jakoby zbawczej i niewątpliwej, formy społecznego ustroju. Ludzie tacy, niezdolni do pracy zgoła nowej, do tworzenia formy nieznanej, mniemani «rewolucyoniści», a w gruncie rzeczy jałowi konserwatyści, naśladowcy kształtów zastygłych, jakkolwiekby się nazywały, — nie mogąc przerobić życia na swoją modłę czasu tej wiosny naszej wolności, popadają w bezmyślny gniew i usiłują zniweczyć sam byt państwowy, aczkolwiek w przebiegłości swej dobrze wiedzą, iż byłoby to początkiem szeregu walk nieskończonych. Skoro bowiem naród ten przez sto kilkadziesiąt lat niewoli nie zginął, lecz się rozrósł i spotężniał w sobie, to już nigdy pod jakąkolwiek dyktaturą zewnętrznego sąsiada nie uleży.

Przeciwko tym usiłowaniom, przeciwko tej nieustannej pracy wysłanników z zewnątrz, którzy marzą o zniszczeniu nowego pracowiska mocą obcego narodu albo mocą naśladowania metod zniszczenia, praktykowanych przez obcy naród, — praca ducha polskiego, tak wielka w nocy niewoli, a zaskoczona nagłem, oślepiającem słońcem poranka wolności, nie poruszyła jeszcze całego swego ogromu, nie uznała się jeszcze nawet w swojem jestestwie. Stąd pochodzi, iż «rewolucya», czyli dzieło przemiany potężnej ze złego na dobre, sprawa najzawilsza i najtrudniejsza, umiejętność, z którą tylko dzieło samej wojny równać się może, wymagająca poznania wszystkich sił, warunków, przyczyn i powodów w danym kraju i wśród danego ludu, ażeby nie szerzyć krzywdy, lecz wyważyć z nieistnienia samo dobro, jest własnością i argumentem ludzi naśladujących i powtarzających. Sądzą oni, iż Polska jest tylko państwem, jak inne państwa, albo, iż to jest jedynie stara miazga dla ulepienia jakowegoś przyszłego społecznego kształtu. Wrogowie, którym jej byt zawadza, szepcą na wszystkie strony, we wszystkie uszy, iż Polska to ślepa i głucha forma tymczasowej potęgi bogaczów, panów, gnębicieli Rusinów, Żydów i Niemców. Gdyby to prawdą być miało, to nie położyłoby się w ziemię polską tylu obcych przychodniów, aż do śmierci się bijąc o wolność tej ziemi. Francesco Nullo, Young Blankenheim, Potiebnia i Bezkiszkin, Kacper Cięglewicz, Wallis i tylu innych wiedziało, iż umierają za coś więcej, niż za państwową niezależność pewnego narodu. W jasnowidzeniu swem te proste a bohaterskie dusze wiedziały, iż niepodległość tego obszaru ziemi, osadziwszy się w granicach, stanie się doskonałym warsztatem do wytwarzania dóbr duchowych, których dotąd w dorobku cywilizacyi nie było. W zakolu tego pracowiska powstaną napewno formy życia wyższe i doskonalsze, niż na wschodniej i zachodniej rubieży. Polska musi wypracować i wypracuje wyższy i doskonalszy ideał życia społecznego, niż Rosya komunistyczna, i musi stworzyć cywilizacyę materyalną wyższą, niż pracujące Niemcy, gdyż tylko w ten sposób zabezpieczy swą plemienną niepodległość na wieki.

My wszyscy, którzyśmy w dniach niewolniczej młodości schylili się bez wahania do nóg pracującego

i cierpiącego człowieka, robotnika, gnębionego przez przemoc, — mielibyśmy dziś opuścić ręce, gdy w nie los włożył szczęście wolności? Czyż zmieniły się nasze dusze? Czy ustało już nasze serce? Czy już oślepły nasze oczy? Czy potęga zasłoniła nam nędzę współbraci? Czy przepych państwa znieczulił nas na widok krzywdy, a szczęk powrotu sławy zagłuszył jęk spracowanego nędzarza?

Wydaje mi się, iż Polska dzisiejsza musi przedewszystkiem przeżyć zagadnienie, które nosi nazwę — «Jakób Szela». To zagadnienie, jak ostrze dobrze toczonej siekiery, przyłożone jest do korzenia młodego polskiego drzewa. Wciąż, za dnia i po nocy, tajemnicza «ręka» ostrzy brzuśce starej siekiery. Nie wystarczy już dziś bezradnie i bezbożnie modlić się z jękiem o karę na «rękę». Nie wystarczy pokazywać Jakóba Szeli, jako upiora, który się wstydzi krwawych plam na rękach i łachmanach, a usiłuje je myć i prać, aby nie było znać. Nie wystarczy zamiatać krwawych śladów straszliwego mściciela pawiemi piórami wiejskich młokosów, a jego tygrysiego pomruku zagłuszać brzmieniem piosenek przychylnych dla ludu, w duszy artystycznej inteligencyi zrodzonych. Trzeba wśród wolnego narodu wołać, trzeba krzyczeć, trzeba się dobijać o wielkie, o główne, o najgłębsze prace społeczne, o natychmiastowy czyn, o pełnienie dziś wolną prawicą nieśmiertelnego dzieła hrabiów Wiesiołowskich, Franciszka i Michała, — o nasycenie ziemią wszystkich bezrolnych; o nakarmienie głodnych i sprawiedliwość bezwzględną dla każdego człowieka i obywatela. Trzeba takiemi powszechnemi poczynaniami wyrwać upiorowi

Jakóba Szeli jego krwawą siekierę, a jasną świadomością, niby osinowym kołem, przebić go na zawsze. Wyświecenie zagadnienia Jakóba Szeli nie jest dziełem posępnem, cmentarnem, ponurem, lecz jest poczynaniem radosnem. Wtedy dopiero radość w sercach polskich zakwitnie, gdy się wszyscy, ludzie wolni, zdołamy podkopać pod straszliwą a najwznioślejszą tragedyę emisaryuszów Towarzystwa Demokratycznego, niosących uwłaszczenie ludowi, których tenże lud siekierą Szeli poraził.

Ruszają się już soki, drzewo nasze zakwita i ujrzymy błogosławione owoce, któreśmy w dniach młodości wyśnili. Mądrymi ogrodnikami tego sadu byli bohaterowie, pobici bronią przemocy: Francesco Nullo i wszyscy jego świetliści towarzysze. Wydobywanie na światło ich mogił nie jest sprawą niepotrzebną, zbyteczną, cmentarną ani ponurą, lecz właśnie radosną, konieczną i niezbędną w tej chwili.

We wczesnej młodości, na ławie szkoły rosyjskiej pisałem był długi poemat p. t. *Bezkiszkin*, wysnuty z klechd domowych, z opowiadań ludzi prostych, z wieści sekretnej naszych lasów kieleckich. Opisywałem rymami dzieje rosyjskiego oficera, który poszedł do naszego powstania, a pojmany w potyczce, tracony był na szubienicy w rynku miasteczka Włoszczowy. Jakaż to radość dzisiaj — szukać dołu niesławy, w który rzucone zostały zwłoki junaka, wydobywać je na słońce chwały i wieńczyć nie nędznemi rymami, lecz nigdy niewiędnącym laurem tych, którzy «żyć będą wiecznie». Trzeba wszystkie mogiły przychodniów do naszej przegranej wówczas sprawy, kondotyerów zgubionego w pusz-

czy powstania, prześwietlić latarnią wolności. Radosny skutek zawiera w sobie to podnoszenie umarłych. Okazuje się dzisiaj, że chybioną polityką była chytrość polska, usiłująca omamić wroga, a doskonałą była polityka beznadziejnej walki. Okazuje się dzisiaj, że pakty międzynarodowe zawiera się nie tylko za cenę złota, żelaza, nafty, zboża lub budulcu, lecz właśnie najskuteczniej za cenę wymienną krwi bohaterów, z jednej i drugiej strony wylanej. Francesco Nullo patrzył na nieśmiertelny legion Adama Mickiewicza, — legion, o którym nasi historycy i myśliciele mówili i pisali z drwinami, — i poszedł spłacić dług Polsce. Spłacił go zaś uczciwie. A oto dzisiaj, skoro tylko podniesiona została jego ofiara ku powszechnemu uwielbieniu i pokazana czcigodnym robotnikom i górnikom Zagłębia, — którzy, rzekomo, dbają tylko o swój interes klasowy, — to robotnicy z Olkusza nocą odrabiają swój dzień pracy, ażeby uczcić bohatera w dniu jego rocznicy, — a cała włoska ziemia, — niechętnie, rzekomo, względem nas usposobiona, nieprzekupiona naszym węglem, — poczuwa się do braterstwa z nami.

Żywa krew Franciszka Nullo wre w kielichu jego ofiary, jakoby w żyłach tętniących, a upojenie braterstwem, które napełniało jego serce, jednoczy oba narody.

Najskromniejszy, najcichszy z poetów, Teofil Lenartowicz, w rapsodyi p. t. *Young Blankenheim*, której wersetów ani jeden dyplomata nie raczyłby przecie poważnie traktować, — w wieszczem widzeniu, za dni najstraszliwszej niewoli i najprzeciwniejszych horoskopów, te napisał słowa:

Zamilkły wrzaski i zacichły strzały,
Dzień strasznej walki w ciemną wieczność spłynął.
Kiedyś w tem miejscu stanie pomnik chwały
Dla syna Francyi, co za Polskę zginął:
Francuz i Polak na tym męża grobie
Wiecznej przyjaźni dłoń podadzą sobie.

I oto niezwyciężony wódz Francyi, Ferdynand Foch, podał dłoń wiecznej przyjaźni narodowi naszemu.

Zawalone przez wrogów lub przez naszą własną gnuśność, płyną w ciemnościach mroku czyste wody naszej narodowej kultury. Mamy pod nogami czarodziejskie zdroje, o których nikt nie wie i z których nikt nie pije. Oto, naprzykład, historya zastępu Włochów, którzy z Franciszkiem Nullo przyszli bić się o naszą wolność, Kapitan Paolo Mazzoleni, Elia Marchetti, Angelo Christofoli, Luigi Testa, Febo Archangeli, Alessandro Venanzio, Giovanni Belotti, Ambrogio Giupponi, Ajace Sacchi, Giuseppe Dilani, Fermo Calderini, Emanuele Maironi — wszyscy z Bergamo, — hr. Pietro Laderchi i Francesco Parazza z Faenzy, Carlo Pizzaferri z Mantui, Giacomo i Lucio Meul z Viadany, Ernesto Bendi z Sycylii, Giuseppe Clerici z Como. Jakaż całopalna ofiara może się porównać z ofiarą życia, którą złożył Polsce Luigi Caroli, magnat, bożyszcze kobiet, idący w sybirską drogę w zawszonym kożuchu, śpiący wśród zbrodniarzy na plugawych dylach «pieresyłuszki»? Cóż mu damy za jego sny o zaalpejskiem słońcu, gdy kostniejącemi oczyma patrzał aż do śmierci okrutnej w śniegi pustyni sybirskiej? Nic. Nie wiemy o nim. Nie znamy jego imienia. Przypieczętowaliśmy jego śmierć za naszą wolność głuchością niewiedzy.

Książka, którą czytelnik ma przed oczyma, wydobywa na światło tę garść rycerzy. Skrzętna i zapobiegliwa ręka autorki odnalazła bardzo wiele szczegółów, zupełnie nieznanych, czerpiąc je ze źródeł włoskich, ze skarbców rodzinnych i ustnych podań, a ukazując wszystko w świetle umiejętnie roznieconem. Wysuwają się przed nasze oczy ci pracownicy, którzy byliby może «zjadaczami chleba» w swym kraju, lecz go rzucili z dobrej woli, ażeby być budownikami naszej dzisiejszej niepodległości. Cokolwiek wygłosiła mądrość, opierająca wartość i moc żywota społeczeństw jedynie na materyalnej podstawie, gdyby stokroć zaciekłej, niż dziś, głoszono, iż nurt życia narodowego przeżytem jest zjawiskiem, wciąż się odnawia moc starej formuły Nieśmiertelnego:

«Kto idzie za wolnością, niech opuści ojczyznę i odważy serce swoje, bo kto opuści ojczyznę, aby bronił wolności z narażeniem życia swego, ten obronił ojczyznę i będzie żył wiecznie».

[1923]

«PISMA WYBRANE» JOSEPHA CONRADA

I

W jednej z nowel, malujących przygody marynarzy francuskich w czasie wojny ostatniej, Klaudyusz Farrère opisuje szczególny wypadek palacza okrętowego, który sam jeno z całej załogi ocalał po uderzeniu pancernika torpedą. Gdy wszyscy znajdujący się na pokładzie, przy armatach, masztach i maszynach w górnym przedziale statku szli wraz z nim pod wodę, jeden z palaczów od ognisk, z samego dna kadłuba okrętu, pchnięty i porwany z miejsca przez potężny strumień, który runął w otwór, wyrwany od pocisku torpedy, — rzucony w przesmyki klatek schodowych, w hale maszyn, w pustki wentylów, — tłukąc się od ścian do ścian, od burtu do burtu, — na kłębach masy wodnej, jak fontanna tryskającej z dołu w górę wszystkiemi przejściami, — wymieciony został z dna na pokład, a gdy ten znikł pod falami, znalazł się wśród bałwanów wolnego morza, skąd go zdrowego na ciele i umyśle obcy wyłowili ludzie i odwieźli ku szczęśliwego życia wybrzeżom.

Ten napoły nieprawdopodobny, niemal cudowny wypadek francuskiego żeglarza przychodzi na myśl, gdy się rozważa koleje życia, przygody i dzisiejsze stanowisko znakomitego pisarza Anglii współczesnej, Josepha Conrada. I on, skazany od najwcześniejszego dzieciństwa na pobyt w otchłani moskiewskiego odmętu, pędził dni na zatraconem, najostatniejszem dnie nawy polskiego niezależnego bytu pospołu z ojcem i matką, nie mając żadnej nadziei, ażeby się z owych piekieł istnienia kiedykolwiek mógł wyrwać.

Apollo Korzeniowski, ojciec Josepha Conrada, był jednym z palaczów ducha polskiego, jednym z «zapaleńców», jednym z «podżegaczy» wybuchu powstania w roku 1863-im. Szwagier jego, Tadeusz Bobrowski, w znanych *Pamiętnikach*, wydanych przez Włodzimierza Spasowicza (Lwów 1900), tak opisuje te sprawy:

«Pierwszą ofiarą został mój szwagier Korzeniowski, który zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam, pozornie dla zajęć literackich, ogłosiwszy nawet prenumeratę na pismo miesięczne *Słowo* w rodzaju *Revue des deux mondes*, wybitne w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 roku aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisyę, której prezesem był pułkownik Rożnow, niegdyś kolega mego brata Stanisława z pułku huzarów grodzieńskiego, a następnie gubernator warszawski. Ten specyalnym względom koleżeństwa... z naszym bratem przypisywał, że Korzeniowski osądzony został «tylko» na mieszkanie w oddalonych guberniach. Prosił on sam o zesłanie do Permu, gdzie gubernatorem był szkolny jego kolega i przyjaciel szkolny... Łaszkarew, lecz ten, dowiedziawszy się o wysłaniu Korzeniowskiego do zarządzanej przez się gubernii, prosił, aby go od niego uwolniono. Dojeżdżających więc już prawie do Permu Korzeniowskich (bo mu żona z czteroletnim synkiem towarzyszyła), zawrócono i posłano do Wołogdy, gdzie gubernatorem był zacny Białorusin Chomiński (były marszałek szlachty jednego z powiatów gubernii Mohylewskiej), który obowiązki stanowiska z ludzkością godzić umiał. W drodze, na przedostatniej przed Moskwą stacyi, rozchorował się Korzeniowskim synek, a gdy eskortujący ich żandarmi zatrzymać się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakiś ludzki podróżny, jadący do Moskwy, przyrzekł im posłać lekarza, a Korzeniowski, przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego d-ra Młodzianowskiego, profesora uniwersytetu, który kiedyś był jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem owego uczynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadjechał zacny eskulap i odratował dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu, a posiadając rozległe stosunki w Moskwie, wyrobił kilkodniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło. Dalej znowu, dojeżdżając do Niżnego Nowgorodu, siostra moja tak z sił spadła, że żandarmi ją z powozu wynosili i wnosili, a jednak koniecznego odpoczynku odmawiali uparcie. Na stacyi pocztowej w Niżnym jakiś przejeżdżający oficer gwardyi, oburzony bezwzględnością żandarmów i grubijaństwem ich obchodzenia się z eskortowanymi, jak niemniej i nieuwzględnieniem własnych jego uwag, zawrócił do miasta i dał znać miejscowym guberna-

torowi i pułkownikowi żandarmów o tem, czego był świadkiem. Pułkownik żandarmów, jako bezpośredni naczelnik eskortujących, niezwłocznie przybył na stacyę i dalszą podróż powstrzymał... W Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22-ą, a ich synek 23-ą osobą, składającą ówczesną kolonię polską w Wołogdzie, a jakkolwiek pobyt tam był zupełnie znośny pod względem obchodzenia się władz, klimat brał swoje. Prawie wszyscy mężczyźni chorowali na skorbut, siostra moja i jej synek, acz wolni od niego, w upadku sił wpływ niezdrowego... klimatu i odmiennego sposobu życia odczuwali»...

Należałoby tutaj przytoczyć cały szereg szczegółów o p. Ewie z Bobrowskich Korzeniowskiej, które widnieją na stronicach *Pamiętników* jej brata, gdyż te uwagi i wzmianki wysuwają przed nasze oczy postać wysokiej wartości moralnej, wyraźny w swem dostojeństwie typ owoczesnej kultury narodowej, — lecz szczupłość miejsca na to nie pozwala. Należałoby również podać podobiznę dobrowolnej wygnanki, reprodukcyę jednej z tych przedziwnie wyraźnych, starych fotografii powstańczych, która przechodzić musiała przez setki rąk żandarmskich, obraz uroczej postaci, w której wszystko jest samem pięknem, ocienionem aureolą gorzkiego losu. Z miłości oddawszy rękę poecie, «wieloletniemu wielbicielowi Apollonowi Korzeniowskiemu, dla którego wszelkie starania innych od pierwszego kroku odsuwała», poszła za nim na kraj świata i aż do owego dołu wygnańczego w ziemi dalekiej. Zabiła Moskwa tego barwistego motyla. Że Apollo Korzeniowski zasługiwał na miłość, wiemy to

dziś z jego pism i z jego życia. Oto w przygodnym wierszu na ślub szwagra, Tadeusza Bobrowskiego, za czasów jeszcze złotej i bujnej wokół wolności, taki dźwięk w czasie uczty weselnej daje się słyszeć:

Za wasze szczęście płacić Bogu trzeba!
Myślcie w swym domu, że tylu bez domu,
I łamiąc chleb wasz, że tylu bez chleba...

Przykuty do miejsca swego wygnania, zdala od krwawej tragedyi roku 1863-go, po latach, w których ciągu utracił żonę, pisał w roku 1866 do krewnych w kraju te słowa tak proste i pokorne, jakby były dalszym ciągiem księgi Pielgrzymstwa Polskiego, brzmiące w naszem uchu, jako najistotniejszy wyraz i najgłębszy ton tego przeklętego czasu:

«Jeśli gdzie jest uśmiech u nas — niech wam zabłyśnie; niech łzy nie wypalają wam serc, a ulgą bolejącym duszom się staną... Niech ten Rok Nowy — nie wiem już który niewymownych smutków i boleści — nowych wam nie przynosi i pozwoli przynajmniej w świętem utęsknienu i ciszy miłować czujnie tych, co dalecy, i tych, co śpią po grobach, a żyją w miłosierdziu Bożem. Przebyłem te ciężkie, okropne dni najlepszych, najświętszych wspomnień, przeżyłem nie moją, a Bożą siłą. Zapewne nigdy nie cierpiałem, ani mogę tyle cierpieć, co cierpiał Zbawiciel nasz, alem też człowiek tylko. Patrzałem bez przerwy na krzyż i tem krzepiłem omdlewającą duszę, mącące się myśli. Przeszły dni święte katuszy i wstałem do codziennego życia trochę więcej złamany, ale dyszący, żywy. A i sierota za połę mię trzyma — uciec od troski o niego nie-

podobna. To też żyję, moi drodzy, i kocham, co mi pozostało do kochania, także silnie, jak dawniej; tylko że dawniej dla przedmiotów mej miłości mogłem coś dać, poświęcić; a dziś nic już nie mam. Cobym uczynił już w życiu, ani poświęcenia, ani ofiary być w tem nie może; bo nie mam co poświęcać i w ofierze złożyć. Smutny to stan człeka, dla którego zamykają się te dwie jedyne drogi, godności, obrazu i podobieństwa Bożego, ale taka wola Opatrzności. — Drogi wasz list odczytuję sobie , gdy mię dławią gorycże i posmutnieję nie dumną rozpaczą, a jakimeś Bożym smutkiem; łzy popłyną — na ich zdroju myśl — i spokojniejszy trochę znów biorę się do tego życia, które, jak na dziś, zasklepione w jednym Konradku. Uczę go, co sam umiem; niestety — to niewiele; strzegę od wpływów tutejszej atmosfery i malec wychowuje się jak w celi klasztornej; grób naszej Niezapomnianej zastępuje nam zakonnicze *memento mori;* a posty, włosiennice i smagania przychodzą nam z każdym listem od Wschodu i Zachodu, od Północy i Południa. Trzęsiemy się zimnem, mrzemy głodem, targamy się w nędzy bliźnichbraci; a modlitwa, Bóg widzi, ledwo parę słów o nas zawiera. Położenie miejsca mego pobytu jest jakby z jednej strony pod zaryglowanemi drzwiami, za któremi najdroższa istota kona, a my nawet śmiertelnego potu... z jej czoła otrzeć nie możemy; z drugiej strony otwarte podwoje, w które wejść nie można, ale przez które patrzeć możemy na to, co Dant — nie opisał, bo w przerażonej we wszelkie grozy, ale chrześcijańskiej duszy nie mógł mieć widzeń nieludzkich. To nasze życie». (*Tygodnik Illustrowany* d. 15 maja 1920).

Dno bytu. Samotny palacz sprawy przegranej, arki, skazanej na zagładę, nie wie nawet, czy statek stacza jeszcze bitwę, czy już dostał cios ostateczny, czy już tonie.

A gdy spoglądamy dziś na szeregi znakomitych pism małego ongi «Konradka» z Wołogdy, dziecięcia nietylko cieleśnie wyhodowanego, lecz płodu duszy, w którym «zasklepiło się życie» idei umiłowanej, który kołysały wiersze wygnańczej poezyi, siostry jedynej, — na powodzenie tych obrazów wolnego świata, gdzie widać lądy i morza kuli ziemskiej, typy wszelakich człowieczych ras, splecione w przygody, dokonane z tej i tamtej strony równika w poszukiwaniu po tajemniczych szlakach oceanu myśli istotnej o rodzaju ludzkim, — pism, czytanych z upodobaniem przez wszystkie inteligencye cywilizacyi, — to w istocie te dzieje przypominają cudowną przygodę francuskiego marynarza z noweli Farrère'a.

Richard Curle w obszernej pracy biograficznej p. t. *Joseph Conrad, a study* (London 1914), korzystając z informacyi samego autora, taki podaje życiorys, którego w żadnem źródle polskiem niepodobna znaleźć: «Teodor Józef Konrad Korzeniowski urodził się na Ukrainie dnia 6 grudnia 1857 roku» (zapewne w Łuczyńcu na Podolu, gdzie Apollo Korzeniowski zarządzał majątkiem Melanii z Uruskich Sobańskiej, matki jego przyjaciela, Aleksandra Sobańskiego). «W roku 1861 wywieziony został do Warszawy przez rodziców, którzy się tam udali. Ojciec zamieszany w sprawy powstańcze, wygnany został do Wołogdy, a żona i syn podążyli za nim. W roku 1865 matka Conrada umarła, a ojciec wysłał dziec-

ko do wuja (Tadeusza Bobrowskiego), «o którym świetny pisarz wspomina w *Some Reminiscences.* Był to szczęśliwy okres dzieciństwa» (w Kazimierówce, której życie z całą plastyką odmalowane zostało w *Pamiętnikach* T. Bobrowskiego). «W roku 1868 ojciec Conrada uwolniony został z zesłania i podążył do Krakowa, zabierając syna ze sobą. W roku 1870 Apollo Korzeniowski umarł w Krakowie». Tutaj biografa angielskiego wyręcza sam autor, dając opis śmierci ojca. We wspomnieniu wycieczki do Polski, odbytej w roku 1914, p. t. *Poland Revisited,* drukowanem njaprzód w *Daily News* (1914), a następnie umieszczonem w zbiorze ogólnym *Notes on Life and Letters by Joseph Conrad* (London 1921) znajdujemy szczegóły, które tu podaję w przekładzie:

«Kraków — to miasto, gdzie spędziłem z ojcem ostatnie ośm miesięcy jego życia. Tam, w tym starym królewskim i akademickim grodzie, przestałem być dzieckiem i przedzierzgnąłem się w młodzieńca, zawarłem przyjazne związki, powziąłem pierwsze uwielbienia, myśli i oburzenia tego wieku. Wśród tych historycznych murów zacząłem rozumieć istotę spraw, kształtować swe uczucia, gromadzić obfitość wspomnień i zapas wrażeń, z których pomocą przedsięwziąłem gwałtowne zerwanie, rzucając się w byt zgoła niezależny» (str. 195).

Przybywszy do Krakowa w lecie 1914 roku po czterdziestu latach niebytności, autor w towarzystwie swego starszego syna późno w nocy, natychmiast po przyjeździe, wychodzi na miasto. Stary gród, opustoszały o tej porze, zalany jest światłem księżyca. Same nogi niosą przychodnia w wąskie zaułki, znajome z lat

dzieciństwa. Tam oto, w trzecim domu od bramy Floryańskiej, wstępował na schody szkoły początkowej, tam kroczył z książkami pod pachą. Suną wspomnienia:

«Było to w ciągu miesięcy zimowych 1868 roku. Co dnia o godzinie ósmej rano, w pogodę czy śnieżycę kroczyłem wzdłuż ulicy Floryańskiej. Tę moją pierwszą szkołę bardzo słabo pamiętam. Jeden z moich współcierpiętników owoczesnych w tejże uczelni jest dziś wysoce cenionym wydawcą dokumentów historycznych. Co do mnie, nie martwiłem się zbytnio z racyi rozmaitych niedomagań mej szkoły. Byłem raczej obojętnym wobec wynikających stamtąd kłopotów. Miałem wówczas własnego czerwia, przegryzającego me wnętrze. Codzień wieczorem, o godzinie siódmej, opuściwszy tęż ulicę Floryańską, kierowałem swe kroki w stronę starego i ciężkiego domu w zacisznej, ciasnej ulicy, po drugiej stronie i w znacznej już odległości od Maryackiego Placu. Tam, w dużym, pustym salonie z ciężkiemi gzemsami i wysokim sufitem, wśród maleńkiej oazy światła, rzuconej przez dwie świece w pustyni mroku, zasiadałem przy małym stoliku, ażeby zamęczać się odrabianiem zadań i mazać atramentem. Stolik moich znojów stał nawprost wysokich, białych drzwi, stale zamkniętych; czasami te drzwi półuchylały się i wówczas zakonnica w białym kornecie ukazywała się wraz z ich skrzypnięciem, sunęła wpoprzek sali i znikała. Były takie dwie pielęgniarki. Głosy ich rzadko można było słyszeć. Ale o czemże to, w istocie, miały mówić? Jeżeli zwracały się do mnie, to z ich ledwo poruszających się warg spływał klasztorny, wyraźny szept. Nasze sprawy domowe prowadziła podstarzała

gospodyni sąsiada z drugiego piętra, kanonika katedralnego, użyczona nam w nagłej potrzebie. Ta także mówiła bardzo rzadko. Ubierała się w czarne suknie, a krzyż na łańcuchu zwisał z jej sutego łona. A chociaż, gdy przemawiała, wargi jej poruszały się nieco żywiej, niż u zakonnic, nigdy jednak nie podnosiła skali głosu ponad nuty brzmiące, niby spokojny szept. Powietrze dokoła mnie pełne było nabożeństwa, rezygnacyi i milczenia. Nie wiem, coby się było ze mną stało, gdyby nie to, że byłem chłopcem lubiącym czytać. Po skończeniu zadań nie miałbym był nic a nic do robienia, tylko siedzieć i wsłuchiwać się w ciszę, która budziła zgrozę, wynikając z pokoju chorego, poprzez zamknięte drzwi i zimnem przejmowała me przerażone serce. Przypuszczam, że na tej jałowej drodze udręczenia doszedłbym był do pomieszania zmysłów. Ale byłem chłopcem lubiącym czytać. Dookoła było mnóstwo książek, leżących na konsolach, na stołach, a nawet na ziemi, gdyż nie mieliśmy czasu na ich uprzątnięcie. Czytałem! I czegóż to nie wchłonąłem wówczas! Kiedyniekiedy starsza z zakonnic, przemykając się obok i rzuciwszy nieufne spojrzenie na rozłożone stronice, kładzie, bywało, zlekka rękę na mej głowie i poszepnie z powątpiewającem szemraniem: — Czy to dobrze, żebyś ty czytał te książki!... Spoglądałem w milczeniu na jej oblicze, dopóki z nieokreślonym gestem poniechania tej sprawy nie przesunęła się dalej. Późnym wieczorem pozwalano mi, — ale nie zawsze, — wejść na palcach do pokoju chorego, ażeby powiedzieć dobra-noc złożonej na pościeli postaci, którą częstokroć świadomość o mej obecności

mogła zaznaczyć jedynie przez powolne skinienie oczyma, — złożyć powinny pocałunek na ręce bezsilnej, leżącej na kołdrze, i znowu na palcach coprędzej wychodzić. Wówczas mogłem już udać się do łóżka w pokoju położonym na końcu korytarza i często, — choć nie zawsze, — samotnie szlochać wśród dobrych i głębokich snów. Spoglądałem na to, co nadchodziło, z niewiarogodnem przerażeniem. Nieraz udawało mi się odwracać oczy od tej zgrozy, ale naogół w tym czasie miałem pełnię uczucia o nadciągającej katastrofie. Przeżywałem również godziny buntu, które wydzierały ze mnie prostą ufność w zarządzenia Opatrzności. Ale gdy nieunikniona godzina nadeszła, białe drzwi roztwarto i pustką na mnie zionął pokój chorego, nie znalazłem w sobie ani jednej łzy do wylania. Mam podejrzenie, że gospodyni kanonika patrzyła wtedy na mnie, jako na najbardziej nieczułą zakałę tej ziemi. Dzień pogrzebu nadszedł we właściwym terminie i oto wszystka szlachetna «młódź szkolna», uroczysty senat uniwersytecki, delegacye cechów mogły były ustalić (gdyby tego zechciały), *de visu* oczywistość zatwardziałości małego zbrodniarza. W mej bolesnej głowie zostało nieco głupich sentencyi, jak ta: «Stało się!», albo — «Dokonało się!» (po polsku brzmi to krócej, niż po angielsku), czy coś jeszcze w tym rodzaju, powtarzane bez końca. Długa procesya wysunęła się z wąskiej uliczki, szła wzdłuż innej, długiej i szerokiej, kierując się ku gotyckiemu frontowi kościoła Panny Maryi, popod nierówne jego wieże i ku Floryańskiej Bramie. W ciszy i w świetle księżyca, zalewającem stary gród sławnych grobów i tragicznych

wspomnień, mogłem również ujrzeć małego chłopczynę z tamtego dnia, jak kroczy za karawanem; otwarła się znowu przede mną ta przestrzeń czysta, w której szedłem sam jeden świadomy niezmierzoności następstw wahania się tej przede mną czarnej machiny, kleru w komżach, wznoszącego pienia na przedzie pochodu, płomieni świec, przeciągających pod niskim łukiem bramy, szeregów obnażonych głów z oczyma utkwionemi w ziemi. Połowę ludności miasta wyciągnęło było to piękne popołudnie majowe. Ci nie przyszli, aby uczcić to wielkie dopełnienie powinności, ani nawet to dostojne bankructwo. Zmarły i świadomi z tłumu były to dwie ofiary losu, jednakowo nieugiętego. Tylko że jego los ściął i odrzucił, gdy o kilka stał kroków od sławy i uznania zasługi. Oni zaś przyszli oddać honory jedynie płomiennej wierności człowieka, którego życie było nieustraszonem wyznaniem w słowie i czynie wiary, dostępnej do pojęcia i odczucia dla najprostszej duszy w tej ciżbie. Wydawało mi się, że gdybym dłużej pozostał tam, w tej wąskiej ulicy, mógłbym się stać bezradnym łupem cieniów, które wywołałem. Nawisły nade mną tajemnicze i natarczywe w tem lepkiem powietrzu grobów, o posmaku prochu, goryczy i nicości starych nadziei». (Str. 227).

Opuszczając liczne, a niezmiernie charakterystyczne uwagi i wyznania autora, rozrzucone w wymienionym artykule, należy wrócić do głównej linii życiorysu, uwidocznionej w pracy Richarda Curle'a. Powiada on, iż po śmierci ojca mały sierota uczęszczał w Krakowie do gimnazyum świętej Anny w ciągu lat czterech, czyli do roku 1874. Pozostawał wówczas pod opieką

przewodnika, który nań dość głęboko oddziaływał, a, według zaświadczenia w *Some Reminiscences*, był człowiekiem wybitnej wartości. Kierownik ów był przeciwnikiem stanowczej decyzyi wychowańca poświęcenia się służbie marynarskiej, staczał z nim dyskusye, lecz przekonawszy się, że postanowienie młodzieńca jest niezłomne, zaniechał sprzeciwu. «Joseph Conrad», — mówi Richard Curle, — «wychowany w kraju bez pobrzeża morskiego, nie umiejąc języka angielskiego, (aczkolwiek czytał sporo co znamienitszych utworów literackich angielskich w przekładzie swego ojca) postanowił nieodwołalnie, iż musi być angielskim marynarzem na statku handlowym. Od tej myśli nic go odwieść nie mogło. W roku 1874 wyruszył ku morzu. Marsylia stała się jego *jumping-of-ground.* W ciągu trzech lat pływał na rozmaitych statkach po morzu Śródziemnem, doznając wielorakich przygód; dwukrotnie był w Indyach. Dopiero w roku 1878 po raz pierwszy wylądował w porcie Lowestoft i stanął na ziemi angielskiej. Do tego czasu nie władał językiem angielskim, chociaż uczył się tego języka gdzie tylko mógł, nawet od budowniczych statków i cieśli, umiejących nieco po francusku. W ciągu pięciu miesięcy służył na pokładzie pobrzeżnego statku *The Skimmer of the Sea,* który krążył między portem Lowestoft i Newcastle. W październiku 1878 roku przystał do załogi statku *Duke of Sutherland,* płynącego do Australii, jako zwyczajny majtek. Wszyscy marynarze tego parowca byli Anglikami, z wyjątkiem Josepha Conrada, jednego Norwega, dwu Amerykanów i murzyna Kittsa, zwanego James Wait, którego imię w dwanaście lat

później nosić będzie murzyn z załogi *Narcissus*. W ciągu dwudziestu lat, to znaczy do roku 1894, gdy ostatecznie na wybrzeża powrócił, życie Josepha Conrada było normalną karyerą angielskiego marynarza. W roku 1879 jest on już *second mate*, a w roku 1884 przyjmuje poddaństwo angielskie, naturalizuje się i otrzymuje stopień *Master in the English Merchant Service*. W roku 1890 jeździł na Ukrainę do wuja Tadeusza Bobrowskiego, a w roku 1894, roku śmierci tego krewnego, udał się tam powtórnie. Po powrocie na ląd i ożenieniu się z Angielką mieszka pod Londynem, zajęty pracami literackiemi i wychowaniem dwu synów. W ciągu swego życia na morzu pływał na rozmaitych statkach, jako to — *Loch Etive, Palestine, Riversdale, Narcissus, John P. Best, Tilkhurst, Falkonhurst, Highland Forest, Vidar, Otago, Roi des Belges, Torrens, Adowa*. Każdy z tych statków, a raczej żywot każdego z nich, — jego dzieje, przeżycia, niszczące burze i dni radości, — ma swój udział w twórczości pisarza, widnieje w jego utworach. Niektóre, jak *Narcissus*, widnieją w całej swej pełni.

II

Po opuszczeniu morza na zawsze w roku 1894, *Master*, który w ciągu okrągłych dwudziestu lat kołysał się na fali, nie wiedział, co ma począć ze sobą na lądzie. Miał napisaną dawniej, bo jeszcze w roku 1889, powieść p. t. *Almayer's Folly*. Posłał tedy ów utwór na ręce Edwarda Garnetta. Po kilku miesiącach wyczekiwania rzecz została przyjęta do druku. I oto, wraz z ogłoszeniem tego utworu w roku 1895, na targowisku literackiem angielskiem zjawił się nowy pisarz, który zajął wkrótce jedno z najwybitniejszych stanowisk. Ukazują się tedy kolejno *An Outcast of the Islands* (w r. 1896), sprawa, poprzedzająca właściwie *Almayera*, gdyż dokonywuje się na wiele lat przed tamtą historyą w tejże okolicy nad rzeką Pantai i wśród tej samej czeredy osób. Wkrótce potem, w roku 1898 wyszedł sławny *The Nigger of the «Narcissus»*, oraz w tymże roku zbiór nowel p. t. *Tales of Unrest*, zawierający następujące utwory: *Karain, The Idiots, An Outpost of Progress, The Return* i *The Lagoon*. W roku 1900 wyszedł *Lord Jim*, w roku 1902 zbiór p. t. *Youth*, zawierający trzy nowele: *Youth, Heart of Darkness* i *The End of the Tether*. W roku 1903 ukazał się świetny utwór p. t. *Nostromo*, zbiór nowel p. t. *Typhoon*, złożony z utworów — *Typhoon, Amy Foster, Falk* i *To-morrow*, oraz *Romance*, pisany do spółki z Ford Huefferem. Potem następują: *The Secret Agent* (1907), *A Set of Six* (1908), złożone ze sześciu nowel — *Gaspar Ruiz, The Informer, The Brute, An Anarchist, The Duel, Il Conde*, w roku 1911 *Under Western Eyes*, w roku 1912 *'Twixt Land and Sea*, zawierające nowele — *A Smile of Fortune, The Secret Sharer* i *Freya of the Seven Isles*, wreszcie w r. 1914 powieść p. t. *Chance*. W czasie wojny wyszły niesłychanie poczytne utwory: *Victory, Shadow Line, The Arrow of Gold* i *Rescue*. Poza tą kolekcyą beletrystyczną ukazały się nadto dwa zbiory niejako autobiograficzne: w roku 1906 *The Mirror of the Sea*, a w roku 1912 *Some Reminiscences*, wreszcie w roku 1921 zbiór artykułów, wspomnień i ocen p. t. *Notes on Life and Letters*.

Ktokolwiek pragnie zapoznać się z twórczością tego pisarza, winien, według mnie, zacząć od *The Mirror of the Sea.* Jest to w istocie Zwierciadło morza, podobne w swej dokładności, w niezrównanej precyzyi odtworzenia wszystkiego, co na morzu postrzec się daje, do lustra, umieszczonego na dnie tuby periskopu łodzi podwodnej. Widać w niem cały widnokrąg tak dalece, iż oko spokojnie obserwujące może mieć w sobie wszystek ocean, a nawet te jego części, które leżą poza oczami, bo w tyle głowy obserwatora. Joseph Conrad nadewszystko kocha statek, ów doskonały produkt cywilizacyi, wymysł i dzieło pracowitego człowieka, który na nieobeszłym oceanie i wśród najstraszliwszej burzy, gdy niszcząca moc żywiołów przechodzi wszystko, co o nich wyrzecby można, założył sobie jak gdyby bezpieczny dom i spokojnie nad przepaścią zasypia. Tyle statków mając w życiu pod stopą, zna on je nawskroś, starych przyjaciół, i odróżnia jeden od drugiego, jakoby istoty żywe, mające w sobie duszę. — «Okręty!» — woła stary oficer marynarki, ujrzawszy szereg parowców w głębi portu. W tym okrzyku maluje się i streszcza całe marynarskie życie. Monstra te są istotami napoły żyjącemi, mają swe indywidualne cechy niemal, jak ludzie. Jedne z nich noszą nad niezmierzonemi głębiami potęgę, bohaterstwo, szlachetność i zdolność do męczeństwa, inne — są to komiczne figury, błaznujące na wodach, inne wreszcie — to zwyczajne ryfy, jak ludzie, obdarzeni sprytem i uporem. Od niezrównanych opisów portów, ładowania towarów, od opisu perypetyi z kotwicą, która tak płomienną ciekawością zapala umysły chłopięce, poprzez tysiączne

szczegóły, zawarte w relacyi *In captivity* — w doku, — wpływamy na ocean. Ta książka, na podstawie dwudziestoletnich przeżyć autora, opowiada o wszystkiem, co, jako młodzieniec, stęskniony do «świata», musiał widzieć żądzami wyobraźni. Jest to jak gdyby konspekt wszystkich wymienionych powyżej utworów, które morze mają za treść, a zdarzenia na morzu dokonane za fabułę. Najcharakterystyczniejszą cechą zwierzeń tutaj wyrażonych jest przeżycie. Każde wrażenie, nawet opis każdego pejzażu, ma swą trwałą i mocną podstawę w wieloletniem nieraz doświadczeniu, wypływa z prawdy wydarzeń. Nie jest to wizya morska poety, jak u Artura Rimbaud, który z wybrzeża opiewa niewiadomy ogrom, czerpiąc obrazy z fantazyi, mniemań i przypuszczeń, lecz niewzruszone sylogizmy, wyłamane ze zmagania się z ogromem żywiołu, lub osiągnięte w długiem baczeniu jego bytu, gdy spoczywa w stanie bezczynności lub omdlenia. Joseph Conrad nie inaczej nazywa ocean, tylko słowem — wróg — *the Foe.* Marynarz «krzyżuje z tym wrogiem miecz» w bohaterskiem sam na sam spotkaniu. Zapomocą niezrównanych, przepysznie trafnych określeń pisarz bada charakter swego wroga, mierzy i oddaje siłę jego potęg, czyli wichrów, których rozmaite rodzaje, a raczej osobistości — *personalities* — klasyfikuje szczegółowo. Naocznie widzimy, jak jedne z tych podmuchów kędyś w okręgach przylądka Dobrej Nadziei, kędyś w okręgach samotnych Oceanu Indyjskiego, kędyś w stronach wyspy Świętej Heleny, osaczają wędrowny statek, niczem myśliwcy, spuszczający ze smyczy szare chmury, — ścigają go w szale, wzburzającym do głębi pienisty

ocean. Inne — wypadają z ciszy tak niespodziewanie, chyżo i nagle, iż statek zmaga się i miota, przewala z boku na bok, lub wylatuje jedną połową swoją w powietrze, a drugą zanurza się w przepaść wodną. Połowa załogi pływa, a druga zawisa w przestworze. Z niewymownem zainteresowaniem czytamy opowieść o cichych i pogodnych nocach na wodach wysp Azorskich podczas «babiego lata». Statek na równej płaszczyźnie przemierza dalekość w nieprzerwanej ciszy, przemawiając jednostajnym głosem swych doskonałych maszyn, tworząc w przestworze bezsłowną pieśń siły, sprzymierzonej z człowiekiem, posłusznej mu, a groźnej w swojej samoistnej potędze, mowę duszy zbudzonej do jego duszy. Na wiele lat przed futurystami włoskimi Joseph Conrad posłyszał tę mowę silników i umiał wyrazić jej brzmienie. Gdy opisuje osadzenie się statku na mieliźnie, lub rafie podwodnej i sensacye przez ten wypadek wywołane, — jak on to określa — niby nagłego popadnięcia stóp w niepochwytną pułapkę, w nieważkie sidła, — wskutek przerwania balansów poziomu i nagłego zniweczenia w mózgu stałej wagi, utrzymującej od tak długiego czasu wszystko w ryzach nad ruchomością powierzchni, — mamy zupełnie nowe, nieznane nam i niemożliwe do osiągnięcia relacye. Nie są to bowiem spostrzeżenia obserwatora, noty podróżnika, poczynione dla ich osiągnięcia, które mogą być zawodne, a nawet chybione, lecz fakty, ujęte niegdyś sposobem podświadomego wiedzenia i czucia przez czynnego marynarza w wypadku owego *taking the ground*, szukającego nie wrażeń i uogólnień bynajmniej, lecz sposobów wydobycia nawy z ławicy,

czy zepchnięcia jej z rafy podwodnej. Są to więc przypomnienia, wyłowione później z głębin pamięci, zważone wielekroć w spokoju świadomości, formuły uczuć prawdziwe, dane psychologiczne wydarzeń pewne w relacyi. Nic tu nie ma dla połysku i dla samego brzmienia czczego literackiego słowa. Możnaby powiedzieć, iż ta sztuka jest pragmatyczną, to znaczy, iż o tyle podnosi brzmienie i ton, natęża moc słowa, o ile treść podspodnia zmusi ją do tego. To też, gdy słowo podnosi się w istocie, staje się formalną potęgą, skoro sama wewnętrzna treść w górę je wydźwignęła. Czynny marynarz nie mógł się kontemplacyjnie zachwycać pięknością morza, — nią tylko samą. Czyhające niebezpieczeństwo strąciłoby było wnet zamarzenie się i zaślepienie w żywiole. Ale nadchodziły chwile wielkich niebezpieczeństw, momenty grozy i przetrwania, kiedy dusza otchłanią swej potęgi obejmowała morze we władzę. I wtedy słowo dosięgało najwyższej granicy swojej. Marynarz stał się głosicielem niedostępnego dla innych piękna żywiołu w furyi. Krytyka angielska nie waha się zestawić tych kart jego książki ze stronicami Miltona w *Raju utraconym*. W rozdziale p. t. *Initiation* Joseph Conrad mówi o oceanie samym w sobie, o «nieskazitelnym»: «Wszystkie zapalczywe pasye młodości rodu ludzkiego, żądza walki i głód sławy, łaknienie przygód i pragnienie niebezpieczeństw, pospołu z wielką ponętą, jaką w sobie kryje tajemnica, rozległe sny o władzy i panowaniu przesuwają się, niczem widziadła w zwierciadle odbite poprzez tajemnicze oblicze morza». Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, iż takie zapewne uczucia

przepływały przez duszę młodzieńca, który opuszczał stary Kraków, zapadły w stary kontynent, w poszukiwaniu strawy dla swojej młodej, wewnętrznej pasyi. Dusza jego pożądała morza, a znalazłszy je, pokochała się w niem na śmierć i życie. Młody poszukiwacz przygód nie poszedł drogą łatwą zapisania się w szeregi oficerów floty Jego Cesarsko-Królewskiej Mości cesarza Franciszka Józefa, lecz wybrał drogę trudną, samotną. Żelazna wola niosła go temi szlakami, które są, jak mówi Pismo, «skryte», szlakami «okrętu pośród morza». Przepływały przed oczyma lądy kuli ziemskiej, góry i pustynie, odludne przylądki z ich ostatniemi diunami, cuchnące zatoki, gdzie interes swarzy się o rzeczy i zyski, wolne otchłanie same jedne pod niebem, gdzie wicher przechadza się samowładny i pali słońce, niecące barwy czarodziejskie. Jak sny przechodziły przed oczyma warsztaty starych cywilizacyi — Indye, Chiny, Egipt, Arabia — wielkie kontynenty i wyspy, pełne dzikich szczepów, o włosach, wysmarowanych nawozem i gliną. Przesuwali się przed jego oczyma ludzie czarni i ludzie żółci, a wszędzie wynurzał się przed oczyma ów szczep biały, który swe panowanie, swój cywilizacyjny despotyzm szerzył wciąż i niepostrzeżenie, gdziekolwiek można było władzę rozpostrzeć: Gibraltar, Malta, Suez, Malakka, Indye, Nowa-Zelandya, Australia, Afryka. Wyobraźnia napełniła się zjawiskami po brzegi, kipiała od nadmiaru wiadomości, od przeładowania faktami, od przepychu obrazów, wspomnień, figur, typów, barw, świetnych postaci, lakonicznych słów, w których zawarte leży pokonanie olbrzymich i długotrwałych niebezpie-

czeństw, — albo, ujęte w świetny dowcip, w którym tkwią sytuacye niezmiernie skomplikowane. Nadto — w długich służbach prostego majtka, a przychodnia z głębi najbardziej lądowego zaświecia, podczas słot i burz nasuwały się przed oczy figury przepotężne, rzeźbione przez wichry, jak ów Singleton, Craig, zwany «Belfast», murzyn Wait, Donkin, jak Captain Mac Whirr, stary Francuz na statku *Patna*, Falk — Norweg, bracia Jacobus i mnóstwo innych. Oczy przybysza wpijały się w te figury, wchłaniały każdy ich ruch, gest i słowo. Przyszła z czasem chęć odtworzenia tego wielorakiego przepychu rzeczy i spraw widzianych. Tak zaczęły powstawać owe świetne książki, które dziś należą już do dorobku cywilizacyi. Lecz ubliżylibyśmy temu pisarzowi, twierdząc, iż jego dzieła są tylko wspomnieniami podróżnika i obrazami malarza osobliwych na kuli ziemskiej typów i wydarzeń. W wypadku *Lorda Jima* mamy rzucone przed oczy zagadnienie bohaterstwa i tchórzostwa, graniczącego z łotrostwem, które się tłucze zarówno po lądzie, jak po Morzu Czerwonem i Indyjskich Zatokach. Ręką niezrównanego rzeźbiarza postawione są figury tak plastycznie, iż można je porównać z pewnemi typami Tołstoja i Sienkiewicza. Ów kapitan statku, Francuz, pijanica i wałkoń, który spełnia czyn najbezwzględniejszego bohaterstwa, a gdy mu to przed oczy wynoszą, śmiejąc się w kułak powiada, że przecie takie rzeczy robi się z tchórzostwa — jakaż to niezrównana postać! W powieści p. t. *Nostromo*, (przezwisko Włocha, przybysza do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej Costaguana), — mamy olbrzymie mrowisko, gdzie

się przesuwają obrazy gromadzenia niezmiernych bogactw, szaleją najbardziej rozkiełznane pasye, uwidoczniona jest chciwość, oszukująca w sposób najbardziej podstępny czyste zamysły patryoty, przewala się iście zwierzęce okrucieństwo, działają instynkty najpodlejsze i pracują najszlachetniejsze pobudki marzycieli. Mamy tam typy przepyszne, jak owego milczącego fanatyka Goulda, dyktatora Ribiery, młodego dziennikarza Decouda, a przedewszystkiem samego «Nostromo», — które stawiają to dzieło w rzędzie pierwszorzędnych kreacyi artystycznych.

Opowieść, w której główne światło skierowane jest na postać Włocha Nostromo, wskutek wciągnięcia w akcyę szeregu figur świetnie narysowanych, przemienia się ostatecznie na historyę nietylko awantur i zaburzeń w jakiejś mieścinie Sulaco, czy w południowoamerykańskich kopalniach srebra San Tomé, lecz na dzieje rewolucyi wogóle. Innemi przeprowadzone środkami i inne malujące strony kuli ziemskiej, dzieło to staje obok *The Revolt of Islam* Percy Byshe Shelleya.

Niewątpliwie najwspanialszemi kreacyami Josepha Conrada są jego epopeje morskie — rzecz o murzynie z *Narcyza* i burza morska, wyrażona w *Tajfunie*. Wichry, o których czytaliśmy w *The Mirror of the Sea*, tutaj pokazane są w ich rozpętaniu. Gdy przewały fal poprzez pokład *Narcyza* zmiatają mężną załogę okrętu, jak śmiecie, i wciskają w drugi koniec tej arki zbiorowisko rąk, nóg, głów, kadłubów, gdy okręt trzeszczy, a cały jego takiel szarpie się i skręca, jak kupa łachmanów, mamy fizyczne jasnowidzenie istoty zjawiska. W *Tajfunie* patrzymy na człowieka,

kapitana Mac Whirr i rozumiemy, iż marynarz krzyżuje miecz z wrogiem. Gdy odziany w skórzaną kapicę, ni to w hełm wikingów, w skórzany kostyum i buty długie po pachwiny, walczy w ciągu dwudziestu godzin, ażeby uratować życie nie tylko swoje, lecz tłumu kulisów i załogi, mamy wydobytą z niewiadomości wizyę oczywistą, czem jest morze. Czem jest morze w jego grozie i w jego piękności powiedział Anglikom, odwiecznym żeglarzom i zwycięzcom morza, dopiero ten ze wschodu przychodzień. Sami to przyznają, iż najdobitniej, najplastyczniej przedstawił im w ich mowie to, na co patrząc przez stulecia, nie mieli wyrazu o takiej doskonałości i sile. Doskonałość, obfitość, muzyczność prozy Conrada uderza angielskiego czytelnika. Krytyk zadaje sobie pytanie: «Jakimże to się dzieje sposobem, żeby Polak mógł tak pisać po angielsku?» Rozważając dwa okresy w kształtowaniu się prozy Josepha Conrada, drugiemu okresowi przypisując takie znaczenie w rozwoju stylu angielskiego, jakie we Francyi posiada praca Gustawa Flauberta, Richard Curle zaznacza: «Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie angielskich usiłowań, to jest wogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy». Zdaje się, że w tem musi być nieco prawdy. Gdy w roku 1914 miałem zaszczyt poznać w Zakopanem Josepha Conrada, przekonałem się z pewnem zdziwieniem, jak doskonale włada on naszym językiem. W ciągu czterdziestu lat, parę razy zapewne tylko mając możność rozmawiania po polsku, nie zatracił ani jednego wyrazu, nie zagubił akcentu krakowskiej

wymowy. Wnoszę z tego, — dość może ryzykownie, — iż ten znakomity autor angielski myśli po polsku, zwłaszcza w chwilach trudnych, albo podniosłych, a więc w dobie tworzenia. Nie przemawia tu przeze mnie bynajmniej nacyonalistyczna chętka akaparowania tej twórczości na naszą korzyść, gdyż ani jednem włóknem dorobek czysto artystyczny Josepha Conrada nie jest z literaturą polską złączony. Chodzi jedynie o zjawisko psychologicznej natury. Gdyby tak było, jak myślę, to mielibyśmy wypadek urabiania zdań we dwu mowach. Mówiąc i pisząc jedynie we własnym języku, nie zwracamy żadnej uwagi na nazwę przedmiotów, na historyę rzeczowników, która niejednokrotnie sięga zamierzchłych czasów, na dostojność i, niejako, moc tajemniczą wyrazów. Są one dla nas powszednie i zdeptane, jak bruk i piasek drogi. Skoro zaś zajdzie potrzeba myślenia w jednej, a pisania w innej mowie, wyrazy dźwigają się ze swego poniżenia, mienią się, wiążą i, niejako, przechwalają, pokazując swą dostojność. Stąd wypływa konieczność szukania synonimów, dobierania nazw i strojenia inaczej wyrazów. Język zabarwia się i lśni niepowszednio, niezwykle, zgoła inaczej. W wypadku Josepha Conrada ta jeszcze zachodzi okoliczność, iż swój język angielski zdobywał on najprzód od marynarzy, synów ludu, — poznał w toku twardych, żeglarskich prac przedewszystkiem gwarę angielską. Stamtąd dopiero szedł coraz wyżej i wyżej, wciągając w siebie coraz więcej wyrazów literackiego języka. Muzyczność naszej mowy słowiańskiej musiała mu pozostać w uchu: przecież do siedmnastego roku życia uczył się tylko po polsku, w Krakowie,

w siedlisku, skąd na Polskę spływał jej język literacki przez wieki. W dzieciństwie czytał mnóstwo po polsku. — *I read!* — pisze we wspomnieniu o Krakowie. Nawet utwory literatury angielskiej czytał w tłómaczeniach ojca jedynie po polsku. Została tedy w jego uchu ta podświadoma, niejasna nuta, polski sposób łączenia wyrazów, polski entuzyazm dziwienia się na widok rzeczy nieznanych, tajemniczych, straszliwych i wzniosłych. Goniąc światami i z mórz przepływając w morza, nieraz, zapewne, wśród niebezpieczeństw, czy w chwili zachwytu zaklął zcicha po polsku, lub ujął obraz w najprostsze, najpierwsze z brzegu wyrazy swej dawnej mowy. Później, gdy przyszło stwarzać nanowo te obrazy widziane i przeżyte, wynurzyły się one w pamięci wraz z pierwotnemi ich polskiemi nazwami. Nazwy, zepchnięte w inny język, szukały dla siebie odpowiednich form i znajdowały może najlepsze, a jednak niezwykłe, nie takie, jakich zazwyczaj Anglik używa. I oto w przebogatej literaturze angielskiej zabrzmiał ton zgoła nowy i tak niezwykły, iż ten z Polski przychodzień zajął miejsce jednego z najpierwszych, a, jak mówią niektórzy, najpierwszego angielskiego stylisty.

III

Niezależnie od wspomnień osobistych Joseph Conrad dwukrotnie zabierał głos podczas wojny w sprawie polskiej. W roku 1916 pomieścił w *Fortnightly Review* artykuł p. t. *A Note on the Polish Problem,* a w roku 1919 w temże piśmie — *The Crime of*

Partition. Obadwa te artykuły, które można znaleźć w zbiorze ogólnym p. t. *Notes on Life and Letters* — w sposób szlachetny ujmują się za nami, za naszą nieprzedawnioną sprawą, za złączeniem rozerwanych części narodu. Znakomity autor czynił wówczas, co mógł: rzucał na szalę ważących się losów naszych swe nazwisko. Jesteśmy mu wdzięczni za to przyczynienie się za nami w chwilach stanowczych i decydujących. Lecz, — niezależnie od wszelkiej polityki, — pragnęlibyśmy dziś zbogacić literaturę polską, lądową, od początku do końca, tłómaczeniem świetnych jego pism w tak doskonałych przekładach, ażeby w jego oczach mogły uchodzić za oddające dokładnie ducha i siłę oryginału. Polska, jak dotąd, wydała poprawdzie dwu żeglarzy. Jednym był Jan z Kolna, — postać napoły mityczna, — tu, u nas, pono, urodzony, lecz pod obcą banderą wędrujący po morzach odkrywca Labradoru. — Drugim jest Józef Konrad Korzeniowski, niewątpliwie wśród nas urodzony, lecz również pod obcą banderą w ciągu tylu lat wędrowiec i piewca mórz. Można poczytywać za przypadek, iż tutaj stała jego kołyska, wszystko bowiem zawdzięcza sobie samemu, swej pasyi, sile woli, wytrwaniu, pracy. Nikt nie ma prawa wtrącać się do jego postanowień. Ale jak z dorobku innych znakomitych pisarzy na świecie, taksamo z tego specyalnie dorobku pragniemy skorzystać w sposób jaknajgodniejszy. Już dziś młodzi chłopcy w Polsce nie potrzebują uciekać z kraju, stęsknieni za wodami mórz i żądzą przygód. Działa już szkoła morska w Tczewie i rozwija się zwolna polska marynarka. Piszący te słowa miał szczęście uczestniczyć w poświęceniu statku szkolnego *Lwów* i słyszeć komendę: — Patrz na banderę! — na Orła Białego w czerwonem polu ponad Bałtykiem. Statek ten popłynie wkrótce do Południowej Ameryki, przesunie się poprzez ocean i równik. Uczniowie szkoły morskiej, oficerowie na statkach i jaknajszerszy ogół młodzieży potrzebuje literatury morskiej. Jakaż jest najznakomitsza? Oto ta: Pisma Josepha Conrada. Oddawna nawoływałem prywatnie i publicznie do tłómaczenia tych pism. I oto, za zgodą autora, a dzięki usiłowaniom p. Anieli Zagórskiej, która część tłómaczenia wzięła na siebie, oraz przeprowadziła do końca sprawę wydania, — rzecz dochodzi do skutku. Znakomici znawcy języka polskiego i wybitni pisarze — Jan Lemański, Stanisław Wyrzykowski i Wilam Horzyca podjęli się dokonania przekładów najświetniejszych utworów — *Murzyna, Tajfunu* i *Nostromo.* Obecnie ukazuje się *Almayer* w przekładzie Anieli Zagórskiej.

Przekłady te stoją na wyżynie oryginału. Należy dołożyć wszelkich starań, ażeby wszystkie pisma w ich całości stały się polskiemi oryginałami angielskich pism Josepha Conrada. Należy dołożyć wszelkich starań, ażeby to zbiorowe wydanie było godnem nas, literatów polskich, pozdrowieniem wielkiego twórcy z tej ziemi, gdzie stała jego kołyska. Polska dzisiejsza zaczyna gromadzić, zbierać, zgarniać do kupy rzeczy swe i sprawy rozproszone, pokradzione, pogubione, wydarte. W tej pracy, w tej pasyi staje się łakomą, łapczywą, natarczywą, nieustępliwą, żarliwą. To jej prawo. Zbyt długo ją obdzierano. Przedewszystkiem musi podnosić i ku czci powszechnej ukazywać to, co jest najbezcenniejsze

w jej dziejach: zapomniane trudy i znoje swych męczenników.

Kołyskę wielkiego pisarza Anglii i świata, Josepha Conrada, poruszała najszlachetniejsza, najdostojniejsza dłoń kobiety naszego rodu, gdy zbójecka pięść wroga kołatała we drzwi domu. Postać ta poszła za miłością swoją i prawdą swoją aż do ostatniego tchu, podobnie jak tysiące innych ze dworów, z chat, z izb robotniczych.

«Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tem krzepiłem omdlewającą duszę, mącące się myśli» — mówi ojciec wielkiego pisarza.

Zważone zostały kędyś na szali niewiadomej spojrzenia takie: Polska wolna, potężna i nieśmiertelna zajaśniała pod słońcem. — Należy rozradować dwa bohaterskie cienie, co nietylko «żyją w miłosierdziu Bożem», lecz żyją i żyć będą w wiecznej, wdzięcznej pamięci pokoleń, najgłębszą i ostatnią radością, iż doskonałe pisma ich umiłowanego dziecięcia, jaśniejące w bezcennym dorobku świata, stanowią także klejnot tej mowy, która była głosem ich cierpień, wyrazem ich cnoty i zawarła w sobie westchnienia ich świętej nadziei.

[1922]

«K R Y J A K I»

Maryi J. Wielopolskiej

Autorka niniejszego utworu zwróciła się do mnie z życzeniem, ażebym — jak to jest zwyczaj — poprzedził go słowem wstępnem, — w tej zapewne nadziei, że taka przedmowa będzie w danym wypadku z wielu względów pożądana. Utwór, noszący nazwę *Kryjaki*, nie potrzebuje niczyjego zalecania, sam przemawia za siebie i będzie się sam skutecznie domagał o pamięć w piśmiennictwie polskiem. Nadto — umieszczone pod przedmową moje imię i nazwisko, tak źle widziane w obozie konserwatyzmu, a przez krytyków tego obozu tylekroć skazane na wyszczucie psami z literatury ojczystej, nie tylko nie zdoła przyczynić się do usłania w niej drogi kwiatami, jakbym tego pragnął, temu pismu o roku sześćdziesiątym czwartym, lecz przeciwnie może powołać do napaści na nie i do zatłumienia wieści o jego pięknie zespół pisarski, zawsze przeciwko mnie sprawnie uszykowany.

Wszakże tak źle tusząc o losie swego pośrednictwa w tej sprawie, skwapliwie je podejmuję. Czynię to z tego względu przedewszystkiem, że zbyt głęboko i zbyt po-

wszechnie odczuwać się daje niewola sztuki w Polsce, zleconej przez bierność ogółu w niepodzielne władanie oraz kierownictwo — dziennikarzom. Literatura polska od dawien dawna zgodziła się na służbę do sprawy ojczystej i nie wyrzeka się swej pańszczyźnianej doli, aczkolwiek doskonale wie, jak dalece wskutek tego pozostaje w tyle, poza szlakami wolności tworzenia niczem nie krępowanego. Co gorsza, nad tym jej obowiązkiem, którego porzucić nie sposób, przewodzi niejeden rozwielmożniony karbowy, a niejeden ekonom potrąca ją według swego widzenia rzeczy w ekonomskim kierunku. Zamiast wzywać i zagrzewać do głębokiej uprawy, orki, bronowania i umiejętnego przetworzenia samego życia, — włódarze dziennikarscy popychają tam i sam sztukę — i jej to, niejednokrotnie harapem, zlecają ten poruczony zakres działania. Krytyka, mianująca się artystyczną, sądzi utwory literackie ze stanowiska takiej lub owakiej polityki, — spiera się i prawuje z pisarzami o ich mniemania polityczne, albo o ich pasye społeczne, — poniża ich lub wynosi niezasłużenie, — częstokroć poniewiera i znieważa za rewolucyjne, radykalne, albo, odwrotnie, za umiarkowane, ostrożne przekonania, — a, jak to dobrze wiemy z przypadku Cypryana Norwida, potrafi nawet wielkich artystów ośmieszyć, wdeptać w niepamięć, w nędzę, w rozpacz i w daleki, pospólny grób wygnania.

Wydawaćby się mogło, że dla krytyki, mianującej się artystyczną, drugorzędna, albo nawet obojętna to będzie sprawa, jakie mniemania polityczne pisarz wyznaje, jakiemu poglądowi na społeczny porządek rzeczy oddaje pierwszeństwo, czy jest katolikiem praktykującym, albo ateuszem, — że roztrząsanie i ważenie artystowskiej wartości dzieła będzie jej zadaniem.

Byliśmy niedawno świadkami napaści krytyków na Henryka Sienkiewicza za jego przekonania. Obecnie moda jest w krytyce polskiej, — poza bardzo nielicznemi wyjątkami, — na szarpanie i bezczeszczenie utworów, któreby rewolucyjnego ducha w sobie taiły, — jeżeli nawet utwory te posiadają cechy artyzmu, uznanego przez tę samą krytykę. W «opowieści» Maryi J. Wielopolskiej, pod tytułem *Kryjaki*, pomiędzy wierszami tak zwanej fabuły raz wraz połyskuje ostrze sarkazmu, złośliwej cytaty — ni to ostrze cienkiego a przedziwnie bogato zdobionego sztyletu, który w niejednej ranie bywał. Broń ta ukazuje się i znika, kryje się, lecz zawsze każe o sobie pamiętać. Podobnie w fałdach szaty niewiast włoskiego średniowiecza bywała, jako ozdoba i pomocnik, wspierający serce głęboko i aż do śmierci czujące, pozwalający obliczu zachować wytworne zimno spokoju. Na bezcennej rękojeści wspiera się dłoń nieulękła, gotowa uderzyć w serce wroga głęboko znienawidzone.

Obawiam się, że te międzywierszowe połyski bardzo ciężko zaważą na losie utworu. Nie przeważy siła i artyzm dzieła mniemań i pasyi twórczyni, tak źle widzianych przez współczesnych sędziów literatury polskiej. Tymczasem — artystyczny sposób Maryi J. Wielopolskiej taki jest właśnie, jaki się tu przejawia. Cokolwiekby powiedziano o tym sposobie, przez jego użycie wydobyty został potężny głos, pierwszy w literaturze, o straszliwym roku powstania. Klechda domowa, w ciemną noc szeptana dygocącemi wargami przez

tych, co widzieli, dzieciom, co drżą przed okrucieństwem widziadła, miesza się tutaj z wersyą publiczną, z cytatą historyczną, albo z przeklinającą, ślepą, mściwą, śmiertelną, pół-publiczną pół-prawdą, pół-inwektywą. Głęboka i jedyna dzisiejszych wiara, że «*lud uświadomiony wstanie z nad pługów i przemówi sam ołowiem za siebie i za nas*»... pada z ust księdza Brzózki.

Widzenie czarujące jasnej panny, którą kleryk «krzyżem na czatach leżący» za anioła poczytywał, — ustępuje miejsca przeszywającej legendzie o panu Majewskim, co w kajdany zakuty patrzy na żonę, wśród Moskali tańczącą, i raz wraz otrzymuje cios «w mordę»...

W obrazy pól i siół, kościołów, lasów, miasteczek, snujące się w oczach skazańców na śmierć wiezionych, wrzynają się szczegóły o podlaskim biskupie, albo o tym księdzu Tomaszewskim, straszliwszym od Szeli, co «z ambony wygłaszał, żeby lud wyłapywał powstańców i znosił na probostwo ich ręce i nogi, za co on sam będzie im wypłacał po trzy ruble od sztuki»...

Nie wydaje mi się odpowiednią nazwa «opowieści», położona pod tytułem tego dzieła.

Jest to potężna i ponura symfonia, która z władzą i siłą, równą władzy i sile muzyki, — odchyla czarną zasłonę skonu polskiego powstania. Jakaż fantazya zdoła być wyższą, bogatszą, bardziej wieloraką nad rzeczywistość tych dziejów? To też pisarka tych kart podaje tylko fakty, wyrwane z piekła ruiny, — i klechdy, co się zostały w duszach ludzi, nie jako wspomnienie, nie jako uczucia, nie jako płacz, lecz jako zimne i proste wieści wieczne, podobne do odmian zbiorowego snu plemienia, — myty o nieśmiertelnej piękności cierpień bohaterów i o najwyższej polskiej ofierze.

Wśród nich tam i sam przemyka się obraz niezapomnianego wdzięku, jak ów, gdy niewiadoma dziewczyna z pałacu «o krwawych lakach nigdy niecałowanych ust» zjeżdża po urwisku parowu do powstańczego schronienia, — albo gdy ksiądz Brzózka pojmany patrzy na ważkę-świteziankę, siadającą na wargach pobitych jego żołnierzy, — a nadewszystko ta genialna, ze stendhalowską intuicyą podana prawda panu Wilczyńskiemu, który, idąc na szafot, pociesza się myślą, że urodziwa dziewczyna, za żonę mu przeznaczona, — to beksa, której nie warto żałować...

Niepodobna, oczywiście, przewidzieć, jak krytyka polska przyjmie ten utwór, czy go nie napiętnuje za idee pisarki — może i za niniejszą przedmowę... Myślę jednak, że sędzia przysięgły, ogół polski, doczyta się w tych kartach uczuć swych własnych, mocy swego honoru, istoty swej hańby, istoty swego narodowego bohaterstwa — i upodoba sobie w owych *Kryjakach* jako w księdze swej własnej.

[1913]

«KATALOG ZBIORÓW MICKIEWICZOWSKICH ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W MUZEUM NARODOWEM W RAPPERSWILU»

Zbiór Mickiewiczowski, którego katalog niżej podajemy, został przed kilkoma laty wydzielony z nagromadzonych w ciągu istnienia Muzeum w Rapperswilu pamiątek, pism, wizerunków i druków. Pierwsi założyciele i dobroczyńcy tej instytucyi Władysław hr. Plater i Krystyn hr. Ostrowski, pisarze i zbieracze, jak Seweryn Goszczyński i Leonard Chodźko, których pisma nieznane i kolekcye stały się podwaliną archiwum oraz biblioteki, żyli w epoce tułactwa wielkiego poety, znali go i z pietyzmem przechowali wszystko, co świadczyć o nim może. Katalog niniejszy jest tylko spisem jednej z grup naszych zbiorów, która powstała drogą naturalnego skupienia rzeczy, tyczących się osobistości wieszcza, rozproszonych niegdyś po świecie, a później zgromadzonych w Muzeum. Kiedy po wyrestaurowaniu trzeciego piętra gmachu muzealnego powstały tam dwie salki, przeznaczyliśmy większą z nich na pomieszczenie naszej «Mickiewicziany». Z okna tego pokoju roztacza się przepyszny widok na miasteczko Rapperswil,

rozesłane u stóp zamku, na olbrzymią taflę jeziora zurychskiego i na gromady Alp glerneńskich, wiecznym lodem okrytych. Za jeziorem, na przełęczy łańcucha niższych regli, okrytych ciemnemi lasami, u podnóża góry Hochetzel, o tysiąc metrów wyniesionej nad poziom jeziora, widać dwie białe budowle, małe z oddalenia. Jest to kościół świętego Meinrada, a obok niego hotel piętrowy. W tym domu przebywał ongi mistrz Andrzej Towiański i tam pisał nauki dla braci, datując je z «góry Ezel» [1].

W chwili gdy kolekcya, tycząca się osoby naszego poety, była już w izbie jego imienia zgromadzoną i kiedy przystępowano do katalogowania jej według przyjętego systemu, otrzymaliśmy wspaniały zaiste dar p. prof. Leopolda Horowitza. Był nim portret Mickiewicza wielkości naturalnej węglem na płótnie rysowany, którego liczne dziś kopie utrwalają w pamięci rodaków przedziwne oblicze, tak słusznie przez kogoś nazwane «twarzą Nioby». Wizerunek ten jest najwierniejszym ze znanych, wzorowano go bowiem na dagerotypie paryskim z roku 1842, kiedy poeta w sile lat męskich stał na katedrze Collège de France, zanim się ku starości i jej głębokim zgryzotom posunął. Później otrzymaliśmy inne cenne dary, jak *Dziadów część III*, litografowaną w Moskwie przez młodzież uniwersytecką w drukarni tajnej około roku 1860 (Nr. 217), jak *Poezye* wydane w Poznaniu 1828 r. z autografem poety z lat dziecięcych

---

[1] *Biesiada z bratem Karolem (Różyckim).* 1845 roku dnia 1 października. Góra Ezel — kanton Schwyz (Paryż 1845). Drk, Bourgogne i Martinet.

(Nr. 28), jak medalion Borrela (Nr. 237), zbiór d-ra Artura Wołyńskiego i t. d.

Tworzenie coraz większej ilości zbiorów mickiewiczowskich publicznych, dostępnych dla badacza uważamy za nader pożyteczne z wielu względów. Dopóki nie powstanie na ziemi ojczystej w miejscu bezpiecznem jedna jakaś wspólna skarbnica pamiątek narodowych, każdy zbiór taki jest z jednej strony przyczynkiem do wielkiego życiorysu, a z drugiej jest niby ogniskiem magnetycznem, samą siłą swojego istnienia przyciągającem pamiątki i materyały bezużytecznie schowane w kolekcyach osób prywatnych. To też, fundując nasz zbiorek, żywiliśmy nadzieję, że wydobędziemy z emigracyi przeważnie, gdzie upłynęła większa część życia poety, wszelkie, jakie istnieją jeszcze dokumenta, świadectwa i pamiątki, któreby posłużyć mogły do wyświetlenia tylu dotąd niewyjaśnionych momentów tej wielostronnej działalności.

Dwa z nich, mianowicie epokę Towianizmu i wykłady w Collège de France, zbiory nasze ilustrują bardzo wyraźnie. Towianizm, a raczej historya stosunku wieszcza do sekty, nauk udzielanych braciom, całokształt sekretnych rozmów o sprawach najwznioślejszych, niepojętych zachwyceń ducha, uniesień, wzruszeń szczególnych i przejmujących wizyi maluje się w papierach, notesach, świstkach i listach Seweryna Goszczyńskiego, których część tylko, bezpośrednio tyczącą się osoby Mickiewicza, wcieliliśmy do zbioru i niniejszego spisu. Reszta pozostała w archiwum ogólnem.

Wykłady w Collège de France, notowane po francusku przez stenografa i przełożone na zwykłe pismo

przez Władysława hr. Platera, zawierają się w czterech dużych tomach i służą obecnie prof. Nehringowi do krytycznego ich opracowania i wydania.

Muzeum nasze, a więc i izbę mickiewiczowską, zwiedza co roku przecięciowo 2000 cudzoziemców, jest więc ona jak gdyby wykładem o poecie i przypomnieniem go człowiekowi obecnemu. Wykład ten, jak czytelnik łatwo osądzi, nie jest i nie może być ani dokładnym, ani wyczerpującym. Co jednak było w naszem posiadaniu, z tego zrobiliśmy użytek. Wystawiono w oszklonej szafie przekłady na obce języki w druku, roztwarte w miejscach najbardziej pięknych, mogą dać wędrowcowi każdej prawie narodowości pewne przynajmniej wyobrażenie o utworach naszej chwały — w jego własnej mowie. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, ażeby ten zbiór przekładów, które się przecie, szczególniej na języki słowiańskie, ciągle mnożą, rozszerzać, uzupełniać i kompletować.

Głównem dążeniem naszem od chwili założenia kolekcyi mickiewiczowskiej jest to, ażeby ona dawała świadectwo o poecie takim, jakim on był rzeczywiście. Pragnęliśmy, żeby cały duch pism tego niestrudzonego sługi wolności, żeby ta nasza prawdziwa «arka przymierza między dawnemi i nowemi laty» — tutaj na ziemi Szwajcarów znalazła przytułek i schronienie. Ostatniemi czasy nauczyciele naszego narodu, których plemię z rozwojem przemysłu tak dziwnie się rozmnożyło, nieomylni krytycy wszelkiego znaku i o najrozmaitszych tytułach zaczęli przeistaczać Mickiewicza. Widzimy go przebranego od czasu do czasu już to za rusofila (omal że nie za «ugodowca»), już za Austryaka

(prawie za «stańczyka»). Nieubłagani tępiciele «ducha narodowego», pospolici stronnicy bagnetów i działacze, wynoszący między lud na «ulicę» kult caryzmu dla osiągnięcia okruchów samorządu za cenę wszystkiego ideału wolnej ojczyzny, zrodzonego w «dymie pożarów i kurzu krwi bratniej», nie mogą znieść kolosalnej postaci, która nie maleje, lecz rośnie w ich oczach. Dla ludzi, którzy, usiłując paktować z despotyzmem, stali się sami reakcyonistami zajadłymi, nienawistnym się stał ów «duch» poezyi mickiewiczowskiej, szerzący się niewidzialnemi drogami.

I nic dziwnego. Adam Mickiewicz był rewolucyonistą w sprawach politycznych, rewolucyonistą i reformatorem w krainie poezyi, rewolucyonistą w religii i rewolucyonistą w dziedzinie nauki o społeczeństwie. To też nie mogąc usunąć z widnokręgu jego osoby, rozmaite koterye, rozrządzające na własną rękę losami naszego narodu i urabiające na własną modłę normy duchowego żywota warstw biednych i ciemnych, starają się zatuszować pewne cechy twórczości, wymazać z życiorysu rozmaite uczynki poety. Dają się słyszeć głosy, że już kultu mickiewiczowskiego jest za dużo, że już treść wewnętrzna dzieł została wyczerpaną i piękność formy roztrząśniętą, że to widmo społeczeństwo pogrążone we śnie wciąż jeszcze widzi, kiedy należałoby się raz przecie obudzić.

Są to jednak mniemania bieżącej chwili, które wraz z nią przeminą. W epoce najgorszej, kiedy po roku 1863 myśl o społeczeństwie została przez naszych własnych mędrców wywrócona na nice, kiedy na miejscu rozwalonego ołtarza postawiono ideał bezwzględnej

wierności dla rządów zaborczych, ideał miłości dla tronów, kiedy zasiewano w sercu młodego pokolenia ziarna najdalej idącego wstecznictwa, wówczas właśnie kult Mickiewicza wybuchnął szerokim płomieniem.

I po raz drugi w chwili daleko mniej doniosłej, ale zato daleko bardziej plugawej, kiedy w Warszawie sławetna deputacya zbierała zarówno od ludzi bogatych, jak od wyrobników i nędzarzy datki na fundusz milionowy, czyli «subskrypcyę narodową» celem uczczenia cara, kiedy nie wahała się szerzyć wśród ciemnego i biednego ludu swych zasad, całe «społeczeństwo» (zamknięte w granicach Królestwa) od szczytów swych do głębin złożyło niemy protest, składając ofiarę na pomnik poety w Warszawie. Ze zdumieniem rzucano okiem na kolumny gazet, wyliczające nieprzejrzany szereg nazwisk prostaczych i małych datków, złożonych przez lud roboczy i siermiężny. Dopiero jednocześnie z tym szczególnym skutkiem sięgania promieni poezyi narodowej tam, dokąd jeszcze nie dotarła urzędowa szkolna oświata, uznały za stosowne rozmaite «pióra» i języki, usługujące interesom sfer ugodowych, zawiesić na chwilę tępienie czci Mickiewicza.

W tych prawdziwie strasznych momentach, kiedy lud znękany wstrzymuje się jak gdyby na rozstajnych drogach i kiedy w śmiertelnem udręczeniu słucha podszeptu fałszywych proroków, którzy mu obiecują odpoczynek za cenę sprzedania najdroższej myśli, ukazywał się zawsze on, jako dusza nieszczęśliwego narodu.

Więzy cenzuralne, nałożone przez rządy zaborcze, a bardziej jeszcze nasze własne przemilczanie sprawiły, że niektóre pisma poety nieznanemi są wcale. Stąd po-

chodzą owe sądy o wyczerpaniu wewnętrznej treści pism Mickiewicza. Wielkość tego geniuszu, zdolność spoglądania w przyszłość i siłę wzruszeń humanitarnych określi dopiero przyszły biograf i przyszły krytyk, wspierający się na materyale dziś jeszcze leżącym tu i owdzie w ukryciu, albo przez stronnicze sądy pomijanym świadomie. Za dni naszych, w dobie tryumfu ideałów mongolskich, jakże ma powstać sprawiedliwy sąd o prawdziwem jestestwie poety, o jego «najmocniejszem uczuciu»? Ogół tylko szary, nieznający doktryn, ów «cały naród» poety czerpie to uczucie, jak wodę z czystego stoku i odwilża spalone usta w trudzie i męce. Ten sprawiedliwie sądzi. Za gorzki chleb tułactwa, za starość spędzoną w ponurej boleści i za śmierć w dalekiej ziemi w służbie dla ojczyzny — płaci miłością, której niewola nigdy nie wytraci i której nasze własne upodlenie ducha nigdy w swych mętach pochłonąć nie zdoła. Treść ducha Adama Mickiewicza nie została jeszcze wyczerpaną. Jest on jak urodzajna rola, z której tylko ciemnota i głupstwo owoców czerpać nie chce i nie umie. Im bardziej ludzkość cywilizować się będzie, tem powszechniej rozszerzy się smakowanie w tym duchu czystym, w marzycielu z katedry Collège de France i z *Tribune des peuples*.

Zwłoki Mickiewicza przyniesione zostały z ziemi tułactwa i złożone w grobach królewskich. Prawdziwie należy im się to miejsce. Dziś, gdy jesteśmy rozdarci, zatruci jadem moskwicyzmu, łączy nas przecie wszystkich i pomimo wszystko jego słowo, słowo, którego boimy się wszyscy i które przenika nas podobnie, jak naddziadów naszych przenikało słowo Skargi, rozlegające się, «jakoby piorun trzaskał». Na dalekich lądach świata, wśród obcej mowy rozproszonych spaja nas w jeden naród władza jego świętych nadziei. Po najwyższy zachwyt i po najczcigodniejsze uczucie człowiek naszego rodu do niego zawsze przyjść musi. Dla «przyszłych pokoleń», gdy wypełni się jego marzenie, gdy «jutrzenka swobody» wejdzie nad ziemią ojczystą, gdy «zbawienia słońce» oświetli lud schylony nad szczęśliwemi niwami, będzie ten poeta z doby niewoli najszczytniejszą rozkoszą wszystkich, jak był nią dla nas, «urodzonych w niewoli, okutych w powiciu», cośmy krzepili się nim w najcięższych uciskach ducha.

[1898]

[FRAGMENTY I INSKRYPCYE]

[Z ALBUMU]

W moich stronach rodzinnych, (w górach Świętokrzyskich), jeżeli kto odchodzi w daleką drogę, żegna tego, kto pozostaje, słowem: — «ostaj, z Bogiem», — a tamten wzamian prowadzi go życzeniem: — «idź z Bogiem». Szkoda, że tego miłego Towarzysza wędrówki nie życzą sobie nawzajem ludzie miejscy, pospiesznie biegający po zawiłych szlakach kamieni.

Warszawa, Zamek 2, XI, 1925.

[OSTATNIE NOTATY *]

1) Światem władnie rozumna, sprawiedliwa i miłosierna Potęga.

2) Czy dla rozumu jestestwa ludzkiego uwarunkowanego tak wielorako, istnieje świat wartości bezwzględnych?

3) Och, jakże trudno jest wierzyć, iż zagłada bytu, przemiana w glinę i w cuchnące gazy nie jest jedynym celem istnienia!

---

* [Notaty te powstały w związku z lekturą książki Witołda Rubczyńskiego *Filozofja życia duchowego* (Poznań 1925), a z myślą, jak się zdaje, o nowej powieści, prawdopodobnie dalszym ciągu *Przedwiośnia*. Spisane początkowo na kartce, przerobione i przepisane zostały w obecnej kolejności do osobnego zeszytu. Niektóre z nich są zwykłemi wypisami z książki, — inne transpozycją jej myśli na własne słowa, — jeszcze inne, zatrzymując frazeologję książki, za jej pomocą formułują myśli niezawsze z nią zgodne, — inne wreszcie daleko od książki odchodzą i wyrażają odmienne zupełnie problemy i wzruszenia. W dalszym ciągu przytaczamy tu ustępy *Filozofji życia duchowego*, na których notaty są bezpośrednio oparte.

1 ...«Światem całym władnie Rozumna, Sprawiedliwa i Miłosierna Potęga» (Rubczyński, str. 4).

2 ...«[Tajemnica], jaką jest świat wartości bezwzględnych dla rozumu uwarunkowanego wielorako jestestwa ludzkiego» (Rubczyński, str. 3).

3 «Z nieubłaganem natręctwem powraca pytanie, czy te wszystkie, w znacznej części doborowe, siły są niepowrotnie stracone» (Rubczyński, str. 2). «Musi się .... rozwinąć i ustalić przekonanie, że .... sprawiedliwego nie może spotkać... zupełna zagłada jego bytu» (Rubczyński, str. 6).

4) Człowiek opuszczony jest z musu, naprzekór wszystkim wysiłkom miłości najdroższych osób i życzliwych bliźnich, — oddany na niełaskę sił ślepych, — opuszczony jako objekt gry potęg niewidzialnych, — żywota i rozwoju mikrobów, bakcylów, rozkładającej konsumpcyi, rozpętanej mocy zniszczenia, oddany we wszechsiłę zagłady, potężniejącej z dnia na dzień, z nocy na noc.

5) Młodzieniec opuszczony przez Boga, który go niegdyś miłował, hodował i wspierał, — opuszczony przez rodziców, którzy bezsilnie patrzeć muszą, jak wysycha, wygasa, rozkłada się i w oczach ich unicestwia.

6) Wygraną w tajemniczem igrzysku sił skrytych a widomem zadaniem potęg, nie dających się dostrzec, jest naga, zimna, obojętna śmierć.

7) Ustaje wielotwarzowa i wielopostaciowa orgia wielkich, gwałtownych i uporczywych namiętności, biegnąca poprzez żywot.

8) Chwieje się rozsądek, tępa nuda napełnia rozum.

---

4 ...«Uprzytamniał .... się [człowiekowi] .... fakt, iż nie jest on całkowicie zdany na łaskę i niełaskę potęg wyższych nad jego siły, które to potęgi wyobrażał sobie .... jako kapryśne i okrutne». (Rubczyński, str. 494).

5. «Tu już tylko dodać potrzeba nieprzeliczone mnóstwo młodocianych egzystencyj, przeciętych tajemniczym tragizmem na drodze do rozwinięcia najpiękniejszych zalet charakteru»... (Rubczyński, str. 90).

6-13 .... «Przekonanie o niezależności .... zalet i osób od potocznej gry potęg w przyrodzie, od sprawianej przez te potęgi śmierci, stępienia lub zwyrodnienia...» (Rubczyński, str 6).

9) Rozprasza się wiedza, potyka się i upada cnota.

10) Moc obowiązująca zasad kruszy się i zamienia na rumowie.

11) Nadchodzi zagłada samowiedzy.

12) Myśl jasna chyżo zamienia się w obłęd.

13) Obłęd sam przemienia się w ślepą mękę, w mrok, brzydotę i ostateczne zło, bez kształtu, zakresu i czasu trwania.

14) Dwa są niewątpliwe trofea zwycięstwa człowieka nad dyabłem: sprawiedliwość i miłosierdzie.

15) Dwa są etapy wydźwignienia się z nizin samolubstwa i z zasieków sofistyki egoizmu na wysokość cnoty: mężne narażenie życia dla honoru i znoszenie cierpień w milczeniu, znoszenie ich w samotności ducha, poza wiedzą współbraci i współsióstr, w obrębie swojego jestestwa.

16) Dwie są granice życia: miłość i śmierć.

17) Całe dzieło człowieka na ziemi ogranicza się do dwu wyników: do przeszczepienia wśród rozkoszy swego organizmu w organizmy

14 ...,«Powstają uczucia .... gorącego uwielbienia dla osób jaśniejących zaparciem się siebie, bezinteresownością, mężnem narażeniem się i znoszeniem cierpień, a przedewszystkiem sprawiedliwością i miłosierdziem». (Rubczyński, str. 6). ....«Poważna, może i znaczniejsza część bohaterskich wysileń woli odbywa się bez świadków» (Rubczyński, str. 66).

nowe potomków, — oraz do zamiany osobistej na rozkład i zanik ciała w chorobach i w śmierci.

18) Nasza dusza to wzruszenie i pożądanie, to przypomnienie i nawyknienie, to czucie i decyzya.

19) Dusza jest tem, co samo sobie ruch nadaje *(autokineton)*.

20) Czy dla *umysłu* ludzkiego może istnieć zagadnienie istnienia pośmiertnego?

21) Czy jest to sprawa uczuć, pragnień osobistych, na niczem uchwytnem nieopartych, — czyli poezya?

22) Czy jest to tylko wynik zaniepokojenia, wytrącenia z cielesnej, zdrowotnej równowagi?

17. «Powiada się .... że dusza ludzka .... jest .... jedynie pewną nieodłączną stroną jednolitego tętna życiowego, wraz z niem wydzielającą się z innych organizmów i wraz z niem przeszczepiającą się poczęści w potomstwo a poczęści podległą zanikowi i rozkładowi». (Rubczyński, str. 60).

19 ....«Refleksje nad sposobami, zapomocą których dokonywa się poznawanie, w szczególności umysłowe, ... przywiodły już Platona .... na trop prawdy, iż zdobywać wiedzę w znaczeniu ścisłem, jest to wywiązywać energję, która siebie samą kontroluje i reguluje. Odczucie tej prawdy, acz niedość wyraziste, kryło się niewątpliwie w powiedzeniu, że dusza jest tem, co samo sobie ruch nadaje *(autokineton)*». (Rubczyński, str. 94).

20-21 ....«Wielka liczba dzisiejszych przedstawicieli t. zw. filozofji naukowej .... przeczy, jakoby wogóle istniał dla umysłu ludzkiego problem egzystencji pośmiertnej i twierdzą, że to jest wyłącznie sprawa uczuć, pragnień subjektywnych, na niczem uchwytnem nieopartych, w najlepszym zaś razie więcej lub mniej wdzięcznych tematów dla twórczości artystycznej, zwłaszcza poetyckiej». (Rubczyński, str. 88).

22 ....«Jeżeli się nie uwzględni w przeczuciach innego świata i życia motywu dążeń zbiorowych ku czemuś wspólnemu dla jednostek psychicznych ludzkich, będzie się upatrywało w pragnieniach i nadziejach bytu pośmiertnego .... wytwór popędów samozachowawczych...» (Rubczyński, str. 88).

23) Czy dusza sięga poza ciało i trwa nadal w oderwaniu od niego, skoro jest tem, co jest, a nie powstało, więc zginąć nie może?

24) Czy istnieje dusza, czyli wewnętrzne ja, wszczepione w żywe ciało, wówczas, gdy ciało w obłędzie umiera?

25) Świadomość jest to przedewszystkiem pamięć, nagromadzenie i zachowanie przeszłości w teraźniejszości, jest także przedjęciem przyszłości, kombinowaniem i wyczekiwaniem.

26) Centralny system nerwowy jest psychofizycznym warunkiem genialnych uzdolnień.

27) Życie jest wolnością, wplecioną w konieczność. (Przypadek w parku).

---

23. «[Platon] wysnuł .... wniosek o dalszem trwaniu duszy po śmierci, kierując się zasadą, że to, co jest, a nie powstało, nie może też i zginąć, że jest wiecznem.» (Rubczyński, str. 114) ....«Kardynalna teza Bergsona o duszy sięgającej poza ciało i zdolnej trwać nadal w oderwaniu od niego» (str. 160).

24. «Jedynym [według Bergsona] .... powodem racjonalnym, mogącym nas skłonić do sądu, iż świadomość gaśnie po śmierci, byłby widok rozkładającego się ciała,a wartość takiego rozumowania ustaje, odkąd doświadczeniem stwierdzono,że świadomość jest przynajmniej częściowo niezależna od ciała.» (Rubczyński, str. 150) ....«Bergson .... mówi tylko o „wszczepieniu" czy „wplocie" ducha w c ało.» (Rubczyński, str. 153).

25. «Otóż [Bergson] powracając do swej ulubionej myśli, iż świadomość oznacza przedewszystkiem pamięć, zachowanie i nagromadzenie przeszłości w teraźniejszości, uzupełnia myśl tę zaraz ważnym dodatkiem: że świadomość jest także wyprzedzaniem, „antycypacją" przyszłości, jej wyczekiwaniem.» (Rubczyński, str, 162).

26. ...«Centralny system nerwowy, ten psychofizyczny warunek genjalnych uzdolnień...» (Rubczyński, str. 57).

28. «Pomimo ... że świadomość i materja przeciwstawiają się sobie nawzajem, jako byty opatrzone cechami wolności i konieczności, przecież, zdaniem Bergsona, życie znajduje skuteczny sposób przejednania ich, a to

28) Dana nam jest wolność, lecz wolność skazańca wplecionego w koło konieczności.

29) Któż jest sędzią, skazującym nas na wplecenie w koło konieczności, — kto wykonawcą, czyli «mistrzem»?

30) Jakie są paragrafy konieczności?

31) Jaki jest kodeks konieczności? Czem się konieczność zasłania i do jakiego celu zmierza?

32) Jedyny środek pośrednictwa między nami i trybunałem konieczności mamy w modlitwie.

33) Jest niewiadoma i nie dająca się wymierzyć potęga zawarta w modlitwie.

34) Kiedy leżymy na ziemi powaleni przez nieszczęście, kiedy strugi łez wylewamy w kamienie, coś zdobywamy, gdzieś się wdzieramy, stajemy się komuś wszechpotężnemu równymi, kto jest sprawiedliwością i miłosierdziem.

35) On to straszliwemi karami zabija w nas tyranię i zemstę, oducza lekkomyślnej podłości i uczy wewnętrznego nasłuchiwania.

36) Czemuż to czyni zapomocą kar?

37) Czy innych środków niema, oprócz tego badania moralnych sił?

---

nie dzięki czemu innemu, jak temu prostemu faktowi, iż właśnie życie jest wolnością wplatającą się w konieczność i obracającą ją na swoją korzyść.» (Rubczyński, str. 165).

37. «Znany jest zwrot do pewnego stopnia obrazowy w mowie ludzi wierzących, iż Bóg nieraz ciężko doświadcza wiernych Jego przykazaniom

38) Ściska aż do uduszenia żelaznemi szponami, aż do ostatniego podrzutu nieszczęsne serce, ażeby zeń krople świętości wycisnąć.

39) Czy ta sprawa tak jest, w istocie, czy jest to tylko czysto ludzkie, ordynarne, prostackie złudzenie albo jakaś daleka przenośnia?

40) Ktoś ukazuje mi wciąż, wczoraj i dziś, w ciągu długotrwałego życia to potrącenie aż na sam brzeg przepaści i nagłą łaskę odpuszczenia.

41) Ileż to razy głowa moja upadała w ostatniem znużeniu na błogosławioną dłoń spokoju i w łasce dłoni tej spoczywała!

42) O, dziwne, dziwne, dziwne, — o, przedziwne zjawisko!

43) Słabość jest siłą człowieka (James).

44) Jest takie światło, w którego promieniach wszystkie nasze zalety, tarcze i podpory, na naturalnych podporach oparte i w życiu przyjęte rozróżnienia wyglądają na czystą zabawkę dziecinną.

i stałych, jak dotąd, w czci dlań ... Zwrot to jest mianowicie o tyle obrazowy, że Istota wszechwiedna ... nie ma potrzeby dowiadywania się dopiero zapomocą takich doświadczeń, jakim ktoś naprawdę jest, był i będzie». (Rubczyński, str. 432).

43. «[Doświadczenie religijne] pokazuje człowiekowi, że tylko słabość jest jego siłą.» (Cytata z *Pluralistic Universe* Jamesa w przekładzie Wł. Witwickiego, przytoczona u Rubczyńskiego, str. 204).

44. «Jest takie światło, w którego promieniach wszystkie nasze, na naturalnych podstawach oparte, a w życiu potocznem przyjęte rozróżnienia zalety, tarcze i podpory naszych charakterów, wyglądają na czystą zabawkę dziecinną». (Cytata z tegoż źródła; Rubczyński, str. 204).

45) Nie wejdzie w głębsze sfery rzeczywistości nikt, kto się nie potrafi szczerze zaprzeć swej dumy (pychy?), albo nie utraci nadziei co do tego, że potrafi być dobrym wedle własnego prawa (James).

46) W chwilach zupełnego zwątpienia odsłaniają się nam nowe sfery życia (James).

47) Wielki to przełom w życiu duchowem jednostki, gdy ona zaczyna przybierać postawę sędziego wobec cudzych i własnych myśli, postępków, pragnień, uczuć i to sędziego nieuprzedzonego z góry nieprzychylnie ani przychylnie, wytrwałego w poszukiwaniu, co ma orzec.

48) Ta dążność jest rezultatem odczucia potrzeby walki.

49) Popęd samozachowawczy jest pierwszym czynnikiem potrzeby krytyki.

45. «Nie wejdzie w głębsze sfery rzeczywistości nikt, kto się nie potrafi szczere zaprzeć swojej dumy, albo nie straci nadziei na to, że potrafi być dobrym wedle własnego prawa.» (Cytata z tegoż źródła; Rubczyński, str. 205).

46. Dosłowna cytata z tegoż dzieła w tymże przekładzie (Rubczyński, str. 205).

47. «Wielki to zaiste przełom zjawia się w życiu duchowem jednostek i społeczeństw ludzkich, gdy człowiek zaczyna przyjmować postawę sędziego wobec cudzych i własnych myśli, postępków, pragnień, uczuć i to sędziego nieuprzedzonego z góry nieprzychylnie, ani też przychylnie, wytrwałego w poszukiwaniu, co i na podstawie czego, podstawie dla niego całkiem jasnej i oczywistej, ma orzec.» (Rubczyński, str. 401).

48. ....«Pierwsze postacie tego, co nazywamy krytyką .... wypływają widocznie z odczucia potrzeby walki.» (Rubczyński, str. 402).

49. «Popęd samozachowawczy ciągnie człowieka .... do walki z tem, w czem on przeczuwa (albo i wyraźnie przewiduje) dla siebie niebezpieczeństwo lub jakąkolwiek szkodę.» (Rubczyński, str. 402).

50) Krytyka musi być oględna i subtelna.

51) Pasya do poświęceń, spełnianych w ukryciu.

52) «Dobrem jest to, co jednoczy i siebie drugim udziela» — «*Bonum est unificativum et sui communicativum*» (Albert Wielki).

Boska Miłość Zbawiciela jednoczy ludzi i im się udziela.

53) Wszystko polega na zachowaniu ciągłości woli i czujności rozwagi.

[1925]

50. «Krytyka zyskuje nowe przymioty subtelności i oględności, nauczona doświadczeniem olbrzymich nieszczęść, które wyrządza krytyka czysto negatywna....» (Rubczyński, str. 409).

51. «Zapał do poświęceń spełnianych w ukryciu jest czemś zagadkowem dla psychologów, którzy tylko bardzo silną ambicją objaśniają sobie czyny wolne od samolubstwa i t. d.» (Rubczyński, str. 457).

52 [a]. Zdanie Alberta Wielkiego cytowane jest u Rubczyńskiego na str. 490.

52 [b]. ....«Dopiero doświadczenia religijne pierwszych chrześcijan, ich wiara w Boską Miłość Zbawcy, który usiłuje zjednoczyć ludzi i im się udziela, dostarczyły dla owej myśli podstaw sprawdzalnych, przeżywalnych w osobistych bezpośrednich doznaniach.» (Rubczyński, str. 490).

53. ....«Jednostronności w ujmowaniu podstawowych skutecznych pobudek woli .... tłumaczą się przeciętnemi u ogromnej większości .... umysłów praktycznych granicami siły uwagi....» (Rubczyński, str. 456).]

[FRAGMENT BRULIONOWY*]

Ktoś aż do uduszenia, ktoś aż do ostatniego podrzutu ściska nieszczęsne serce moje żelaznemi szponami, żeby z niego krople świętości wycisnąć.

Ktoś trzyma nieskazitelną czarę onyksową i zbiera krople do czary.

Żywe, rzadko ściekające krople świętości jaśnieją w tej czarze.

Czy ta sprawa tak jest w istocie, czy i to jest tylko moje nędzne, prostackie złudzenie?

Ktoś ukazuje mi, to tu, to tam, wczoraj i dziś w całem długoletniem misteryum mego życia łaskę odpuszczenia.

Ileż razy głowa moja nad samą krawędzią przepaści i mgłą upadała w ostatniem znużeniu na błogosławioną dłoń spokoju i w łasce tej właśnie dłoni spoczywała.

* [Jest to najwidoczniej pierwszy rzut pomysłu, który został streszczony w punktach 38—42 ostatnich notat].

O, dziwne, o przedziwne, o niepojęte, o niedocieczone zjawisko!

Ileż razy w długoletniem misteryum mego życia jęczałem po nocy, ileż razy leżałem na ziemi, prosząc się o łaskę Oświecenia!

Wszystko można wyśledzić spokojnym wzrokiem rozumu, wszędzie można zajść światłem nieskazitelnem logicznego wywodu, można ujrzeć jak na dłoni duszę swą istniejącą poza ciałem, bytującą okrom mózgu, lecz nie można Ciebie wyśledzić światłem nieomylnego rozumu.

[1925]

MORZE

Morze zmywa nieskończonem chlustaniem cokolwiek w duszy człowieka jest bojaźnią wobec tyrana, lub wobec tłumu, cokolwiek jest przesądem, zabobonem, co jest zastarzałym błędem myśli, z choroby lub głupoty narosłym.

Morze odmywa i odkurza wszystko, co jest przemijające, podatne, słabe, sypkie, co da się odłamać, oderwać, rozprószyć.

To, co po pracy tych fal w człowieku zostanie, jest już naprawdę twarde i niewzruszone iak skała.

22. I. 25.

[NAPIS]

Śnie wieczny, Śnie wieczny...
Na pograniczu cichego lasu i łąk od wilgoci,
łąk od wielkiego bogactwa traw pachnących, śnie wieczny
Dobrotliwy spoczynku kości znużonych!
W świętej ciszy nocnej pod rosą niebieską,
pod słońcem palącem
aż do zgnicia wszystkiego, co truchleje,
pod ulewnemi deszczami,
które, długo pracując, obmyją, co się ostoi.
Puchy miękkich traw, przelatujące w ciepłym wietrze!
O, urodzone z nas, kwiaty...
Wewnątrz waszych łodyg, w tkankach waszych badylów
krąży ciało i krew.
Wasz zapach, to nasze westchnienia.
Woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry.
Jesteście łkaniem naszych piersi, jesteście płomieniem naszych żył
O, usta nasze i oczy umarłe...

[1902]

PRZYPISY

(Str. 3) *WILGA* (z podtytułem: *Ze zbioru «Elegje»*) była drukowana w *Echu Warszawskiem* 19 kwietnia 1925 r. (Nr. 107). Przedrukowało ją pismo dla młodzieży *W słońcu* w październiku 1925 r. (Nr. 13—14). W przedruku tym dołączona jest do tekstu fotografja z podpisem: «Stefan Żeromski z córeczką, którą opisuje jako małą śpioszkę, opiekunkę psów». — W wydaniu niniejszem oparto się na tekście *Echa Warszawskiego*, poprawiając tylko błędy druku według rękopisu (znajdującego się w posiadaniu p. Władysława Włocha). Między tym rękopisem a pierwodrukiem jest kilka różnic, świadczących, iż Żeromski pewne zmiany wprowadzał w korekcie (w korekcie np. dopiero przybył dwuwiersz o kalinie-Helenie).

(Str. 9) *WYBIEG INSTYNKTU* był drukowany w *Książce zbiorowej ku uczczeniu pierwszej rocznicy istnienia Uniwersytetu Poznańskiego* (Poznań, 1920) i mniej więcej równocześnie w warszawskim tygodniku *Światło* (1920) w zesz. 12—13. Tekst w *Świetle* różni się od tekstu w *Książce zbiorowej* szeregiem zmian stylistycznych i wstawek. Po raz trzeci za życia autora wydrukowano *Wybieg instynktu* w *Księdze pamiątkowej Kielczan 1856—1904* (Warszawa, 1925): tekst ze *Światła* został tu wzbogacony o nazwiska osób, które poprzednio z imion tylko były wymienione Za tą trzecią redakcją poszliśmy w wydaniu niniejszem (tylko oczywiste błędy poprawiając według pierwszych dwóch).

(Str. 21) [*EWAKUACJA KRAKOWA*]: tytuł ten pochodzi od wydawcy. Utwór, napisany prawdopodobnie w roku 1915, drukujemy z niezatytułowanego rękopisu, będącego w posiada-

niu p. Stanisława Piołun-Noyszewskiego; składa się on z trzynastu luźnych, po jednej stronie zapisanych i liczbowanych kartek formatu «handlowego» (29 cm × 22.5 cm) — tego samego, na którym jest napisana rzecz *[W brzasku przedwiośnia]*.

(Str. 30) *Z DZIENNIKA*. Jest to pierwszy utwór, jaki Żeromski drukował w *Głosie* (7 grudnia 1889 r., Nr. 49). Nosi on tam tytuł: *Z Dziennika. I. Psie prawo* i kończy się formułą *d. c. n.* Ze zmienionym podtytułem (*Z dziennika. Pod pierzyną*) i już bez znamion przynależności do jakiegoś cyklicznego projektu powtórzyło ten utwór pierwsze wydanie *Opowiadań* (Warszawa, 1895); z następnych jednak wydań tego zbioru został wyłączony.

(Str. 40) *ELEGJA* była drukowana w *Tygodniku Powszechnym* (wydawanym w Warszawie przez Wiktora Gomulickiego) 2 listopada 1889 r. (Nr. 5). — W trzecim od końca ustępie utworu w zdaniu ostatniem, coś w druku opuszczono. Wydawca pozwolił sobie zapełnić powstałą lukę prawdopodobnym wyrazem w nawiasach.

(Str. 45) *ACH, GDYBYM KIEDY DOŻYŁ TEJ POCIECHY...* Pierwodruk w *Tygodniku Powszechnym* 12 października 1889 r. (Nr. 2). Jest to, zdaje się, pierwsza drukowana rzecz Żeromskiego prozą. Wcześniej były drukowane «sztubackie wierszydła» (wedle określenia samego Żeromskiego w niedatowanym liście do p. Stefana Dembego), mianowicie przekład *Pragnienia* Lermontowa w *Tygodniku Mód i Powieści* 8 lipca 1882 r. (Nr. 27) *Piosnka rolnika* w *Przyjacielu Dzieci* 12 sierpnia 1882 r. (Nr. 32),

PRAGNIENIE
(Z Lermontowa)

Czemum ja nie ptakiem, nie krukiem stepowym,
Co leci tu w górze, nad głową?
Dlaczego nie mogę z obłokiem zimowym
Ulecieć w mą stronę rodową?

Na zachód, na zachód poleciałbym lotem,
Gdzie przodków mych kwitną rozłogi,
Gdzie zamek ich pusty, błyszczący jak złotem,
Gdzie popiół mych ojców śpi drogi!

Na ścianie wiekowej ich puklerz herbowy
I miecz zardzewiały nad drzwiami...
Ja zacząłbym latać i z tarczy rodowej —
Kurz zmiótłbym mojemi skrzydłami!

I arfy ich szkockiej nawiązałbym struny...
I dźwiękby poleciał sklepieniem...
I tak, jako powstał — tak cichy, stłumiony,
Skończyłby się cicho — marzeniem!

Lecz na nic me prośby, lecz na nic me żale...
Co począć z srogiemi losami?
Ten kraj i mój zamek, sterczący na skale,
Wielkiemi rozdarte morzami.

Ostatni potomek zwycięskich szeregów,
Tu więdnę w tym kraju zimowym,
Choć tutaj zrodzony — do innych drżę brzegów...
Ach! czemum nie krukiem stepowym?!

PIOSNKA ROLNIKA

Plonuj, plonuj, ziemio stara!
Ródź mi, matko, ródź!
Oto moja pszenna miara:
Zwróć z nasypką, zwróć!

Może, ziemio moja droga,
Dasz mi cierń i głóg...
Jednak śmiało, w imię Boga!
Wpuszczam w ciebie pług...

Orzę z końca aż do końca,
Mego łanu grzbiet,
Ode wschodu aż po słońca
Zachód — orzę het!...

Tyż mi nagródź, ziemio matko,
Mój tak krwawy trud...
Niech, gdy ciężkie przyjdzie latko,
Dach mój minie głód!

Plonuj, plonuj, ziemio stara!
Ródź mi, matko, ródź!
Oto moja pszenna miara:
Zwróć z nasypką, zwróć!...

(Str. 49) *IN MEMORIAM TADEUSZA MICIŃSKIEGO:* przemówienie to, wygłoszone na uroczystej akademji w teatrze im. Bogusławskiego w Warszawie, dn. 6 marca 1925 r. (przed przedstawieniem dramatu Micińskiego *Kniaź Patiomkin*), drukowane było potem w *Wiadomościach Literackich* 22 marca 1925 r. (Nr. 12).

(Str. 52) *HENRYK BUKOWSKI.* Łączymy tu dwa artykuły o Bukowskim. Pierwszy był drukowany zaraz po jego śmierci w *Tygodniku Illustrowanym* (24 marca 1900 r., Nr. 12), drugi w dwadzieścia pięć lat później w *Świecie* (21 marca 1925, Nr. 12).

(Str. 61) *MARJAN ABRAMOWICZ.* Pierwodruk w *Przeglądzie Warszawskim* Nr. 40 (styczeń 1925).

(Str. 83) *WSPOMNIENIE* było ogłoszone w książce zbiorowej *Pamięci Wilhelma Feldmana* (Kraków, 1922).

(Str. 86) *NA BROŃ...* Pierwodruk tego utworu mieści się w lwowskim tygodniku *Placówka* 1919 r. w Nr. 22 (29 czerwca) i 23 (6 lipca). Stamtąd był on — cały lub częściowo — przedrukowany przez kilka dzienników (*Gazetę Polską* w Warszawie w Nr. 262, *Nową Reformę* w Krakowie w Nr. 297—298, *Nasz Kraj* w Wilnie w Nr. 68). Między innemi krakowski *Ilustrowany Kuryer Codzienny* (1919 r., Nr. 298) powtórzył początkową jego część pod zmienionym tytułem: *Wiarą, bronią i cudem*; jako osobną pozycję bibljograficzną wymieniają ten przedruk p. Stefan Vrtel-Wierczyński w *Bibljografji literatury polskiej za rok 1919* (Lwów, 1926, str. 128) i p. Kazimierz Czachowski w *Gazecie Literackiej* (1927 r., Nr. 2: *Stefan Żeromski. Pisma ogłoszone przez Żeromskiego i nie objęte wydaniami książkowemi. Uzupełnienia*).

(Str. 97) *MIECZYSŁAW JAKIMOWICZ*: wspomnienie to było drukowane w miesięczniku *Rok Polski* (w Krakowie) we wrześniu 1917 r. (Nr. 9).

(Str. 103) *W SPRAWIE MACHAJSKIEGO.* Pierwodruk — w *Nowej Reformie* 7 lutego 1911 r. (Nr. 60) — poprzedzony jest słowami redakcji: «Otrzymujemy następujący list z Paryża z prośbą o zamieszczenie».

W *Księdze pamiątkowej Kielczan* (1925) znajdujemy następujący krótki życiorys Machajskiego (str. 263):

Machajski Wacław — jako student medycyny uniwers. warszaw. za udział w Związku Młodzieży Polskiej i przewożenie patrjotycznej literatury nielegalnej więziony najprzód w Krakowie, a następnie w Warszawie, zostaje skazany na zesłanie na Syberję. Tam następuje przewrót w jego pojęciach i z narodowca przeobraża się w skrajnego komunistę; tworzy własną teorję anarchizmu i skupia koło siebie zwolenników — zwanych «machajowcami», przeciwstawiających się udziałowi inteligencji w ruchu robotniczym. Machajskiemu przypisują maksymę *«dołoj gramotnyje»*. Po powrocie z Syberji przebywa jakiś czas w Zakopanem, gdzie aresztowany, a następnie wydalony z granic Austrji udaje się do Paryża. Tam przebywa do wybuchu rewolucji w Rosji, poczem na specjalnym statku, wysłanym przez rząd Kiereńskiego po emigrantów rosyjskich, udaje się do Rosji, gdzie dotąd pozostaje.

Machajski jest wspominany w *Wybiegu instynktu*, a był on także podobno (wedle relacji kilku osób, które blisko znały Żeromskiego) prototypem Andrzeja Radka z *Syzyfowych prac*. Z biegiem lat oddalili się od siebie szkolni przyjaciele. Już w r. 1892, zetknąwszy się z Machajskim w Zürichu, pisał Żeromski do narzeczonej (20 stycznia):

«Spotkałem się ze znajomymi i... zdążyłem już zauważyć przedział, istniejący między mną a nimi, — szczególniej zaś przedział między mną i Wackiem. On się zmienił bardzo, a przynajmniej o tyle, że nie można się zejść po bratersku, jak dawniej».

A w innym liście (25 stycznia) znowu:

«Dziś się rzadko widujemy, a widząc się mało sobie mamy do powiedzenia. Łudziłem się, że to umysł i serce — to jeden z wielu postępowców, wyśmiewających dziś to, za co wczoraj gardło dawał. Śmiech bierze patrzeć na to wszystko...»

I jeszcze (29 stycznia):

«Wacek z wyżyn doktrynek, jakie obecnie trzyma w pachcie, zarzuca mi wstecznictwo, konserwatyzm, filisteryję. Ja z nim — obecnie — nic prawie nie mam wspólnego... Czasami razem pijemy piwo i palemy jedne cygara, uczestniczemy w jednej rozmowie koleżeńskiej. Jest to szlachetny chłopiec, dobry doktryner, ale ani podobny do dawnego Wacka».

Wiosną r. 1913, przygotowujac się do pisania *Walki z szatanem*, rozczytywał się Żeromski w Sorelu i literaturze syndykalistycznej; napisał też wówczas do Machajskiego z prośbą, aby mu przysłał «najbardziej zasadniczą swoją broszurę». I oto wrażenie z niej (w kartce z 3 czerwca 1913 r.):

«Mach. przysłał mi swoją ostatnią pracę. Po zapoznaniu się dokładnem z całą prawie literaturą tego rodzaju we Francyi widzę, jakie to jego pisanie jest utrapione, wschodnie i bez wartości. Tamci podnoszą rzeczy cudowne i nad wyraz uczciwe, mądre, nowoczesne, z życia wzięte i najwznioślejsze, a ten tylko słowa, słowa i słowa bez końca...»

(Str. 115) *ORGANIZACJA I PROGRAM TEATRU NARODOWEGO W WARSZAWIE*: jest to odpowiedź na ankietę, rozpisaną przez ówczesnego redaktora *Przeglądu Warszawskiego* p. Mieczysława Tretera; drukowano ją w tem piśmie w Nr. 42 (marzec 1925 r.).

(Str. 118) *W ODPOWIEDZI ARCYBASZEWOWI I INNYM*. Drukujemy tutaj pod jednym tytułem dwa artykuły polemiczne Żeromskiego, ogłoszone w *Echu Warszawskiem*. Pierwszy — pod nagłówkiem, który tu nadajemy całości — ukazał się 25 lutego 1925 r. (Nr. 56) i był odpowiedzią na następujące pismo M. Arcybaszewa opublikowane w rosyjskim dzienniku *Za Swobodu* (Warszawa, 23 lutego 1925 r., Nr. 52):

LIST OTWARTY DO P. ŻEROMSKIEGO

Szanowny Kolego!

Jakkolwiek już do pewnego stopnia nauczyłem się po polsku, jednakże nie na tyle, aby móc przeczytać w oryginale ostatnią Pańską powieść *Przedwiośnie*.

Lecz znam Pana z dawniejszych Pańskich utworów i uważam Pana za jednego z najlepszych pisarzy-artystów we współczesnej literaturze polskiej.

Tem bardziej nieoczekiwana była dla mnie wiadomość, że w Pańskiej powieści znajduje się następujący *passus*:

«Budował wraz z innymi skrytki w skalnych pieczarach i w labiryncie starych murów w celu przechowywania zakazanych książek nieprzyzwoitych wierszy Puszkina i innych pornografów».

Nie dowierzając swojej znajomości polszczyzny, zwróciłem się do znajomego literata, który upewnił mię, że ostatnie zdanie brzmi właśnie tak:

— ...nieprzyzwoitych wierszy Puszkina i innych pornografów.

Czy w języku polskim logiczny związek wyrazów jest inny, niż w rosyjskim, czy też to zdanie rzeczywiście wyraża Pański pogląd na największego z rosyjskich poetów jako na pornografa jedynie?

Mógłbym myśleć, że to jest tylko omyłka stylistyczna, ale tego trudno się spodziewać po tak subtelnym styliście, jak Pan.

Przypuścić z Pańskiej strony najzupełniejszą nieznajomość literatury rosyjskiej? — nie mogę.

To mogło być napisane tylko przez skrajnego szowinistę, dla którego dawna Rosja tak jest nienawistna, że nawet Puszkin jest dla niego tylko pretekstem dla wypowiedzenia własnej nienawiści.

Z szacunku dla pisarza i artysty odrzucam takie przypuszczenie. Szowinista i pisarz to dla mnie pojęcia nie godzące się z sobą.

Albowiem wiele jest na świecie różnych krajów i narodów, wiele czyni się pomiędzy niemi niesprawiedliwości i nawet zbrodni, ale jest i powinno być coś, co stoi wyżej i od miłości własnej ojczyzny i od nienawiści ku jej wrogom.

To — sztuka, której zadaniem jest wszechludzkie zjednoczenie wbrew granicom państw, wbrew omyłkom i zbrodniom polityki.

Jako obywatele swego kraju, mamy prawo żywić polityczne sympatje i antypatje, ale jako pisarze i artyści, jako słudzy wszechludzkiej kultury, powinniśmy być ponad antagonizmami narodowemi.

Posługując się sztuką dla wyrównywania rachunków politycznych, dopuszczamy się największej zbrodni — zdrady wieczności dla doczesności, poniżamy i naszą własną sprawę i naszą osobistą pisarską godność.

Zastosowanie do jednego z największych poetów epitetu «pornograf» jest tak niedorzeczną i potworną obrazą, że nie chcę wierzyć, żeby wyszło z ust prawdziwego pisarza.

Oczywiście, wiem, i wszyscy wiedzą, że w dniach swojej młodości, w czadzie młodzieńczej łobuzerki, Puszkin napisał kilka żartobliwych i dosyć pikantnych wierszy. Lecz wiem także, że podobne nieprzyzwoite żarty wychodziły z pod pióra i wielu innych wszechświatowych poetów. W tych dniach właśnie pewien pisarz polski recytował mi wiersze Mickiewicza, których treść jest taka, że nie mogę ich tutaj przytoczyć, ale nigdy, będąc przy zdrowych zmysłach i w pełni przytomności, nie zdecydowałbym się powiedzieć: «Mickiewicz i inni pornografowie».

I nietylko dlatego że wysoko cenię literaturę polską (dowiodłem tego niedawno artykułem swoim o Henryku Sienkiewiczu), ale i dlatego że, jako pisarz, należę do tego wspaniałego zakonu, którego obowiązkiem jest pracować dla zjednoczenia narodów, a nie rozpalać w nich ślepą złość nacjonalistyczną.

Ten zakon — to literatura wszechświatowa.

Ta literatura, dla której, zaiste, niema ani Helleńczyka ani Judejczyka, i w której każdy genjusz prawnie zajmuje swoje miejsce, z jakiegokolwiekby kraju pochodził.

Nie mogę Panu wypowiedzieć jak boleśnie zranił mię ten wypadek. I, raz jeszcze, nie dlatego, że jestem Rosjaninem.

Nie chcę wierzyć, że Pan napisał to, zdając sobie całkowicie sprawę ze znaczenia swoich słów.

Albowiem nazbyt poważam literaturę polską, aby przypuścić z Pańskiej strony i bez protestu ze strony innych polskich pisarzy, taką bezmyślną obrazę największego rosyjskiego poety i rosyjskiej literatury wogóle.

Dziennik *Za Swobodu* ogłosił 28 lutego 1925 r. (Nr. 57) przekład artykułu *W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym* z następującym dopiskiem Arcybaszewa:

Oznajmiając, że w odpowiedzi p. Żeromskiego znajduję zupełne dla siebie zadośćuczynienie, nie mogę równocześnie powstrzymać się od wyrażenia zarówno najgłębszego swego zadowolenia z tego, że utalentowany pisarz polski tak stanowczo się uchylił od bolszewickich pochwał, jak i pewnego zdziwienia z powodu tej części jego listu, w której mówi o mnie osobiście.

Przedewszystkiem wydaje mi się bardzo dziwnem, że p. Żeromski, utożsamia mię z tymi, «którzy tej książki nie czytali, a wydają o niej swoje opinje».

To w żadnej mierze nie może się odnosić do mnie, gdyż ja żadnej

opinji o książce nie wypowiadałem i powieści, jako takiej, zupełnie nie tykałem.

Ja w sposób zupełnie określony i ścisły zadałem pytanie w przedmiocie jednego wyrażenia, obraźliwego dla pamięci wielkiego poety, zupełnie niezależnie od treści całej powieści.

Powtóre, każdy, kto czytał mój list do p. Żeromskiego, potwierdzi niewątpliwie, że nie ujawnia się w nim bynajmniej chęć «udowodnienia kto to jest Puszkin», a tem bardziej — «powiedzenia o nim czegoś nowego».

Jest rzeczą aż nadto widoczną, że cel i sens mego listu były zupełnie inne

Nie wiem, o ile list mój był *«per longum et latum»*, lecz zdaje mi się że p. Żeromski nierównie obszerniej dowodzi mi powszechnie znanej prawdy, iż pisarza nie można utożsamiać z bohaterami jego utworów.

Wyrażenie, z powodu którego nastąpiła wymiana listów między nami, nie jest włożone przez p. Żeromskiego w usta czy myśli jego bohatera, lecz znajduje się w uwadze autorskiej, i dlatego nie może być mowy o «bezapelacyjnem utożsamieniu».

Ta to właśnie okoliczność wywołała mój list, daleki od wszelkiej «bezceremonjalności i wymachiwania nad głową», podyktowany przez szczery ból duchowy i męczące zdumienie.

Owo zdumienie wyraziłem w tem właśnie miejscu listu, w którem mówię, że wyrażenie «Puszkina i innych pornografów» mógłby napisać tylko człowiek absolutnie nie znający Puszkina, albo człowiek zaciekle nienawidzący wszystkiego co rosyjskie.

Znając mię, można być pewnym, że, gdybym w sposób określony dodejrzewał o to p Żeromskiego, to albobym wcale się do niego nie był zwrócił z «listem otwartym», albobym się był zwrócił w zupełnie innym tonie.

Nie, przypuszczałem, że szanowny pisarz poprostu nie przemyślał tego wyrażenia do końca; i dziś słuszność tego przypuszczenia potwierdzona jest w zupełności przez niego samego, albowiem p. Żeromski, nazywając Puszkina największym poetą nietylko rosyjskim, ale i słowiańskim wogóle, z oburzeniem odrzuca możliwość świadomego połączenia imienia tego poety z epitetem «pornograf».

Jeśli dodać do tego obietnicę szanownego pisarza, że zmieni nieszczęśliwe wyrażenie w następnem wydaniu i w tłumaczeniach swojej książki, obietnicę, której, oczywiście, święcie wierzę, to incydent można uważać za wyczerpany.

Wcześniej jeszcze, bo 24 lutego zabrał głos w tej sprawie L[eon] K[ozłowski] na łamach *Kurjera Porannego* (Nr. 55) w artykule pod tyt. *O Puszkina*. Streściwszy list otwarty Arcybaszewa, dodawał od siebie co następuje:

List p. Arcybaszewa napisany z całą szczerością, która wogóle cechuje tego pisarza, wymaga zupełnie szczerej odpowiedzi.

Autor *Przedwiośnia* z pewnością sam zechce odpowiedzieć na ten list

tłumacząc, w jakiem znaczeniu i w jakiej intencji użył epitetu, który tak zabolał rosyjskiego pisarza.

Epitet «pornograf» w zastosowaniu do autora *Onięgina* istotnie jest niespodziewany. Powieści i poematy Puszkina można dać do rąk podlotka, bez obawy zgorszenia, i nie znajdzie się w nich ani jedna z tych scen i opisów drastycznych tak zwykłych dziś nawet u bardzo szanownych autorów, których za te sceny jednak nie nazywamy «pornografami». O poecie nie stanowi kilka wierszy «swywolnych», do druku przez autora nie przeznaczonych, co do tego M. Arcybaszew ma zupełną rację. Ale pisarz rosyjski, wylewając swój kielich goryczy w liście do pisarza polskiego, wypowiada jeszcze i myśli, w których nie ma racji.

Powiada, że sztuka stoi ponad nienawiścią narodów, że pisarz prawdziwy nie daje tym uczuciom wyrazu w swojej twórczości. Niestety, tak nie jest. I między innymi właśnie Puszkin jest jednym z największych artystów w literaturze, a jednak nie lubił Polski i Polaków, a uczuciom tym wyraz dawał nawet w swoich utworach poetyckich.

Antypolskie wiersze Puszkina są, prawda, drobnym szczegółem w twórczości Puszkina, są zaledwie strumieniem we wspaniałem morzu jego poezji. Ale z tego strumienia zmuszano pić polskie dzieci. W szkołach rosyjskich w b. Królestwie Polskiem zmuszano młodzież polską recytować te wiersze Puszkina. Nie zachęcało to naturalnie młodzieży polskiej do zapoznawania się z poezją puszkinowską i wogóle z literaturą rosyjską, którą narzucano przemocą.

Nie powinien więc dziwić się M. Arcybaszew, że to pokolenie polskie, które przeszło szkołę rusyfikacyjną, nie zna Puszkina. Dopiero teraz, przyszedł czas, kiedy polskie społeczeństwo może z dobrej i nieprzymuszonej woli zaznajamiać się z literaturą Rosji i jej największym poetą. Dowodem, że tę dobrą wolę polskie społeczeństwo ma, jest chociażby to, że krakowska *Bibljoteka Narodowa* w liczbie arcydzieł literatury wszechświatowej wydaje i dzieła Puszkina.

Na te to wystąpienia odpowiedział Żeromski artykułem, który tu drukujemy pod liczbą II. Nosi on tytuł *Jeszcze o swawolnych wierszach Puszkina* i ukazał się 4 marca 1925 r. (Nr. 63). Przesyłając go, pisał Żeromski do p. Władysława Włocha, redaktora *Echa Warszawskiego*:

«Przesyłam notatkę już ostatnią. Chcę zamknąć tę niemiłą rozmowę, ale chcę też powiedzieć prawdę o pornografii Puszkina. Może to zamknie usteczka wszystkim».

Leon Kozłowski odpowiedział w *Kurjerze Porannym* 9 marca (Nr. 68). Streściwszy artykuł Żeromskiego i zacytowawszy apostrofę do siebie, pisał:

Naturalnie, nigdybym nie zalecał dawać podlotkom *Gawriljady* i innych swawolnych wierszy Puszkina, których istnieniu bynajmniej nie zaprzeczałem w swoim artykule. Ale jeżeli ośmielam się powtórzyć, że «poematy i powieści Puszkina można dać do rąk podlotkom, bez obawy zgorszenia», to dlatego, że popularne, dostępne dla wszystkich wydania Puszkina tych utworów wcale nie zawierają. Tak zwane zaś «naukowe» wydania Puszkina, które przez swoją wielotomowość i obfitość komentarzy i przypisów mało są dostępne dla szerszej publiczności, zawierają z wymienionych wyżej utworów te, które istotnie do Puszkina należą, ale wykropkowane, bez tych »szczegółów i perypetyj», na których przytoczenie nie pozwala «pruderja», że użyję terminów z *Przedwiośnia.*

Gdyby znakomity pisarz zechciał zajrzeć do jednego z tych krytycznych wydań Puszkina (np. Brockhauza), toby przekonał się przedewszystkiem, że zupełnie nie można polegać na londyńskiem wydaniu z r. 1861.

Swawolne wiersze, które Puszkin czytał dla zabawy w kółku przyjaciół, zapisywane potem z pamięci, przepisywane przez amatorów rzeczy tego rodzaju, naturalnie uległy wielkiej zmianie wprzód, nim po wielu latach, po raz pierwszy zostały wydrukowane zagranicą. Dorabiano do nich «dalsze ciągi i końce», zmieniano tekst, przypisywano Puszkinowi takie rzeczy, których wcale nie pisał. Potrzeba było mrówczej, subtelnej pracy puszkinologów, aby ustalić, co istotnie należy do Puszkina w erotykach jemu przypisywanych.

Otóż z utworów, które wymienia Żeromski, Puszkina jest *Gawriljada* — swawolny i bluźnierczy jednocześnie poemacik, wzorowany na analogicznych utworach francuskiej literatury 18 w. Puszkina jest również początek bajki *Car Nikita*. Wątpliwy jest wiersz *Wisznia.*

Wszystko to są utwory młodzieńcze. Co się zaś tyczy *Pierwoj noczi braka* i *Wieczerniej progułki*, która szczególnie oburza naszego pisarza, jako rzecz «wysoce plugawa» i nosząca późniejszą datę, bo r. 1829, to t e r z e c z y n i e f i g u r u j ą w c a l e w u s t a l o n y m w w y n i k u b a d a ń k r y t y c z n y c h s p i s i e u t w o r ó w P u s z k i n a. Zaznaczę również dla ścisłości, że w r. 1829 nie zwracał się wcale Puszkin do Mickiewicza; wiersz *Mickiewicz* napisany w r. 1834, a *Jeździec Miedziany*, który jest poetycką odpowiedzią Puszkina na *Petersburg* Mickiewicza, w r. 1833...

...Ale wróćmy do swawolnych wierszy Puszkina. Bądź co bądź, los chciał, aby do rąk «podlotka» Baryki w Baku trafiło owo tak rzadkie dziś londyńskie z r. 1861 wydanie erotycznych utworów rzekomo Puszkina i one to «niejedno może w jego czystej duszy splugawiły».

Wziął tę książkę z bibljoteki ojca swego.

Wiemy teraz przynajmniej, kto tu zawinił: stary Baryka, bo gdyby nie przechowywał u siebie tej książki, nie mielibyśmy ani przykładu złego wpływu Puszkina na podlotków, ani polemiki dzisiejszej.

Sądzę jednak, że i tu Żeromski, mając żal do Puszkina za zgubny wpływ na «podlotka», ten wpływ nieco wyolbrzymia, z dalszych bowiem losów młodego Baryki, a zwłaszcza z jego przygód w Nawłoci widzimy, że nie był on już tak zepsuty i miał o miłości czystsze i zdrowsze pojęcia niż pani Laura, która *Gawriljady* wcale nie czytała.

Przedrukowując artykuły Żeromskiego według *Echa Warszawskiego*, kilka erratów poprawiliśmy według rękopisu, znajdującego się w posiadaniu p. Władysława Włocha.

Z pewną częścią artykułu *W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym* spokrewniony jest treściowo wywiad z Żeromskim, zreferowany przez p. M. Ładę (pod tyt. *Słów kilka ze Stefanem Żeromskim*) w czasopiśmie *Czyn Młodzieży* (maj 1925 r., Nr. 2). «Pomimo braku czasu i niezdrowia, — czytamy tam — Stefan Żeromski udzielił nam paru chwil rozmowy. Na rzucone... pytania [o intencjach *Przedwiośnia*] głębia ciemnych oczu, tych oczu, które siłą dziwnie kontrastują z siwizną głowy, zamąciła się jakby zadumą»:

«A jednak, rzeczywiście, pisząc tę książkę, nie myślałem o młodzieży» — wyrzekł Żeromski.

«Pokolenia wojennego i powojennego prawie nie znam — nie przeżywałem tego».

«Nie miałem też zamiaru wskazywać drogi ideowej».

«A ideał leży gdzieś blisko, obok, tylko ręką sięgnąć...»

«W *Przedwiośniu* chciałem uderzyć, jak to mówią, «pałką w łeb», a trafiłem w to poczciwe polskie serce».

«Ja, osobiście, widzę zapowiedź lepszego jutra w regjonaliźmie, t. j. w dążeniu do zdecentralizowania życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego w Polsce i w pracy pozytywnej zrzeszeń inteligencji. To się już wykazuje w dokonanem niedawno porozumieniu się 144-ch stowarzyszeń intelig. i połączeniu się z takąż organizacją we Francji».

«Zrzeszona inteligencja każe zamilknąć partyjności!»

«Obecnie, jedynie praca pozytywna, twórcza i celowa jest symbolem Polski».

«Te rzeczy omówię w dziełach nad któremi pracuję», zakończył Żeromski, «a które ukażą się wkrótce».

(Str. 127) [*JOSEPH CONRAD — AUTOR RODAK*]. Łączymy tu dwa artykuły Żeromskiego o Conradzie, łącząc zarazem ich nagłówki. Pierwszy — pod tytułem *Joseph Conrad* — był ogłoszony w *Wiadomościach Literackich* 17 sierpnia 1924 r. (Nr. 33). Drugi — pod tytułem *Autor Rodak* — drukowany był w miesięczniku *Naokoło Świata* w lutym 1925 r. Na jego czele umieszczone tam było *facsimile* następującego listu Conrada, wyjaśniającego ów tytuł:

Oswalds, Bishopsbourne, Kent, 25 Marca 23.

Kochany i łaskawy Panie

Przesyłam Panu moją książkę *Notes on Life and Letters*. Nigdy bym się [nie] ośmielił gdyby nie to że Aniela Zagórska pisała mi nie dawno że Pan życzy ją mieć. Złożona ona jest z kawałków dziennikarstwa — w każdym razie z kontrybucji do dzienników, przez długi ciąg lat.

Zaraz po odczytaniu kochanego Pana wspaniałej Przedmowy do *Almayer's Folly* prosiłem Anielę żeby Panu wyraziła wdzięczność moją za sprawioną mi łaskę. Co do mnie to wyznaję, że nie mam wyrazów by opisać Panu moje głębokie wzruszenie przed tem zaszczytnem świadectwem od Ojczyzny przemawiającej głosem kochanego Pana — największego Mistrza jej literatury!

Składam łaskawemu Panu najserdeczniejsze dzięki za czas, myśl i pracę którą mi poświęcił, i za sympatyczne ocenienie, które odkryło rodaka w Autorze.

Z największą wdzięcznością jestem kochanego Pana zawsze wiernym sługą. J. K. Korzeniowski.

P. S. Książka idzie osobno jutro.

W końcu r. 1923 Żeromski posłał Conradowi egzemplarz wydanego wtedy *Międzymorza* z następującą dedykacją (porów. *Ruch Literacki* 1927, str. 159):

«Czcigodny Pan Joseph Conrad raczy przyjąć ten opis półwyspu na polskiem morzu, jako wyraz hołdu

fana Żeromskiego: Polski oddział P. E. N. Clubu. Wywiad specjalny Wiadomości Literackich (drukowanym w Nr. 51 tego pisma, 21 grudnia 1924 r.), podpisanym pseudonimem Ixion:

— «Przystępuję w najbliższej przyszłości — mówi nam Żeromski — do utworzenia nowego u nas literackiego ośrodka. Będzie to polski odłam głośnej instytucji *P. E. N. Club* w Londynie *(Playwrights, Essayists, Novelists).* Jest to międzynarodowy klub pisarzy, stojący zdala od wszelkiej polityki i zajmujący się wyłącznie literaturą. Należą doń najwybitniejsi pisarze Anglji, Francji, Niemiec, Włoch, Belgji, Norwegji, Holandji, Stanów Zjednoczonych i t. d.»

— Jest pan członkiem honorowym tego klubu.]

— «Kilka miesięcy temu okazano mi ten zaszczyt. Jako członek honorowy *P. E. N. Clubu* otrzymałem szereg listów domagających się założenia filii polskiej. Musimy to zrobić. Będzie to jedno z naszych okien na Europę. Członkowie klubu we wszystkich krajach wyświadczają sobie wzajemnie usługi, mają w podróżach zapewnioną pomoc i opiekę ze strony oddziałów klubu, do których zwracają się przedewszystkiem po przybyciu do danego kraju. Każdy wybitniejszy pisarz, przyjeżdzając do Polski, będzie wiedział do kogo się tu zwrócić. Tak samo nasi pisarze, członkowie *P. E. N. Clubu,* będą mieli wszędzie szereg udogodnień. W Londynie klub zapewnia nawet kilkudniowy bezpłatny pobyt swym członkom cudzoziemcom. Można więc tworzyć tak nam potrzebny kontakt ze światem literatury zagranicą».

— I zbliżenie ludzi pióra wewnątrz kraju...

— «Właśnie. Dobrego zbliżenia jeszcze niema.

A skutki? Mieliśmy niedawno parę przykrych doświadczeń, jak się u nas traktuje literatów».

— Jak pan wyobraża sobie organizację nowego klubu?

— «Musimy mieć własny lokal, gdzie moglibyśmy się z przyjemnością spotykać. Będziemy tam mieli bibljotekę i własne archiwum. Takie archiwum jest bardzo potrzebne. Gdzie, naprzykład, podziewają się rękopisy naszych najwybitniejszych pisarzy? Giną w redakcjach i drukarniach. Wszędzie na świecie rękopis jest bardzo cennym dokumentem. Tylko nie u nas. Pozatem wyłoni się szereg spraw zawodowych, które tylko w klubie ściśle literackim mogą znaleźć należytą opiekę».

— Kiedy odbędzie się pierwsze zebranie organizacyjne?

— «Zamierzam je zwołać jeszcze w roku bieżącym. Przewiduję, że to nie pójdzie tak łatwo, bo nasi pisarze, z krzywdą dla samych siebie, lubią chodzić samopas. Wiedzą nawet, ile na tem tracą, ale nie mogą przezwyciężyć swoich samotniczych usposobień. Wierzę jednak, że potrafimy się wreszcie zorganizować».

— A tak gorąco popierana przez pana sprawa akademji literackiej?

— «Myślę, że właśnie po utworzeniu klubu i w tym kierunku łatwiej będzie tę rzecz zrealizować. W tych dniach ukaże się drugie wydanie mojej broszury o konieczności powołania u nas akademji literackiej. Od czasu kiedy po raz pierwszy rzuciłem ten projekt, życie przyniosło niejeden argument na poparcie moich wywodów. Jak już pisałem w *Wiadomościach Literackich,* akademja byłaby naszym sądem sprawiedliwym, gdyż my jedni wiemy, kto w naszej sztuce jest majstrem, a kto fuszerem. Byłaby zarazem wieżą strażniczą, sygnalizującą wiekuistą nowość. Miałaby książki, czasopisma i wszelkie źródła nowe. Przez dyskusje,

odczyty, rozmowy i wpływy podniosłaby poziom naszego życia, a co najważniejsza, przeniosłaby ogół pracowników z kawiarni, z jałowej i głuchej samotności, w której pokutuje rutyna i snobizm, do sali obrad, na literackie agora, gdzie ścierałyby się najświetniejsze szpady krytycyzmu. Klub, a potem akademja podniosą autorytet pisarza polskiego, tak dzisiaj niemocny».

(Str. 165) *PRZEMÓWIENIE O SIENKIEWICZU* przygotowane było zapewne jeszcze w końcu r. 1916 na akademję żałobną ku czci Sienkiewicza w Zakopanem. Drukujemy je z rękopisu (stanowiącego własność p. Stanisława Piołun-Noyszewskiego). Składa się on z 17 luźnych kartek linjowanego papieru (formatu 29 cm × 22 cm), zapisanych po jednej stronie i liczbowanych od 1 do 16 (ostatnia kartka jest nieliczbowana). Nagłówek brzmi: *Przemówienie o Sienkiewiczu przez S. Żeromskiego.* Na końcu skryptu znajduje się podpis: S. Żeromski.

(Str. 178) «*O CZYSTOŚĆ I POPRAWNOŚĆ JĘZYKA*». Artykuł ten był ogłoszony w czasopiśmie *Język Polski* (Kraków) w r. 1916 (Nr. 5—6).

Nie było to pierwsze wystąpienie Żeromskiego w obronie własnego języka.

W r. 1901 w *Poradniku Językowym*, wydawanym w Krakowie przez p. Romana Zawilińskiego, w Nr. 6, w rubryce *Zapytania i odpowiedzi*, pojawiła się następująca notatka:

163 (A. Dr.) *Nie mógł przyjść do siebie* (Żeromski *Utw. pow.* Warsz. 1900, str. 250). Jestto rusycyzm zam. opamiętać się, przyjść do przytomności. — [Od Redakcji:] Mógłby być i germanizm, ponieważ i w niemieckiem napotykamy zwrot *zu sich kommen*.

Żeromski zareagował na tę notatkę listem do redakcji *Poradnika Językowego*, który został ogłoszony w Nr. 7, w rubryce *Dyskusja*, w następującej postaci:

CZY «PRZYJŚĆ DO SIEBIE» JEST RUSYCYZMEM?

Do p. 163 w nrze 6 otrzymaliśmy od p. Stefana Żeromskiego list tej treści:

«Autor notatki, ukrywający swe nazwisko pod literami A. Dr. udowodnił w niej nieznajomość dwu języków: rosyjskiego i polskiego. W języku rosyjskim niema wcale zwrotu *pridti do siebia*, jest natomiast tylko *pridti w siebia*, więc wyrażenie *przyjść do siebie* nie jest wcale rusycyzmem. Zwrot przezemnie użyty *(przyjść do siebie)* jest nawskróś, odwiecznie polskim i dziś powszechnie używanym w okolicach rdzennie polskich.

Jako dowód jego polskości służy *Słownik* Lindego, który go cytuje, jako polski i podaje wzory użycia wyjęte: 1) z pism Skargi *(Roczne dzieje kościelne)* — «Zasmucony od rozumu odszedł i ledwo kiedy *do siebie przychodził*», — 2) z ks. Perzyny *(Lekarz wiejski)* «kto się zaraz w początkach choroby kładzie, ten prędko *przychodzi do siebie*».

Słownik Wileński, pod wyrazem *przychodzić, przyjść* wylicza, jako polskie zwroty: — «przyjść do siebie, przychodzi do siebie, przyszedł zupełnie do siebie (w znaczeniu) odzyskiwać przytomność, siły, zdrowie».

Jestem wielbicielem dążeń *Poradnika Językowego* i najżarliwiej go studyuję. Wdzięczny jestem każdemu znawcy mowy wytykającemu w pisaninach moich błąd (osobliwie rusycyzm) jeśli nim istotnie zachwaszczam język. Ale drukowanie na indeksie, gdzie uszeregowane są najgrubsze błędy gwary dziennikarskiej, zwrotów mowy najszczerzej polskich, w piśmie poświęconem czystości języka, do której wszyscy dążymy z całej duszy i ze wszystkich sił, może tylko oburzać.

Upraszam Szanownego Pana Redaktora o podanie do wiadomości, że wyrażenie *nie mógł przyjść do siebie* — rusycyzmem ani germanizmem nie jest,

że j e s t z w r o t e m c z y s t o p o l s k i m, którego, jeśli wola czyja, używać można i należy, jak powietrza i wody».

(Str. 192) *SĘDZIA — «OBRUSITIEL»*. Artykuł ten, którego wielką część zajmuje streszczenie powieści Pokrowskiego i wyjątki z niej, drukowany był w sześciu odcinkach *Nowej Reformy*, od 10 do 16 kwietnia 1892 r. (Nr. 83—88). Tylko ostatni odcinek jest podpisany: literami M. E. — Podobnych inicjałów (mianowicie: Maur. Eż.) użył Żeromski drukując w tem piśmie nieco wcześniej dwa *Szkice etnograficzne;* były to nowele: *I. Do swego Boga* (20 marca 1892 r., Nr. 66) i *II. Poganin* (25 marca 1892 r., Nr. 70), później wcielone do zbioru *Rozdziobią nas kruki, wrony*. Jeszcze wcześniej (15—17 lipca 1890 r.) był ogłoszony w *Nowej Reformie* (Nr. 160—162) *Niedobitek* («Wspomnienie. Nakreślił Stefan Omżerski»). — Do artykułu *Sędzia — «obrusitiel»* odnoszą się następujące słowa listu Żeromskiego do narzeczonej z 17 kwietnia 1892 r.: «Wyszedł w sześciu numerach B-w [t. j. *Blednow*], zapłacono zań dwadzieścia kilka reńskich»...

(Str. 196) *«HRABIA AUGUST»:* recenzja ta ukazała się w *Głosie* 13 września 1890 r. (Nr. 37) w rubryce *Sprawozdania naukowe i literackie.*

(Str. 205) *PORT W GDYNI* drukowany był (na naczelnem miejscu) w książce *Pisarze polscy kresom zachodnim* (Warszawa, 1925).

(Str. 208) *ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE* drukowana była 15 maja 1925 r. w *Harcerzu*, dwutygodniku młodzieży harcerskiej (w Warszawie), w numerze (Nr. 9) poświęconym Mazurom pruskim.

(Str. 212) *ŚLASKI I WILCZEK.* Pierwodruk w piśmie *Podoficer* (Warszawa, marzec 1925 r. Nr. 1). W skróconym wywodzie myśl tej odezwy powtórzona została w artykule *Nowa Warszawa* (wcielonym do zbioru *Bicze z piasku*, Warszawa, 1925).

(Str. 215) *SPRAWA KASY IM. MIANOWSKIEGO.* Artykuł ten ukazał się 1 stycznia 1924 r. w *Kurjerze Warszawskim* (Nr. 1), a potem był przedrukowany w osobnej broszurze (Warszawa, 1924, str. 14 i 1 nieliczb.) nakładem samejże Kasy im. Mianowskiego. Pomiędzy pierwszem a drugiem wydaniem jest kilka różnic. Poszliśmy naogół za drugiem, przywracając tylko (na str. 220) wyrażenie «i zarządy banków» przez niedopatrzenie, zdaje się, opuszczone. Inne zmiany były poczynione zapewne na życzenie zarządu Kasy. Nazwana w *Kurjerze Warszawskim* «instytucją organizacyjno-naukową», w broszurze jest Kasa nazwana «centralną instytucją organizacyjno-naukową». Jaskrawe wyrażenie pierwszej redakcji przedostatniego ustępu: «instytucja — dogasa» — zostało w drugiej złagodzone na: «nie posiada dostatecznych środków». Trudno wiedzieć dlaczego w drugiej redakcji została usunięta wzmianka o Towarzystwie Naukowem Warszawskiem («Jeżeli nie razi nikogo z magnatów tej ziemi lokal Towarzystwa naukowego i Kasy im. Mianowskiego...»; por. s. 219).

(Str. 224) [*W SPRAWIE GRUZJI*]. Odezwa ta (z datą 17. V. 1923) była drukowana (bez tytułu) w jednodniówce *Pro Patria — 26/V — ku uczczeniu piątej rocznicy ogłoszenia niepodległości Gruzji* (Warszawa, 1923).

(Str. 226) *KU CZCI FRANCISZKA NULLO.* Pierwodruk w *Kurjerze Warszawskim* 25 kwietnia 1923 r. (Nr. 113).

(Str. 230) *«LATARNIA»*. Odezwa ta była drukowana w *Tygodniku Illustrowanym* 15 kwietnia 1922 r. (Nr. 16) i w innych pismach z tego samego mniej więcej czasu.

(Str. 234) *NIECH ŻYJE ZIEMIA SPISKA!* Pierwodruk w *Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego* za lata 1919—1920 (Kraków, 1920) w dodatku pod tytułem *Nie damy Spisza* (str. 7—9).

W sprawie stosunków polsko-czeskich zabierał Żeromski głos jeszcze później w artykule *Głos na żądanie*, ofiarowanym zamiast wywiadu pismu *Ceský Denik* (w Pilznie) i drukowanym w tem piśmie 1 stycznia 1924 r. (Nr. 1) w przekładzie A. B. D[o-

stala]. Wobec tego, że polski tekst tego artykułu się nie zachował (albo może tylko wydawca nie zdołał do niego dotrzeć), podajemy go tutaj we wtórnym przekładzie — z czeskiego. Wiadomość o tym artykule, uzyskanie jego czeskiego tekstu i pomoc w tłumaczeniu zawdzięcza wydawca p. Bogumiłowi Vydrze.

GŁOS NA ŻĄDANIE

[Dawne i długie są dzieje czesko-polskiego braterstwa. Zaczyna je i wiąże stułą wiecznego związku w pomroce czasów postać pełna cudownego blasku, najwyższy symbol ducha chrześcijańskiego na rubieży tysiącoleci naszej ery — święty Wojciech. Jego ofiara i śmierć na dalekiej północy — ostateczny wynik żywota tak niepojętego dla dzisiejszego rozumu — znalazły przecież w Polsce zrozumienie powszechne i zupełne w warstwie ludzi najbiedniejszych, pośród prostego ludu. Najczęściej używane i najpospolitsze tam imię to właśnie owa rodowa nazwa czeskiego Sławnikowica, który z domami królewskiemi był spokrewniony.

Stary język polski, samoswój, wyrastający ze swych szeroko i daleko rozprzestrzenionych narzeczy, zawiera dwa tysiące wyrazów czeskich. Są to kwiaty nadobnej mowy czeskiej, która na dworze pierwszych Jagiellonów była potocznym językiem szlachty, dworzan, najbliższego otoczenia królewskiego, — mistrzynią pierwszych przekładaczy Pisma i wzorem dla pierwszych pisarzy usiłujących wysłowić się po polsku. Różnemi idąc drogami, nieraz zderzając się z sobą, albo znowu nic nie wiedząc o sobie w ciężkich godzinach swojego istnienia, dwa narody, czeski i polski, znalazły się w przebiegu dziejów we wspólnem austrjackiem więzieniu. Ten los zbliżał je w pewnych okresach, w innych oddalał od siebie, albowiem nieraz ściany więzienia rozdzielają skazańców w różnych celach zamkniętych, wywołując przytem i ten nieprzewidziany skutek, że skazaniec staje się pomocnikiem strażnika więzienia. Naogół wszelako Polska — pod względem gospodarczym i społecznym zaniedbana i zacofana — w końcu stulecia dziewiętnastego była uczennicą Czech, intensywnie koło swego rozwoju pracujących i znakomicie oświeconych. Jak niegdyś, na początku i w bujnym rozkwicie mocarstwowego swego bytu, wypożyczyła sobie była z Czech wiele idej, przynoszących jej odrodzenie i światło, tak również uczyniła i w dobie najnowszej. Czechy — drugi po Norwegji naród w Europie co do oświaty powszechnej, kroczący w tym względzie na czele wielkich nawet mocarstw świata, — świeciły Polsce znakomitym przykładem i wzorem, a narodowe i społeczne ich organizacje nader często bywały bodźcem do tworzenia takich samych u nas. Wiele bardzo czarów ze źródła czystego piękna czerpała Polska w Czechach, i niejeden klejnot podziwiała w skarbnicy ich sztuki.

Zdawałoby się tedy, że te dwa narody po cudownem wskrzeszeniu swej politycznej egzystencji, które oczy nasze widziały na końcu wielkiej wojny światowej, podadzą sobie wolne dłonie i już na wieki pójdą razem, ręka w rękę.

Niestety! Inaczej się stało. Polska, która wytrzymała i przeżyła wszelkie obce zabory swych ziem, tak mocne i niezłomne, jak były rosyjski, pruski i austrjacki, i która ze wszystkich była wyswobodzona, — żyje dziś jeszcze pod zaborem — czeskim. Ani jeden wolny

Czech nie podlega panowaniu polskiemu, ani jeden dom czeski nie leży w granicach Polski. A tymczasem sto tysięcy Polaków znosić musi panowanie czeskie. Zmierzyłem własną stopą doliny i ścieżki na górach otaczających Jaworzynę, spoglądałem własnemi oczyma na całą tę ziemię i na jej potoki, pasmami swemi i siklawami spieszące do Wisły, rozmawiałem językiem swoim własnym, narzeczem pradawnem a wiecznie młodem, z góralami, którzy ze wsi szczerze polskich na północy Tatr pędzą stada swoje do tych gór, — wiem przeto, że mówię tu czystą prawdę. Jakież są tedy czeskie prawa przyrodzone, moralne, narodowe, historyczne do tych miejsc? Bez wątpienia, politycy, zwolennicy wojujących stronnictw i różni mężowie stanu znajdą swoje dowody i odpowiedzą mi słowem szorstkiem i może pogardliwem. Ale ja nie do nich wołam, lecz do tych przyjaciół duszy mojej, których od młodości czciliśmy i miłowali w Polsce, jak braci naszych w duchu, — do poetów, do niepraktycznych czcicieli prawdy, do sprawiedliwych i prawdomównych dzieci bożych, z ducha św. Wojciecha wyszłych, którzy piszą jedynie dla piękna nigdy nie umierającego i wydają świadectwo prawdzie, gdziekolwiek ona jest. Czyż i oni sądzą, że nasi górale na północnem Tatr zboczu na zawsze zostać mają poza granicami wytęsknionej prawowitej swojej ojczyzny?]

(Str. 238) *O ODZIEŻ CIEPŁĄ DLA ŻOŁNIERZA.* Odezwa ta była zamieszczona w *Kurjerze Warszawskim* 20 listopada 1919 r. (Nr. 321, wydanie poranne) i w innych dziennikach tegoż dnia lub następnych. Pod zmienionym tytułem *Wezwanie do ofiar dla żołnierza* wydrukował ją krakowski *Ilustrowany Kurjer Codzienny* (Nr. 319), co jako osobną pozycję bibljograficzną wymieniają p. Wierczyński w *Bibljografji literatury polskiej za rok 1919* i p. Czachowski w *Gazecie literackiej* (1927, Nr. 2).

(Str. 241) *ZAKOPANE DLA GŁODNYCH WILNA:* odezwa ogłoszona w Zakopanem na plakatach i powtórzona przez niektóre dzienniki (np. *Głos Narodu* 27 lipca 1917 r., Nr. 177). Podpisał ją Komitet o składzie następującym: Ks. kanonik Dr. Paweł Frelek, przewodniczący; Wincenty Regiec, zast. przewodniczącego; Dr. Antoni Kuczewski, sekretarz; Jan hr. Tarnowski, skarbnik; Marjan Świechowski; Stefan Żeromski; Dr. Edmund Brzeziński; Kazimierz Brzozowski; Dr. Kazimierz Dłuski; Dyrektor Franciszek Kosiński; Dyrektor Włodzimierz Momentowicz; Józef Pogorski; Wojciech Roj; Władysław Skoczylas; Prezydent Stanisław Szlachtowski; Dyrektor Wincenty Szymborski; Ks. Tomniczak, superior OO. Jezuitów; Jan Wróblewski. Odezwa zawierała jeszcze dodatkowe informacje o tem, gdzie i jak miały być zbierane i jak przesyłane datki. Cenzura austrjacka usunęła z niej w drugiem zdaniu wyrazy «w Polsce» i w trzeciem zdaniu wyraz «Kalisza». W przedruku *Głosu Narodu* wyraz «Kalisza» został przywrócony, a zamiast «w Polsce» czytamy «nawet Kalisz»; podano też tam do wiadomości, że autorem tekstu jest Żeromski. Rękopis odezwy jest dziś w posiadaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Zestawienie rękopisu z drukiem zawdzięcza wydawca Dr. Antoniemu Kuczewskiemu z Zakopanego.

(Str. 243) *NA GŁODNYCH W WARSZAWIE*: odezwa wydana w Zakopanem (w październiku 1915 r.) w osobnym druku o czterech stronicach formatu «ósemki». Podpisany pod nią jest Komitet w składzie następującym: Wojciech Brzega, Kazimierz Brzozowski, Dr. Kazimierz Dłuski, Ks. Kanonik Paweł Frelek, Prof. Dr. Jan Kasprowicz, Prof. Dr. Mieczysław Kowalewski, Dr. A. Kuczewski, Jan hr. Potocki, Nacz. gm. Wincenty Regiec, Wojciech Roj (starszy), Ks. Tomniczak, superior OO. Jezuitów Ferdynand Tabeau, Stefan Żeromski. — Wiadomość, iż Żeromski jest autorem tekstu, zawdzięczamy p. Juljuszowi Zborowskiemu z Zakopanego.

Prócz odezw drukowanych w tomie niniejszym Żeromski zapewne przyłożył ręki do niejednej innej. Znamy np. dwie drobne odezwy zakopiańskie częściowo napisane przez Żeromskiego. Pierwsza to krótka odezwa organizacyjna «Oddziału podhalańskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego», zwołująca na zebranie w dniu 9 września 1919 r., podpisana przez Żeromskiego wraz z Medardem Kozłowskim, Władysławem Orkanem, Ksawerym Praussem, Władysławem Skoczylasem, Kazimierzem Tetmajerem, Borysem Wigilewem i Juljuszem Zborowskim. Żeromski — wedle świadectwa p. J. Zborowskiego — jest autorem pierwszych trzech jej ustępów. Była ona drukowana na małych karteczkach. — Druga odezwa, której Żeromski również (wedle świadectwa p. Zborowskiego) napisał pierwsze dwa ustępy (drukowana na kartkach większych) jest już enuncjacją zorganizowanego Podhalańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i mówi o utworzonej w jego łonie sekcji dla budowy domu wycieczkowego w Zakopanem. Odezwę tę (datowaną również «we wrześniu 1919 r.») podpisali — «za Komitet Organizacyjny» — Żeromski jako przewodniczący i Dr. Wacław Kraszewski jako skarbnik.

(Str. 246) [*O NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI*]. Jest to pismo nadesłane na odbyty w końcu marca 1910 r. zjazd związków «Filarecyj» z Paryża, Leodjum i Verviers i «Stowarzyszenia im. Lelewela» z Brukseli. (Jako goście byli obecni jeszcze przedstawiciele lwowskiego «Życia» i «Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki Lwowskiej»). Na zjazd ten prócz Żeromskiego przysłali jeszcze listy T. T. Jeż, B. Limanowski, A. Niemojewski, G. Daniłowski, W. Feldman, W. Sieroszewski. — Zarówno tekst odezwy Żeromskiego jak te wiadomości o zjeździe czerpiemy z *Krytyki* (1910, zeszyt V str. 260) z artykułu p. t. *Zjazd młodzieży postępowo-niepodległościowej.* — Częściowy przedruk odezwy dała *Ziemia Lubelska* 10 sierpnia 1915 r. (Nr. 222), bałamutnie jako datę zjazdu podając 27 marca 1914 r.

(Str. 248) [*DO STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO*]: jest to adres z okazji jubileuszu Krzemińskiego w r. 1910, wystosowany z Paryża i podpisany prócz Żeromskiego jeszcze przez: Artura Górskiego, Jana Hempla, W. Mitarskiego, Tadeusza Nalepińskiego i Andrzeja Struga.

Wiadomość, iż Żeromski jest autorem tej odezwy zawdzięcza wydawca p. Arturowi Górskiemu; odpis zaś jej uzyskał ze zbiorów rękopiśmiennych p. Stefana Dembego.

(Str. 250) *W SPRAWIE SPROWADZENIA ZWŁOK JULJUSZA SŁOWACKIEGO.* Na pierwszem miejscu drukujemy tu list otwarty, który z podpisami całego szeregu osób był ogłoszony w dziennikach w lutym 1910 r. Był on naprzód drukowany w Paryżu pod tyt. *Tekst listu otwartego w sprawie sprowadzenia zwłok Juljusza Słowackiego* (4 stronice w ósemce) i rozsyłany do poszczególnych osób wraz z drukowanem jednokartkowem pismem, datowanem z Paryża w grudniu 1909 r., a zaczynającem się od słów: «Szanowny Panie! W załączeniu mamy zaszczyt przesłać tekst listu otwartego...» Egzemplarz tego pisma, znajdujący się w Muzeum Tatrzańskiem w Zakopanem, jest podpisany przez Artura Górskiego, Jana Hempla, Wilhelma Mitarskiego, Tadeusza Nalepińskiego, Andrzeja Struga, Stanisława Wyrzykowskiego i Żeromskiego. Zebrawszy w ten sposób podpisy, ogłoszono *List otwarty w sprawie sprowadzenia zwłok Juljusza Słowackiego* w dziennikach. Położone są pod nim nanastępujące nazwiska (przepisujemy je z przedruku w *Kurjerze Porannym* 6 lutego 1910 r., Nr. 37):

Zygmunt Bartkiewicz, Aleksander Brückner, Władysław Bukowiński, Adam Łada Cybulski, Jan Czubek, Gustaw Daniłowski, Artur Górski, Jan Hempel, Tadeusz Jaworski, Jan Kasprowicz, Juljusz Kleiner, Włodzimierz Konieczny, Marja Konopnicka, Władysław Kozicki, Stanisław Krzemiński, Ludwik Krzywicki, Antoni Lange, Jan Lemański, Bolesław Leśmian, Bolesław Limanowski, Bohdan Łepki, Franciszek Mączyński, Aleksander Mańkowski, Jadwiga Marcinowska, Marja Markowska, Ignacy Matuszewski, Romuald Minkiewicz, Wilhelm Mitarski, Kazimierz Młodzianowski, Nuna Młodziejowska-Szczurkiewiczowa, Tadeusz Nalepiński, Zofja Rygier-Nałkowska, Władysław Orkan, Eliza Orzeszkowa, Nikodem Pajzderski, Bronisław Piłsudski, Marja Raczyńska, Marja Rakowska, Tadeusz Rechniewski, Józef Ruffer, Ferdynand Ruszczyc, Wacław Sieroszewski, Artur Śliwiński, Edward Słoński, Michał Sokolnicki, Eugenjusz Sokołowski, Ludwik Solski, Leopold Staff, Andrzej Strug, Antoni Szech, Maciej Szukiewicz, Wacław

Szymanowski, Edward Trojanowski, Jan Witkiewicz, Edward Wittig, Stanisław Wyrzykowski, Marjusz Zaruski, Aleksander Zelwerowicz, Stefan Żeromski.

Pod podpisami czytamy: «Wysłano z Paryża w lutym 1910 r».

Przedruk *Listu* w naszem wydaniu opiera się na druku paryskim. W pismach warszawskich, ze względów cenzuralnych niewątpliwie, ostatnie zdanie uległo zmianie. W *Kurjerze Porannym* brzmi ono tak: «A gdy nadejdzie dzień godny jego królewskiej harfy, poniesiemy go z tej górskiej pieczary, my lub potomni, do stolicznego mauzoleum». Natomiast w krakowskiej *Nowej Reformie* (7 lutego 1910, Nr. 58) tekst paryski rozszerzony jest jeszcze wstawką wyrazu «wolny» («A gdy nadejdzie dzień wolny, dzień godny...»). Zarówno w warszawskim, jak krakowskim tekście jest też kilka jeszcze drobnych zmian stylistycznych.

List otwarty wywołał następujący polemiczny artykuł p. Jana Gwalberta Pawlikowskiego (w *Lamusie*, zesz. 5, str. 49—57):

O PROCHY SŁOWACKIEGO

Dawniej, zanim jeszcze pomyślano o przewiezieniu prochów Mickiewicza do Polski, stawała często przed oczyma wyobraźni mojej chwila «dziwnie osobliwa». Jakiś dzień uroczysty i cichy, owiany tchnieniem świętości, niby wieczór Rezurekcji. Jakieś niezliczone gromady ludu, na twarzach wesoła powaga, w postaciach siła i duma. A gdzieś w górze, popod wiejącemi sztandary, otoczenie królewskiego majestatu... Może dzień koronacyjny... Wtem rozstępują się gromady ludu, jak łan żyta, który wiatr przewieje. Nad falą głów pochylonych unosi się i płynie szkarłatem okryta trumna. Powstaje król z majestatu, idzie naprzeciw niej, wita ją pokłonem i prowadzi pod sklepienia grobowe, gdzie spoczywają królowie. Bo powrócił jeden z tych, którzy w czasie bezkrólewia duchem dzierżyli berło narodu, wygnaniec protestujący na obczyźnie przeciwko wyzuciu narodu z praw majestatu, wiążący nieprzerwaną nić tradycji między tymi co śpią w grobach, a tymi którzy przyjdą i tron zasiędą.. A za tą jedną trumną, widzę cały niby klucz bocianów wracających z wiosną do ojczyzny; trumna za trumną... Zlatują do gniazd opuszczonych, rozchodzą się po cmentarzach miast i siół.

Wizja prysła. Nie przyjdzie już taka chwila nieporównanego dziejowego patosu. Prochy Mickiewicza sprowadzono przedwcześnie, zanim wiosna nadeszła. Złożono je w pohańbionych grobach królewskich między królmi bez ziemi. Złamano ową zasadę emigracji, którą ona sama o sobie głosiła, a która otaczała ją nimbem poetyckim, iż jest Aniołem *Veto*, stojącym pośród ludów Europy, o głowie promiennej — z usty otwartemi, krzyczącemi: nie pozwalam! — chociaż szaty na nim od nędzy spróchniały, połowa ciała w smętarzy obcych glinę się zapadła (Słowacki). ...Toż kiedy trumna Mickiewicza wśród huku dzwonów szła rynkiem krakowskim, nie było tam nastroju dumnej pogody i powitalnego wesela, ale gardła patrzących dławiło pytanie: na co wracasz i do czego?...

Życie nie jest sztuką, boć sztuka jest właśnie dlatego, aby wydobyć z jego zgiełku ton czysty; życie nie dotrzymuje tragicznego patosu. Jest to aktor fuszer. Trudno się skarżyć; leży to już w naturze rzeczy.

Kiedy więc już raz złamano zasadę emigracyjnego veta, sprowadzając prochy Mickiewicza do kraju, szły za tem dalsze konsekwencje. Za tym jednym, dlaczegóż nie mieli powrócić i inni «protestanci»... Rok jubileuszowy Słowackiego uznano za odpowiedni do sprowadzenia jego prochów.

Powstało pytanie: gdzie je złożyć? Znalazły się różne pomysły. Zrazu w pięknem i rzewnem drgnieniu serca chciano je darować Warszawie, ogołoconej z pamiątek, a dla której zdawała się przez chwilę świtać godzina dnia lepszego. Ale ten świt nie nadszedł. — Zwróciły się więc myśli ogółu tam, gdzie już spoczywała trumna wielkiego współzawodnika Juljusza, ku górze wawelskiej. Zjazd odbyty w Krakowie powziął wreszcie w tym duchu ostateczną uchwałę.

O tem, czy wybór ten był trafnym, można być różnego zdania; a zdanie przeciwne nie musi wynikać z uprzedzeń społecznych czy religijnych, albo z nieznajomości rzeczy. Takie zdanie odosobnione zresztą, ale argumentami rzeczowemi należycie podparte, słyszeliśmy od p. Zygmunta Wasilewskiego (w *Słowie Polskiem*). Wychodzi on z tego założenia, że Wawel nie jest polskim Westminsterem, którego zadaniem byłoby pomieścić w grobach swoich wszystkie chluby narodu. Wawel jest grobowcem królewskim, a jeśli na nim znajdują pomieszczenie także trumny wielkich wodzów i trumna Mickiewicza, to ma to znaczenie symboliczne, którego przez nadużycie osłabiać nie należy. Wawel jest symbolem dziejowym państwowości polskiej, której reprezentantami są królowie, a w czasie bezkrólewia ci, którzy byli łańcuchem między jednym a drugim brzegiem, bądźto walcząc orężnie o tę państwowość, bądźto utrzymując nieprzerwanie jej ideę w duszy narodu. Reprezentantem takiego duchowego ogniwa jest Mickiewicz; Słowacki, gdyby nawet był odeń większym, byłby nim zawsze tylko jako artysta. — Przesłanki tego rozumowania, wedle mojego widzenia rzeczy, są zupełnie trafne, a jednak wniosek z rozumowania wynikający jest błędny. Bo sprawa ta należy do spraw tego rodzaju, których się logiką nie rozstrzyga. «Wawel nie jest polskim Westminsterem»; bardzo słusznie, — tak było dotąd. I to słusznie, że zatarcie jego właściwego, dotychczasowego charakteru, zaciera niestety ów wspaniały patos symbolu trumny Mickiewicza w grobach królewskich. Ale ta cała koncepcja jak jest wzniosła, tak jest i subtelna, a tam gdzie chodzi o uczucia mas, nie można ważyć argumentów na aptekarskiej wadze. Nawet kiedy masy składają się z osobników bardzo subtelnych, w całości swojej mogą się zgodzić na to tylko, co tym osobnikom jest wspólne, — a tem nie jest to, co subtelne, ale to co grube. Subtelność każda bowiem ma cechę indywidualną, różnicującą. W uczuciu mas Wawel stał się poprostu skarbcem wielkich pamiątek; co wielkie i co drogie, to chcemy w skarbcu tym przechować. — A zresztą i druga przesłanka

rozumowania jest tylko względnie prawdziwą; Słowacki z wielkiego artysty staje się z biegiem czasu w uczuciu ogółu coraz to wyraźniej «wieszczem», jednym z zesłanych narodowi «Królów Duchów». Już i do niego stosowane są słowa: miljon jestem. Stało się to odkąd wagę jego twórczości przenosić zaczęto z wcześniejszej epoki na epokę mistycyzmu. Czy ta ewolucja pojęć o społecznem znaczeniu Słowackiego jest logicznie słuszną? — nie wiem — a nawet wątpię. Ale trzeba pamiętać, że to znowu taki fakt, który się «dzieje», a nie taki, który się wyrozumowuje. Pomyślmy na chwilę, czy tę treść, która się mieści w symbolu trumny Mickiewicza na Wawelu, można było całą od początku logicznie wyrozumować? Czy sprawa gdyby była podległą, że tak powiem kanonicznemu procesowi chłodnej krytyki, byłaby rozstrzygniętą tak samo? Ale tu działały inne czynniki. To co się stało — «stało się» poprostu, — stało się samo, bez rozumowania, niemal poza progiem świadomości... Tak się robią nastroje mas, tak się robi w wielkiej mierze historja. Otóż znowu «dzieje się» przed naszemi oczyma jedna z tych świeckich kanonizacyj, jakich dokonuje naród na swoich ulubieńcach; jak wogóle kanonizacjom, towarzyszy temu proces tworzenia się legendy... A któż wie, może ta legenda jest właśnie prawdą, jakąś prawdą pneumatyczną, którą śmierć i oddal odsłania?... Bądź jak bądź, Słowacki dorasta w oczach naszych do symbolu, a jako taki dorasta i do Wawelu, może i do tego Wawelu, który «nie jest — tylko polskim Westminsterem». — Niema więc żadnego powodu uważać pomieszczenia prochów Słowackiego na Wawelu za rzecz z jakichkolwiekbądź względów niewłaściwą. Owszem, przeciwnie: jest to jedyne miejsce, które obecnemu uczuciu ogółu odpowiada, a zatem jedynie odpowiednie; — boć jakież może być tutaj inne kryterjum? Sam fakt tej ewolucji uczuć, czy pojęć, już opanować się nie da, — może być tylko przedmiotem obserwacji i refleksji, a na to zaiste zasługuje. Bo uwidamia się w nim bądź jak bądź ten charakterystyczny dla narodu naszego od czasów romantycznych stosunek do poetów, stosunek niewątpliwie nienormalny. Jest to jednak temat wychodzący poza ramy niniejszych uwag. Ale komu to wydaje się opacznem, niech pomyśli, jakiego rodzaju odruch odczułby w duszy, gdyby oto nagle wyłonił się skądś projekt pomieszczenia prochów np. Kopernika w grobach królewskich... Nieprawdaż że ten odruch byłby przeczący?... Otóż to właśnie!...

Zamiar pogrzebania Słowackiego na Wawelu nie dał się — jak wiadomo — urzeczywistnić z powodu przeszkód zewnętrznych. Przeszkody te są w każdym razie tylko czasowe. Ale opinja zaczęła być niecierpliwą; wydało się jakby sprowadzenie zwłok Słowackiego stało się rzeczą tak nieodzowną i naglącą iż na wszelki sposób musi być zaraz dokonanem. Co dziwniejsza, to zniecierpliwienie nie ustało jeszcze i wtedy, kiedy już minął rok jubileuszowy i kiedy dla owej nagłości żadnego już, choćby pozornego, nie można przytoczyć powodu. Skoro Słowackiego nie możemy pochować na Wawelu, powiedziano, wynajdziemy mu inny, jeszcze godniejszy grobowiec. Toż był on zawsze duszą samotną, wylatującą jak orzeł w pustkowia wyżyn, zasłuchującą się na niedostępnych szczytach w ciszę błękitu... Złożymy więc trumnę jego pod wolnem powietrzem gór, wysoko w turniach tatrzańskich...

Ojcami pomysłu tego są podobno Henryk Sienkiewicz i Stanisław Witkiewicz, jedni z najlepszych ludzi w dzisiejszej Polsce. Nazwiska te onieśmielają. Lecz czytam w odezwie komitetu zawiązanego niedawno, taki piękny zwrot: «Skoro daliśmy wygnańcowi, wielkiemu poecie, to najdroższe dlań na co nas stać — dostojny grób w Ojczyźnie — nasza godność a jego zasługa nie pozwala na to, ażebyśmy gnuśnie mu tę łaskę dziś odebrali dlatego, że jeden z nas na to się nie zgodził». Otóż i ja jestem «jednym z nas», a ten mój drogi klejnot i godność uprawnia mnie i zobowiązuje, jeśli już nie mam prawa i mocy przeciwstawić zamiarowi skutecznie odmowy zgody mojej, to przecież dać głos przeciw temu, co mi się nie zda.

Najznamienniejszą cechą pomysłu pogrzebania Słowackiego w Tatrach jest jego «literackość». (Tem dziwniejsze że oświadczył się za nim tak niepospolity malarz jak Witkiewicz!). Literackiej natury są wszystkie przytaczane za nim motywy. Wszystkie one dadzą się bardzo ładnie napisać i powiedzieć.

Słowa: orły, wyżyny, wolność, samotnia — mają właściwy sobie ton uczuciowy, coprawda z tą wadą, że blednie w miarę częstego użycia. Cały pomysł samotnego na szczytach grobowca da się bardzo poetycznie opisać, ale tu pono chodzi o to czy da on się dobrze wcielić w kamień. Kamienie są oporniejsze, ale i uczciwsze od słów. One będą stać nieodmiennie i pozostaną same sobą, kiedy obrzękujący je rój słów rozpłynie się i zcześnie, a cała literacka koncepcja obleci jak przegniły łach teatralny. Wskaźnikiem mogą tu być nie względy retoryczno-literackie, ale wyłącznie architektoniczno-plastyczne. Na nic się bowiem nie zda najpiękniejsze opiewanie pomnika, jeśli on sam będzie wyglądał jak guzik przyszyty niedorzecznie na kołnierzu. Mojem zdaniem zaś tak właśnie będzie wyglądał. Przemawiają za tem już względy proporcji; nisza wykuta w ścianie Kościelca (bo tę turnię wskazali ostatecznie «znawcy Tatr» — nie mający tu zresztą żadnej kompetencji — jako najodpowiedniejszą), nisza wykuta na wysokości dwustu metrów nad poziomem miejsca, z którego ją najbliżej można oglądać, a oddalona od tego miejsca bez mała może na tysiąc metrów, będzie się przedstawiać tak okazale jak dziupla puhacza. O wrażeniu monumentalności nie może być mowy. A tę monumentalność wykluczają inne jeszcze względy. Niemasz monumentalności bez wrażenia siły, a niemasz wrażenia siły, bez wrażenia architektonicznej celowości monumentu. Tutaj to wrażenie celowości wykluczy samo położenie: monument w połowie Kościelca będzie robił wrażenie miejskiego panoczka, co się wygramolił najniedorzeczniej na turnię, a nie mogąc zleźć woła o pomoc. «Hej, panoczku, a cóż was też ta wyniosło!» Będzie on nawet duchowo do tego panoczka podobny, — będzie wyglądał jak «dólski ceper», co włazi na każdą wantę, kiedy ma perć pod nosem. Co go tam wyniesie? Literatura. — A przytem sztuka ze swą cechą i wymogiem celowości stoi w pewnem przeciwieństwie do natury, której kształty z tego wymogu nie wynikły. Dlatego wszelkie bliskie kojarzenie kształtów architektonicznych z naturalnemi daje wynik ujemny. Można to zauważyć na każdym kroku. Ścieżki ogrodowe wijące się niby przypadkowo

i nierozmyślnie są ohydne przez brak uwidocznionej celowości, która jest niezbędnym warunkiem piękna każdego ludzkiego dzieła; — sztuczne skały, jako podstawa pomników, robią wrażenie teatralne i t. d. Z tego samego powodu najodpowiedniejszem otoczeniem dla wszelkich monumentów jest otoczenie architektoniczne, bo ono tylko wykazuje w linjach swoich tę samą zasadę celowości, którą musi mieć wszelkie dzieło ręki ludzkiej. A jeśli otoczenie skał uwłacza charakterowi monumentalności ludzkiego dzieła, to z drugiej strony dzieło to uwłacza piękności skał. Celowa dążność konstrukcyjna człowieka i ślepa dążność niszczycielska natury zdają się sobie wrogo patrzeć w oczy. «Znawcy Tatr» jeśli mieli tu co do powiedzenia, to powinni byli to jedno tylko powiedzieć, że Tatr psuć sztuką nie wolno, bo sztuka należy do innej kategorji piękna. Czy tą sztuką będą «monumentalne schody», czy nisza o kracie bronzowej, czy posąg, czy sarkofag, czy choćby tylko pływająca nad szczytem w nazwaniu jego literackość, wszystko to jedno. Człowiek kochający Tatry powinien przechodząc zacierać za sobą ślady stóp.

Ale wyznaję, że mam jeszcze inną kategorję argumentów, które może wynikają z czysto osobistych właściwości duchowych. Osobistych, o ile znajduję się w środowisku «kulturalnem», ażeby nie użyć mniej sympatycznego określenia; natomiast czuję się w tych właściwościach zupełnie zestrojonym z każdym tatrzańskim góralem, który nie uległ jeszcze cywilizatorskim wpływom «dólskiego gościa». Kiedym rozmawiał o tem z jednym z moich góralskich przyjaciół, człekiem mądrym i poważnym, spotkaliśmy się w myślach zupełnie. «E, bójcie się Boga, za cóż go też chcom tele światy jako psa od dziedziny odegnać? Kieby go już tu mieli przyprowadzić, to najdzie się na Pęksowym brzyzku[1] ziemia święcona». I ja tak myślę, że w Tatrach jest dla żywych samotników «strzeleckie posłanie». Ale umarłych miłość w pustaci nie zostawia; nie zostawia ich na fujawicy śnieżnej, na zmiękach wiosennych ze skał ciekących, gdzie przez większą część roku oko tkliwe nie popatrzy, stopa przyjazna nie zachrzęści. Dziwna to miłość, samotnym za życia ludziom samotne dawać groby. Z ojcem rodzonym nie uczynilibyśmy chyba tego za cenę literackiego efektu. Czyż nie stać nas na tę zwyczajną miłość dla nadzwyczajnego człowieka...? Tak, i ja wybrałbym raczej Pęksów brzeżek...

Ale rozumiem że ludzie mają różny sposób odczuwania. Mówiąc o swoim, nie chcę zajrzeć nikomu. Staram się wyrozumieć to, co w uczuciu mnie samemu jest obcem — i do tego punktu, do którego wyżej doszedłem, wyrozumieć to mogę. W ostatnich czasach pojawił się jednak projekt, podpisany zresztą przez ludzi bardzo szanownych, który wszelką granicę mego wyrozumienia przekracza, tak wydaje mi się karykaturalnym i niemal świętokradzkim.

Tok zawartej w nim myśli jest następujący: złożyć prochy Słowackiego na Wawelu jest pięknie i przystojnie, bo należy mu się grobowiec

[1] Pęksów brzeżek — tak nazywa się cmentarz w Zakopanem — P. R. *[Lamusa]*.

królewski, — ale złożyć prochy Słowackiego w turni Kościelca jest pięknie i poetycznie; szkoda byłoby zaniedbać sposobności zrobienia czegoś tak pięknego, a w dodatku czegoś, czego jeszcze nie było... Zróbmy więc jedno i drugie!... Chwila ku temu nastręcza się jedyna; «jeden z nas» odmówił pomieszczenia prochów na Wawelu; jest to *liberum veto* przeciwko woli narodu, które z czasem przełamanem być musi; na razie jednak z drogi usunąć się nie da. Nim więc chwila sposobna nastąpi, pomieśćmy prochy Słowackiego w Tatrach; — koncepcję «królestwa z ducha» poety zamieńmy na razie na równie poetyczną koncepcję duszy samotnej, uciekającej od ludzi na wyżyny samotne...

Cały ten kapitalny pomysł jest niewątpliwie w stylu Słowackiego, a to Słowackiego wedle modły prof. Tretiaka... Słyszę jak mówi ten Słowacki: «Należą mi się honory królewskie, lecz skoro mi ich zaprzeczają, odejdę w góry i uczynię z siebie samotnika pogardzającego wszystkiem co ludzkie. Gotów jestem jednakże w każdej chwili porzucić moją samotnię, skoro mi ludzie oddadzą to, do czego się w prawie poczuwam». Szczery typ wolnodumca gotowego zawsze do pogodzenia się z porządkiem tego świata za przyzwoitą posadę! Koncepcja ta dlatego tylko nie jest dość śmieszną, że jest tak tragicznie ohydną, a dlatego nie jest dość ohydną, że jest tak śmieszną. Czyż projektodawca nie uczuł tak prostej rzeczy, że takie połączenie tych dwóch projektów w jeden, znosi zupełnie to, co każden z nich ma w sobie pięknego — lub choćby tylko dorzecznego? Tu bo już nawet i literatura zawiodła! Efekt natury literackiej jaki charakteryzuje ową koncepcję pogrzebania Słowackiego w Tatrach, został zupełnie zniesiony przez zły gust okazany w nieorganicznem zlepieniu go z innym. Tak się przedstawia «estetyczna» strona sprawy. Z logiczną jest nie lepiej. Prawdziwych bo koziołków logicznych potrzeba aby uzasadnić taki projekt. Oto co pisze odezwa: «Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby zniewagą wyrządzoną dostojeństwu poety (?). Na taki akt woli (?!), jak sprowadzenie do kraju zwłok Juljusza Słowackiego, społeczeństwo nasze, aczkolwiek przyciśnięte ogromem nieszczęść, rozszarpane i przebite nowemi ciosami, może się zdobyć i powinno. Proch głosiciela nieśmiertelnej woli narodu, miłości Ojczyzny, apostoła idei ofiary — przyniesiony dziś na naszą ziemię, może się stać cementem, który spoi rozszarpane dzielnice (!!), złączy rozdarte zawsze warstwy i w przeciwne strony biegnące stronnictwa, tchnie w nas przynajmniej na ten dzień (!) jedność i miłość — ku wiecznemu celowi (?!) skieruje umęczone oczy żyjących». — Co za słowa! Co za słowa! — Szkoda że one rumienić się nie umieją... Słowa jako miedź brzęcząca i cymbał brzmiący. Co wyraz to parodoks, co zdanie to frazes. Argumentacja najpospolitszej demagogji. Bo czyż można brać na serjo choćby jeden z tych powodów, uzasadniających rzekomą nieodzowność niezwłocznego sprowadzenia prochów poety na to, aby im dać grób tymczasowy i to nawet nie gdzieś tuż przy Wawelu gdzie mają ostatecznie spocząć, ale właśnie aż pod szczytem Kościelca?! Któreż z tych powodów choćby pozornie usprawiedliwić może taką poniewierkę tej cichej garstki kości, wystrajanie trupa w papierowe łachy teatralne na jarmark dla uciechy gawiedzi!... A jakby nie dosyć jeszcze było tego pomnika

histerji literackiej, projektowi temu przydano jeszcze różne ornamenta; dla «baśniowego bogactwa» pomysłów współczesnej literatury dwa grzyby w barszczu jest oczywiście za mało. Projekt zawiera jeszcze następujące «numera»: «Zwłoki Juljusza Słowackiego mogłyby być przywiezione do Krakowa i na przeciąg 24 godzin wystawione ku uczczeniu narodowemu na wysokim artystycznie wykończonym katafalku, w Barbakanie przed bramą Florjańską, w tej naszej bramie triumfalnej. Poczem zwłoki poety winnyby być — nie przewiezione — lecz przeniesione (sic) z Krakowa w Tatry przez czcicieli ze wszystkich warstw społeczeństwa i złożone w tym tymczasowym, czy wiecznym grobowcu». Nie chcę już popuszczać cugli wyobraźni i szukać tanich efektów w pastwieniu się nad tym projektem. Każden kto nie jest pozbawiony zmysłu rzeczywistości może sobie dośpiewać jakby wyglądał na prawdę taki pochód — przez mil czternaście — trwający najmniej tydzień — z noclegami po karczemnych zajazdach, z «szubienicznym humorem» znudzonych pątników... *Danse macabre*, czy kulig! Ale za to napisać dałoby się to tak pięknie! Dla «napisanych» ludzi o «napisanych» sercach to jest przecież jądrem rzeczy. Dość tego! Chciałoby się powtórzyć za poetą: «chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze!»

Ludzie wybitni, ludzie szlachetni są między tymi, którzy na ten fatalny projekt wyrazili swą zgodę, nazwiska niektóre o doskonałem brzmieniu. Czyżby czerw dekadencji literackiej dotarł już tak głęboko, aż do tych serc? Nie wierzę. Ale jest to znak czasu, groźne, prawie straszliwe *memento*. Odsunięci od tylu dziedzin czynu, źle wychowywani, przejedliśmy się literaturą. Zaczynamy robić literaturę z najświętszych uczuć. Patrzymy na świat przez literę. Czujemy go nie swojem ale pożyczanem sercem. A gdzie jeszcze tak nie jest, to przecież zgadzamy się milcząco na ten typ myślenia, uważamy go za uprawniony i normalny. Oddajemy mu rządy; pozwalamy mówić za siebie. Nie wątpię, że wielu z tych ludzi, którzy ów projekt podpisali, uczyniło to odruchowo, z nałogu, przez kwietyzm. Ale dość już źle, że treść jego nie uderzyła ich odrazu obuchem w głowę, że mógł on wydać się im czemś — wedle normy.

Czyby tak nie pomyśleć o innym — najpiękniejszym bez wątpienia pomniku dla Słowackiego: o tem — aby z okazji jego jubileuszowego roku, który właśnie minął — podjąć walkę przeciw chorobie, która była tragedją i jego także życia — przeciwko chorobie wewnętrznej nieprawdy i pozy. Słowacki zwyciężył ją — wiarą mistyczną. Nam innym oby dano ją rozwiązać wiarą w wyższość czynu nad słowem, zwycięstwem życia nad literą. Możeby w Tatrach zamiast grobowca Słowackiego założyć pustelnie, w którychby przychodziły do siebie i rozprostowywały się dusze skrzywione...

A przed rozmyślaniem na pustelni — pokuta. Początek od tego z pomiędzy nas, kto ówże sławetny projekt sprawienia Słowackiemu podwójnego pogrzebu z kuligiem i figurami pierwszy wymyślił. Kto nim jest — niech się przyzna. Bez fałszywego wstydu. Na skrzywienia duchowe lekarstwem jest natura; na pokutę recepta człowieka natury, chłopska recepta. Oto w Barbakanie odczytać nad nim orędzie do narodu, które spłodził, przeżegnać, w rzepić obitelnie[1] dwadzieścia pięć kijów gdzie potrza — za swawolę — i puścić z przebaczeniem.

Bo złości i ja niemam nijakiej; nie o satyrę mi chodziło ale o spowiedź... Duszo wrzeszcząca i skręcana histeryczną konwulsją — idź w pokoju...

A co do prochów Słowackiego, jedynem hasłem odpowiadającem czci naszej dla niego i naszej własnej godności jest: pamiętać i — czekać.

Żeromski odpowiedział Pawlikowskiemu w *Nowej Reformie* (21 maja 1910, Nr. 227) listem, który tu drukujemy jako drugi. W *Lamusie* list ten został przedrukowany w całości (zesz. 6, str. 199—202) z następującym wstępem redakcyjnym:

J. Gw. Pawlikowski, autor artykułu *O prochy Słowackiego*, zwrócił się do Redakcji *Lamusa* z prośbą o przedrukowanie odpowiedzi St. Żeromskiego zamieszczonej w *Nowej Reformie*. Czynimy zadość temu życzeniu.

Przedrukowały też odpowiedź Żeromskiego i inne pisma, np. *Sfinks* (tom X, str. 465—469).

Ze względu na trudności bibljoteczne zmuszeni byliśmy w tekście naszego wydania oprzeć się na przedruku *Lamusa*. Dopiero w przypiskach możemy podać wyniki jego porównania z pierwodrukiem w *Nowej Reformie*. Są drobne różnice. Str. 256 wiersz ostatni: nie «zrealizowanie» lecz «realizowanie»; str. 257 w. 2: nie «tylko jedną» ale «jedną tylko»; str. 257 wiersz 18: nie «odebrany» ale «odebrany mu»; str. 258 w. 8 od dołu: nie «się znajdą» ale «znajdą się».

(Str. 263) [*W BRZASKU PRZEDWIOŚNIA*]. Tytuł ten pochodzi od wydawcy, jest jednak zaczerpnięty z tekstu utworu (por. str. 264). Jest to, zdaje się, jedno z przemówień wygłoszonych na rzecz Podhalańskich Warsztatów Pracy w Zakopanem w r. 1915. Drukujemy je z niezatytułowanego rękopisu, będącego w posiadaniu p. Stanisława Piołun-Noyszewskiego. Składa się ten rękopis z 11 luźnych liczbowanych, po jednej stronie zapisanych kartek papieru formatu «handlowego» (29 cm×22·5 cm), tego samego, na którym jest napisana [*Ewakuacja Krakowa*].

[1] Obitelnie — w gwarze góralskiej: jak obyczaj lub przyzwoitość każe. P. R. *[Lamusa]*.

(Str. 270) *MAGDALENA*. Pierwodruk w miesięczniku warszawskim *Sfinks* z 1908 r. (zesz. 1). — Rzecz zastanawiająca, że ten utwór (jeden jedyny z drobnych utworów tego okresu) nie został wcielony ani do pierwszego, ani do drugiego wydania *Snu o szpadzie*. W bezimiennym wywiadzie z Żeromskim, zamieszczonym w *Wiadomościach Literackich* 6 stycznia 1924 r., jest wzmianka, że o *Magdalenie* «sam autor zapomniał»; nie wiemy, czy należy to rozumieć dosłownie, czy też może w ten sposób Żeromski wyraził niechęć do dawnego utworu.

(Str. 274) *ODGŁOSY KRAKOWSKIE* drukowane były z podpisem: Stefan Ż. w *Głosie* 12 marca i 2 kwietnia 1892 r. (Nr. 11 i 14), a napisane nieco wcześniej (pierwszą o nich wzmiankę znajdujemy w liście Żeromskiego do narzeczonej z 4 lutego 1892 r.: «Do *Głosu* zacznę pisać niedługo recenzyją o pewnej książce pewnego wielkiego stańczyka»). Żeromski bawił wtedy pierwszy raz dłużej w Krakowie i nad tematami poruszonemi w tym artykule zastanawiał się z wielkiem przejęciem. W liście z 5 lutego czytamy:

«W artykule, jaki mam zamiar napisać o książce p. hr. Tarnowskiego p. t. *Z doświadczeń i rozmyślań*, przedstawię wiele z tych myśli smutnych i aż doprowadzających do złości, jakie wywołuje Galicyja i jej wielcy ludzie. Pyskować na Rosyją — znaczy tu zdobywać wielkość i patent na obywatela. Żaden obóz, nawet postępowy nie wejrzy na nędzę galicyjską, w ten zastój, brud, nizotę i szych, jakie tu zastępują wszystko. Biedni my ludzie»...

List z 15 marca 1892 r. zawiera taką znów wzmiankę: «W pierwszym z *Odgłosów krakowskich* w *Głosie* — oberwano cały kawał z dużym moim żalem, bo był nawet dowcipny. Tak wyszło ni w pięć ni w dziewięć». Szczegół to nie bez znaczenia, wobec tego, że rękopis *Odgłosów* się nie zachował i tylko z *Głosu* możemy ie przedrukować.

Nie był to pierwszy artykuł o bieżących sprawach społecznych, jaki Żeromski w *Głosie* zamieścił: w r. 1890 była tam już drukowana (w rubryce *Przegląd społeczny*) drobna jego korespondencja z Nałęczowa (podpisana literami S. Ż.): w Nr. 51 (z 20 grudnia). Takież dwie korespondencje były drukowane w roku następnym w Nr. 6 (z 7 lutego) i 7 (z 14 lutego), a dwie jeszcze (z podpisem: St. Ż.) w roku 1892: w Nr. 31 (z 30 lipca) i 39 (z 24 września). Była w nich mowa o kwestjach lokalnych: o agitacji emigracyjnej w okolicy, o parcelacji sąsiednich majątków, o upadku sklepu chrześcijańskiego i powstaniu szeregu żydowskich, o potrzebie założenia sklepu udziałowego (na wzór Spółki Handlowej Zakopiańskiej), o środkach ochronnych przeciwko cholerze, o plotkach szerzonych na szkodę zakładu nałęczowskiego, o statystyce analfabetyzmu w parafji i o książkach czytywanych przez ludność («Nadzwyczajną poczytnością wśród publiki wiejskiej cieszy się tutaj *Czarownica* [*Dziurdziowie* Orzeszkowej]»), o projektowanej orkiestrze włościańskiej, o mieszkaniach w zakładzie i t. d. Miał też Żeromski «zamiar szerzej... pomówić w *Głosie*» o wsi Bochotnicy, ale do skutku to nie doszło.

(Str. 287) «*MĘKALE*». Rzecz ta ukazała się w *Głosie* 7 lutego 1891 r. (Nr. 6). Na początku tekstu postawiona tam jest liczba I, zapowiedź dalszego ciągu. Tego dalszego ciągu jednak nie było: wedle informacji p. Zygmunta Wasilewskiego, ówczesnego sekretarza redakcji *Głosu*, Żeromski nigdy go nie napisał.

Żeromski wspomina o *Mękalach* w *Snobizmie i postępie* (1923, str. 125), myli się jednak pisząc, że ogłosił ich w *Wiśle* (którą to wiadomość bez sprostowania powtórzono w *Ruchu Literackim* 1927, str. 96).

(Str. 301) *PRZEZ CIERNIE ŻYWOTA: przeżycia osobiste i wspomnienia od lat najmłodszych aż po wybuch Wielkiej Wojny 1914 r.:* taki jest pełny tytuł książki Ferdynanda Kurasia. Wyszła ona w r. 1925 w Częstochowie jako VII tom redagowanej przez p. St. Pazurkiewicza *Książnicy Narodowej*.

(Str. 308) *BIULETYN POLSKIEJ KONFEDERACJI PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH* — Nr. 1 — wyszedł w War-

szawie w kwietniu 1925 r. Artykuł Żeromskiego, drukowany na pierwszem miejscu, nie ma żadnego tytułu; w spisie rzeczy nazwany jest *Przedmową.*

(Str. 313) *NULLO I JEGO TOWARZYSZE* K. Firlej-Bielańskiej. Książka ta wyszła w Warszawie w r. 1923.

(Str. 321) *JOSEPH CONRAD: PISMA WYBRANE*: taka jest skrócona nazwa wydawnictwa, widniejąca na stronicy przedtytułowej. Właściwy tytuł jest nieco odmienny: *Józef Conrad Korzeniowski: Pisma wybrane — z przedmową Stefana Żeromskiego.* Przedmowa, umieszczona przy tomie I, zatytułowana jest: *Joseph Conrad.* Tom ten ma datę 1923 r., faktycznie jednak wyszedł jeszcze jesienią 1922 r.

(Str. 349) *KRYJAKI (O sześćdziesiąt trzecim roku opowieść)* Marji-Jehanne hr. Wielopolskiej (Walewskiej). Pierwsze wydanie tej książki, do którego Żeromski napisał przedmowę, wyszło w Krakowie w r. 1913.

(Str. 356) *KATALOG ZBIORÓW MICKIEWICZOWSKICH znajdujących się w Muzeum Narodowem w Rapperswilu* wyszedł w Krakowie 1898 r. W *Sprawozdaniu z zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu za rok 1898* (Paryż, 1899) czytamy (na str. 27): «Muzeum nasze wydało w roku ubiegłym *Katalog zbiorów Mickiewiczowskich.* Poprzedzony krótką przedmową pióra p. S. Z., katalog na 76 stronach in 8⁰ zawiera spis wszystkich dzieł, pamiątek, rycin i rękopisów, które znajdują się w tak zwanym pokoju Mickiewicza». Także i sam katalog opracowany został przez Żeromskiego (o czem informuje *Bibljografja rapperswilska* Z. Wasilewskiego, ogłoszona w *Ruchu Literackim* 1927 r., na str. 249). — Zarówno katalog jak przedmowa zostały ostro skrytykowane w *Kwartalniku Historycznym* (1898, str. 868 i n.) przez p. Bronisława Gubrynowicza, co wywołało broszurę obrończą Henryka Bukowskiego, «kustosza i starego sługi Muzeum Narodowego w Rapperswilu» — jak się podpisał. (*Odpowiedź Dr. Gubrynowiczowi w obronie Katalogu Zbiorów Mickiewiczowskich w Rapperswilu.* Lwów, 1899, str. 7, w ósemce).

Katalog ten nie jest jedyną publikacją bibljotekarską Żeromskiego. Jego pióra są *Sprawozdania z zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu* za lata 1894—1896 (o czem również wiemy od Z. Wasilewskiego; por. *Ruch Literacki* 1927 str. 250), napisał też króciutki wstęp do broszurkowego *Sprawozdania z działalności i stanu Bibljoteki Publicznej w Zakopanem od dnia 1 stycznia 1912 r. do dnia 1 stycznia 1913 r.* (Zakopane, str. 8), poświęcony głównie potrzebom lokalowym tej Bibljoteki.

(Str. 365) [*Z ALBUMU*]. Urywek ten wpisał Żeromski do albumu pani Konradowej Olchowiczowej 2 listopada 1925 r. Jego *facsimile* zamieścił *Kurjer Warszawski* 1 stycznia 1926 r. (Nr. 1).

(Str. 366) [*OSTATNIE NOTATY*]. W grudniu 1924 r. otrzymał Żeromski dedykowany sobie egzemplarz książki prof. Witołda Rubczyńskiego *Filozofja życia duchowego* (Poznań, 1925). 12 grudnia dziękował autorowi:

»Dziś otrzymałem... książkę p. t. *Filozofia życia duchowego* — z dedykacyą, która mię głęboko poruszyła. Każde słowo tej dedykacyi jest dla mnie zrozumiałe Teraz dopiero pobieżnie rzuciłem okiem na książkę Czcigodnego Pana, ale z pewnością będę ją pilnie czytał, gdyż i książka ta będzie, równie, jak dedykacya, zrozumiała. Niewielu może będzie czytelników, którzy, jak ja, będą mogli do niej mówić słowem Wyspiańskiego: — «Pociecho moja, ty książeczko, — pociecho smutna...»

Dzieło Rubczyńskiego poświęcone jest zagadnieniu niezniszczalności ducha, a podjęte było pod wrażeniem bolesnej straty osobistej — śmierci syna młodzieńca. O tej genezie książki mówi zarówno przedmowa, jak dołączony do niej portret młodo

zgasłego harcerza. Mówiła o niej i dedykacja, zwracająca się do Żeromskiego, jako poety bólu ojcowskiego, autora *Złego spojrzenia*.

Wedle świadectwa rodziny i najbliższych znajomych, Żeromski czytał tę książkę pilnie wiosną 1925 r., a wracał do niej jeszcze w czasie choroby. O jej lekturze, jako świeżej, mówił jeszcze z p. I. Deutscherem na tydzień przed śmiercią (por. *Nasz Przegląd* 21 listopada 1925 r., Nr. 320). Notatki z niej — i w związku z nią — spisane były najprzód na jednej kartce (28 cm × 21 cm), a potem przegrupowane, przeredagowane i z numeracją porządkową wpisane do oprawnego zeszytu (23 cm × 18 cm), gdzie zapełniają ośm stronic. (Załączamy ich *facsimile*). — Ponieważ Żeromski mówił wówczas często o dalszym ciągu *Przedwiośnia* (pod tytułem przez niektórych nawet słyszanym, mianowicie: *Wiosna*), a zwyczajem jego było (jak najbliżsi stwierdzają) nad jednym tylko na raz utworem pracować, nasuwa się przypuszczenie, że do tej właśnie powieści owe notaty miały być zużytkowane.

(Str. 375) [*FRAGMENT BRULJONOWY*]. Fragment ten jest napisany na górnej połowie kartki formatu 28 cm × 21 cm — Na innej takiej samej kartce takim samym atramentem napisany jest następujący urywek:

«Nadaremnie — artysto! — wytężasz twą siłę i podniecasz twą pasyę. Nadaremnie drży twa ręka i krew nadaremnie napełnia twe żyły».

Załaczone *facsimile* uwalnia wydawcę od opisu i motywowania wybranej do druku wersji.

(Str. 377) *MORZE*. Aforyzm ten był drukowany 22 stycznia 1925 r. w tygodniku warszawskim *Informacja Powszechna* na czele numeru (Nr. 3—4) poświęconego morzu i zarazem donoszącego o przyznaniu Żeromskiemu nagrody literackiej Ministerstwa W. R. i O. P. za *Wiatr od morza*. — D. 26 stycznia 1925 r. odbyła się uroczystość wręczenia laureatowi pisma przyznającego nagrodę. Przemówił ówczesny Kierownik Ministerstwa

prof. Jan Zawidzki. Żeromski odpowiedział na to przemówienie «mniej więcej jak następuje» (według *Warszawianki*, Nr. 27):

«Czuję się bardzo w tej chwili szczęśliwym, że to dzieło, które mnie kosztowało tyle pracy i w którem chciałem znaleźć nową formę literacką, spotkało się z uznaniem Pana Ministra.

Niestety, dzieło to nie objęło całości Pomorza. Stan zdrowia nie pozwolił mi spojrzeć w życie ludu całego Pomorza i wciągnąć go do mojej powieści.

Liczę na to, że utwór ten zachęci młodą generację piszących do studjów nad tą częścią Polski i nad temi częściami, które mi były niedostępne, mam nawet dane, że to nastąpi szybko i ogarnie ten cały kraj, tak sercu naszemu bliski.

Dziękuję jeszcze raz Panu Ministrowi za zaszczytne wyróżnienie, które *Wiatr od morza* spotkało».

(Str. 378) [*NAPIS*]. Urywek ten drukowany był jako beztytułowa inskrypcja w *Epitaphium Ignacego Maciejowskiego Sewera* (Kraków, styczeń 1902, str. 78). W spisie zawartości tej książki wymieniony jest jako *Napis*.

SPIS RZECZY

OPOWIADANIA

WSPOMNIENIA O WSPÓŁCZESNYCH

ARTYKUŁY LITERACKIE

ODEZWY W SPRAWACH PUBLICZNYCH

VARIA

PRZEDMOWY DO KSIĄŻEK

FRAGMENTY I INSKRYPCYE



PODOBIZNY

OSTATNICH RĘKOPISÓW

STEFANA ŻEROMSKIEGO

1) Światem władnie rozumna, sprawiedliwa i miłościwa Potęga.

2) Czy dla rozumu jestestwa ludzkiego uwarunkowanego tak wielorako, istnieje świat wartości bezwzględnych?

3) Och, jakże trudno jest wierzyć, iż zagłada bytu, przemiana w glinę i w cuchnące gazy nie jest jedynym celem istnienia!

4) Człowiek opuszczony jest z musu, naprzekór wszystkim wszystkiem miłości najdroższych osób i życzliwych bliźnich, — oddany na niełaskę sił ślepych, — opuszczony jako obiekt gry potęg niewidzialnych, — żywota i rozwoju mikrobów, bakcylów, rozkładającej konsumpcji, rozpętanej mocy zniszczenia, oddany we wszechsiłę zagłady pochłaniającej i dnia na dzień i nocy na noc.

5) Młodzieniec opuszczony przez Boga, który go mógł miłować, hodować i wspierać, — opuszczony przez rodziców, którzy bezsilnie patrzeć muszą, jak wysycha, wygasa, roz=

kładą się i w rzeczach ich uniecestwia.

6) Wygrana (tajemniczej [illegible] [illegible] igrzysku sił skrytych) [illegible], a widomem zadaniem [illegible] potęgi (nie dojrzeych [illegible] jest noga, zimna) obojętnem śmierć.

7) Ulotne wielotwarzowe i wielopostaciowe [illegible] wielkich, gwałtownych i upornych [illegible] namiętności, biegnąca poprzez żywot [illegible] [illegible]

8) Chwyta się rozsądek, [illegible] [illegible]

9) Rozpruwa się wzdrga, pośkle się i wpada [illegible]

10) Moc obowiązującej zasad kruszy się i zanicenia na rumowisko.

11) Nadchodzi — zagłada samowiedzy.

12) Myśl jasna chyżo zamienia się w obłęd.

13) Obłęd sam przemienia się w ślepą mękę, w niwoli brzydoty i ostateczne ... bez [illegible], zakresu i czasu trwania

14) Dwa są niewątpliwe trofea zwycięstwa człowieka nad dyabłem: sprawiedliwość i miłosierdzie.

15) Dwa są etapy wydźwignięcia się z więzów samolubstwa i z zasieków sofistyki egoizmu na wysokość wolną: wyższe narażenie życia dla honoru i znoszenie cierpień w milczeniu — znoszenie ich w samotności ducha, poza wiedzą współbraci i współrodaków, w imię [illegible] obsługi swojego jestestwa.

16) Dwie są granice życia: miłość i śmierć.

17) Całe dzieło człowieka nie mniej zgromadza się do dwu wysiłków: do przeciwdziałania wśród [illegible] swego organizmu w szeregu [illegible] poletków, — oraz do zmiany osobistej na rozkład i zanik ciała w chorobach i w śmierci.

18) Nasza dusza to wszystkie pożądania, [illegible] to przypomnienie i nawyknienie, to czucie i decyzja.

19) Dusza jest tem, co samo sobie ruch nadaje (autokinetos)

20) Czy dla umysłu ludzkiego może istnieć problematem zagadnienie istnienia pośmiertnego?

21) Czy jest to sprawa uczuć, pragnień osobistych, na niczem uchwytnem niepopartych, — czyli poezja?

22) Czy jest to tylko wynik zaniepokojenia, wstrząśnienia i silnej, zdrowotnej równowagi?

23) Czy dusza trzyma poza ciało i trwa nadal w oderwaniu od niego, skoro jest tem, co jest, a nie przestało, więc zginąć nie może?

24) Czy dusza, czyli rozumienie, a wszech- wolność, gdy ~~[illegible]~~ ciało powiew w żywe ciało, ożywić, w obłędzie umiera?

25) Świadomość jest to przedewszystkiem pamięć, nagromadzenie i zachowanie przeszłości w teraźniejszości, jest także przedsięwzięciem przyszłości, kombinowaniem i wyrachowaniem.

26) Centralny system nerwowy jest psychofizycznym warunkiem genjalnych uzdolnień.

27) Życie jest wolnością wplecioną w konieczność. (Przypadek w przekr.)

28) Dana nam jest wolność, lecz wolność skazańca wplecionego w koło konieczności.

29) Kto jest sędzią, skazującym nas na wplecenie w koło konieczności, — kto wykonawcą, czyli „mistrzem"?

30) Jakie są paragrafy konieczności?

31) Jaki jest kodeks konieczności? Czem się konieczność zastania i do jakiego celu zmierza?

32) Jedynym ~~pośrednictwem~~ świadkiem między nami i bóstwem konieczności mamy w modlitwie.

33) Jest nieświadoma i nie dająca się wymierzyć potęga zawarta w modlitwie.

34) Raz, leżymy na ziemi powaleni przez nieszczęście, kiedy drugi raz wzlatujemy w kamienie, coś zdobywamy, gdzie się odwracamy, stajemy się ko

wszechpotężnemu, równymi, kto jest sprawie-
dliwszy i miłosierdziem.

35) On to straszliwemi karami ściga w nas tyranii i zemsty, odwraca lekkomyślny grzech ojców i naszego wewnętrznego naśladowania

36) Cierpieć to czyn zapewnia kary. (oprócz tego badania moralnych rzeczy)

37) Czy innych skutków niema.

38) Sięga się do zdobycia wszelkiemi sposobami, aż do ostatniego powodu [illegible] serce, aby się wszystkie świętości wyczerpały.

39) Czy to prawda tak jest w świecie, czy jest to złudzenie (częste albo jakaś zdolna przenośnia) wyobrażenia, prosteckie studencie?

40) Kto zdobywa umysł wiedzą, wiarą i czcią, w ciągu długotrwałego życia aż po wieczne aż na sam brzeg przepaści i nazwą łaski odpuszczenia.

41) Ku to wam głowa moja upadała w ostatniem zaufaniu na błogosławieństwo ich świętego spokoju i w łasce Boga by spoczywała!

42) O, dziwne, dziwne, dziwne, o, przedziwne zjawisko!

43) Słabość jest złą ostoją. (James)

44) Jest takie światło, w którego promieniach wszystkie nam zalety, darem i przymus, na naturalnych przymiotach oparte i w życiu przyjęte usposobienia wyglądają na czystą zabawkę dziecinną.

45) Nie wejdzie w głębsze sfery szczęśliwości nikt, kto się nie potrafi oczyścić z zepsucia swej duszy (psyche?), albo nie uderzy na dzień co do tego, że potrafi być dobrym wobec własnego prawa. (James)

46) W chwilach wyższego zstąpienia odsłaniają się nam nowe sfery życia. (James)

47) Wielki to przełom w życiu duchowem jednostki, gdy ona zaczyna przybierać postawę sędziego wobec cudzych i własnych myśli, postępków, pragnień, uczuć i do niezmierzonego z góry niepoznawalnego nic ani przychylnie, względnie w promieniu [illegible], co ona [illegible]

48) Ta dziwość jest rezultatem odczucia potrzeby walki.

49) Popęd samozachowawczy jest pierwszym czynnikiem, pobudką krzywdy.

50) Krzywda musi być ogólna i subtelna.

51) Pasja do poświęceń, ofiarowanych w ukryciu

52) „Dobrem jest to, co jednoczy i siebie drugim udziela" — „Bonum est sui diffusivum et sui communicativum."
(Albert Wielk.)

Boska Miłość Zbawiciela jednoczy ludzi i im się udziela.

53) Wszystko polega na rachowaniu ciągłości woli i czynności rozwagi.

Ktoś aż do wnętrza, ktoś aż do ostatniego podwoju
[illegible] serce moje szeptaniami [illegible],
iżby z niego [illegible] krople szczęśliwości wyżymać.
Ktoś trzyma [illegible] ostrożnie, [illegible]
i zbiera ściśle krople do czary.
Żywe, gorzko [illegible]
Czy ta sprawa taka jest w istocie, czy i to jest
tylko moje ugodne, przestroga, złudzenie.
Ktoś [illegible] mi, to tu, to tam,
i [illegible] Tarki [illegible]
[illegible] upadłą [illegible]
Ile razy Słowo moja [illegible] na błogosławiona dłoni opiekuńczej
tej wiecznej dłoni
i w Łasce [illegible] wyprzywała.

O, dziwne, o przedziwne, o niepojęte o niedocieczone zjawisko!
Ile razy Życie [illegible], — a rozpaczy! — czyli tylko moje
przestroga mi. — Tarki Objawienie
złudzenie
ugodne, przestroga

Wszystko można wyśledzić spokojnym wzrokiem rozumu, wszędzie
można zajść światłem nieskazitelnym logicznego wywodu, można ujrzeć jak na dłoni duszę swą
ukrywającą przed ciałem, bytującą okrom mózgu,
lecz nie można Ciebie wyśledzić światłem wszelkiego
rozumu.





